

KEN FOLLETT

IGŁA

(Przełożyła Małgorzata Targowska-Grabińska)

WSTĘP

Na początku 1944 roku wywiad niemiecki zbierał dowody na istnienie potężnej grupy wojsk w południowo-wschodniej Anglii. Samoloty rozpoznawcze dostarczyły zdjęć baraków, lotnisk oraz eskadr okrętów wojennych w zatoce Wash. Zauważono generała Georga S. Pattona, ubranego w swoje charakterystyczne różowe bryczesy, który przechadzał się w towarzystwie białego buldoga; stwierdzono znacznie intensywniejszą działalność radiową i częstą wymianę meldunków między oddziałami. Szpiegzy niemieccy przebywający w Wielkiej Brytanii potwierdzali wszystkie te obserwacje.

Oczywiście nie było żadnej armii. Okręty wojenne zbudowano z gumy i drewna, wojskowe baraki były tylko makietami; Patton nie miał pod swym dowództwem ani jednego żołnierza; meldunki nadawane przez radio były bez znaczenia; szpiegzy okazali się podwójnymi agentami.

Celem tych wszystkich zabiegów było wprowadzenie wroga w błąd, tak żeby zaczął przygotowania do odparcia inwazji w rejonie Pas de Calais. Lądowanie wojsk alianckich w Normandii 6 czerwca 1944 roku miałyby wtedy wszelkie atuty zaskoczenia.

Był to dokładnie przemyślany, szaleńczy plan oszukania nieprzyjaciela. Tysiące ludzi uczestniczyło w jego realizacji. Byłoby cudem, gdyby któryś ze szpiegów Hitlera o nim się nie dowiedział.

Czy rzeczywiście działali jacyś szpiegzy? Ludzie byli wówczas przekonani o istnieniu Piątej Kolumny. Po wojnie urósł mit, że MIS wychwyciła wielu agentów jeszcze przed Bożym Narodzeniem roku 1939. Zdawało się, że pozostało bardzo niewiele szpiegów, gdyż MIS unieszkodliwiła prawie wszystkich.

Ale wystarczyłby tylko jeden...

Wiemy, że Niemcy zauważyli wszystkie znaki, które mieli zobaczyć we Wschodniej Anglii. Wiemy również, że podejrzewali podstęp i robili wszystko, aby wykryć prawdę.

Tyle mówi historia i w historycznych książkach żadnych innych faktów nie znalazłem. Reszta jest fikcją.

A jednak myślę, że podobna historia musiała się zdarzyć...

Camberley, Surrey czerwiec 1977

Niemcy byli prawie zupełnie wyprowadzeni w pole - tylko Hitler miał trafne przeczucie i chciał umocnić swoje podejrzenie...

A.I.P. Taylor *Historia Anglii 1914-1945*

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział 1

Była to najchłodniejsza zima w Anglii od czterdziestu pięciu lat. Śnieg odciął wsie od reszty kraju, a Tamiza zamarzła. Zdarzyło się nawet jednego dnia w styczniu, że pociąg z Glasgow dotarł do dworca Euston w Londynie z dwudziestoczworgodzinny opóźnieniem. Śnieg i zaciemnione ulice sprawiły, że poruszanie się po jezdniach stało się niebezpieczne, ilość wypadków drogowych zwiększyła się w dwójnasób, a ludzie opowiadali sobie kawały o tym, że większym ryzykiem jest jazda w nocy Austinem po Piccadilly, niż wyprawa czołgiem przez Linie Zygryda.

Z nadejściem wiosny świat jakby się odmienił. Balony zaporowe unosiły się majestatycznie na błękitnym niebie, żołnierze na urlopie przechadzali się po ulicach Londynu i flirtowali z dziewczętami w letnich sukienkach.

Miasto nie wyglądało wcale jak stolica kraju, który bierze udział w wojnie. Oczywiście można było zauważyć pewne oznaki wojny i Henry Faber, jadąc na rowerze z dworca Waterloo w stronę Highgate, widział je wyraźnie: stosy worków z piaskiem przed ważnymi urzędami, schrony w podmiejskich ogródkach, propagandowe afisze o ewakuacji i ostrzeżenia przed powietrznymi nalotami. Faber obserwował wszystkie te znaki - był o wiele bardziej spostrzegawczy niż przeciętny urzędnik kolejowy. Zobaczył tłumy dzieci w parkach i zrozumiał, że ewakuacja nie doszła do skutku.

Wiedząc o racjonowaniu benzyny policzył samochody na drodze i obejrzał reklamy nowych modeli pojazdów. Wiedział, co znaczą tłumy robotników przychodzących do fabryk na nocną zmianę, podczas gdy parę miesięcy temu były kłopoty ze znalezieniem pracy dla jednej zmiany.

Przede wszystkim śledził ruch wojska w pobliżu brytyjskich linii kolejowych: cała dokumentacja przechodziła przez jego biuro i stanowiła źródło cennych informacji. Dzisiaj, na przykład, otrzymał opieczetowaną porcję formularzy, dzięki którym dowiedział się, że utworzono nowe Siły Ekspedycyjne. Miał całkowitą pewność, że powołano sto tysięcy mężczyzn z zamiarem wysłania ich do Finlandii.

Tak, wszędzie były znaki, tylko że coś niepoważnego kryło się w tym wszystkim. Programy radiowe naśmiewały się z wojennych rozporządzeń, słychać było zbiorowe śpiewy w schronach przeciwlotniczych, a eleganckie kobiety nosiły maski gazowe w pojemnikach projektowanych przez wielkich krawców. Mówiło się o "nudnej wojnie". Było to bardzo prawdziwe i jednocześnie trywialne, jak film oglądany w kinie. Wszystkie, bez wyjątku, ostrzeżenia o nalotach okazywały się fałszywym alarmem.

Faber miał na to wszystko swój własny punkt widzenia - no, ale Faber był kimś zupełnie obcym.

Skierował rower w stronę Archway Road i pochylił się do przodu, by łatwiej móc pokonać strome wzgórze; jego długie nogi pracowały bez wysiłku niczym tłoki lokomotywy. Był w świetnej formie jak na swoje trzydzieści dziewięć lat, do których się nie przyznawał. Ukrywał też wiele innych spraw, czując się bezpieczniej wśród ciągłych kłamstw.

Zaczął się pocić, kiedy wspinał się na wzgórze wiodące do Highgate. Budynek, w którym mieszkał, był jednym z największych w okolicy i dlatego właśnie zdecydował się tam zatrzymać. Wiktoriański, ceglany dom stał jako ostatni z sześciu wzniesionych na wzgórzu. Domy były wysokie, wąskie i ciemne jak myśli ludzi, dla których zostały zbudowane. Każdy miał trzy piętra i sutereneż z wejściem dla służby - w dziewiętnastym wieku angielscy mieszczaństwo upierali się przy budowie

specjalnego wejścia dla służby, nawet jeśli jej w ogóle nie mieli. Faber miał cyniczny stosunek do Anglików.

Właścicielem mieszkania pod numerem szóstym był pan Harold Garden z małej spółki "Garden's Tea and Coffee", która zbankrutowała w latach wielkiego kryzysu. Ponieważ przez całe życie pan Garden przestrzegał zasady, że niewypłacalność jest grzechem śmiertelnym, nie pozostało mu nic innego, jak tylko umrzeć. Posiadłość dostała się w spadku jego żonie, która była zmuszona wziąć lokatorów. Polubiła swoją nową rolę gospodyni, chociaż etyka środowiska zmuszała ją do udawania, że jest tym faktem trochę zawstydzona. Faber zajmował pokój z mansardowym oknem na najwyższym piętrze. Mieszkał tam od poniedziałku do piątku, weekendy spędzał z matką w Erith, o czym poinformował panią Garden. W rzeczywistości miał jeszcze jedną gospodynię w Blackheath, dla której nazywał się Baker i był komiwojażerem firmy produkującej przybory do pisania, spędzającym cały tydzień w drodze.

Wjechał przez ogród, ścieżką pod wysokimi oknami frontowego pokoju. Wprowadził rower do szopy i unieruchomił go przy maszynie do strzyżenia trawy - prawo zabraniało pozostawiania pojazdów nie zabezpieczonych. Ziemiaki w skrzynkach wokół szopy wypuszczały już kielki. Ze względu na wojnę pani Garden zmieniła grządki z kwiatami na ogród warzywny. Faber wszedł do domu, powiesił kapelusz na wieszaku w korytarzu, umył ręce i pospieszył na kolację.

Trzej pozostali lokatorzy siedzieli już przy stole: przyszczaty chłopiec z Yorkshire, który bardzo chciał wstąpić do wojska, sprzedawca wyrobów cukierniczych o przerzedzonych, jasnych włosach i oficer marynarki na emeryturze, z wyraźnie znudzoną miną. Faber uklonił się i usiadł. Sprzedawca właśnie opowiadał dowcip:

- Więc dowódca eskadry mówi: "Wcześniej wróciłeś", a pilot odwraca się do niego i odpowiada: "Tak jest, rozrzuciłem ulotki związane w paczki. Taki chyba był rozkaz?" A wtedy dowódca eskadry: "O Boże, przecież mogłeś kogoś zranić!"

Oficer marynarki zachichotał, a Faber uśmiechnął się grzecznie. Pani Garden weszła z dzbankiem herbaty.

- Dobry wieczór, panie Faber. Zaczęliśmy jeść bez pana. Mam nadzieję, że nam pan wybaczy.

Faber rozsmarował cienko margarynę na kromce chleba, która była całym posiłkiem, i nagle zatęsknił za kawałkiem dobrej kiełbasy.

- Można już sadzić pani ziemniaki - poinformował gospodynię. Jadł bardzo szybko. Pozostali kłócili się, czy Chamberlain powinien być odsunięty po to, by Churchill mógł zająć jego miejsce. Pani Garden wyraziła swoje zdanie na ten temat, a potem czekała na opinię Fabera. Była kwitnącą kobietą, może tylko trochę za tęgą. Dochodziła prawie do wieku Fabera, niemniej ubierała się jak kobieta trzydziestoletnia i Faber domyślał się, że bardzo pragnęła po raz drugi wyjść za mąż. Nie brał udziału w dyskusji.

Pani Garden włączyła radio. Wśród trzasków dobiegł ich głos spikera: "Tu rozgłośnia radia BBC. Nadajemy audycję pod tytułem «To znowu ten człowiek»,,.

Faber słyszał ją już przedtem. Była dalszym ciągiem opowiadania o niemieckim szpiegu Funfie. Przeprósł wszystkich i wycofał się na górę do swego pokoju.

Gdy audycja się skończyła, pani Garden została sama: oficer marynarki poszedł ze sprzedawcą do pubu, a chłopiec z Yorkshire, który był bardzo religijny, udał się na nabożeństwo do kościoła. Siedziała ze szklaneczką dzinu w ręce, patrzyła na zaciemnione okna i myślała o Faberze. Czy naprawdę musiał spędzać aż tyle czasu w swym pokoju? Potrzebowała towarzystwa, a on nadawał się do tego najlepiej.

Podobne myśli budziły w niej poczucie winy. Żeby je złagodzić, pomyślała o panu Gardenie. Wspomnienia o mężu były bardzo konkretne, ale wyblakłe, jak stara kopia filmu z ledwo widocznym obrazem i niewyraźną ścieżką dźwięku, więc choć pamiętała dobrze, co znaczyło mieć go przy sobie, trudno było jednak przywołać w pamięci twarz pana Gardena, sposób jego ubierania się, czy też uwagi, jakimi dzieliłby się po wysłuchaniu codziennych komunikatów wojennych. Był niskim eleganckim mężczyzną, który robił świetne interesy, kiedy dopisywało mu szczęście, a gdy go opuszczało, tracił wszystko. Był powściągliwy na zewnątrz i niezwykle czuły w łóżku. Bardzo go kochała. Podzieli pewnie los wielu samotnych kobiet, jeśli ta wojna szybko się nie skończy. Naląła sobie następną porcję.

Pan Faber był mężczyzną bardzo spokojnym i na tym właśnie polegał cały kłopot. Wydawało się, że nie ma żadnych wad. Nie palił, nigdy nie czuła alkoholu w jego oddechu i wszystkie wieczory spędzał w swym pokoju słuchając muzyki klasycznej w radio. Czytał dużo gazet i chodził na długie spacery. Podejrzała, że nie jest głupi pomimo swego skromnego zawodu: jego uwagi w trakcie rozmów z innymi lokatorami świadczyły o nieprzeciętnej inteligencji. Na pewno, gdyby się postarał, mógłby zdobyć lepszą pracę. Wydawało się, że wcale nie szuka swej życiowej szansy, choć na nią w pełni zasługuje.

To samo można powiedzieć o jego wyglądzie. Był całkiem przystojny: wysoki, długonogi, barczysty i bardzo szczupły. Wysokie czoło, długa szczęka i jasne niebieskie oczy znamionowały człowieka mocnego. Faber nie był typem gwiazdora filmowego, ale miał urodę, jaką lubią kobiety. Z wyjątkiem ust: były małe i wąskie i pani Garden podejrzewała, że ten człowiek potrafi być okrutny. Pan Garden nie był zdolny do żadnego okrucieństwa.

A jednak na pierwszy rzut oka Faber nie miał wyglądu mężczyzny, na którego kobieta spojrzałaby dwa razy. Spodnie znoszonego starego garnituru nie znały żelazka. Uprasowałaby je chętnie, ale nigdy o to nie poprosił. Poza tym zawsze nosił wytarty prochowiec i płaską czapkę dokera. Nie miał wąsów i przycinał włosy co dwa tygodnie. Wydawało się, że zależy mu na tym, by nie rzucać się zbytnio w oczy.

Potrzebował kobiety, nie było co do tego żadnej wątpliwości. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie jest przypadkiem antyfeministą, ale zaraz odrzuciła tę myśl. Potrzebował żony, żeby dbała o jego wygląd i rozbudzała w nim ambicje. A ona potrzebowała mężczyzny dla towarzystwa i do miłości.

Niemniej Faber nigdy nie zrobił najmniejszego zachęcającego gestu w jej stronę. Czasem chciało się jej aż krzyczeć ze złości. Nie miała wątpliwości, że jest atrakcyjna. Spojrzała w lustro nalewając sobie następną porcję dżinu. Zobaczyła ładną twarz, jasne kręcone włosy, no i okrągłe kształty.

Wychyliła kieliszek i zastanowiła się, czy to ona powinna zrobić pierwszy krok. Pan Faber był oczywiście nieśmiały, chronicznie nieśmiały. Na pewno był normalny: pamiętała spojrzenie, jakim ją obrzucił, kiedy dwa razy przechodziła obok niego w koszuli nocnej. Być może bezczelnością udałoby się jej przewyciężyć jego nieśmiałość. Przecież nic na tym nie straci. Próbowала wyobrazić sobie najgorsze, choćby po to, żeby zobaczyć, jak by się wtedy czuła. Przypuśćmy, że nie będzie chciał mieć z nią nic wspólnego. Hm, byłoby to co najmniej żenujące, jeśli nie upokarzające. Cios zadany jej dumie. Ale przecież nikt nie musi się o tym dowiedzieć. Po prostu każe mu się wyprowadzić.

Myśl o jego odmowie zraziła ją do całego pomysłu. Wstała powoli, myśląc: "Nie jestem przecież typem bezwstydnicy". Nadeszła już pora, żeby kłaść się do łóżka. Jeśli wypije jeszcze jeden dżin, będzie mogła zasnąć. Wzięła ze sobą butelkę na górę.

Jej sypialnia znajdowała się tuż pod pokojem Fabera i kiedy się rozbierała, słyszała dźwięki

skrzypiec dobiegające z jego radia. Włożyła nową koszulę nocną - różową, z haftem wokół szyi; zrobiło się jej smutno, że nikt jej nie zobaczy w tym ładnym stroju. Przygotowała ostatnią szklaneczkę dzinu. Zastanawiała się, jak też wygląda pan Faber, gdy zdejmie ubranie. Pewnie ma płaski brzuch, włosy na piersiach i mocno zarysowane żebra, ponieważ jest taki szczupły.

Zabrała kieliszek do łóżka i otworzyła książkę, ale skoncentrowanie się na lekturze wymagało zbyt wielkiego wysiłku. Poza tym nudziły ją literackie romanse. Historie o niebezpiecznych przygodach miłosnych były ciekawe, o ile samej miało się bezpieczną miłość z własnym mężem, a każda kobieta potrzebuje czegoś więcej niż tylko powieści Barbary Cartland. Popijała dzin i jedynym jej życzeniem było, żeby Faber wyłączył radio. "To tak, jakby próbowało się usnąć na dancingu" - pomyślała.

Oczywiście mogła go poprosić, żeby je całkiem zgasił. Spojrzała na zegarek obok łóżka: było po dziesiątej. Mogła włożyć szlafrok, który świetnie pasował do koszuli nocnej, przyczesać trochę włosy, wślizgnąć się w pantofle - całkiem gustowne, z wyhaftowanymi różyczkami - i po prostu wbiec po schodach na następne piętro, i zapukać do jego drzwi. Otworzyłby jej, ubrany pewnie w spodnie i koszulkę trykotową, a potem spojrzalby na nią w ten sam sposób, jak wtedy, kiedy zobaczył ją w koszuli nocnej, gdy szła do łazienki...

- Głupia stara idiotka - powiedziała do siebie głośno. - Szukasz pretekstu, żeby pójść do niego.

I nagle zastanowiła się, czy w ogóle potrzebuje pretekstu. Była przecież dorosłą kobietą we własnym domu i przez dziesięć lat nie spotkała mężczyzny, który by wzbudził jej sympatię.

Wypiła dzin do końca, wstała z łóżka. Włożyła szlafrok, poprawiła trochę włosy, wsunęła nogi w pantofle i wzięła pęk kluczy na wypadek, gdyby jego drzwi były zamknięte i nie usłyszał jej pukania z powodu głośnej muzyki.

Na korytarzu nie było nikogo. W ciemnościach trafiła na schody. Zamierzała ominąć stopień, który skrzypiał, ale potknęła się o wystający dywan i całym ciężarem stanęła na tym właśnie stopniu. Wydawało się, że nikt nic nie słyszał, poszła więc dalej i zapukała do drzwi na górze. Nacisnęła lekko klamkę. Drzwi były zamknięte. Radio umilkło i pan Faber zawołał:

- Tak?!

Mówił bardzo poprawnie: żadnym cockneyem i bez cienia cudzoziemskiego akcentu - miły, bezbarwny głos.

- Czy mogę zamienić z panem słówko? - zapytała.

Wydawało się, że się waha. Potem powiedział:

- Nie jestem ubrany.

- Ja też nie - zachichotała i otworzyła drzwi zapasowymi kluczami. Stał tuż przy radiu ze śrubokrętem w ręku. Był w spodniach, ale bez trykotowej koszulki. Twarz miał przeraźliwie bladą i wydawał się śmiertelnie przerażony.

Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi, zupełnie nie wiedząc, co powiedzieć. Nagle przypomniało się jej zdanie z amerykańskiego filmu i zapytała:

- Czy nie postawiłby pan drinka samotnej dziewczynie?

Było to głupie pytanie, gdyż wiedziała, że nie trzyma u siebie żadnego alkoholu, a ona nie była oczywiście odpowiednio ubrana, żeby gdzieś pójść, niemniej zabrzmiało to uwodzicielsko.

I chyba odniosło oczekiwany skutek. Bez słowa zbliżył się do niej. Zauważyła włosy na piersiach. Zrobiła krok w jego stronę i wtedy objął ją ramionami, a ona zamknęła oczy i uniosła twarz. Pocałował ją, poruszała się miękko w jego objęciach i nagle poczuła straszliwy, potworny, nie do zniesienia ostry ból w plecach; otworzyła usta w przeraźliwym krzyku.

Faber usłyszał, jak potknęła się na schodach. Gdyby poczekała jeszcze chwilę, zdążyłby włożyć nadajnik w pokrowiec, a książkę szyfrów do szuflady, i nie musiałyby umierać. Ale zanim udało mu się ukryć wszystkie dowody, usłyszał klucz w zamku i kiedy otworzyła drzwi, trzymał sztylet w pogotowiu.

Zadał pierwszy cios, ale nie trafił w serce, ponieważ poruszyła się w jego ramionach. Musiał też zacisnąć dłoń na jej gardle, żeby zdławić krzyk, uderzył jeszcze raz, ale ona znowu się poruszyła i ostrze trafiło w żebro, raniąc ją powierzchownie. Zaczęła bardzo krwawić i zrozumiał, że spartaczył całą robotę. Zawsze się tak działo przy chybionym pierwszym uderzeniu.

Nie mógł jej teraz zabić dodatkowym ciosem, gdyż za bardzo się kręciła. Trzymając dłoń na jej ustach, ścisnął palcami szczękę i z całej siły pchnął kobietę w stronę drzwi. Uderzyła głową o drewno z głuchym łoskotem: żałował, że ściszył radio, ale nie mógł przecież przewidzieć, że wszystko się tak potoczy.

Zanim ją zabił, zawahał się - o wiele lepiej byłoby, gdyby umarła w łóżku. Doszedł do wniosku, że wtedy znacznie łatwiej byłoby ukryć całą sprawę, ale nie miał pewności, czy przenoszenie pani Garden nie narobi hałasu. Ścisnął mocniej jej szczękę, unieruchamiając głowę, i zadał sztyletem cios, który rozerwał całe gardło.

Odsunął się gwałtownie, unikając w ten sposób zalania krwią, a potem zrobił krok do przodu, żeby złapać ciało, zanim upadnie na podłogę. Zaciągnął panią Garden na łóżko, starając się nie patrzeć na jej szyję.

Zabijał już przedtem, mógł więc przewidzieć, jaka będzie reakcja: następowała, gdy tylko wracało poczucie bezpieczeństwa. Podeszedł do umywalki w kącie pokoju i czekał na typowe objawy. Wyraźnie widział swą twarz w małym lustrze, przy którym zazwyczaj się golił. Była blada, z szeroko otwartymi oczami. Spojrzał na siebie i pomyślał: "Zabójca". Potem zwymiotował.

Kiedy miał to już za sobą, poczuł się znacznie lepiej. Teraz mógł dalej pracować. Wiedział, co powinien zrobić: obmyślił szczegóły już w trakcie zabijania.

Umył twarz, wyczyścił zęby i wyszorował umywalkę. Potem usiadł przy stole obok radia. Otworzył notatnik, znalazł odpowiednie miejsce i zaczął nadawać szyfrem. Była to druga informacja - o powołaniu armii, która miała być wysłana do Finlandii. Kiedy pani Garden przerwała mu swym nadejściem, przekazał już połowę wiadomości. Zakończył nadawanie podpisując się: "Pozdrowienia dla Williego".

Sprawnie zapakował nadajnik do specjalnie zaprojektowanej walizki. Do drugiej włożył resztę swych rzeczy. Zdjął spodnie i sprzął ślady krwi, potem umył się cały dokładnie.

Wtedy dopiero spojrzał na ciało. Nie miał żadnych wyrzutów sumienia. Była wojna i byli dla siebie wrogami, gdyby jej nie zabił, na pewno przyczyniłaby się do jego śmierci. Stanowiła zagrożenie, więc odczuł dużą ulgę, że zostało ono usunięte. Nie przestraszy go już więcej.

Niemniej zadanie, jakie go jeszcze czekało, było okropne. Rozpiął jej szlafrok i podciągnął do góry nocną koszulę. Pani Garden miała na sobie ozdobne majtki do kolan. Biedna kobieta: chciała tylko go uwieść. Ale zanim udałoby mu się wyprowadzić ją z pokoju, na pewno zauważyłaby nadajnik, a wyszkoleni przez propagandę Anglicy wszędzie wietrzyli szpiegów. Zabawne, gdyby Abwehra miała tak wielu agentów, jak o tym pisały brytyjskie gazety, Anglicy dawno już powinni przegrać wojnę.

Cofnął się i spojrzał na ciało z ukosa. Coś tu nie grało. Spróbował wyobrazić sobie sposób rozumowania zбочeńca seksualnego. Gdyby chorobliwie pożądał takiej kobiety jak Una Garden i zabił ją tylko dla seksualnego zaspokojenia, co zrobiłby na jego miejscu?

Oczywiście, że taki wariat chciałby ją dokładnie obejrzeć. Faber nachylił się nad ciałem,

chwycił koszulę przy szyi i rozdarł aż do pasa.

Lekarz policyjny wkrótce odkryje, że nikt jej nie zgwałcił, ale Faber nie przypuszczał, żeby to odgrywało jakąś istotną rolę. Uczęszczał kiedyś na zajęcia z kryminologii w Heidelbergu i wiedział, że zdarzały się nie skonsumowane zbrodnie seksualne. Poza tym, dla samej tylko chęci zmylenia wroga nie potrafił posunąć się aż tak daleko. Nie, nawet dla Ojczyzny. Nie pracował przecież w SS. Niektórzy z "nich" ustawiliby się w kolejce, żeby móc zgwałcić trupa. Nie chciał o tym nawet myśleć.

Umył jeszcze raz ręce i włożył ubranie. Zbliżała się północ. Wyniesie się za jakąś godzinę, wtedy będzie znacznie bezpieczniej.

Usiadł, żeby przeanalizować całą sytuację i dojść, w którym miejscu się pomylił. Bez wątpienia popełnił błąd. Gdyby zastosował wszystkie środki ostrożności, byłby całkowicie bezpieczny. Gdyby był całkowicie bezpieczny, nikt nie odkryłby jego tajemnicy. Pani Garden odkryła jego tajemnicę lub raczej odkryłaby ją, gdyby żyła parę sekund dłużej. Znaczy to, że nie był całkowicie bezpieczny, nie przewidział wszystkich okoliczności i wpadł w tarapaty.

Dlaczego nie założył zasuw na drzwiach? Byłoby o wiele lepiej, gdyby brali go za chorobliwie nieśmiałego. Nie narażałby się wtedy na wizyty roznegliżowanych gospodyń, skradających się po nocy z zapasowymi kluczami.

Ale błąd tkwił znacznie głębiej. Problem polegał na tym, że Faber był kawalerem "do wzięcia". Myślał o tym z irytacją, a nie z dumą. Zdawał sobie sprawę, że jest miłym, atrakcyjnym mężczyzną i nie było właściwie powodu, dla którego pozostawał samotny. Zaczął obmyślać środki zaradcze, które mogłyby go chronić przed zalotami ze strony takich pań Garden.

Dlaczego się dotąd nie ożenił? Poruszył się niespokojnie - nie lubił zbyt bezpośrednich pytań. Było to całkiem proste. Pozostał kawalerem ze względu na swoją pracę. Jeśli były jakieś inne, poważniejsze powody, nie chciał ich znać.

Postanowił spędzić resztę nocy na świeżym powietrzu. Gęsto zadrzewione tereny świetnie się do tego nadawały. Rano zanieś walizki do przechowalni bagażu na stacji kolejowej, a wieczorem przenieś się do swego pokoju w Blackheath.

Wślizgnie się w swoją drugą skórę. Nie obawiał się wcale, że złapie go policja. Komiwojażer, zajmujący pokój w Blackheath tylko w czasie weekendów, niczym nie przypominał urzędnika kolejowego, który zamordował swoją gospodynię. Lokator z Blackheath był wylewny, wulgarny i pretensjonalny. Nosił krzykliwe krawaty, fundował kolejki drinków w pubie i zupełnie inaczej czesał włosy. Policja roześle wszędzie opis nędznego niskiego zboczeńca, który w obecności kobiet umierał ze strachu, zanim wykrztusił słowo, chyba że ogarniało go chorobliwe pożądanie. Nikt nie będzie podejrzewał przystojnego sprzedawcy w kraciastym garniturze, który nie musi przecież zabijać kobiet, aby zobaczyć ich piersi.

Powinien wymyślić jeszcze jedną osobowość; musiał zawsze mieć co najmniej dwie. Potrzebował nowej pracy i świeżych papierów - paszportu, dowodu osobistego, książeczki z kartkami żywnościowymi, metryki urodzenia. Wszystko stawało się tak bardzo ryzykowne. Przeklęta pani Garden! Dlaczego nie wypięła tyle co zawsze i nie zasnęła.

Wybiła pierwsza. Faber rozejrzył się po raz ostatni po pokoju. Nie przejmował się, że zostawi ślady - jego odciski palców znajdowały się oczywiście w całym domu i nikt nie będzie miał najmniejszych wątpliwości, kto jest mordercą. Nie czuł też żadnego żalu, że opuszcza miejsce, które było jego domem przez dwa lata: nigdy nie uważał go za swój dom. Żadne miejsce nie było dla niego domem.

Będzie zawsze o nim myślał jak o mieszkaniu, w którym nauczył się, że trzeba zakładać zasuwę

na drzwiach.

Zgasił światło, wziął walizki, zszedł cicho po schodach i wyslizgnął się w ciemną noc.

Rozdział 2

Henryk II był niezwykle królem. W wieku, który jeszcze nie znał określenia “krótkie wizyty państwowe”, przenosił się z Anglii do Francji z taką szybkością, że zaczęto mu przypisywać umiejętność posługiwania się siłami nadprzyrodzonymi, czemu oczywiście nie przeczył. W roku 1173, w czerwcu czy też może we wrześniu, w zależności od źródła, które wybierzemy, pojawił się w Anglii, z której wyjechał tak szybko, że żaden ze współczesnych pisarzy nie zdążył zauważyć tego faktu. Późniejsi historycy odkryli opis jego podróży w Archiwum Państwowym. W tym czasie królestwo Henryka było atakowane przez jego dwóch synów na północnych i południowych krańcach - od strony szkockiej granicy i południowej Francji.

Jaki dokładnie był cel jego wizyty? Kogo odwiedzał? Dlaczego trzymane to było w tajemnicy, gdy pogłoski o jego zagadkowym przenoszeniu się z miejsca na miejsce mogły zaważyć na losach całej armii. Co osiągnął?

Ten właśnie problem niepokoił Percivala Godlimana w lecie 1940 roku, gdy wojska Hitlera niszczyły zboża na polach Francji, a Brytyjczycy wycofywali się spod Dunkierki w krwawym zamęcie.

Profesor Godliman był świetnym znawcą średniowiecza. Jego książka o Czarnej Śmierci położyła kres dotychczasowym teoriom na ten temat. Stała się też bestsellerem i doczekała się wydania kieszonkowego. Mając to wszystko już za sobą, profesor rozpoczął studia nad nieco wcześniejszym i trudniejszym do zbadania okresem.

Pięknego czerwcowego dnia o dwunastej trzydzieści w Londynie sekretarka zastała Godlimana pochylonego nad oświetlonym manuskryptem. Profesor pracowicie tłumaczył średniowieczną łacinę i robił notatki swym mało czytelnym pismem. Sekretarka zamierzała zjeść lunch w ogródku restauracyjnym niedaleko Gordon Square. Nie cierpiała sali, w której przechowywano manuskrypty, gdyż uważała, że przesycona jest trupim zapachem. I trzeba było użyć tylu kluczy, aby się tutaj dostać; pokój miał w sobie coś z atmosfery cmentarza.

Godliman stał przy pulpicie na jednej nodze niczym ptak, z twarzą niewyraźnie widoczną w słabym świetle padającym z góry. Wyglądał, jak duch mnicha, który napisał księgę i teraz w zimnej celi czuwa nad swą cenną kroniką. Dziewczyna odchrząknęła i czekała, aż profesor ją zauważy. Widziała niskiego mężczyznę po pięćdziesiątce, przygarbionego i o słabym wzroku. Ubrany był w tweedowy garnitur. Wiedziała, że potrafi być bardzo towarzyski i miły, gdy tylko uda się go wyciągnąć ze średniowiecza. Chrząknęła znowu i zapytała: - Profesorze Godliman?

Podniósł wzrok i uśmiechnął się na jej widok. Wcale nie przypominał ucha, już raczej czyjś zbzikowanego ojca.

- Cześć - powiedział zdziwionym głosem, zupełnie jakby spotkał swego najbliższego sąsiada na środku Sahary.

- Chcę panu przypomnieć, że jest pan umówiony na lunch w “Savoyu” z pułkownikiem Terry.

- A tak, rzeczywiście. - Wyciągnął zegarek z kieszonki kamizelki. - Jeśli mam tam iść na piechotę, powinienem już wyruszyć.

Skinęła głową.

- Tu jest pana maska gazowa.

- Że też pani o wszystkim pamięta. - Uśmiechnął się znowu i pomyślała, że jest całkiem przystojny. Podała mu maskę.

- Czy powinienem wziąć płaszcz? - zapytał.

- Dziś rano przyszedł pan bez płaszcza. Jest całkiem ciepło. Czy zamknąć za panem?

- Tak. Dziękuję, dziękuję bardzo. - Schował notatnik do kieszeni marynarki i wyszedł. Sekretarka rozejrzała się po pokoju, wzdrygnęła się i pospiesznie opuściła bibliotekę.

Pułkownik Andrew Terry był Szkotem o czerwonej twarzy, sylwetce przeraźliwie szczupłej od nałogu palenia papierosów i przeredzonych ciemnoblonde włosach, które grubo pokrywał brylantyną. Godliman zastał go siedzącego przy stoliku w rogu restauracji "Savoy Grill". Nie nosił munduru. W popielniczce leżały już trzy niedopałki. Terry wstał, żeby się przywitać.

- Dzień dobry, wujku Andrew. - Terry był młodszym bratem jego matki.

- Co u ciebie słysząc, Percy?

- Piszę teraz książkę o Plantagenetach. - Godliman usiadł.

- Czyżby twoje manuskrypty były nadal w Londynie? Bardzo dziwne.

- Dlaczego?

Terry zapalił następnego papierosa.

- Przewieź je na wieś na wypadek bombardowania.

- Myślisz, że powinienem?

- Połowa obrazów z National Gallery została ukryta w diablo głębokiej dziurze w ziemi gdzieś na terenie Walii. Młody Kenneth Clark jest szybszy od ciebie w zacieraniu śladów. Może byłoby rozsądniej gdybyś i ty wyjechał, skoro już nad tym pracujesz? Nie przypuszczam, że zostało ci wielu studentów.

- To prawda. - Godliman wziął od kelnera menu. - Nie chcę żadnego alkoholu - powiedział.

Terry nie patrzył na kartę.

- Ale tak naprawdę, Percy, dlaczego ciągle jeszcze jesteś w mieście?

Godliman ożywił się wyraźnie, jak gdyby po raz pierwszy od chwili wejścia do restauracji coś go naprawdę zainteresowało.

- Niech wyjeżdżają dzieci albo instytucje państwowe typu Bertrand Russell. Ale nie ja, hm, to byłoby jak ucieczka i zmuszanie innych, aby walczyli za mnie. Zdaję sobie sprawę, że może nie brzmi to zbyt przekonująco, ale jest to raczej kwestia sentymentu niż logiki.

Terry uśmiechnął się jak człowiek, który spodziewał się właśnie takiej odpowiedzi. Nie podtrzymał jednak tematu, lecz spojrzął na menu. Po chwili wykrzyknął:

- A to co takiego? Paszтет "Le Lord Woolton"!

Godliman skrzywił się.

- Jestem pewien, że tylko ziemniaki i warzywa.

- Co myślisz o naszym nowym premierze? - zapytał Terry, kiedy już zamówili obiad.

- To osioł. No, ale Hitler jest szaleńcem, a jednak zobacz, jak dobrze sobie radzi. A jakie jest twoje zdanie na ten temat?

- Z Winstonem można wytrzymać. Przynajmniej jest wojowniczy.

Godliman uniósł brwi.

- Czy znowu bierzesz udział w tej całej grze?

- Hm. Tak naprawdę nigdy się z niej nie wycofałem.

- Ale mówiłeś przecież...

- Powiedz mi, Percy, czy potrafiłbyś znaleźć choć jeden resort, który nie jest zaangażowany w tę

wojnę?

- Oczywiście, jestem skończonym idiotą. Cały czas...

Przyniesiono im pierwsze danie i napoczęli butelkę Bordeaux. Pogrążony w myślach Godliman jadł łososia sauté.

- Wspominasz pewnie ostatnią wojnę? - zapytał w końcu Terry.

Godliman przytaknął.

- No wiesz, dawne czasy. - Głos jego był pełen tęsknoty.

- Dzisiejsza wojna jest całkiem inna. Moi ludzie nie idą za linię wroga, aby liczyć namioty, jak robiło się za waszych czasów. Oczywiście należy to także do ich zadań, jednak są to sprawy znacznie mniej istotne. Dzisiaj słuchamy po prostu radia.

- Przecież oni nadają szyfrem? Terry wzruszył ramionami.

- Szyfr można złamać. Szczerze mówiąc, udaje się nam dzisiaj przechwycić wszystkie potrzebne informacje.

Godliman rozejrzał się niespokojnie po sali, ale na szczęście sąsiednie stoliki były puste i w końcu nie należało do jego obowiązków zwracanie Terry'emu uwagi, że nieostrożna rozmowa może kosztować życie.

- Tak naprawdę - ciągnął Terry - moim zadaniem jest upewnić się, czy nie posiadają potrzebnych im informacji.

Jedli teraz pasztet z kurczęcia. Dania z wołowiny nie figurowały w jadłospisie. Godliman nie odzywał się ani słowem, podczas gdy Terry mówił bez przerwy.

- Canaris to śmieszny typ. Admirał Wilhelm Canaris, szef Abwehry. Spotkałem go tuż przed rozpoczęciem wojny. Lubi Anglię. Podejrzewam, że nie przepada za Hitlerem. W każdym razie wiemy, że w okresie przygotowań do inwazji kazano mu przeprowadzić główną operację sił wywiadowczych przeciwko nam, ale nie robi zbyt wiele. Zaraz pierwszego dnia po wybuchu wojny aresztowaliśmy ich najlepszego człowieka w Anglii. Przebywa teraz w więzieniu w Wandsworth. Szpieczy Canarisa to beużyteczni ludzie. Fanatyczni faszyci, stare damy w pensjonatach, drobni kryminaliści...

- Uważaj, stary, chyba się zagalopowałeś - przerwał Godliman zdziwiony i trochę zły na przyjaciela. - Te wszystkie sprawy są przecież tajemnicą. Nie chcę o nich nic wiedzieć.

Terry wcale się nie speszył.

- Czy chciałbyś zjeść coś jeszcze? - zaproponował. - Ja zamawiam lody czekoladowe.

- Nie mam na nic ochoty. - Godliman uniósł się z miejsca. - Jeśli pozwolisz, to wrócę do swojej pracy. Terry spojrzał na niego chłodno.

- Świat może poczekać na twoją pracę o Plantagenetach, Percy. Jest teraz wojna, drogi chłopcze. Chcę, żebyś pracował dla mnie. Godliman wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę.

- Ale co, do diabła, mógłbym robić?

- Łapać szpiegów - oznajmił Terry z chytrym uśmiechem.

W drodze powrotnej do college'u Godliman czuł się przygnębiony pomimo ładnej pogody. Oczywiście przyjmie propozycję pułkownika Terry. Jego kraj bierze udział w wojnie i jeśli Godliman nie uczestniczy czynnie w walce ze względu na swój wiek, jest wciąż wystarczająco młody, aby służyć pomocą.

Niemniej myśl o porzuceniu pracy, i to w dodatku na nie wiadomo jak długo, przygnębiała go. Historia była pasją jego życia i od dziesięciu lat, od chwili śmierci swej żony, był całkowicie pochłonięty zagadnieniami średniowiecznej Anglii. Lubił rozplątywać tajemnice, odkrywać niejasne przesłanki, analizować sprzeczności, demaskować kłamstwa, propagandę i legendę. Najnowsza jego

książka będzie jedną z najlepszych, jakie napisano na temat średniowiecza przez ostatnie sto lat, i na pewno nie pojawi się druga na tym samym poziomie przez następne stulecie. Myśl o tym wiekopomnym dziele zawładnęła całym jego życiem i nagła konieczność porzucenia pracy wydała się prawie niemożliwa i tak trudna do przyjęcia, jak odkrycie własnego sieroctwa i braku więzów krwi z ludźmi, których zwykle nazywać się matką i ojcem.

Alarm przeciwlotniczy gwałtownie przerwał tok jego myśli. Zastanawiał się, czy nie zignorować wycia syren; coraz więcej ludzi tak teraz robiło, a poza tym zostało mu tylko dziesięć minut drogi do college'u. Nie zależało mu jednak na powrocie do biblioteki, gdyż wiedział, że tego dnia nie będzie już więcej pracował. Poszedł więc szybko na stację metra i stanął w tłumie londyńczyków tłoczących się na schodach i brudnych peronach. "Nie chodzi przecież tylko o to, że zostawiam pewne sprawy" - pomyślał.

Przygnębiał go również fakt, że znowu wciągnięto go w tę całą grę. Oczywiście miała ona swoje plusy; chodziło w niej o odkrywanie znaczenia nieważnych z pozoru szczegółów, umiejętne wykorzystanie inteligencji i sprytu, skrupulatność, ciągłe łamigłówki do rozwiązywania. Z drugiej strony nienawidził szantażu, zdrady, podstępu, desperackich czynów i likwidowania przeciwnika ciosem noża w plecy.

Na peronie przybywało ludzi. Godliman usiadł obok mężczyzny w mundurze kierowcy autobusu. Nieznajomy uśmiechnął się i zadeklamował: - "O gdyby być tam w Anglii, gdy teraz lato właśnie". Wie pan, kto to powiedział?

- "Gdzie teraz kwiecień właśnie" - poprawił go Godliman. - Robert Browning.

- Słyszałem, że Adolf Hitler - powiedział kierowca. Siedząca obok nich kobieta zaniósła się śmiechem i mężczyzna zwrócił się ku niej.

- Czy wie pani, co wysiedleniec powiedział żonie farmera? - zapytał.

Godliman przestał słuchać i zaczął przypominać sobie kwiecień, w którym on sam tęsknił za Anglią. Skulony na wysokiej gałęzi platanu za linią frontu wpatrywał się w zimną mgłę francuskiej doliny. Nawet przez lornetkę widział jedynie niewyraźne, ciemne kształty i już miał zamiar zsunąć się z drzewa i iść przed siebie milę, czy nawet dalej, kiedy nagle, zupełnie nie wiadomo skąd, pojawili się trzej niemieccy żołnierze, usiedli pod drzewem i zapalili papierosy. Po chwili wyciągnęli karty i zaczęli grać, a młody Percival Godliman zrozumiał, że znaleźli sposób, żeby wymknąć się z oddziału, i niechybnie spędzą tu cały dzień. Pozostał na drzewie, starając się nie poruszyć, aż zaczął dygotać z zimna; czuł bolesny skurcz mięśni i obawiał się, że za chwilę pęknie mu pęcherz. Wyciągnął rewolwer i zastrzelił wszystkich trzech, jednego po drugim, mierząc prosto w głowy. Trzech mężczyzn, którzy przed chwilą jeszcze śmiali się, przeklinali, grali w karty na pieniądze, przestało po prostu istnieć. Wtedy właśnie po raz pierwszy zabił człowieka, a zrobił to dlatego, że musiał się wysiusiać.

Godliman wrócił do rzeczywistości zimnego peronu stacji metra i wspomnienia pierzchły. Poczł ciepły wiatr od strony tunelu i po chwili nadszedł pociąg. Ludzie, którzy z niego wysiedli, szybko usadowili się na peronie w oczekiwaniu na odwołanie alarmu. Godliman przysłuchiwał się rozmowom swym sąsiadów.

- Czy wiesz, co powiedział Churchill przez radio? Słuchaliśmy go w pubie "Duke of Wellington". Stary Jack Thornton płakał. Głupi dziad...

- Dowiedziałem się, że chłopiec Kathy mieszka we wspaniałym domu i ma nawet własnego lokaja! Moja Alfie doi krowę...

- Tak dawno nie jadłem befsztyków, że zupełnie zapomniałem, jak smakują... Komitet alkoholowy przewidział nadejście wojny i na szczęście zakupił dwadzieścia tysięcy butelek...

- Urządzimy całkiem skromne wesele, nie było przecież żadnego sensu odkładać na później, gdy nie wiadomo, co przyniesie następny dzień.
- To się nazywa wiosna, mamó, mówi do mnie, i przychodzi do nich co roku...
- Wiesz, ona znowu jest w ciąży... tak, trzynaście lat od ostatniego... myślałam, że dowiem się, jaka była tego przyczyna!
- Nie, Piotr nie wrócił z Dunkierki...
Kierowca autobusu poczęstował go papierosem. Godliman podziękował i wyciągnął fajkę. Ktoś zaczął śpiewać:

Z ulicy woła patrol strażacki:

“Cóż to za widok, gdzie jest firanka?”

A w odpowiedzi okrzyk junacki:

“Szybko, dziewczyno, podnieś kolanka!”

Piosenka rozchodziła się w tłumie, aż wszyscy zarazili się śpiewem. Godliman też zaczął śpiewać. Wiedział, że jest to naród, który przegrywa wojnę i śpiewa, aby ukryć swój strach, tak jak człowiek, który zaczyna gwizdać, gdy przechodzi w nocy obok cmentarza. Zdawał sobie sprawę, że jego nagły przyływ uczuć do Londynu i londyńczyków był jedynie efemerycznym sentymentem podobnym do hysterii tłumu. Nie dowierzał wewnętrznemu głosowi, który go przekonywał: “Właśnie na tym polega wojna, właśnie dlatego warto w niej brać udział”. Nie dowierzał, ale po raz pierwszy od tak dawna poczuł prawdziwy fizyczny dreszcz braterstwa, który sprawił mu nieklamana radość.

Kiedy alarm został odwołany, ludzie śpiewając wychodzili po schodach na ulicę. Godliman podbiegł do budki telefonicznej. Chciał zadzwonić do pułkownika Terry i zapytać go, jak szybko otrzyma zadanie.

Rozdział 3

Mały wiejski kościółek był stary i bardzo piękny. Kamienny mur otaczał cmentarz, na którym rosły dzikie kwiaty. Sam kościół, a może niektóre tylko jego fragmenty, stał na tym samym miejscu prawie tysiąc lat temu, w czasach ostatnich najazdów na Brytanię. Północna ściana z nawą, gruba na parę stóp i zaopatrzona w dwa małe okna, mogła pamiętać ostatnią inwazję, wybudowano ją bowiem wtedy, kiedy kościoły były miejscem zarówno fizycznych zmagani, jak i duchowych przeżyć, a małe okrągłe okienka bardziej nadawały się do wypuszczania z nich strzał, niż do wpuszczania promieni słońca. W rzeczy samej, ochotnicy z miejscowych oddziałów Obrony Terytorialnej posiadali szczegółowe plany wykorzystania kościoła, na wypadek gdyby współcześni najeźdźcy przepłynęli Kanał.

W sierpniu 1940 roku nie słyhać było jeszcze głośniego tupotu żołnierskich butów na chórze. Słońce przedzierało się przez witraże w oknach, które przetrwały ikonoplastów z czasów Cromwella i zachłanność Henryka VIII; muzyka organów odbijała się od dachu, którego nie zdążyły jeszcze stoczyć korniki.

To był wspañiały ślub. Lucy ubrana była na biało, a drużny (jej pięć sióstr) miały na sobie suknie koloru moreli. David włożył po raz pierwszy w życiu nowy odświętny mundur lotnika RAF-u. Śpiewali Psalm 23 “Bóg pasterzem i gospodarzem”.

Ojciec Lucy był tak dumny, jak tylko może być mężczyzna, który wydaje swoją najstarszą i

najpiękniejszą córkę za przystojnego chłopca w mundurze lotnika. Chociaż był farmerem, od dawna stracił kontakt z ziemią. Wydzierzawił swoje grunty orne, a zarobione w ten sposób pieniądze przeznaczył na hodowlę koni wyścigowych. Oczywiście tej zimy postanowił zaorać swoje pastwiska i zasadzić na nich ziemniaki. W rzeczywistości posiadał więcej cech dżentelmena niż farmera. Zachował jednak ogorzałą cerę, zapadniętą klatkę piersiową i stwardniałe ręce rolnika. Większość mężczyzn stojących w tej części kościoła miała podobny wygląd. Potężni w ramionach, o czerwonych, wysmaganych wiatrem twarzach, ludzie, którzy zamiast fraków wolą tweedowe ubrania i solidne wysokie buty.

Druhny wyglądały podobnie, były przecież wiejskimi dziewczynami. Panna młoda przypominała swoją matkę. Miała długie ciemnorude, grube, błyszczące i wspaniałe włosy, a jej ogromne bursztynowe oczy były szeroko osadzone w owalnej twarzy. Kiedy spojrzała na pastora swym czystym spojrzeniem i mocnym, zdecydowanym głosem powiedziała: “Chcę”, zaskoczony pastor pomyślał: “Na Boga, ona naprawdę tego pragnie” - co było dość niespodziewaną reakcją jak na duchownego, który właśnie udziela ślubu.

Rodzina pana młodego, która stała po drugiej stronie nawy, zwracała na siebie uwagę charakterystycznym wyglądem. Ojciec Davida był prawnikiem. Stała zmarszczka między brwiami nadawała mu pozory surowości, pod którą kryła się jednak pogodna natura. (Podczas poprzedniej wojny był majorem piechoty i uważał, że cały RAF i wojna powietrzna to moda, która niedługo minie). Nikt nie był do niego podobny, nawet własny syn, który stał właśnie przy ołtarzu, składając przysięgę wytrwania w miłości aż do śmierci, która może nie była aż tak bardzo odległa. Nie, wszyscy byli raczej podobni do matki Davida, szczupłej kobiety o czarnych włosach i ciemnej karnacji, która siedziała teraz w ławce obok męża.

David górował nad wszystkimi wysokim wzrostem. W czasie odbywających się rok wcześniej zawodów na uniwersytecie w Cambridge pobił rekord w skoku wzwyż. Jak na mężczyznę był zbyt ładny, jego twarz byłaby całkiem kobieca, gdyby nie ciemny, niełatwo dający się usunąć bujny zarost. Golił się dwa razy dziennie. Miał długie rzęsy i wyglądał na inteligentnego (Jakim rzeczywiście był) i wrażliwego (jakim wcale nie był).

Prawdziwa idylla: dwoje szczęśliwych, przystojnych ludzi, dzieci solidnych, porządných angielskich rodzin o twardych charakterach, którzy biorą ślub w wiejskim kościółku w najpiękniejszym dniu lata, jaki Anglia może zaofiarować.

Kiedy ogłoszono, że zostali mężem i żoną, obie matki miały suche oczy, a obaj ojcowie płakali.

“Całowanie panny młodej to barbarzyński zwyczaj” - pomyślała Lucy, kiedy czyjeś mokre od szampana usta musnęły jej policzek. Zwyczaj ten pochodził od zamierzchłych czasów, kiedy każdemu członkowi szczepu wolno było... no, w każdym razie już najwyższy czas, żebyśmy się ucywilizowali i zarzucili te przestarzałe obyczaje.

Wiedziała, że ten moment wesela nie będzie należał do najprzyjemniejszych. Lubiła szampana, ale nie przepadała za nóżkami pieczonej kury ani wielkimi porcjami kawioru na prostokątach zimnych grzanek, a co do przemówień, zdjęć i kawałów robionych nowożeńcom, hm... Ale mogło być jeszcze gorzej. Gdyby nie wojna, ojciec wynająłby pewnie Albert Hall.

Dziewięć osób już im życzyło: “Wszystkiego najlepszego”, a jedna, siląc się na trochę większą oryginalność, powiedziała: “Chciałabym, żebyście się zajmowali nie tylko pomnażaniem roślin w waszym ogrodzie”. Lucy ścisnęła niezliczone ilości rąk i udawała, że nie słyszy uwag w rodzaju: “Bardzo bym chciał znaleźć się dziś w nocy w piżamie Davida”. David wygłosił długą mowę, w której podziękował rodzicom Lucy, że oddali mu swą córkę. Mówił o niej, jak gdyby była martwym

przedmiotem owiniętym białym jedwabiem i ofiarowanym kandydatowi, który najbardziej nań zasługiwał. Ojciec Lucy nie wysilił się na nic oryginalniejszego ponad stwierdzenie, że nie tylko nie traci córki, ale zyskuje syna. Wszystko razem było bardzo banalne, ale czego się nie robi dla rodziców.

Daleki kuzyn wyłonił się z okolic baru lekko się zataczając i kiedy zbliżył się do nich, poczuła dreszcz obrzydzenia, który starała się ukryć.

- Davidzie, to jest wuj Norman - przedstawiła go mężowi. Wuj Norman potrząsnął kościstą ręką Davida.

- No cóż, chłopcze, kiedy podejmujesz służbę?

- Już jutro, proszę pana.

- A co z miodowym miesiącem?

- Będzie trwał dwadzieścia cztery godziny.

- Wydawało mi się, że niedawno skończyłeś szkolenie.

- Tak, ale mogę wylecieć wcześniej, sam pan rozumie. Uczyłem się latać w Cambridge. Poza tym w obecnej sytuacji wyraźnie odczuwa się brak pilotów. Myślę, że już jutro znajdę się w powietrzu.

- Och, nie - szepnęła Lucy, ale David nie zwrócił na nią uwagi.

- Na czym będziesz latał? - zapytał wuj Norman, podniecając się jak uczeń.

- Na samolocie "Spitfire". Widziałem go wczoraj. Pierwszorządne latadło. - David świadomie przyswajał sobie żargon RAF-u, wszystkie te "latadła", "gruchoty" i tym podobne wyrażenia. - Ma osiem karabinów maszynowych, wyciąga czterysta mil i może zrobić pętlę nawet w pudełku od butów.

- To się nazywa dzisiejsza młodzież. Wyprujecie flaki z Luftwaffe, prawda, chłopcy?

- Zaliczyliśmy wczoraj sześćdziesiąt za naszych jedenaście - powiedział David z taką dumą, jakby je osobiście wszystkie strącił. - Poprzedniego dnia, kiedy ruszyły na Yorkshire, odprawiliśmy parszywych bojówkarzy do Norwegii, aż się kurzyło, i nie straciliśmy ani jednej maszyny.

Wuj Norman z pijackim zapachem chwycił Davida za ramię.

- "Nigdy jeszcze w dziejach wojen - zacytował pompatycznie - tak liczni nie zawdzięczali tak wiele tak nielicznym". To słowa samego Churchilla.

David uśmiechnął się powściągliwie.

- Miał pewnie na myśli rachunki w kasynie.

Lucy nie znosiła, kiedy w tak ironiczny sposób mówiło się o tragediach tej wojny.

- Chodź, Davidzie, powinniśmy się przebrać - powiedziała.

Pojechali dwoma samochodami do domu Lucy. Matka panny młodej pomogła jej zdjąć ślubną sukienkę.

- Słuchaj, kochanie - powiedziała - nie wiem, czego oczekujesz po dzisiejszej nocy, ale powinnaś zdawać sobie sprawę, że...

- Ach, mamo, nie bądź śmieszna - przerwała jej Lucy. - Spóźniłaś się co najmniej o dziesięć lat z wyjaśnieniem, jak się rodzą dzieci. Mamy przecież rok 1940!

Matka zarumieniła się lekko.

- A więc dobrze, kochanie - powiedziała łagodnie - ale jeśli będziesz kiedyś potrzebowała jakiejś rady...

Lucy zrozumiała, że rozmowa o sprawach tak intymnych kosztuje matkę dużo wysiłku, i pożałowała swej ostrej odpowiedzi.

- Dziękuję - powiedziała i dotknęła ręki matki. - Na pewno poproszę cię o pomoc.

- Dobrze. A na razie radź sobie sama. Daj mi znać, jeśli będziesz czegoś potrzebowała. - Pocałowała policzek Lucy i wyszła.

Lucy zdjęła suknię, siadła przed lustrem i zaczęła szczotkować włosy. Dobrze wiedziała, czego może się spodziewać po tej nocy.

Bliższa znajomość z Davidem zaczęła się od dobrze zaplanowanego uwiedzenia, chociaż Lucy wtedy nie przyszło nawet do głowy, że David z góry ukartował każde posunięcie.

Zdarzyło się to w czerwcu, rok po spotkaniu w pubie "Glad Rag Bali". Widywali się wtedy co tydzień i David spędzał część świąt wielkanocnych z rodziną Lucy. Matka i ojciec dziewczyny w pełni akceptowali adoratora córki, był przecież przystojny, niegłupi i dobrze wychowany, a poza tym pochodził z tej samej, co oni, warstwy społecznej. Ojca raziła trochę jego pewność siebie, ale matka brała młodego człowieka w obronę, twierdząc, że starsze pokolenie zawsze miało coś do zarzucenia młodzieży, a ona jest przekonana, że David będzie dobry dla swej żony, co w końcu, na dłuższą metę, jest najważniejsze. W czerwcu Lucy pojechała do rodzinnego domu Davida na weekend. Kwadratowy dom z dziewięcioma sypialniami i tarasem, z którego roztaczał się piękny widok, przypominał wiktoriańską, osiemnastowieczną farmę. Lucy długo pozostawała pod wrażeniem faktu, że ludzie, którzy kiedyś sadzili drzewa w ogrodzie, musieli zdawać sobie sprawę, że zanim one wyrosną, ich już dawno nie będzie na tym świecie. Na farmie panowała miła atmosfera, popijali piwo na tarasie skąpanym promieniami słońca. To właśnie wtedy David powiedział Lucy, że został przyjęty do RAF-u razem z czterema kumplami z uniwersyteckiego klubu lotników. Chciał zostać pilotem myśliwskim.

- Nieźle już sobie radzę - mówił. - Trzeba będzie wielu pilotów, jeśli wojna szybko się nie skończy. Podobno wszystko ma się tym razem rozegrać w powietrzu.

- Nie boisz się? - spytała cicho.

- Ani trochę - powiedział. Potem zakrył oczy dłonią i dodał: - Tak, diablo się boję.

Pomyślała, że jest bardzo dzielny i wzięła go za rękę. Chwilę później włożyli kostiumy i poszli kąpać się w jeziorze. Woda była czysta i chłodna, pomimo silnie przygrzewającego słońca. Chlapali się jak dzieci, jakby przeczuwając, że były to ostatnie bez troskie chwile ich młodości.

- Dobrze pływasz? - zapytał ją.

- Lepiej od ciebie!

- No to ścigajmy się do wyspy.

Ostłoniła oczy przed blaskiem słońca. Stała tak przez chwilę, udając, że zupełnie nie zdaje sobie sprawy, jak ponętnie wygląda w swym mokrym kostiumie kąpielowym ze wzniesionymi rękami. Wyspa na środku jeziora była małą kępą krzaków i drzew, odległą o trzysta jardów od brzegu.

Wyrzuciła ręce do przodu i krzyząc: "Start!" popłynęła szybkim kraulem.

Oczywiście wygrał David dzięki swym długim ramionom i nogom. Lucy miała kłopoty już w odległości pięćdziesięciu jardów od wyspy. Zmieniła styl na "żabkę", ale była zbyt zmęczona, aby móc dalej płynąć, i musiała przewrócić się na plecy i chwilę odpocząć. David, który ciężko dysząc siedział już na brzegu, wszedł znów do wody i popłynął jej na spotkanie. Minął ją, chwycił za ramiona przyjmując postawę właściwą ratownikom i przyciągnął powoli do brzegu. Jego ręce znalazły się tuż pod jej piersiami.

- Ale kławo! - powiedział, a ona zachichotała, choć z trudem mogła złapać oddech. - Myślę, że mogę ci to teraz powiedzieć - dodał po chwili.

- Co takiego? - Dyszała ciężko.

- Jezioro ma tylko cztery stopy głębokości.

- Ty draniu! - Wyślizgnęła się z jego ramion, wypływając wodę i śmiejąc się. Wyczuła dno

stopami. Wziął ją za rękę, wyciągnął z jeziora i poprowadził między drzewa. Pokazał jej starą drewnianą łódź, przewróconą do góry dnem i butwiejącą pod krzakiem głogu.

- Kiedy byłem chłopcem, wiosłowałem w niej bardzo często. Zabierałem ze sobą jedną z fajek ojca, pudełko zapalek i szczyptę tytoniu zawiniętą w kawałek papieru. To właśnie w tej łodzi paliłem fajkę.

Znajdowali się na polanie zewsząd otoczonej krzakami. Torf uginał się pod ich stopami. Wyczerpana pływaniem Lucy padła na ziemię.

- Z powrotem popłyniemy powoli - obiecał David.

- Nie mówmy o tym jeszcze - odpowiedziała.

Usiadł obok niej i pocałował jej usta, potem położył ją łagodnie na ziemi.

Straciła dziewictwo bezboleśnie i z entuzjazmem. Może tylko trochę za szybko. Posmak winy czynił wspomnienie jeszcze przyjemniejszym. Od tamtej pory kochali się tylko raz. Dokładnie na tydzień przed ślubem, i wtedy też doszło do pierwszej kłótni.

Zostali sami w domu jej rodziców. Rano, gdy wszyscy już wyszli, pojawił się w szlafroku w jej pokoju i poszli razem do łóżka. David zerwał się zaraz potem.

- Nie odchodź - poprosiła.

- Ktoś może nadejść.

- A niech tam. Wracaj do łóżka. - Była taka ciepła, senna, spokojna i tak bardzo chciała, żeby był blisko niej.

- Ale to mnie denerwuje. - Włożył szlafrok.

- Jakoś nie denerwowało cię pięć minut temu. - Wyciągnęła do niego rękę. - Połóż się obok mnie. Chcę poznać twoje ciało.

- Mój Boże, jesteś bezwstydną.

Spojrzała na niego, żeby się przekonać, czy przypadkiem nie żartuje, i ogarnęła ją złość, że tak nie jest.

- Co, do diabła, masz na myśli?

- Nie zachowujesz się jak... dama!

- Cóż to znowu za wariactwo!

- Przypominasz kobietę... lekkich obyczajów.

Wyskoczyła z łóżka kipiąc ze złości.

- A co ty wiesz o kobietach lekkich obyczajów?

- Zupełnie nic.

- A co wiesz w ogóle o kobietach?

- Wiem, jak powinna się zachowywać dziewczica.

- Ja jestem... byłem... zanim cię poznałam. - Usiadła na brzegu łóżka i wybuchnęła płaczem.

I tak skończyła się ich pierwsza kłótnia. David objął ramieniem Lucy i powiedział:

- Przepraszam, przepraszam, przepraszam. Jesteś moją pierwszą dziewczyną i zupełnie nie wiem, jak się zachować. No wiesz, jakoś nam nie tłumaczono tych spraw, prawda?

Pociągnęła nosem i skinęła głową. Przyszło jej nagle na myśl, że za osiem dni wystartuje w marnym samolocie po to, by walczyć nad chmurami o swe życie. Przebaczyła mu więc, a on otarł jej łzy i leżeli obejmując się mocno dla dodania sobie wzajemnie odwagi.

Lucy opowiedziała o kłótni swej przyjaciółce, Joannie, tłumacząc, że poszło o suknię, która wydawała się Davidowi zbyt szokująca. Joanna stwierdziła, że wszystkie pary kłócą się w przeddzień ślubu; jest to ostatnia szansa wypróbowania siły ich miłości.

Lucy była prawie gotowa. Przejrzała się jeszcze raz w dużym lustrze, żeby sprawdzić, czy

wszystko jest w porządku. Kostium przypominał trochę stylem mundur wojskowy, ale za to bluzka była bardzo kobieca. Spod zgrabnego kapelusza wystawały bujne loki. Nie wypadało w czasie wojny przesadnie dbać o elegancję, niemniej udało się jej osiągnąć praktyczny i jednocześnie atrakcyjny sposób ubierania się, który ostatnio stawał się bardzo modny.

David czekał na korytarzu. Pocałował ją i powiedział:

- Wygląda pani cudownie, pani Rose.

Wrócili jeszcze raz na przyjęcie, żeby się ze wszystkimi pożegnać, i wtedy dopiero mogli wyruszyć do Londynu, gdzie mieli spędzić noc. Później David uda się do Biggin Hill, a Lucy wróci do domu. Miała mieszkać z rodzicami: mogła korzystać z farmy w czasie, gdy David będzie na urlopie.

Przez następne pół godziny ściskali ręce i całowali policzki, aż wreszcie poszli do samochodu. Paru kuzynów Davida już przedtem dobrało się do jego MG z odkrytym dachem. Młoda para znalazła tam blaszane puszki, stary kapeć przymocowany sznurkiem do zderzaka, samochód tonął w confetti, a na karoserii został nagryzmołony czerwoną szminką napis "NOWOŻEŃCY".

Odjechali posyłając uśmiechy i machając na pożegnanie, a goście tłoczyli się na ulicy. Milę dalej zatrzymali się i posprząтали samochód. Kiedy znowu ruszyli, zapadł już zmierzch. Reflektory samochodu były zaciemnione, niemniej David jechał bardzo szybko. Lucy czuła się bardzo szczęśliwa.

- W schowku na rękawiczki jest butelka szampana - powiedział David.

Lucy otworzyła przegrodę i znalazła szampana oraz dwa kieliszki starannie owinięte w bibułę. Butelka była jeszcze całkiem zimna. Korek wystrzelił głośno i zginął gdzieś w nocy. David zapalił papierosa, gdy Lucy rozlewała wino.

- Chyba spóźnimy się na kolację - powiedział.

- Mniejsza o to. - Wręczyła mu kieliszek.

Czuła się zbyt zmęczona, żeby pić. Chciało jej się spać. Samochód jechał chyba bardzo prędko. Oddała Davidowi prawie całego szampana. Podniecony alkoholem zaczął gwizdać melodię bluesa z St. Louis.

Jazda przez zaciemnioną Anglię była niesamowitym przeżyciem. Nie było widać świateł w miejscach, w których paliły się przed wojną: na gankach gospodarstw i oknach farm, wokół katedralnych wież i przy znakach zajazdów, zniknął też gdzieś świetlny blask, nisko, na dalekim niebie, tysiące świateł pobliskiego miasta. Nawet gdy wzrok oswoił się z ciemnościami, nie można było zobaczyć drogowskazów, gdyż usunięto je w celu zmylenia niemieckich spadochroniarzy, których spodziewano się każdego dnia. (Parę dni temu farmerzy z Midland znaleźli spadochrony, radiostacje i mapy, ale ponieważ nie zauważyli żadnych śladów stóp w pobliżu tych przedmiotów, doszli do wniosku, że nie wylądował tu żaden człowiek, a cała sprawa była tylko zwariowaną próbą wroga, zmierzającą do przestraszenia społeczeństwa). David, w każdym razie, znał dobrze drogę do Londynu.

Wspinali się pod górę. Małe sportowe samochody pokonywały takie wzniesienia dość szybko. Lucy wpatrywała się półprzymkniętymi oczami w ciemność rozpościerającą się przed nimi. Zjazd ze wzgórza był stromy i niebezpieczny. Lucy usłyszała odległy warkot zbliżającej się ciężarówki.

Opony MG piszczały, podczas gdy David pokonywał serpentynę.

- Chyba jedziesz za szybko - powiedziała Lucy niepewnie. Tył samochodu ześlizgnął się w lewą stronę. David zmienił bieg na niższy w obawie, że jeżeli zacznie hamować, wpadnie w poślizg. Po obu stronach zamajaczył żywopłot, słabo oświetlony przez zaciemnione reflektory. Mijali właśnie ostry zakręt w prawo i Davidowi po raz drugi nie udało się zapanować nad kierownicą. Zakręt

wydawał się ciągnąć bez końca. Mały samochód ślizgał się na boki, w pewnej chwili obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, tak że jechał tyłem, po czym znowu wrócił do poprzedniej pozycji.

- Davidzie, uważaj! - krzyknęła Lucy.

Nagle pojawił się księżyc i w jego świetle zobaczyli zbliżającą się ciężarówkę. Pokonywała wzgórze w tempie żółwia. Gęsta para, która wydawała się srebrna w promieniach księżyca, unosiła się nad maską samochodu, kształtem przypominającą pysk zwierzęcia. Lucy zdążyła zauważyć twarz kierowcy, jego szmacianą czapkę i wąsy. Otworzył usta z przerażenia i z całej siły nacisnął hamulec.

Samochód posuwał się wciąż do przodu. Było właśnie tyle miejsca, żeby minąć ciężarówkę, gdyby tylko David zdołał odzyskać kontrolę nad samochodem. Skręcił kierownicę i dodał gazu. Ale już było za późno.

Samochód i ciężarówka wpadły na siebie.

Rozdział 4

Inne kraje mają szpiegów, a Wielka Brytania ma Military Intelligence. Jak gdyby sam termin nie był wystarczającym eufemizmem, posłużono się skrótem MI. W roku 1940 MI wchodziła w skład Ministerstwa Wojny. Nic dziwnego, że w owym czasie organizacja bardzo się rozrosła. Odpowiednie działy oznaczano numerami. I tak MI9 zajmowała się szlakami ucieczek z obozów jenieckich z okupowanej Europy do krajów neutralnych. MI8 prowadziła nasłuch stacji radiowych nieprzyjaciela i więcej była warta niż dwie dywizje. MI6 wysyłała swych agentów do Francji.

Jesienią roku 1940 profesor Percival Godliman zaczął pracować w MI5. Pewnego chłodnego wrześniowego ranka zgłosił się w Ministerstwie Wojny, po nocy spędzonej na gaszeniu pożaru we wschodniej dzielnicy Londynu. Niemcy bombardowali wtedy ze zdwojoną siłą i Godliman pracował w pomocniczej straży ogniowej.

W czasie pokoju służbą wywiadowczą kierowali wojskowi. Wywiad głęboki według Godlimana nie odgrywał wtedy poważnej roli, ale teraz profesor odkrył, że roi się tu od amatorów i z zachwytem stwierdził, że zna połowę ludzi w MI5. Zaraz pierwszego dnia spotkał prawnika, który należał do jego klubu, historyka sztuki, z którym studiował w college'u, archiwistę pracującego na jego uniwersytecie oraz autora swych ulubionych kryminałów.

O dziesiątej rano wprowadzono go do pokoju pułkownika Terry. Terry czekał na niego od paru godzin; w koszu na śmieci leżały już dwie puste paczki papierosów.

- Czy powinienem tytułować cię pułkownikiem? - zapytał Godliman.

- Służbistość nie jest tu zbyt przestraszona, Percy. "Wujku Andrew" brzmi całkiem na miejscu. Proszę cię, siadaj.

Terry był wyraźnie ożywiony i zachowywał się zupełnie inaczej niż w czasie ich ostatniego lunchu w "Savoyu". Godliman zauważył, że wcale się nie uśmiecha i że cała uwaga przyjaciela koncentruje się na stosie nie przeczytanych akt leżących na biurku.

Terry spojrzał na zegarek i powiedział:

- Chcę krótko naświetlić ci całą sprawę i skończyć wykład, który rozpocząłem w restauracji.

Godliman uśmiechnął się.

- Tym razem postaram się zachować spokój - powiedział.

Terry zapalił nowego papierosa.

- Działalność szpiegów Canarisa wysłanych do Wielkiej Brytanii nie przyniosła żadnych efektów - Terry podjął wątek nawiązujący do ich ostatniej rozmowy w "Savoyu". - Dorothy O'Grady

była mało pomysłowa: złapaliśmy ją w chwili, gdy cięła wojskowe kable telefoniczne na wyspie Wight. Miała zwyczaj pisywania listów do Portugalii sympatycznym atramentem, który można kupić w wielu angielskich sklepach.

Nowa fala szpiegów pojawiła się we wrześniu. Ich zadaniem było przeprowadzić wywiad na terenie Wielkiej Brytanii odnośnie do przygotowań do inwazji. Narysować szkice plaż nadających się do desantu i rozpoznać pola i drogi, które mogłyby być wykorzystane przy lądowaniu szybowców transportujących wojsko, wykryć naturalne i sztuczne przeszkody, zapory przeciwczołgowe oraz zasieki.

Wydaje się, że byli niewłaściwie dobrani, pospiesznie zmobilizowani, niedostatecznie wyszkoleni i marnie wyposażeni. Typowymi reprezentantami tej grupy byli Meier, Kieboom, Pons i Waldberg, którzy wylądowali nocą z drugiego na trzeci września. Kieboom i Pons znaleźli się o świcie niedaleko Hythe, gdzie też zostali aresztowani przez szeregowca piechoty z pułku "Somerset" o nazwisku Tollervey, który patrolując wydmy natknął się w chwili, gdy wcinali wielką brudną *wurst*.

Waldbergowi udało się nawet wysłać wiadomość do Hamburga:

PRZYJECHALIŚMY SZCZĘŚLIWIE. DOKUMENTY ZNISZCZONE. ANGIELSKA PLACÓWKA 200 METRÓW OD WYBRZEŻA. PLAŻA Z BRĄZOWYMI SIECIAMI. ZAPORY Z KOLEJOWYCH PODKŁADÓW W ODLEGŁOŚCI 50 METRÓW. BRAK MIN. MAŁO ŻOŁNIERZY. NIE DOKOŃCZONY DOM. NOWA DROGA. WALDBERG.

Było oczywiste, że nie wiedział, gdzie się znalazł, i nie miał nawet pseudonimu. O jego złym przygotowaniu najlepiej świadczy fakt, że nie miał bladego pojęcia o angielskim zwyczaju otwierania pubów tylko w oznaczonych godzinach. Wyobraź sobie, że ten dureń poszedł do pubu o dziewiątej rano i zamówił kufel jabłecznika.

W tym miejscu Godliman roześmiał się.

- Poczekaj, to jeszcze nie koniec - przerwał mu Terry. - Właściciel baru poradził Waldbergowi, żeby wrócił o dziesiątej. zaproponował, żeby spędził tę godzinę na zwiedzaniu wiejskiego kościoła. O dziwo, Waldberg wrócił punktualnie o dziesiątej i wtedy dwaj policjanci na rowerach aresztowali go.

- To brzmi zupełnie jak scenariusz audycji "To znów ten człowiek" - zauważył Godliman.

- Meiera znaleziono parę godzin później. Jedenastu innych agentów schwytano w ciągu następnych kilku tygodni, większość z nich już w pierwszych godzinach po wylądowaniu na angielskiej ziemi. Prawie wszyscy zostali skazani na śmierć.

- Jak to "prawie wszyscy"? - zdziwił się Godliman.

- Tak - odparł Terry. - Paru przekazano naszej sekcji B-I (a). Zresztą wróć do tego za chwilę. Pozostali wylądowali w Irlandii. Jednym z nich był Ernst Weber-Drohl, znany akrobata, który miał dwoje nieślubnych dzieci w tym kraju. Występował tam w music-hallach jako "Najsilniejszy Człowiek Świata". Aresztował go Garda Siochana. Drohl musiał zapłacić grzywnę w wysokości trzech funtów i przerzucono go do B-I (a).

Drugim szpiegiem był Hermann Goetz, który wylądował na spadochronie przez pomyłkę w Ulsterze, zamiast w Irlandii. Obrabowany przez IRA, przepłynął Boyne w ocieplaczu i w końcu połknął kapsułkę z trucizną. Miał przy sobie latarkę z napisem "Made in Dresden".

Jeśli łapanie tych partaczy jest zadaniem tak łatwym - ciągnął Terry - dlaczego prosimy o pomoc tak inteligentnych jak ty ludzi? Dzieje się tak z dwóch powodów. Po pierwsze: nie mamy sposobu,

żeby się dowiedzieć, ilu szpiegów przebywa jeszcze na wolności. Po drugie: najważniejsze jest to, co robimy z tymi, których nie likwidujemy. I oto doszliśmy do B-I (a). Ale żebyś lepiej wszystko zrozumiał, muszę wrócić do roku 1936.

Alfred George Owens był inżynierem elektrykiem pracującym w przedsiębiorstwie, które miało parę rządowych kontraktów. W latach trzydziestych odwiedzał Niemcy wiele razy i nie proszony przekazał admiralicji trochę technicznych informacji, które zdobył w swej pracy. W końcu morską służbę wywiadowczą przekazała go MI6, która z kolei zaczęła robić z niego agenta. Ledwie go zwerbowała Abwehra, a już MI6 wpadła na jego trop po zatrzymaniu listu, który wysłał na znany nam tajny adres niemiecki. Było jasne, że to człowiek zupełnie pozbawiony lojalności, który po prostu chciał zostać szpiegiem. Nazywaliśmy go "Snow", a Niemcy nadali mu pseudonim "Johnny".

W styczniu 1939 Snow otrzymał list zawierający instrukcję obsługi radiostacji oraz kwit do przechowalni bagażu na dworcu Victoria.

Został aresztowany następnego dnia po wybuchu wojny i razem z nadajnikiem, który odebrał w walizce po okazaniu kwitu bagażowego, zamknięty w więzieniu Wandsworth. W dalszym ciągu porozumiewał się z Hamburgiem, tylko że teraz wszystkie informacje były preparowane przez oddział B-I (a), należący do MI5.

Abwehra ułatwiła mu kontakt z dwoma innymi agentami niemieckimi w Anglii, których natychmiast aresztowaliśmy. Przekazali szyfry i szczegółowy sposób nadawania, co było dla nas niezwykle cenne.

Snow miał swych następców w osobach Charlie'ego, Rainbowa, Summera, Biscuita i w końcu całej grupy agentów nieprzyjaciela. Wszyscy pozostawali w stałym kontakcie z Canarisem, który im oczywiście ufał, a jednocześnie nad wszystkimi całkowitą kontrolę sprawował aparat brytyjskiego kontrwywiadu.

Na tym etapie MI5 zaczęła niewyraźnie dostrzegać ryzykowną, ale jakże kuszącą szansę; przy odrobinie szczęścia Anglicy mogli kontrolować i dezinformować niemiecką siatkę wywiadowczą w Wielkiej Brytanii.

Przemienianie agentów w podwójnych agentów, zamiast ich likwidacji, ma dwie podstawowe zalety - ciągnął Terry. - Jak długo nieprzyjaciel jest przekonany o działalności swych szpiegów, nie próbuje ich zastąpić nowymi, których być może nie bylibyśmy w stanie wykryć. A ponieważ to my dostarczamy informacji, które szpiegowie przekazują swym przełożonym, udaje nam się zmylić wroga i wprowadzić w błąd jego strategów.

- To chyba nie jest takie proste - powiedział Godliman.

- Oczywiście, że nie. - Terry otworzył okno, żeby wypuścić dym z papierosów i fajki. - Żeby wszystko grało, system musi być opracowany niezwykle starannie. Jeżeli w kraju pracuje konkretna liczba prawdziwych szpiegów, ich informacje zaczną być sprzeczne z tymi, które przekazują podwójni agenci, i Abwehra zważa pismo nosem.

- To fascynujące! - wykrzyknął w podnieceniu Godliman. Jego fajka całkiem wygasła.

Terry uśmiechnął się po raz pierwszy tego ranka.

- Nasi ludzie powiedzą ci, że to bardzo ciężka praca: wolno płynący czas, stałe napięcie, rozczarowania - ale oczywiście jest to fascynujące. - Spojrzał na zegarek. - Chcę, żebyś poznał bardzo inteligentnego pracownika w moim oddziale. Chodźmy do jego pokoju.

Weszli po schodach i minęli wiele korytarzy.

- Nazywa się Fryderyk Bloggs i dostaje szału, gdy ktoś naśmiewa się z jego imienia - ciągnął Terry. - Wyciągnęliśmy go ze Scotland Yardu, był tam inspektorem w Oddziale Specjalnym. To równy facet, na którego zawsze można liczyć. Będziesz wyższy od niego rangą, ale to zupełnie nie

jest u nas ważne. Myślę, że nie muszę ci tego mówić.

Weszli do małego, pustego pokoju, którego okna wychodziły na mur sąsiedniej kamienicy. Na ścianie widać było zdjęcie ładnej dziewczyny i ktoś zawiesił kajdanki na wieszaku na kapelusze.

- Fryderyk Bloggs, Percival Godliman - Terry przedstawił swych przyjaciół.

Mężczyzna za biurkiem był niskim, krępy blondynem. Godlimanowi przyszło na myśl, że niewiele brakowało, by jego wzrost nie odpowiadał wymaganiom stawianym mężczyznom przyjmowanym do pracy w policji. Miał jaskrawy krawat. Twarz była szczera, a uśmiech ujmujący. Przy powitaniu mocno ścisnął rękę.

- Wiesz co, Percy - powiedział - właśnie miałem zamiar wymknąć się do domu na lunch. Chodźcie ze mną. Żona przyrządza wspaniałe parówki z frytkami - mówił mocnym londyńskim akcentem.

Parówki i frytki nie należały do ulubionych potraw Godlimana, dał się jednak namówić. Poszli piechotą do Trafalgar Square i złapali autobus jadący w stronę Hoxton.

- Poślubiłem wspaniałą dziewczynę, tylko zupełnie nie potrafi gotować. Codziennie na obiad dostaję parówki z frytkami.

Nad wschodnią częścią Londynu wciąż jeszcze unosił się dym po ostatnim, nocnym nalocie. Minęli grupę strażaków i ochotników, którzy grzebali w rumowisku, uwijali się przy gaszeniu ognia i odgarniali gruz z ulic. Zobaczyli starego mężczyznę, gdy wynosił kosztowne radio z na wpół zawałonego domu.

- A więc będziemy razem łapać szpiegów? - nawiązał rozmowę Godliman.

- Ano, spróbujemy, Percy.

Mieszkanie Bloggsa znajdowało się w typowym domku dwurodzinnym z trzema sypialniami, przy ulicy pełnej identycznych domów. Małe frontowe ogródki wykorzystano do uprawy warzyw. Pani Bloggs okazała się ładną dziewczyną z fotografii na ścianie biura. Wyglądała na trochę zmęczoną.

- Jeździ ambulansiem w czasie nalotów, prawda, kochanie? - wyjaśnił Bloggs. Był bardzo z niej dumny. Nazywała się Christine.

- Codziennie gdy wracam do domu, umieram ze strachu, czy zamiast mieszkania nie zastanę tylko kupy gruzu - powiedziała Christine.

- Zwróćcie uwagę, że niepokoi się o dom, a nie o mnie - zauważył Bloggs.

Z półki nad kominkiem Godliman wziął medal schowany w specjalnym futerale.

- W jaki sposób go zdobyłeś? - zapytał.

- Zastrzelił bandytę, który obrabował urząd pocztowy - poinformowała go Christine.

- Niezła z was para - podsumował Godliman.

- Czy jesteś żonaty, Percy? - zapytał Bloggs.

- Jestem wdowcem.

- Bardzo mi przykro.

- Moja żona umarła na gruźlicę w roku 1930. Nie mieliśmy dzieci.

- My wciąż jeszcze jesteśmy bezdzietni - powiedział Bloggs - i dopóki wojna się nie skończy, tak chyba zostanie.

- Dzieci jakoś nie interesują Freda - westchnęła Christine i poszła do kuchni.

Usiedli przy kwadratowym stole na środku pokoju. Domowa atmosfera i ta młoda para wzruszyły Godlimana, więc zaczął myśleć o Eleanor. Było to raczej niezwykle, gdyż od wielu lat unikał wszelkich wspomnień. Być może wracał powoli do życia, budząc się z odrętwienia. Wojna robiła z ludźmi dziwne rzeczy.

Sposób przyrządzania potraw przez Christine pozostawiał wiele do życzenia. Kielbaski zostały przypalone. Bloggs skropił talerz obficie sosem pomidorowym, a Godliman ochoczo poszedł za jego przykładem.

Kiedy wrócili do Whitehall, Bloggs pokazał Godlimanowi materiały dotyczące niezidentyfikowanych agentów obcego wywiadu, którzy wciąż jeszcze prowadzili działalność na terenie Wielkiej Brytanii.

Istniały trzy źródła informacji o tych ludziach. Pierwszym były rejestry cudzoziemców przybywających do kraju prowadzone przez Home Office. Kontrola paszportowa od dawna wspierała wywiad wojskowy i prowadzono wykazy cudzoziemców, którzy znaleźli się na terytorium Anglii, ale jej nie opuścili. Niektórzy po prostu zmarli, inni przyjęli brytyjskie obywatelstwo. Kiedy wybuchła wojna, cudzoziemcy mieli stawić się w urzędach, które dokonały podziału na trzy kategorie. Na początku tylko cudzoziemcy grupy A zostali internowani, ale w lipcu 1940, na skutek paniki po klęsce Francji, internowano także grupy B i C. Istniała jednak mała liczba imigrantów, których nie udało się odszukać, i słusznym wydało się założenie, że niektórzy z nich są szpiegami. Wszelkie dane o tych ludziach znajdowały się w aktach Bloggsa.

Drugie źródło stanowiły transmisje radiowe. Nasłuch radiowy wydziału MI8 wychwytywał wszystko, co wydawało się informacjami nadawanymi przez nieprzyjaciela, i przekazywał materiał do Państwowej Szkoły Kodów i Szyfrów. Ta instytucja, którą wtedy przeniesiono z ulicy Berkeley w Londynie do domu wiejskiego w Bletchley Park, nie była wcale szkołą tylko miejscem spotkań mistrzów gry w szachy, muzyków, matematyków i entuzjastów rozwiązywania krzyżówek, którzy święcie wierzyli, że jeśli jeden człowiek potrafi wymyślić szyfr, to drugi może go złamać. Meldunki nadawane w Wielkiej Brytanii, które nie pochodziły ze znanych radiostacji, uznano za informacje wysyłane przez szpiegów.

Wszystkie rozszyfrowane materiały leżały w aktach Bloggsa.

No i jeszcze sprawa podwójnych agentów. Nadzieje z nimi związane okazały się chyba zbyt wielkie, gdyż w rzeczywistości nie byli bardzo użyteczni. Informacje, które otrzymywali z Abwehry, ostrzegały przed wieloma przybywającymi agentami, a nawet zdradziły jednego ze znajdujących się już w Anglii - niejaką Matyldę Krafft z Bournemouth, która wysłała pocztą pieniądze do Snowa, w następstwie czego została ujęta i osadzona w więzieniu Holloway. Jednakże podwójnym agentom nie udało się odkryć tożsamości ani miejsca pobytu grupy spokojnie działających agentów-zawodowców, którzy są najwyżej cenieni przez służbę wywiadowczą. Nikt nie wątpił w aktywność tych ludzi. Istniały pewne przesłanki świadczące o ich działalności: ktoś na przykład przywiózł z Niemiec nadajnik Snowa i złożył go w przechowalni na dworcu Victoria, stąd Snow miał go odebrać. Zarówno Abwehra, jak i sami szpiedzy byli zbyt czujni, by dać się złapać przez podwójnych agentów.

Wszelkie dane na ten temat zawierały akta Bloggsa.

W tym samym czasie specjaliści pracowali nad ulepszeniem metod radiopelengacji, a MI6 próbowała odbudować swoje siatki szpiegowskie w Europie, które utonęły w fali okupacyjnych wojsk Hitlera.

Informacje dotyczące tej sprawy również mieściły się w aktach Bloggsa.

- Czasem doprowadza mnie to do szewskiej pasji - powiedział Godlimanowi. - Spójrz na to.

Wyciągnął z pliku papierów podsłuchane przez radio informacje o stworzeniu Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego na Finlandię.

- Przechwyciliśmy to na samym początku roku. Wiadomość jest bez zarzutu. Próbowaliśmy

umieścić agenta, kiedy nagle przestał nadawać - możliwe, że mu przerwano. Parę minut później podjął na nowo nadawanie, ale zanim nasi chłopcy zdążyli go namierzyć, zniknął powtórnie.

- Co to jest: "Pozdrowienia dla Williego?" - zapytał Godliman.

- To bardzo ważne - odpowiedział Bloggs. Podniecenie brzmiało w jego głosie. - Tutaj masz kawałek innej wiadomości, całkiem świeżej. Patrz: "Pozdrowienia dla Williego". Tym razem doczekaliśmy się odpowiedzi. Była zaadresowana do "Die Nadla".

- Do "Igły".

- Ten facet to prawdziwy zawodowiec. Przyjrzyj się jego informacjom: rzeczowe, zwięzłe, ale szczegółowe i całkowicie jednoznaczne.

Godliman przeglądał fragment drugiej informacji.

- To chyba dotyczy zniszczeń spowodowanych bombardowaniem?

- Widocznie obszedł dokładnie cały East End. Fachowa robota.

- Co jeszcze wiemy o tym Die Nadlu?

Młodzieńczy zapał na twarzy Bloggsa gdzieś się ulotnił.

- Obawiam się, że to wszystko.

- Posługuje się pseudonimem Die Nadel, podpisuje się "Pozdrowienia dla Williego", jest w posiadaniu ważnych informacji i to wszystko, prawda?

- Boję się, że tak.

Godliman usiadł na brzegu biurka i zaczął wyglądać przez okno. Na ścianie przeciwległego budynku, pod ozdobnym parapetem, jakieś ptaki zaczęły sobie wic gniazdo.

- Dysponując takimi danymi, jakie mamy szansę, że go złapiemy?

Bloggs wzruszył ramionami.

- Obawiam się, że żadne.

Rozdział 5

To właśnie dla takich miejsc jak Wyspa Wiatrów zostało wymyślone słowo "posepny".

Wyspa Wiatrów jest bryłą w kształcie litery J, której skały ponuro wyrastają z Morza Północnego. Na mapie wygląda jak górna połowa złamanej laski; równoległa do równika, ale daleko, daleko na północ; jej zagięta rączka zwraca się w stronę Aberdeen, a złamany poszarpany kikut, jakby grożąc, wskazuje odległą Danię. Ma tylko dziesięć mil długości.

Skały wynurzają się z zimnego morza ze wszystkich jej stron, nie pozwalając na uformowanie się plaży. Wysokie fale walą w stromy brzeg od tysięcy lat z niezmienną wściekłością, którą wyspa zmuszona jest znosić potulnie.

We wgłębieniu litery J morze jest znacznie spokojniejsze, ponieważ styka się z łagodniejszym brzegiem. Przyplawy naniósł do tego wgłębienia taką ilość piasku, wodorostów, kawałków drewna, kamyków i muszli, że między krańcem skał i brzegiem wody uformowała się plaża w kształcie półksiężyca.

Każdego lata wiatr wspaniałomyślnie przenosi ze skał na plażę trochę nasion i jeśli zima jest łagodna, a wiosna wczesna, niektóre z nich zaczynają niepewnie kiełkować, nigdy jednak nie zdążają zakwitnąć i rozsiać nasion. Roślinność plaży każdego roku zależy więc od tego, co wiatr nawieje z głębi wyspy.

Na odgradzonym od morza skałami lądzie przeróżne rośliny kiełkują i rozmnażają się. Są to głównie chwasty stanowiące paszę dla paru chudych owiec, niemniej wystarczająco mocne, by spoić

wierzchnią warstwę ziemi ze skałą łozyskową wyspy. Można tam też spotkać trochę kolczastych krzewów, które stały się schronieniem dla królików, oraz parę odważnych drzew iglastych na bezwietrznym stoku wzgórza.

Górne partie łądu pokrywa wrzos. Co kilka lat człowiek - tak, żyje tu bowiem i człowiek - podpala wrzos, aby dać miejsce trawie, na której mogą paść się owce. Po paru latach jednak w tajemniczy sposób wrzos pojawia się znowu i owce pozbawione są pożywienia, póki człowiek na nowo nie przyjdzie z ogniem.

Króliki zamieszkują wyspę, gdyż tu się urodziły, owce - ponieważ je przywieziono, człowiek zaś po to, by opiekować się owcami. Ptaki po prostu lubią to miejsce, są tu ich setki tysięcy: długonogie, żyjące na skałach świergotki, śpiewające "pip, pip, pip", kiedy wznoszą się w górę, a "pe-pe-pe-pe", kiedy nurkują jak myśliwiec Spitfire, spadający jakby ze słońca na Messerschmitta; derkacze, które rzadko można spotkać, choć wiadomo, że są, gdyż ich jazgot nie pozwala spać w nocy; kruki, wrony, gawie trójpalczaste i niezliczone mewy; para złotych orłów, do których człowiek strzela, gdy je zauważy, gdyż wie, że wbrew temu, co mówią przyrodnicy i eksperci z Edynburga, ptaki te polują jednak na żywe jagnięta, a nie tylko na padlinę.

Najczęstszym gościem wyspy jest wiatr. Przychodzi głównie z północnego wschodu, z naprawdę zimnych miejsc, pełnych fiordów, lodowców i gór lodowych. Często przynosi ze sobą niepożądany śnieg, deszcz i przenikliwy chłód i mgły; czasami przybywa z pustymi rękami, żeby wyć, zawodzić i wnosić zamęt, łamiąc krzewy, zginając drzewa, smagając nieokiełznany ocean, który unosi się w coraz to nowych paroksyzmach pianą dzikiego gniewu. Wiatr jest niezmordowany i na tym polega jego błąd. Gdyby przychodził przypadkowo, pokonałby wyspę przez zaskoczenie i spowodował prawdziwe szkody, ale wyspa nauczyła się już współżyć z wiatrem, który ją ciągle odwiedza. Rośliny zapuszczają głębokie korzenie, króliki chowają się daleko w gęstwinie, drzewa wyrastają już powyginane, jakby przygotowane do chłostania przez wiatr, ptaki zakładają gniazda na osłoniętych od wiatru wystęпах, a człowiek buduje domy solidne i małe, których ściany bez strachu witają znajome wiatry.

Dom zbudowany z wielkich szarych kamieni pokryto dachówką koloru morza. Stoi na samym szczycie wzgórza na wschodnim skraju wyspy, tuż przy zagiętym grzbiecie złamanej laski, opierając się wiatrowi i deszczom, nie tyle z zuchwalstwa, ile po to, by człowiek mógł widzieć owce.

Dziesięć mil dalej, na przeciwległym krańcu wyspy, niedaleko plaży stoi drugi, bardzo podobny dom, w którym nikt nie mieszka. Kiedyś żył tam człowiek. Myślał, że wie więcej niż wyspa, chciał uprawiać owies i ziemniaki, trzymał parę krów. Przez trzy lata walczył z wiatrem, zimnem i nieprzychylną glebą, zanim przyznał się, że nie miał racji. Kiedy odszedł, nikt nie chciał tam zamieszkać.

Bo jest to miejsce trudne do życia. I tylko silne istoty mogą tu przetrwać: twarde skały, chwasty, owce, dzikie ptaki, solidne domy i zahartowani ludzie. Twarde istoty, zimne istoty, okrutne i gorzkie, ostre i chropowate, poruszające się powoli i zdecydowanie, istoty tak zimne, twarde i beznadziejne, jak sama wyspa.

To właśnie dla takich miejsc zostało wynalezione słowo "posepny".

- Nazywa się Wyspa Wiatrów - powiedział Alfred Rose. - Myślę, że ci się spodoba.

David i Lucy Rose siedzieli na dziobie łodzi rybackiej i patrzyli na falującą wodę. Był ładny dzień listopadowy, zimny i wietrzny, choć jasny i suchy; zamglone słońce migotało na falach morza.

- Kupiłem ją w 1926 - ciągnął senior Rose - kiedy myśleliśmy, że wkrótce wybuchnie rewolucja i będziemy potrzebować kryjówki przed robotnikami. Tu najprędzej można odzyskać zdrowie.

Lucy pomyślała, że jego serdeczność jest trochę przesadna, ale musiała przyznać, że wyspa wygląda wspaniale: dzika, pusta, owiana wiatrem. Decyzja, jaką podjęli, była chyba słuszną. Powinni odejść od rodziców i jako małżeństwo rozpocząć nowe życie. Zamieszkanie w często bombardowanym mieście, wtedy gdy żadne z nich nie czuło się na tyle dobrze, aby móc uczestniczyć w tej wojnie, nie miało żadnego sensu. Ojciec Davida przyznał się, że jest właścicielem wyspy niedaleko wybrzeży Szkocji i wiadomość ta wydała się im zbyt wspaniała, aby mogła być prawdziwa.

- Jestem również właścicielem owiec - powiedział senior Rose. - Każdej wiosny sprowadzam na wyspę ludzi do strzyżenia, a dochód z wełny jest tak duży, że wystarcza na pensję Toma McAvity. Stary Tom jest tam pasterzem.

- Ile ma lat? - zapytała Lucy.

- Mój Boże, musi mieć jakieś siedemdziesiąt.

- Przypuszczam, że jest wielkim dziwakiem. - Łódź skręciła do zatoki i Lucy zobaczyła dwie małe figurki na molo: mężczyznę i psa.

- Dziwakiem? Nie większym niż byłabyś ty, gdybyś żyła samotnie przez dwadzieścia lat. Jego jedynym towarzyszem jest pies.

Lucy zwróciła się do przewoźnika: - Jak często bywa pan na wyspie?

- Raz na dwa tygodnie, proszę pani. Przywożę dla Toma jedzenie, co prawda niewiele tego, i listy, których jest jeszcze mniej. Niech mi pani daje swój spis zakupów co drugi poniedziałek i jeśli tylko uda się to dostać w Aberdeen, będę przywozić, co pani zechce.

Wyłączył motor i rzucił cumę Tomowi. Pies zaszczekał i zaczął biegać dookoła, ogromnie podniecony. Lucy postawiła stopę na burcie i skoczyła na molo.

Tom podał jej rękę. Miał twarz ogorzałą od słońca i wiatru, palił dużą fajkę z korzenia białego wrzosu. Był niższy od Lucy, szeroki w ramionach; wydał jej się nadspodziewanie zdrowy i silny. Ubrany był w najbardziej włochatą tweedową kurtkę, jaką widziała w życiu, sweter, który zrobiła mu pewnie na drutach jego starsza siostra, kraciastą czapkę i wojskowe buty. Miał ogromny, przekrwiony nos.

- Miło panią poznać - powiedział grzecznie, jak gdyby była co najmniej dziewiątym gościem tego dnia, a nie pierwszą ludzką twarzą, jaką widział od czternastu dni.

- To dla ciebie, Tom - powiedział szyper. Wyciągnął dwa kartony z dna łodzi. - Nie ma jajek tym razem, ale jest za to list z Devonu.

- To pewnie od mojej siostrzenicy.

“Więc to ona zrobiła ten sweter” - pomyślała Lucy.

David wciąż był w łodzi. Szyper stał za nim i zapytał: - Czy jest pan gotów?

Tom i senior Rose pochyliłi się nad łodzią, żeby mu pomóc, i wszyscy trzej przenieśli Davida razem z wózkiem inwalidzkim na molo.

- Jeśli nie wrócę teraz, będę musiał czekać dwa tygodnie na następny autobus - powiedział senior Rose z uśmiechem. - Dom wygląda całkiem przyjemnie, sami zobaczycie. Wszystkie wasze rzeczy zostały już przewiezione. Tom wam pokaże, gdzie co jest. - Pocałował Lucy, ścisnął ramię Davida i potrząsnął ręką Toma.

- Przez pierwszych parę miesięcy odpoczywajcie tylko i cieszcie się sobą, wyzdrowiejecie i wtedy wróćcie: czekają na was ważne zadania wojenne.

Lucy wiedziała, że nie wrócą, w każdym razie nie przed końcem wojny, ale nie podzieliła się z nikim swoimi myślami.

Senior Rose wrócił do łodzi. Odpłynęła pozostawiając za sobą szerokie koła na wodzie. Lucy

machała ręką, aż do chwili gdy łódź zupełnie zniknęła.

Tom pchał fotel z Davidem, a Lucy wzięła kosz pełen zakupów. Między końcem mola na lądzie a szczytem skały znajdowało się strome wąskie urwisko, wyrastające wysoko nad plażą niczym most. Lucy miałyby kłopot z wepchaniem wózka na sam szczyt, ale Tom poradził sobie doskonale.

Dom był naprawdę cudowny: mały, stary, osłonięty od wiatru przez niewielkie wzgórze. Drewno pomalowano całkiem niedawno, a przed wejściem rósł krzak dzikiej róży. Kłęby dymu unosiły się z komina i rozchodziły na wietrze. Małe okienka spoglądały na malowniczą zatokę.

- Jakie to piękne! - wykrzyknęła Lucy.

Wnętrze było czyste, świeżo pomalowane i wywietrzone, a na kamiennej podłodze leżały grube dywany. Dom składał się z czterech pokoi: na dole znajdowała się kuchnia i pokój bawialny z kamiennym kominkiem, a na górze dwie sypialnie. Część domu została starannie przebudowana, założono kanalizację w łazience na górze i dobudowano dodatkowe pomieszczenie na kuchnię.

Ich ubrania wisiały w szafach, w łazience znaleźli czyste ręczniki, a w kuchni pełno jedzenia.

- Chcę wam coś pokazać w stodole - powiedział Tom.

Była to raczej szopa, a nie stodoła. Stała ukryta za domem; w środku znaleźli błyszczącego nowego jeepa.

- Pan Rose powiedział, że samochód został specjalnie dla pana przerobiony - wyjaśnił Davida Tom. - Ma automatyczną skrzynię biegów, ręczny gaz i hamulec. Tak w każdym razie mówił pan Rose. - Wydawało się, że powtarza jak papuga słowa usłyszane uprzednio, jak gdyby sam nie bardzo wiedział, do czego służy skrzynia biegów, hamulec czy gaz.

- Czy to nie wspaniałe, Davidzie?

- Zupełny raj na ziemi. Tylko gdzie mam tym jeździć?

- Zawsze będziesz mile widziany w moim domu, gdzie możesz wypalić ze mną fajkę i wypić trochę whisky. Bardzo chciałem mieć znowu sąsiadów.

- Dziękuję - powiedziała Lucy.

- Tu jest generator - mówi dalej Tom odwracając się i pokazując go palcem. - Mam dokładnie taki sam. Wytwarza prąd zmienny.

- To niesłychane, małe generatory na ogół dają prąd stały.

- Tak. Dokładnie nie wiem, na czym polega różnica, ale powiedzieli mi, że tak jest bezpieczniej.

- Racja. Porażenie tym prądem może rzucić człowieka na drugi koniec pokoju, natomiast prąd stały może zabić. Wrócili do domu.

- Chcecie pewnie rozejrzeć się po domu, a ja z kolei muszę się zająć owcami, zegniam więc na razie. Aha, chciałem wam jeszcze powiedzieć, że w nagłej potrzebie mogę nawiązać kontakt z lądem drogą radiową.

- Masz radiostację? - zdziwił się David.

- Tak - odpowiedział z dumą Tom. - Wypatruję nieprzyjacielskich samolotów jako członek Królewskiej Służby Obserwacyjno-Meldunkowej.

- Czy wypatrzyłeś już jakieś? - zapytał David. Oczy Lucy błysnęły z gniewu, gdyż zdenerwował ją sarkazm w głosie Davida, ale Tom zdawał się tego nie zauważać.

- Jeszcze nie - odpowiedział spokojnie.

- Świetna zabawa - zauważył David.

- On przecież tylko chce mieć swój skromny udział w wojnie - powiedziała Lucy, kiedy Tom odszedł.

- Nie on jeden, moja droga - westchnął David z goryczą.

"I na tym właśnie - pomyślała Lucy - polega cały problem". Nie podjęła więcej tematu, tylko

wtoczyła wózek ze swym kalekim mężem do ich nowego domu.

Kiedy poproszono Lucy, żeby odwiedziła szpitalnego psychologa, przyszło jej na myśl, że David pewnie ma uszkodzony mózg. Tak jednak nie było.

- Jedyne szkody, jakie poniosła jego głowa, to brzydki siniak na lewej skroni - powiedział psycholog. - Niemniej utrata obu nóg wywołała szok pourazowy i trudno przewidzieć, jaki to będzie miało wpływ na stan jego umysłu. Czy bardzo chciał być pilotem?

Lucy zamyśliła się.

- Bał się, ale myślę, że mimo wszystko bardzo chciał.

- Taak. Będzie potrzebował spokoju i pomocy, które może mu pani dać. I cierpliwości także: jedną rzecz jesteśmy w stanie przewidzieć, mianowicie, że będzie niechętny ludziom i opryskliwy na początku. Potrzeba mu miłości i odpoczynku.

Podczas ich pierwszych miesięcy na wyspie wydawało się jednak, że wcale tego nie potrzebuje. Nie chciał spać z Lucy, być może dlatego, że czekał, aż wszystkie jego rany całkowicie się zagoją. Ale wcale też nie odpoczywał. Rzucił się w wir pracy związanej z hodowlą owiec, przemierzając wyspę swym jeepem z wózkiem inwalidzkim na tylnym siedzeniu. Budował płoty wzdłuż bardziej zdradzieckich skał, strzelał do orłów, pomagał Tomowi tresować nowego psa, którego sprowadzili na wyspę, gdy stara Betsy zaczęła ślepnąć, wypalał wrzos, a wiosną całe noce upływały mu na odbieraniu nowo narodzonych jagniąt. Pewnego dnia ściał wielką starą sosnę niedaleko domu Toma, a potem przez dwa tygodnie rąbał ją na małe kawałki, które zwoził do domu na opał. Wyraźnie nabrał zamiłowania do ciężkiej pracy fizycznej. Zaczął przywiązywać się mocno rzemieniem do fotela, aby jego ciało nie straciło równowagi, gdy trzymał siekierę czy młotek. Wyrzeźbił dwie maczugi i ćwiczył się we władaniu nimi całymi godzinami, gdy Tom nie miał już dla niego żadnego zajęcia. Muskuly jego ramion i pleców stały się karykaturalnie duże, jak u mężczyzn, którzy wygrywają zawody atletów. Stanowczo jednak nie chciał pomagać w takich zajęciach jak zmywanie, gotowanie czy sprzątanie domu.

Lucy pogodziła się z myślą o kalectwie męża. Na początku obawiała się, że David całymi dniami będzie siedział przy kominku i opłakiwał swój godny pożalowania los. Jego nadmierna aktywność trochę ją niepokoiła, gdyż stała się obsesyjna, ale przynajmniej żył, a nie wegetował.

Gdy przyszło Boże Narodzenie, powiedziała mu, że spodziewa się dziecka.

Rano ofiarowała Davidowi mechaniczną piłę, a on dał jej w prezencie kupon jedwabiu. Tom przyszedł do nich na obiad i jedli dziką gęś, którą stary pasterz upolował. Po obiedzie David odwiózł gościa do domu i kiedy wrócił, Lucy otworzyła butelkę koniaku.

- Mam jeszcze jeden prezent dla ciebie, ale będziesz mógł go zobaczyć dopiero w maju.

- O czym, u licha, mówisz? - zaśmiał się. - Ciekawe, jak wiele koniaku wypijaś, kiedy mnie nie było?

- Spodziewam się dziecka.

Spojrzał na nią i uśmiech zniknął z jego twarzy.

- No tak, tego jeszcze brakowało.

- Davidzie!

- Na litość boską... Kiedy, do diabła, to się stało?

- Chyba nietrudno zgadnąć, prawda? - powiedziała z goryczą. - Musiało to być na tydzień przed ślubem. To cud, że przeżyło wypadek.

- Czy byłaś u doktora?

- A kiedy miałam być?

- Więc skąd ta pewność?

- Och, Davidzie, nie bądź taki nudny. Mam pewność, bo skończyły się menstruacje, bolą mnie piersi, rano mam nudności i wyraźnie widzę, że jestem w talii o parę cali grubsza. Gdybyś tylko spojrział na mnie, sam miałbyś tę pewność.

- Dobrze już, dobrze.

- Co się z tobą dzieje? Powinieneś się cieszyć!

- O tak, oczywiście. Może urodzi się nam syn. Będę zabierał go na spacer i grał z nim w piłkę nożną, a kiedy dorośnie, będzie chciał zostać bohaterem wojennym, jak jego ojciec, wzbudzająca litość pokraka bez nóg.

- Och, Davidzie, Davidzie - szeptała. Uklękła przed jego fotelem. - Davidzie, nie myśl tak. Na pewno będzie cię szanował. Będzie cię podziwiał, bo potrafiłeś nadać sens swemu życiu i ze swego fotela wykonujesz pracę dwóch mężczyzn, a swoje kalectwo znosisz ze spokojem i odwagą.

- Nie bądź tak cholernie miłosierna - odburknął. - Zupełnie jakbym słyszał świętoszkowatego księdza.

Lucy wstała gwałtownie.

- Nie zachowuj się, jak gdyby to była tylko moja wina. Mężczyźni też mogą pomyśleć o środkach zapobiegawczych.

- Nie można się zabezpieczyć przed niewidzialnymi ciężarówkami w zaciemnionym kraju!

Nie była to żadna wymówka i oboje o tym dobrze wiedzieli, więc Lucy nic nie powiedziała. Boże Narodzenie stało się dla nich tylko wyświechtanym słowem: kawałkami kolorowej bibułki na ścianach, choinką w kącie pokoju i resztkami gęsi w kuchni, które trzeba będzie wyrzucić - żadna z tych rzeczy nie miała nic wspólnego z życiem, o jakim marzyła Lucy. Zaczęła się zastanawiać, co właściwie robi na tej ponurej wyspie, mieszkając z mężczyzną, który chyba jej nie kocha, i czekając na dziecko, którego on nie chce. Dlaczego nie zostawi... tak, mogłaby... I nagle zdała sobie sprawę, że nie ma właściwie gdzie pójść, nic innego nie może zrobić ze swym życiem i nie będzie nikim innym jak panią Rose, żoną Davida.

- Idę spać - powiedział w końcu David. Potoczył fotel do hallu, uwolnił się ze swego krzesła i powlókł po schodach na górę. Słyszała, jak szura kikutami po podłodze, jak łóżko skrzypnęło pod ciężarem jego ciała, słyszała, jak rzuca ubranie na podłogę i w końcu usłyszała stęknienie sprężyn, gdy się położył i przykrył kocami.

A jednak nie będzie płakać. Spojrzała na butelkę koniaku i pomyślała: "Jeżeli wypiję ją teraz całą, a potem się wykapię, może rano nie będę już w ciąży".

Zastanawiała się nad tym przez dłuższą chwilę, aż wreszcie doszła do wniosku, że życie bez Davida, wyspy i dziecka okazałoby się jeszcze cięższe, ponieważ byłoby puste.

Nie zaczęła więc płakać, nie wypita koniaku i nie opuściła wyspy, a zamiast tego poszła na górę i położyła się do łóżka.

Leżała z szeroko otwartymi oczami obok śpiącego męża i wsłuchiwała się w szum wiatru, próbując przestać myśleć. Gdy mewy zaczęły się nawoływać, a szary dżdżysty brzask wślizgnął się nad Morze Północne i wypełnił małą sypialnię zimnym, smutnym srebrzystym światłem, dopiero wtedy udało się jej zasnąć.

Na wiosnę ogarnął ją niezmacony spokój, jak gdyby wszystkie niepokoje zostały oddalone do czasu narodzin dziecka. Kiedy stajały styczniowe śniegi, zasadziła kwiaty i warzywa na skrawku ziemi między wejściem do kuchni i stodołą, nie bardzo wierząc, żeby wiosną urosły. Wysprzątała cały dom bardzo dokładnie i oznajmiła Davidowi, że jeśli liczy na jeszcze jedne porządki przed sierpniem, będzie się musiał sam tym zająć. Napisała do matki, często robiła na drutach i zamówiła

pocztą dużą ilość pieluszek. Rodzice zaproponowali jej, żeby urodziła u nich w domu, ale wiedział, że jeśli tam pojedzie, to już nigdy nie wróci na wyspę. Chodziła na długie spacerunki po wrzosowiskach, zabierając ze sobą album o ptakach, aż wreszcie stała się tak gruba, że przestała oddalać się od domu. W kredensie, do którego David nigdy nie zaglądał, trzymała butelkę koniaku i gdy robiło się jej smutno, przychodziła patrzeć na nią i przypominać sobie, że kiedyś było jeszcze gorzej.

Na trzy tygodnie przed spodziewanym rozwiązaniem wsiadła do łodzi płynącej do Aberdeen. David i Tom machali do niej z mola. Morze było tak niespokojne, że Lucy i przewoźnik bali się, że urodzi, zanim dobiją do lądu. Pojechała do szpitala i po upływie czterech tygodni przywiozła dziecko do domu na tej samej łodzi.

David nie znał się wcale na tych sprawach. Prawdopodobnie przypuszczał, że kobiety rodzą tak łatwo jak owce. Nie orientował się, na czym polegają bóle porodowe, ten wielki wysiłek mięśni i późniejsza obolałość, bezczelne, zarozumiałe pielęgniarki, które nie życzą sobie, by matka dotykała swego własnego dziecka, gdyż nie jest tak jak one szybka, sprawna, wyszkolona i wyjałowiona z bakterii. Tak, David tylko widział, że Lucy opuszcza wyspę będąc w ciąży, a wraca z pięknym, owiniętym w białe pieluchy, zdrowym chłopcem.

- Nazwiemy go Jonathan - powiedział.

Nadali mu jeszcze imię Alfred - po ojcu Davida, Malcolm - po ojcu Lucy, i Thomas - ze względu na starego Toma, ale nazywali chłopca Jo, gdyż był zbyt mały, żeby mówić do niego Jonathan, nie mówiąc już o Jonathanie Alfredzie Malcolmie Thomasie Rose. David nauczył się karmić go z butelki, przewijając, a nawet czasami usypiał go na rękach. Jego stosunek do dziecka był jednak chłodny i obojętny. Tom miał z chłopcem bliższy kontakt niż David. Lucy nie pozwalała mu palić w pokoju, w którym było dziecko, i staruszek godzinami trzymał w kieszeni swą wielką fajkę z korzenia białego wrzosu i zabawiał małego Jo, wydając z siebie gulgoczące dźwięki, lub też patrzył, jak chłopiec kopie nóżkami. Czasem pomagał Lucy w kąpaniu małego. Lucy nieśmiało zwróciła mu uwagę, że może zaniedbuje owce. Tom odpowiedział, że nie ma potrzeby pilnowania ich, gdy jedzą, a on woli raczej przyglądać się, jak chłopiec ciągnie z butelki. Wystrugał grzechotkę z kawałka drewna i wypełnił ją małymi okrągłymi kamykami; był zachwycony, kiedy Jo pierwszy raz, bez żadnej instrukcji ze strony dorosłych, złapał ją i zaczął potrząsać.

A David i Lucy nadal nie żyli jak mąż i żona. Na początku działo się tak może z powodu jego ran, potem Lucy była w ciąży i powracała do zdrowia po urodzeniu dziecka, aż wreszcie przestały istnieć jakiegokolwiek przeszkody.

- Jestem już teraz całkiem zdrowa - powiedziała jednej nocy.

- Co masz na myśli? - zapytał.

- Doszłam już do normy po dziecku. Jestem zdrowa.

- Aha, rozumiem. To dobrze. - I odwrócił się na drugi bok.

Próbowała iść do łóżka o tej samej porze co David, tak żeby mógł widzieć, jak się rozbiera, ale zawsze odwracał się do niej plecami. Kiedy leżeli drzemając obok siebie, przybierała taką pozycję, żeby jej ręka, udo albo piersi lekko ocierały się o jego ciało - przypadkowa, niemniej jednoznaczna zachęta. Nie wywoływała jednak żadnej reakcji z jego strony.

Wierzyła święcie, że jest całkiem normalna. Nie była nimfomanką, nie pragnęła przecież samego seksu, chciała tylko żyć z Davidem. Była pewna, że nawet gdyby się znalazł drugi mężczyzna poniżej siedemdziesiątki na wyspie, nie uległaby pokusie. Nie była kobietą lekkich obyczajów goniącą za seksem, była spragnioną miłości żoną.

Awantura wybuchła jednej z tych nocy, kiedy leżeli obok siebie z otwartymi oczami i słuchali

wiatru za oknem oraz gaworzenia małego Jo w sąsiednim pokoju. Lucy wydawało się, że najwyższy już czas, żeby David wreszcie jej zapragnął albo przynajmniej wytłumaczył się jakoś. Zmusi go do wyjaśnienia swego stanowiska w tej kwestii, bo dłużej już nie potrafi żyć w przygnębiającej atmosferze wzajemnego niezrozumienia.

Potarła więc ręką o grzbiet jego uda i już otworzyła usta, żeby mu to powiedzieć, kiedy na widok jego erekcji omal nie krzyknęła z doznanego szoku. Przysunęła się bliżej do niego i wyszeptała: - Davidzie...

- Na litość boską! - krzyknął, chwycił mocno jej rękę i odsunął od siebie, odwracając się do niej plecami. Ale tym razem nie miała zamiaru znosić pokornie jego impertynencji.

- Powiedz mi, dlaczego nie? - zapytała.

- O Boże. - Odrzucił koce, zsunął się na podłogę, złapał w jedną rękę koc i zaczął posuwać się w stronę drzwi.

Lucy siadła na łóżku i wrzeszczała: - Dlaczego nie?!

Jo zaczął płakać. David podciągnął puste nogawki swych skróconych spodni od piżamy i wskazał na ściągniętą białą skórę swych kikutów.

- Właśnie dlatego! Właśnie dlatego!

Ześlizgnął się po schodach na dół i położył na kanapie, a Lucy poszła do drugiego pokoju uspokoić Jo.

Usypianie dziecka zajęło jej wiele czasu, być może dlatego, że sama potrzebowała czyjegoś pocieszenia. Chłopiec dotykał łez na jej policzku, a ona zastanawiała się, czy mógł mieć jakieś niejasne pojęcie, co one znaczą: bo może łyż są pierwszym ze zjawisk, które niemowlęta zaczynają rozumieć. Nie mogła się zmusić, żeby mu coś zaśpiewać czy też wyszeptać jakieś ciepłe słowa z głębi serca, więc tylko obejmowała go mocno i kołysała w swych ramionach. Zasnął wreszcie i ukoił jej ból ciepłem swego przytulonego ciała.

Włożyła go z powrotem do kołyski i przez chwilę stała patrząc na śpiącego chłopca. Nie było sensu kłaść się do łóżka. Słyszała głośnie chrapanie Davida, dobiegające z bawialni - musiał zażyć mocne tabletki, w przeciwnym razie dawne dolegliwości nie pozwoliłyby mu zasnąć. Lucy poczuła nagłą potrzebę spaceru w miejsce, gdzie nie będzie mogła go ani widzieć, ani słyszeć, gdzie David nie znajdzie jej przez dobrych parę godzin, nawet gdyby bardzo mu na tym zależało. Włożyła spodnie, sweter, gruby płaszcz i wysokie buty i wyslizgnęła się z domu w chłodną noc.

Na zewnątrz unosiła się gęsta mgła, wilgotna i przenikliwie zimna, charakterystyczna dla wyspy o tej porze roku. Postawiła kołnierz płaszcza i zawahała się przez chwilę, czy nie wrócić do domu po szalik, ale zdecydowała, że nie ma potrzeby. Brnąc przed siebie zapadała się w błoto ścieżki, czując w gardle zimne ukłucia mgły. Brzydka pogoda sprawiła, że na chwilę zapomniała o swym cierpieniu.

Wspięła się na szczyt skały i ostrożnie zaczęła schodzić w dół stromej wąskiej pochyłości, uważnie stawiając nogi na śliskim gruncie. Przy końcu nachylenia zeskoczyła na piasek plaży i zbliżyła się do brzegu morza.

Wiatr i woda prowadziły swój wieczny spór: wiatr spadał na fale drażniąc je, a morze sycząc i parskając waliło o brzeg. Lucy chciwie nasłuchiwała odgłosów przyrody, próbując zapomnieć o swych zmartwieniach. Całą noc spacerowała wzdłuż brzegu. Kiedy zaczynało już świtać, olśniła ją nagle pewna myśl: "To właśnie stąd David czerpie swą siłę".

Myśl ta nie była żadną pociechą, uczepliła się jej jednak jak czegoś bardzo ważnego i mądrego. Przyszło jej do głowy, że może oziębłość Davida ma coś wspólnego z jego surowym trybem życia, rąbaniem drzew, prowadzeniem jeepa, rzucaniem maczugi i decyzją osiedlenia się na zimnej, okrutnej wyspie Morza Północnego.

Co on takiego powiedział? “Ojciec, bohater wojenny, pokraka bez nóg...” Chciał coś udowodnić, coś, co wyrażone słowami zabrzmiałoby banalnie, coś, czego mógł dokonać tylko jako lotnik na myśliwcu. A teraz musi się zadowolić pracą przy drzewach i płotach, maczugą i wózkiem inwalidzkim. Nie pozwoliliby mu uczestniczyć w próbnym lotach, a tak bardzo chciałby móc im powiedzieć: “Na pewno dobrze mi pójdzie. Wystarczy zobaczyć, jak umiem znosić cierpienie”.

Było to beznadziejne i okrutnie niesprawiedliwe; nie brakło mu odwagi i cierpiał z powodu odniesionych ran, tylko że nie potrafił być z tego dumny. Gdyby to Messerschmitt pozbawił go nóg, fotel na kółkach stałby się medalem, godłem odwagi.

Przez całe życie będzie musiał tłumaczyć ludziom: “To się stało w czasie wojny, tylko że nigdy nie brałem udziału w żadnej akcji. Zdarzył się wypadek samochodowy, byłem już po szkoleniu i następnego dnia miałem walczyć, widziałem nawet swoje latadło, co to była za maszyna, wiem, że bym się wcale nie bał”.

A więc znalazł sposób, aby być silnym. I może ona też potrafi być mocna. Kiedyś David był dobry, miły i kochający, więc teraz Lucy nauczy się wyrozumiałości, cierpliwości i dobroci. Znajdzie nowe cele, dla których znów warto będzie żyć. Inne kobiety znosiły przecież jakoś stratę swych najbliższych, godziły się z myślą o zbombardowanych domach i mężach uwięzionych w dalekich obozach.

Podniosła mały kamyczek i rzuciła go z całej siły w morze. Nie widziała ani nie usłyszała, czy spadł na dno, być może zniknął na zawsze, po to, by okrążyć kulę ziemską niczym satelita w opowiadaniu o ciałach kosmicznych.

- Ja też potrafię być silna! - krzyknęła.

Potem odwróciła się i zaczęła wspinać po stoku w stronę domu. Nadeszła pora pierwszego karmienia Jo.

Rozdział 6

Duży dom w tonącym w zieleni mieście Wohldorf niedaleko Hamburga wyglądał jak prawdziwa rezydencja. Mógł to być dom właściciela kopalni, bogatego handlowca czy też przemysłowca. W rzeczywistości należał do Abwehry.

Fakt, że został wybudowany, zawdzięczał pogodzie, jaka przeważnie panowała w oddalonym o dwieście mil na południowy wschód Berlinie, gdzie warunki atmosferyczne nie były odpowiednie dla łączności radiowej z Anglią.

Rezydencja kończyła się na poziomie parteru. Pod ziemią znajdowały się dwa duże schrony, a w nich aparatura radiowa wartości wielu milionów marek. System elektroniczny został założony przez doskonałego fachowca, majora Wernera Trautmanna. W każdym korytarzu rozmieszczono dwadzieścia dźwiękoszczelnych kabin nasłuchowych, w których pracowali specjaliści obsługujący radiostacje. Potrafili rozpoznać szpiega po sposobie, w jaki nadawał informacje, i przychodziło im to z taką łatwością, z jaką rozpoznajemy pismo matki na kopercie listu.

Urządzenie nasłuchu radiowego skonstruowano bardzo starannie, ponieważ nadajniki szpiegowskie dysponowały słabą mocą, a informacje musiały być przecież zwięzłe. Większość z tych urządzeń, tak zwane *klamotten*, wyglądała jak małe walizki; wyprodukował je Telefunken specjalnie dla admirała Wilhelma Canarisa, szefa Abwehry.

Tej nocy nie było prawie żadnych zakłóceń i od razu wszyscy wiedzieli, kiedy zaczął nadawać Die Nadel. Wiadomość odebrał jeden ze starszych radiotelegrafistów. Odstukał potwierdzenie

odbioru, zapisał szybko wiadomość i podszedł do telefonu. Przekazał informację bezpośrednią linią do głównej kwatery Abwehry na Sophienstrasse w Hamburgu, potem spokojnie wrócił do swej kabiny, aby zapalić papierosa. Zaproponował papierosa młodemu koledze z sąsiedniej kabiny. Przez parę minut obaj radiotelegrafisci stali oparci o ścianę, zaciągając się dymem.

- Coś nowego? - zapytał młody. Starszy mężczyzna wzruszył ramionami.

- Zawsze jest coś nowego, gdy on nadaje. Ale tym razem jakoś niewiele. Luftwaffe znowu nie udało się trafić w katedrę Św. Pawła.

- Czy będzie jakaś odpowiedź?

- Nie, chyba nie oczekiwał odpowiedzi. Zawsze był niezależnym gówniarzem. Nauczyłem go całej roboty, a gdy wszystko już umiał, wyobraził sobie, że zna się na tym lepiej ode mnie.

- A więc spotkałeś go kiedyś? - Młody radiotelegrafista był wyraźnie zaskoczony.

- Tak - odpowiedział starszy mężczyzna strząsając popiół.

- Jaki on właściwie jest?

- Od kobiet nie stroni, ale na kompana do kieliszka zupełnie się nie nadaje i jeśli myślisz, że uda ci się kiedyś wypić z nim parę kufla piwa, wybij to sobie szybko z głowy. Trzeba jednak przyznać, że jest naszym najlepszym agentem.

- Naprawdę?

- Na pewno. Niektórzy uważają, że jest najlepszym szpiegiem, jaki kiedykolwiek istniał. Fama głosi, że przez pięć lat pracował dla Rosjan. Nie wiem, ile jest w tym prawdy, ale to bardzo do niego pasuje. Prawdziwy fachowiec. Führer dobrze o tym wie.

- Czy Hitler go zna?

Starszy mężczyzna skinął głową.

- Kiedyś chciał, żeby mu przynosić wszystkie informacje Die Nadla. Nie wiem, czy nadal tego wymaga, ale Die Nadlowi na tym wcale nie zależy. Nic nie jest w stanie zrobić wrażenia na tym człowieku. Wiesz co? On patrzy na każdego w taki sposób, jak gdyby obmyślał najszybszą metodę likwidacji przeciwnika w chwili, gdy ten wykona jakiś podejrzany ruch.

- Cieszę się, że nie musiałem go szkolić.

- Trzeba przyznać, że nauczył się wszystkiego bardzo szybko.

- Był dobrym uczniem?

- Najlepszym. Uczył się dwadzieścia cztery godziny na dobę, a gdy już wszystko pojął, nie powiedział mi nawet dziękuję. Nie zawsze pamięta, żeby zasalutować przed Canarisem.

- *Ach, du meine Scheisse.*

- Tak, tak. Czy nie wiedziałeś, że zawsze się podpisuje "Pozdrowienia dla Williego"? Najlepiej to chyba świadczy o jego szacunku dla przełożonych.

- Nie wierzę. "Pozdrowienia dla Williego"? *Ach, du meine Scheisse.*

Rzucili papierosy na podłogę i zgasili je przydeptując. Starszy radiotelegrafista podniósł niedopałki i ukrył je w kieszeni, gdyż palenie właściwie nie było dozwolone na terenie schronu. Odbiorniki wciąż milczały.

- Wcale nie używa swego pseudonimu Die Nadel - ciągnął dalej starszy mężczyzna. - Von Braun tak go nazwał, ale jemu nigdy się to nie podobało. Nigdy też nie lubił von Brauna. Czy pamiętasz, jak kiedyś, chociaż to chyba było, zanim zacząłeś u nas pracować, von Braun kazał Die Nadlowi pojechać na lotnisko w Farnborough, w hrabstwie Kent. Meldunek, jaki Die Nadel nadał stamtąd, nadszedł błyskawicznie: "Nie ma żadnego lotniska w Farnborough w Kent. Jest natomiast lotnisko w Farnborough w Hampshire. Na szczęście znajomość geografii Luftwaffe jest lepsza od twojej, ty durniu". Tylko tyle.

- W tym miejscu go jednak rozumiem. Każdy nasz błąd może ich kosztować życie.

Starszy radiotelegrafista zmarszczył brwi. Do niego należało wydawanie takich sądów i nie podobało mu się, że młodszy kolega wygłasza swoje własne opinie.

- Być może - powiedział z urazą w głosie. Młody radiotelegrafista powrócił więc do swej poprzedniej roli dziwiącego się wszystkiemu chłopca.

- Dlaczego nie lubi swego pseudonimu?

- Uważa, że go demaskuje, bo pseudonimy nie powinny mieć ukrytego znaczenia. Ale von Braun nie chce go słuchać.

- Znaczenie? Igła? O co tu chodzi?

Ale w tej właśnie chwili odbiornik starszego radiotelegrafisty zatrzeszczał; powrócił więc szybko na stanowisko i młody chłopak nigdy już nie usłyszał odpowiedzi na swoje pytanie.

Część DRUGA

Rozdział 7

Otrzymał rozkaz rozzłościł Fabera, gdyż zmusił go do zajęcia się sprawą, której starał się uniknąć. Hamburg upewnił się, że agent odebrał dyspozycje. Podał swój sygnał wywoławczy i zamiast zwykłego: “Słyszę cię - odbiór”, nadali: “Wykonaj spotkanie numer jeden”.

Potwierdził odbiór, przekazał swój meldunek i zapakował radiostację do walizki. Wyprowadził rower z błotnistej miejscowości Erith Marshes - udawał, że przyjechał tam obserwować ptaki - i znalazł się na drodze prowadzącej do Blackheath. Kiedy zbliżał się do swego małego dwupokojowego mieszkania, zastanawiał się, czy nie zbagatelizować otrzymanego rozkazu.

Miał dwa powody upoważniające go do nieposłuszeństwa: zawodowy i osobisty.

Zawodowy polegał na tym, że “Spotkanie numer jeden” było starym hasłem, ustalonym przez Canarisa jeszcze w 1937 roku, i oznaczało, że musiał się udać w pobliże pewnego sklepu między Leicester Square i Piccadilly Circus, aby spotkać się z drugim agentem. Znakiem rozpoznawczym była Biblia, którą obaj powinni mieć ze sobą. Hasłem było pytanie: “Jaki rozdział przypada na dzisiaj?” Odpowiedź brzmiała: “Pierwsza Księga Królewska, rozdział trzynasty”.

Po upewnieniu się, że nikt ich nie śledzi, wymieniano opinię, że rozdział ten daje wiele do myślenia. W przeciwnym razie, gdy groziło im jakieś niebezpieczeństwo, jeden z nich mówił: “Niestety, nie przeczytałem go jeszcze”.

Bardzo możliwe, że sklep dawno przestał już istnieć, ale zupełnie inna sprawa niepokoiła Fabera. Prawdopodobnie umówione hasło znane było większości niewydarzonych amatorów, którzy przepłynęli Kanał w roku 1940, po to, by wpaść w ręce MI5. Faber dobrze wiedział, że zostali przechwyceni, gdyż gazety podały nazwiska powieszonych szpiegów i tym samym uspokojono opinię publiczną, że władze rozprawiają się z Piątą Kolumną. Na pewno przed śmiercią zdradzili wszystkie sekrety, więc dla Anglików hasło “Spotkanie numer jeden” mogło być zrozumiałe. Jeżeli udało im się przechwycić informację z Hamburga, okolice sklepu roły się pewnie od elokwentnych młodych Anglików z Biblią pod pachą, ćwiczących się w wypowiedaniu zdania: “Daje wiele do myślenia” z niemieckim akcentem. W tych niespokojnych czasach, kiedy inwazja wydawała się tak bliska, Abwehra jakby zapomniała o zasadach dobrej fachowej roboty. Od tej pory Faber nie ufał rozkazom, które przychodziły z Hamburga. Nigdy nie podawał im swojego adresu, odmówił komunikowania się z pozostałymi agentami na terenie Wielkiej Brytanii, zmienił częstotliwość nadawania swych meldunków, nie przejmując się, jeśli przypadkiem wszedł na czyjąś falę.

Gdyby zawsze wykonywał rozkazy swoich przełożonych, dawno by już nie żył.

W Woolwich zauważył przejeżdżającą obok dużą grupę rowerzystów, wśród których były też kobiety: tłum robotników dziennej zmiany wylewał się z fabryki amunicji. Zdrowe zmęczenie tych ludzi przypominało Faberowi o jego osobistych powodach lekceważenia otrzymywanych rozkazów; był pewien, że to Niemcy przegrywają tę wojnę.

W każdym razie na pewno nie byli stroną wygrywającą. Rosjanie połączyli się z Amerykanami, Afryka była stracona, Włosi załamali się, alianci na pewno zaatakują Francję przed końcem 1944. Faber nie lubił ryzykować życia bez powodu.

Wreszcie dojechał do domu i odstawił rower. Kiedy obmywał spoconą twarz, przyszło mu nagle do głowy, wbrew wszelkiej logice, że ma jednak ochotę udać się na to spotkanie. Chociaż

wydawało mu się, że wykonanie tego zadania jest bezsensownym ryzykiem w przegranej z góry sprawie, niemniej zapragnął wypełnić polecenie przełożonych. Ta niespodziewana ochota wynikała z faktu, że od dłuższego czasu odczuwał okropną nudę. Ciągłe ta sama praca radiotelegrafisty, obserwacje ptaków, wyprawy na rowerze, kolacje w pensjonacie, gdzie mieszkał; od czterech lat nie brał udziału w jakiegokolwiek prawdziwej akcji. Żył w stanie względnego bezpieczeństwa, to denerwowało go trochę, ponieważ ciągle wyobrażał sobie niewidoczne zasadzki. Najszczęśliwszy był wtedy, gdy udało mu się zidentyfikować niebezpieczeństwo i podjąć odpowiednie kroki, aby je zwalczyć.

Postanowił pójść na to spotkanie. Ale w całkiem inny sposób, niż się po nim spodziewano.

W Londynie na West Endzie pomimo wojny spacerowały tłumy. Faber zastanawiał się, czy Berlin też wygląda podobnie. Zakupił Biblię w pewnej księgarni na ulicy Piccadilly i ukrył ją w wewnętrznej kieszeni płaszcza. Był to jeden ze spokojnych mglistych dni z przelotnymi opadami i Faber wziął ze sobą parasol.

Czas spotkania wyznaczono między dziewiątą a dziesiątą rano albo między piątą i szóstą po południu. Ustalono, że jeden z agentów będzie tam przychodził codziennie, dopóki nie pojawi się drugi. Gdyby przez pięć kolejnych dni nie udało się nawiązać kontaktu, jeden z nich ma przychodzić na wyznaczone miejsce przez następne dwa tygodnie. Po upływie tego czasu można było zrezygnować ze spotkania.

Faber przybył na Leicester Square dziesięć po dziewiątej. Jego partner już tam czekał przed sklepem tytoniowym. W ręku trzymał Biblię w czarnej oprawie i udawał, że szuka schronienia przed deszczem. Faber zauważył go kątem oka i przeszedł obok z nisko opuszczoną głową. Mężczyzna stojący obok sklepu był młody, miał jasne wąsy i wyglądał na dobrze odżywnego. Miał na sobie czarny dwurzędowy płaszcz od deszczu, czytał "Daily Express" i żuł gumę. Była to całkiem nowa twarz.

Faber minął sklep po raz drugi, idąc chodnikiem po przeciwnej stronie ulicy i wtedy zauważył człowieka, którego mogli przysłać Anglicy. Niski, krępy mężczyzna, ubrany w trencz i kapelusz filcowy, który tak lubiła nosić tajna policja. Stał w przedsionku sąsiedniego budynku biurowego i przez szklane drzwi obserwował szpiega po drugiej stronie ulicy.

Istniały tylko dwie możliwości. Jeśli agent nie wiedział, że go śledzą, Faber powinien go odciągnąć z miejsca spotkania i zgubić gdzieś Anglika. Być może jednak agent został już ujęty, a mężczyzna przed sklepem tytoniowym jest podstawiony i wtedy ani on, ani śledzący go "cień" nie powinni zobaczyć twarzy Fabera.

Faber przygotował się na najgorsze, a potem zaczął obmyślać sposób rozegrania sytuacji.

Na placu stała budka telefoniczna. Faber wszedł do środka i zapamiętał numer aparatu telefonicznego. Potem odszukał w Biblii trzynasty rozdział w Pierwszej Księdze Królewskiej, wyrwał stronę i napisał na marginesie: "Idź do budki telefonicznej na placu".

Wycofał się bocznymi ulicami za National Gallery, zauważył małego chłopca w wieku lat dziesięciu czy jedenastu, który siedział na schodach przed domem i rzucał kamienie do kałuży.

- Czy znasz sklep tytoniowy na Leicester Square?

- Tak - odpowiedział chłopiec.

- A lubisz gumę do żucia?

- Lubię.

Faber podał mu stronę wydartą z Biblii.

- Przed wejściem do sklepu tytoniowego stoi mężczyzna. Jeśli mu to oddasz, dostaniesz od niego gumę.

- Dobrze - zgodził się chłopiec wstając. - Czy ten facet jest Jankesem?

- Tak - odpowiedział Faber.

Chłopiec pobiegł szybko, a Faber szedł za nim. Kiedy chłopiec zbliżył się do agenta, Faber ukrył się w wejściu do budynku naprzeciwko. "Cień" nadal tkwił na swoim miejscu i obserwował wszystko przez szybę. Faber otworzył parasol i stanął tuż przed drzwiami, tak żeby "cień" nie mógł zobaczyć sceny po drugiej stronie ulicy. Udawał, że walczy z parasolem. Zobaczył, że agent dał coś chłopcu, a potem ruszył przed siebie. Faber szybko skończył zabawę z parasolem i udał się w przeciwnym niż agent kierunku. Obejrzał się za siebie, i stwierdził, że "cień" wybiegł na ulicę w poszukiwaniu agenta, który nagle zniknął.

Faber zatrzymał się przy najbliższej budce telefonicznej i wykręcił numer budki na Leicester Square. Czekał parę sekund. Wreszcie ktoś podniósł słuchawkę i gruby głos zapytał: - Halo?

- Jaki dzisiaj przypada rozdział?

- Pierwsza Księża Królewska, trzynasty.

- Daje wiele do myślenia.

- Tak, rzeczywiście.

"Idiota, zupełnie nie ma pojęcia, w jakich się znalazł opałach" - pomyślał Faber i zapytał głośno: - Słucham więc?

- Muszę się z panem spotkać.

- To niemożliwe.

- Ale ja muszę! - W jego głosie brzmiała rozpacz. - Mam do zakomunikowania coś, co pochodzi z samej góry, czy pan to rozumie?

Faber udał, że się waha.

- Dobrze więc. Spotkajmy się za tydzień pod łukiem przy dworcu Euston o dziewiątej rano.

- Czy nie można wcześniej?

Faber odwiesił słuchawkę i wyszedł z budki. Szedł szybko, minął dwa zakręty i zbliżył się do miejsca, z którego mógł zobaczyć budkę telefoniczną na Leicester Square... Zauważył, jak agent podąża w kierunku Piccadilly. Żadnego śladu "cienia". Faber zaczął iść za agentem.

Mężczyzna udał się na stację Piccadilly Circus i kupił bilet do Stockwell. Faber natychmiast uświadomił sobie, że może dotrzeć tam znacznie szybciej. Wyszedł ze stacji Piccadilly i przebiegł szybko na Leicester Square, aby złapać pociąg jadący krótszą linią, "północną". Agent będzie się musiał przesiadać na stacji Waterloo, podczas gdy pociąg Fabera był bezpośredni, tak więc Faber dojedzie pierwszy do Stockwell lub w najgorszym razie przyjadą tym samym pociągiem.

Rzeczywiście, Faber musiał czekać przez dwadzieścia pięć minut przed wejściem do stacji Stockwell na pojawienie się agenta. Nie odstępował go na krok. Agent wszedł do restauracji. W pobliżu nie było żadnego miejsca, które usprawiedliwiłoby dłuższe tam przebywanie. Żadnych wystaw sklepowych, którym można by się przyglądać, żadnych ławek, gdzie można by usiąść, parku do spacerowania, żadnego przystanku autobusowego, postoju taksówek czy budynków publicznych. Koszmarne, puste przedmieście. Faber musiał więc chodzić tam i z powrotem po ulicy, udając, że się gdzieś spieszy. Odchodził tak daleko, że prawie tracił lokal z pola widzenia, potem wracał szybko drugą stroną ulicy, a agent siedział cały czas w ciepłej restauracji i jadł gorące grzanki popijając herbatą.

Pojawił się dopiero po pół godzinie. Faber szedł za nim przez kolejne ulice pełne domków jednorodzinnych. Agent dobrze znał drogę, lecz nie spieszył się zbytnio: szedł jak mężczyzna, który wraca do domu, gdzie nie czeka go nic do roboty. Nie obejrzał się ani razu i Faber pomyślał, że ma do czynienia z jeszcze jednym amatorem.

W końcu zniknął w jednym z tych biednych, nie rzucających się w oczy, anonimowych pensjonatów, w jakich zatrzymują się szpiedzy na całym świecie. Faber zauważył wysoko okno mansardowe i domyślił się, że ten pokój musiał wybrać agent, ze względu na lepszy odbiór fal radiowych.

Faber przeszedł obok, badawczo przyglądając się domowi naprzeciwko mieszkania agenta. Ruch w oknie na górze, mignięcie krawata i kurtki, czyjaś czujna twarz za zasłoną, a więc to tutaj czuwa nieprzyjaciel. Agent musiał pójść wczoraj na spotkanie i pozwolił, żeby ktoś z MI5 szedł za nim aż do domu. Chyba że sam był człowiekiem pracującym dla MI5.

Faber minął róg ulicy i licząc domy zaczął iść następną, równoległą. Tuż za budynkiem, w którym zniknął agent, w miejscu, w którym stały kiedyś domy dwurodzinne, odkrył duży lej po bombie. "Całkiem nie źle" - pomyślał.

Kiedy wracał na stację metra, czuł wzbierające w nim i stale się potęgujące podniecenie. Jego krok stał się sprężysty, serce zaczęło bić mocniej i rozglądał się wokół siebie ze wzrastającym zainteresowaniem, jakby świat stał się nagle ciekawszy. Świetnie. Jeszcze zobaczymy, kto wygra.

Tej nocy ubrał się na czarno: wełniana czapka, golf pod krótką, skórzaną kurtką lotniczą, spodnie wsunięte w skarpety, buty na gumowej podeszwie; wszystko czarne. Będzie prawie niewidoczny w zaciemnionym Londynie.

Jechał na rowerze przez boczne ulice z przygaszonymi światłami, unikając głównych tras. Minęła północ i nie spotkał nikogo. Zostawił rower jakieś ćwierć mili od celu, przywiązując go do płotu w ogródku pobliskiego pubu.

Nie skierował się do budynku, w którym mieszkał agent, tylko do rozwalonego przez bombardowanie domu na sąsiedniej ulicy. Starannie wyszukał przejście poprzez gruz leżący we frontowym ogrodzie, wszedł przez roztrzaskane drzwi i znalazł się na tyłach domu. Było bardzo ciemno. Księżyc i gwiazdy schowały się za niskimi chmurami. Faber musiał rękami wymacywać drogę przed sobą.

Wreszcie dojrzał do ogrodu, przeskoczył płot i minął dwa następne ogrody. W jednym z domów usłyszał krótkie szczekanie psa.

Ogród pensjonatu był wyraźnie zaniedbany. Faber potknął się w ciemnościach o krzak jeżyny. Kolce poraniły mu twarz. Schylił głowę pod sznurem na bieliznę - na szczęście resztki światła pozwoliły mu go zauważyć.

Znalazł okno kuchenne i wyciągnął z kieszeni małe narzędzie zakończone ostrzem w kształcie łyżki. Kit wokół okna był stary i kruchy, opadał w wielu miejscach. Po dwudziestu minutach mozolnej pracy w całkowitej ciszy, wyciągnął szybę z ramy i położył ją ostrożnie na trawie. Zapalił latarkę, żeby zbadać pusty otwór i upewnić się, że nie narobi hałasu, a potem przecisnął się do środka.

Zaciemniony dom pachniał gotowaną rybą i środkami odkażającymi. Zanim wszedł do hallu, otworzył tylne drzwi - na wypadek gdyby musiał szybko uciekać. Odważył się zapalić raz, na krótko, latarkę. W jej świetle ujrzał wytapetowany przedpokój, stół w kształcie nerki, o który się łatwo można było potknąć, rząd płaszczy na wieszakach i przykryte dywanem schody po prawej stronie.

Zaczął cicho wchodzić po schodach. Minął już pierwsze piętro, kiedy zauważył światło pod drzwiami. Chwilę później usłyszał astmatyczny kaszel i szelest rozwijanego papieru toaletowego. W dwóch susach dopadł ściany i przywarł do niej całym ciałem. Kiedy ktoś otworzył drzwi, światło zalało korytarz. Faber wyciągnął sztylet z rękawa. Stary mężczyzna wyszedł z toalety i zapomniał zgasić za sobą światło. Przy drzwiach swojej sypialni odchrząknął i zawrócił. "Zaraz mnie zauważy" - pomyślał Faber i zacisnął dłoń na rękojeści noża. Półotwarte oczy staruszka patrzyły na podłogę.

Mężczyzna podniósł wzrok w chwili, gdy sięgał do wyłącznika, a Faber zaczął szykować się do zadania ciosu. Mężczyzna jakby po omacku szukał kontaktu i nagle Faber zrozumiał, że staruszek prawie śpi stojąc. Światło zgasło i mężczyzna powlókł się do łóżka, a Faber odetchnął z ulgą.

Na drugim piętrze znajdowały się tylko jedne drzwi. Faber nacisnął lekko klamkę. Były zamknięte na klucz. Wyciągnął z kieszeni kurtki narzędzie. Szum wody wypełniającej rezerwuar toalety zagłuszył szcęk otwieranego zamka. Otworzył drzwi i nasłuchiwał.

Śpiący mężczyzna oddychał głęboko i regularnie. Faber wszedł do środka i zorientował się, że chrapanie dochodzi z drugiego końca pokoju. Zaczął ostrożnie iść z wyciągniętymi rękami, starając się nie potknąć o meble w ciemnym pokoju, aż znalazł się przy krawędzi łóżka.

Zapalił latarkę i szybkim ruchem złapał śpiącego mężczyznę za gardło. Agent otworzył szeroko przerażone oczy, ale nie mógł wydusić żadnego dźwięku. Faber wskoczył na łóżko i usiadł okrakiem na wystraszonym mężczyźnie.

- Pierwsza Księża Królewska, rozdział trzynasty - wyszeptał i zwolnił nieco uścisk.

- Ach, to pan?! - krzyknął agent. Jego wzrok pobiegł za światłem latarki, próbował zobaczyć twarz Fabera.

- Cicho - zasyczał Faber. Zaświecił latarką prosto w oczy agenta, a prawą ręką wyciągnął sztylet z rękawa.

- Czy nie pozwolisz mi wstać?

- Wolę cię w łóżku, bo nie możesz w nim już więcej narozrabiać.

- Narozrabiać? O czym ty mówisz?

- Śledzili cię na Leicester Square, pozwoliłeś mi iść za sobą do tego domu, a teraz twoje mieszkanie jest cały czas obserwowane. Czy w takiej sytuacji mogę ci ufać?

- Mój Boże. Przepraszam.

- Po co cię tu przysłali?

- Wiadomość miała być przekazana osobiście. Rozkazy od samego Führera - powiedział agent.

- Ach, tak. Jakie rozkazy?

- Mu... Muszę się upewnić, kim jesteś.

- W jaki sposób?

- Muszę zobaczyć twoją twarz.

Faber zawahał się, potem na chwilę skierował na siebie światło latarki.

- Zadowolony? - zapytał.

- Die Nadel - wyszeptał mężczyzna.

- A kim ty jesteś?

- Major Friedrich Kaldor, do usług.

- Powinienem więc do pana mówić: "Herr major".

- Och, nie. Pewnie pan nic nie wie o swym dwukrotnym awansie. Jest pan teraz podpułkownikiem.

- Czy nie mają nic lepszego do roboty tam w Hamburgu?

- Jest pan niezadowolony?

- Jestem tak zadowolony, że z chęcią pojechałbym do Hamburga i kazał majorowi von Braun czyścić latryny.

- Czy mogę wstać, panie pułkowniku?

- Oczywiście, że nie. Całkiem możliwe, że major Kaldor gnije teraz w więzieniu w Wandsworth, a pan jest podstawiony i tylko czeka na okazję, żeby dać jakiś znak swoim przyjaciołom w domu naprzeciwko.

- Że też pan...
- Więc, jakie są te osobiste rozkazy od Hitlera?
- Rzesza jest przekonana, że w tym roku nastąpi inwazja na Francję.
- Bardzo sprytne. Niech pan mówi dalej.
- Uważają, że generał Patton gromadzi Pierwszą Grupę Armii Amerykańskiej w tej części wyspy, która znana jest jako East Anglia. Jeżeli ta armia ma stanowić główną siłę inwazji, to znaczy, że atak nastąpi poprzez Pas de Calais.
- To brzmi logicznie. Tylko że nie widziałem śladu armii Pattona.
- Najwyższe koła Berlina też mają pewne wątpliwości. Astrolog Führera...
- Co takiego?
- Tak jest, panie pułkowniku. Führer ma astrologa, który radzi mu bronić Normandii.
- Mój Boże. Czy tam jest już aż tak źle?
- Oczywiście, że ma też wielu “ziemskich doradców”. Osobiście uważam, że astrolog służy mi jako wymówka w chwilach, gdy jest przekonany, że generałowie nie mają racji, a on sam nie potrafi zbić ich argumentów.
- Niech pan mówi dalej - westchnął Faber. Obawiał się właśnie takich nowin.
- Pana zadanie polega na oszacowaniu siły grupy generała Pattona: liczba żołnierzy, ilość dział i samolotów.
- Dziękuję, sam wiem, jak określać siły armii - oburzył się Faber.
- Tak, oczywiście - przerwał agent. - Pouczono mnie, żeby podkreślić ogromne znaczenie misji, panie pułkowniku.
- I udało się to panu. Niech mi pan powie: czy sprawy stoją aż tak źle w Berlinie?
Agent zawahał się.
- Nie, panie pułkowniku - powiedział. - Nastroje są dobre, produkcja amunicji rośnie z miesiąca na miesiąc, ludzie gwizdzą na angielskie bombowce...
- Dobrze, już dobrze - przerwał mu Faber - propagandę mogę mieć w radio.
Młody mężczyzna zamilkł.
- Czy ma pan jeszcze coś do powiedzenia? Służbowo, oczywiście.
- Tak. Na czas wykonania zadania ma pan specjalną asekurację.
- Więc oni rzeczywiście myślą, że to ważne - powiedział Faber.
- Ma pan spotkanie z łodzią podwodną na Morzu Północnym, dziesięć mil na wschód od miasta Aberdeen. Może pan przywołać ją na normalnej częstotliwości radiowej, a zaraz wynurzy się na powierzchnię. Z chwilą gdy jeden z nas zawiadomi Hamburg o przekazaniu rozkazów, droga będzie otwarta. Łódź będzie czekać w każdy piątek i poniedziałek od godziny osiemnastej do szóstej rano.
- Aberdeen jest wielkim miastem. Czy ma pan dokładne współrzędne?
- Tak. - Agent wymienił cyfry i Faber utrwalił je sobie w pamięci.
- Czy to wszystko, majorze?
- Tak jest, panie pułkowniku.
- A co zamierza pan zrobić z panami z MI5, którzy siedzą w domu naprzeciwko?
Agent wzruszył ramionami.
- Będę musiał się im jakoś wymknąć.
“Niedobrze” - pomyślał Faber, po czym zapytał: - Co miał pan robić po spotkaniu ze mną? Czy zorganizowano panu ucieczkę?
- Nie. Mam jechać do Weymouth, ukraść tam łódź i przedostać się do Francji.
Nie był to żaden plan. “Canaris dobrze wiedział, jak się to skończy - myślał Faber. - Trudno

więc”.

- No, a jeśli złapią pana Anglicy i zaczną torturować? - pytał Faber.

- Mam kapsułkę z trucizną.

- I zrobi pan z niej użytek?

- Z całą pewnością.

Faber spojrział na niego.

- Może masz rację - powiedział. Położył lewą rękę na piersiach agenta i przerzucił na nią cały swój ciężar ciała, jak gdyby chciał zejść z łóżka. W ten sposób mógł się zorientować, w którym dokładnie miejscu kończyły się żebra, a zaczynał miękki brzuch. Wbił sztylet tuż pod ostatnie żebro i skierował go w stronę serca.

Przez chwilę w oczach agenta widać było przerażenie. Usiłował krzyknąć, ale nie udało mu się. Ciało wiło się w konwulsjach. Faber pchnął sztylet jeszcze trochę głębiej. Oczy mężczyzny zamknęły się, a ciało zwiotczało.

- Widziałeś moją twarz - powiedział Faber.

Rozdział 8

- Myślę, że uszło to naszej kontroli - powiedział Percival Godliman.

Fryderyk Bloggs pokiwał głową na znak zgody i dodał:

- To moja wina.

Godliman pomyślał, że chłopak wygląda na zmęczonego. Wyraz znużenia nie opuszczał Bloggsa przez blisko rok, od tamtej nocy, kiedy spod gruzu zbombardowanego domu w Hoxton wyciągnięto zmiażdżone zwłoki jego żony.

- Nie interesuje mnie, kto zawinił - powiedział Godliman żywo. - Faktem jest, że coś się zdarzyło na Leicester Square w ciągu paru sekund, kiedy straciłeś z oczu Blondie'ego.

- Czy myślisz, że właśnie wtedy nawiązali kontakt?

- Całkiem możliwe.

- Kiedy odnaleźliśmy go znowu w Stockwell, pomyślałem, że po prostu zrezygnował tego dnia.

- Gdyby tak rzeczywiście było, zaaranżowałby następne spotkanie wczoraj i dzisiaj - Godliman układał na biurku różne kompozycje z zapalek - pomoc przy myśleniu, która przeszła już w przyzwyczajenie. - Żadnego ruchu w pokoju?

- Zupełnie nic. Siedzi w nim od dwudziestu ośmiu godzin. To moja wina - powtórzył Bloggs.

- Przestań nudzić, stary - powiedział Godliman. - To była moja decyzja zostawienia go na wolności po to, żeby zaprowadził nas do kogoś ważniejszego, i nadal uważam, że było to słuszne posunięcie.

Bloggs siedział bez ruchu, trzymał ręce w kieszeniach prochowca i miał mocno zakłopotaną minę.

- Jeżeli udało im się nawiązać kontakt, niepotrzebnie odkładaliśmy zatrzymanie Blondie'ego i zbadanie, jaka była jego misja.

- Ale w ten sposób straciliśmy jakąkolwiek szansę dojścia dzięki Blondie'emu do kogoś naprawdę niebezpiecznego.

- Twoja decyzja.

Godliman zbudował kościół z zapalek. Przez chwilę przyglądał się swej kompozycji, potem wyciągnął półpensówkę z kieszeni i rzucił ją do góry.

- Reszka - powiedział. - Dajmy mu jeszcze dwadzieścia cztery godziny.

Gospodarz był irlandzkim republikaninem w średnim wieku z Lusdoonvarna w hrabstwie Clare i żywił skrytą nadzieję, że Niemcy wygrają wojnę i w ten sposób na zawsze wyzwolą Szmaragdową Wyspę spod ucisku Anglików. Połamany przez artretyzm, kuśtykał raz w tygodniu po starym domu, zbierając pieniądze za czynsz, i zastanawiał się nad tym, jak bardzo wzbogaciłby się, gdyby pozwolono mu podwyższyć te opłaty do ich prawdziwej wartości rynkowej. Nie był bogatym człowiekiem, posiadał tylko dwa domy, ten i jeszcze mniejszy, w którym mieszkał. Nigdy nie opuszczał go zły humor.

Zapukał do drzwi staruszka na pierwszym piętrze. Przynajmniej ten lokator zawsze witał go z radością. Prawdopodobnie cieszył się z każdych odwiedzin.

- Dzień dobry, panie Riley, może napiłby się pan ze mną herbaty?

- Nie mam dzisiaj czasu.

- Ach, tak. - Staruszek podał mu pieniądze. - Przypuszczam, że widział pan już okno w kuchni?

- Nie. Nie byłem tam jeszcze.

- No więc nie ma w nim szyby. Powiesiłem na nim zasłonę, ale oczywiście nie chroni ona przed przeciągiem.

- Kto zbił szybę? - zapytał gospodarz.

- Dziwna sprawa, szyba nie jest wcale zbita. Po prostu leży na trawie. Myślę, że kit był za stary i puścił. Mogę ją włożyć z powrotem, jeśli dostarczy pan trochę świeżego kitu.

"Głupiec" - pomyślał gospodarz. - A nie przyszło panu do głowy - powiedział głośno - że ktoś się po prostu włamał?

- Jakoś o tym nie pomyślałem. - Staruszek był bardzo zdziwiony.

- Czy nic nie zginęło?

- Nikt mi nic nie mówił. Gospodarz zbliżył się do drzwi.

- W porządku, rozejrzę się na dole. Staruszek szedł za nim.

- Nie przypuszczam, żeby ten nowy lokator był u siebie na górze - powiedział. - Nie słyszałem żadnego ruchu od paru dni.

Gospodarz pociągnął nosem.

- Czy on ma zwyczaj gotowania w pokoju?

- Nie mam pojęcia, panie Riley. Obaj udali się na górę.

- Jeśli jest w środku, to zachowuje się bardzo spokojnie - powiedział staruszek.

- Cokolwiek gotuje, będzie musiał przestać. Potwornie śmierdzi - zdecydował gospodarz i zapukał do drzwi. Żadnej odpowiedzi. Otworzył i wszedł do środka, a stary mężczyzna za nim.

- Taak - powiedział stary sierżant z zapalem. - Myślę, że macie trupa.

Stał w drzwiach i oglądał dokładnie pokój.

- Niczego nie ruszałeś, dziadku?

- Nie - odpowiedział gospodarz. - Nazywam się Riley. Policjant pominął uwagę milczeniem.

- Śmierć nastąpiła dość niedawno. W przeciwnym razie śmierdziałby jeszcze bardziej. - Przeglądał szuflady starej komody, walizkę na niskim stole, wypłowiwały prostokąt dywanu, brudne zasłony w oknie i nie posłane łóżko w kącie. Żadnych śladów walki.

Podszedł do łóżka. Twarz młodego mężczyzny była pełna spokoju, ręce miał złożone na piersiach.

- Myślałbym, że to atak serca, gdyby nie był tak młody.

Nie było też nigdzie pustej butelki ze środkami nasennymi, która sugerowałaby samobójstwo.

Podniósł skórzany portfel leżący na komodzie i sprawdził jego zawartość. Dowód tożsamości, książka z kartkami żywnościowymi i dość gruby plik notatek.

- Papiery w porządku i nie został obrabowany.

- Mieszkał tu tylko tydzień czy coś takiego - ośmielił się odezwać gospodarz. - Właściwie prawie go nie znałem. Przyjechał z północnej Walii, żeby pracować w fabryce.

- Jeśli był taki zdrowy, na jakiego wygląda, dawno byłby już w wojsku - zauważył sierżant.

Otworzył walizkę na stole. - A to co takiego, do cholery?

Gospodarz i staruszek podeszli bliżej.

- To radio - powiedział gospodarz, a staruszek krzyknął: - On krwawi!

- Nie dotykajcie ciała! - rozkazał sierżant.

- Ma nóż w brzuchu - upierał się staruszek.

Sierżant bardzo ostrożnie podniósł jedną rękę zmarłego i odsłonił małą plamę zakrzepłej krwi.

- Krwawił - powiedział. - Gdzie jest najbliższy telefon?

- Pod piątym - poinformował go gospodarz.

- Zamknijcie pokój i czekajcie przed domem, dopóki nie wrócę.

Sierżant wyszedł z domu i zapukał do drzwi sąsiada z telefonem. Otworzyła kobieta.

- Dzień dobry pani. Czy mogę skorzystać z telefonu? - zapytał.

- Niech pan wejdzie. - Pokazała mu telefon na stoliku w przedpokoju. - Czy coś się stało? Coś poważnego? - dowiadywała się niezwykle podniecona.

- Lokator umarł w sąsiednim pensjonacie - objaśnił wykręcając numer.

- Zamordowany? - zapytała z szeroko otwartymi oczami.

- Decyzję zostawiam ekspertom. Halo! Chcę mówić z nadinspektorem Jonesem. Mówi Canter. -

Spojrzał na kobietę. - Czy mogłaby pani pójść do kuchni na czas mojej rozmowy z przełożonym?

Odeszła rozczarowana.

- Halo, szefie. Ten denat ma ranę od noża i radiostację w walizce.

- Powtórzcie adres, sierżancie.

Sierżant Canter powtórzył.

- Tak, to ten dom, który obserwują. To sprawa MI5. Idźcie do mieszkania czterdzieści dwa i powiedzcie grupie śledczej, co znaleźliście. Przekażę informację ich szefowi. Ruszajcie.

Canter podziękował kobiecie i przeszedł na drugą stronę ulicy. Był bardzo poruszony: w ciągu trzydziestu jeden lat służby w stołecznej policji było to jego drugie dochodzenie w sprawie morderstwa i w dodatku zdawało się mieć związek ze szpiegostwem. Może więc jeszcze zostanie inspektorem.

Zapukał do drzwi pod numerem czterdziestym drugim. Otworzyły się, ukazując dwóch mężczyzn.

- Czy jesteście agentami z MI5? - zapytał sierżant Canter.

Bloggs przyjechał w tym samym czasie, co człowiek z Oddziału Specjalnego, inspektor Harris, którego znał jeszcze ze Scotland Yardu. Canter pokazał im ciało. Przez chwilę stali w milczeniu, przyglądając się spokojnej twarzy z jasnymi wąsami.

- Kto to jest? - zapytał Harris.

- Pseudonim "Blondie" - wyjaśnił Bloggs. - Przypuszczam, że parę tygodni temu wylądował na spadochronie. Przechwyciliśmy wiadomość nadaną przez radio dla drugiego agenta w sprawie spotkania. Znaliśmy szyfr, więc mogliśmy umiejscowić to spotkanie. Mieliśmy nadzieję, że Blondie zaprowadzi nas do agenta, który jest stałym rezydentem i który okazuje się znacznie niebezpieczniejszym osobnikiem.

- I co się tu stało?

- Jak widzisz, załatwili go.

Harris przyjrzał się ranie zadanej agentowi.

- Sztyletem? - zapytał.

- Czymś takim. Niezła robota. W samo serce. Lekka śmierć.

- Tak, istnieją gorsze sposoby umierania.

- Czy chce pan zobaczyć, w jaki sposób wszedł zabójca? - zapytał sierżant Canter.

Poprowadził ich na dół do kuchni. Obejrzelili ramę okna i nienaruszoną szybę, która leżała na trawniku.

- Zamek w drzwiach do sypialni został wyłamany - powiedział Canter.

Usiedli przy stole kuchennym i Canter zrobił herbatę.

- Wszystko przeze mnie. Nie powinienem był go zgubić na Leicester Square. Spartaczyłem całą robotę - uzalał się Bloggs.

- Nikt nie jest doskonały - pocieszył go Harris. Przez chwilę pili herbatę w milczeniu. Potem Harris zapytał: - Jak ci się teraz powodzi? Jakoś przestałeś nas odwiedzać w Yardzie.

- Jestem bardzo zajęty.

- A co słychać u Christine?

- Zginęła w czasie bombardowania.

- Strasznie mi przykro. - Harris otworzył szeroko oczy.

- A u ciebie wszystko w porządku?

- Straciłem brata w północnej Afryce. Czy poznałeś kiedyś Johnny'ego?

- Nie.

- To był dopiero facet. Pił jak szewc. Nigdy nie widziałeś czegoś podobnego. Wydawał tyle pieniędzy na alkohol, że nigdy nie mógł odłożyć na ślub i w końcu się nie ożenił. Zresztą teraz nie ma to żadnego znaczenia.

- Większość ludzi straciła kogoś.

- Jeśli mieszkasz sam, przyjdź do nas na obiad w niedzielę.

- Dziękuję za zaproszenie, ale pracuję teraz w niedziele.

Harris pokiwał głową.

- Przyjdź, kiedy będziesz miał ochotę - powiedział.

Oficer śledczy wsadził głowę w drzwi i zapytał Harrisa: - Szefie, czy mamy zacząć chować dowody?

Harris spojrzał pytająco na Bloggsa.

- Ja już skończyłem - poinformował Bloggs.

- W porządku, synu, zajmij się tym - rozkazał Harris.

- Przypuścmy, że nawiązał kontakt, gdy go straciłem z oczu - mówił dalej Bloggs - i mieszkający w Anglii agent miał go tu odwiedzić, ale okazał się tak sprytny, że zwęszył pułapkę, co tłumaczyłoby, dlaczego wszedł przez okno i wyłamał zamek w drzwiach.

- Musi to być cholernie szczywana sztuka - zauważył Harris.

- I może dlatego nie udało nam się go złapać. W każdym razie, wszedł do pokoju Blondie'ego i obudził go. Przekonał się wtedy, że to nie żadna pułapka, prawda?

- Prawda.

- Więc dlaczego zabił Blondie'ego?

- Może się pokłócili.

- Żadnych śladów walki.

Harris popadł w zadumę nad pustą filiżanką herbaty.

- Może skapował, że Blondie był obserwowany i bał się, że kiedy złapiemy chłopaka, wydusimy z niego wszystko.

- Ależ to bezwzględny typ!

- Może właśnie dlatego nie udało nam się go złapać.

- Wejdz. Siadaj, proszę. Właśnie miałem telefon z MI6. Wywalili Canarisa - powiedział Godliman.

Bloggs wszedł, usiadł i zapytał: - Czy to dobra nowina, czy zła?

- Bardzo zła - poinformował go Godliman. - Stało się to w najgorszej chwili.

- Czy powiesz mi dlaczego?

Godliman spojrzał na niego mrużąc oczy.

- Myślę, że powinieneś wiedzieć. Mamy dzisiaj do dyspozycji czterdziestu podwójnych agentów, którzy nadają do Hamburga fałszywe informacje o planach aliantów dotyczących inwazji na Francję.

Bloggs gwizdnął.

- Nie wiedziałem, że to jest aż tak ważne - powiedział. - Zgaduję, że nasi agenci informują, że wylądujemy w Cherbourgu, podczas gdy w rzeczywistości to będzie Calais, albo na odwrót.

- Coś w tym rodzaju - zgodził się Godliman. - Zresztą szczegóły nie są tu ważne. W każdym razie nie przekazano mi ich. Cała ta sprawa jest jednak w poważnym niebezpieczeństwie. Zналиśmy dobrze Canarisa, oszukiwaliśmy go i wiedzieliśmy, że możemy go dalej oszukiwać. Nie wiadomo, czy ich nowy szef będzie ufał agentom swego poprzednika. A co więcej, mieliśmy pewne wpadki ludzi, którzy mogli tutaj zdradzić agentów Abwehry, jeśli ci nie zostali już zdradzeni. To jeden powód, żeby Niemcy zaczęli podejrzewać naszych podwójnych agentów. Istnieje poza tym możliwość przecieku. Dzisiaj tysiące ludzi wiedzą o systemie podwójnych agentów. Pracują dla nas w Islandii, Kanadzie i na Cejlonie. Prowadzimy tę grę nawet na Bliskim Wschodzie. W zeszłym roku popełniliśmy poważny błąd, kiedy pozwoliliśmy na repatriację Niemca o nazwisku Erich Carl. Później dowiedzieliśmy się, że był on agentem Abwehry - prawdziwym agentem - i że w czasie internowania go na Isle of Man mógł się dowiedzieć o dwóch podwójnych agentach, Muttim i Jeffie, i prawdopodobnie o trzecim, nazywanym Tata. Tak więc jest to taniec na linie, bo jeśli jeden prawdziwy agent Abwehry pracujący w Wielkiej Brytanii dowie się o "Fortitude" - jest to kryptonim na określenie planu dezinformacji nieprzyjaciela - cała nasza strategia weźmie w łeb. Mówiąc prosto z mostu, możemy przegrać wtedy całą tę pieprzoną wojnę.

Bloggs stłumił uśmiech; pamiętał, że kiedyś profesor Godliman w ogóle nie znał takich wyrazów.

- Komitet Dwudziesty dał mi wyraźnie do zrozumienia, że oczekują ode mnie zbadania, czy istnieją jacyś niebezpieczni agenci Abwehry na terenie Wielkiej Brytanii - ciągnął profesor.

- Jeszcze w zeszłym tygodniu byliśmy całkiem pewni, że ich tu nie ma - wtrącił Bloggs.

- A teraz wiemy, że jest co najmniej jeden.

- I pozwoliliśmy mu się wymknąć.

- Musimy więc znowu go odszukać.

- To bardzo trudne zadanie - powiedział ponuro Bloggs. - Nie wiemy, w jakiej części kraju działa, nie mamy najmniejszego pojęcia, jak wygląda. Jest zbyt sprytny, żeby można było ustalić przez pelengację miejsce, skąd nadaje - w przeciwnym razie nakrylibyśmy go już dawno. Nie znamy nawet jego pseudonimu. Od czego więc zacząć?

- Od czego? Od przestępstw, których sprawców nie wykryto - zaproponował Godliman. - Zrozum, że szpieg wcześniej czy później musi złamać prawo. Fałszuje dokumenty, kradnie benzynę i amunicję, unika punktów kontrolnych, wchodzi na tereny, gdzie wstęp jest wzbroniony, robi zdjęcia, a kiedy ktoś stanie mu na drodze, po prostu morduje. Policja na ogół wie o takich wypadkach. Jeżeli przejrzymy akta z ostatnich lat dotyczące przestępstw, których sprawców nie wykryto, trafimy może na jakiś ślad.

- Czy nie zdajesz sobie sprawy, że większość zbrodni to sprawy umorzone - zauważył Bloggs sceptycznie. - Ich akta nie pomieściłyby się w Albert Hallu!

Godliman wzruszył ramionami.

- Więc ograniczmy nasze poszukiwania do obszaru Londynu i zacznijmy od zabójstw.

Znaleźli to, czego szukali, już pierwszego dnia intensywnej pracy. Tak się złożyło, że to Godliman natrafił na ten ślad i w pierwszej chwili nie docenił jego znaczenia. Była toteczka dokumentów dotyczących zabójstwa pani Uny Garden mieszkającej w dzielnicy Highgate w roku 1940. Morderca poderznął jej gardło i poturbował na tle seksualnym, chociaż nie zgwałcił. Znalaziono ją w sypialni mężczyzny, z pewną ilością alkoholu we krwi. Sprawa była dość prosta: umówiła się na spotkanie z lokatorem, który chciał sobie pozwolić na więcej, niż się spodziewała, pokłócili się, potem ją zabił i morderstwo sparaliżowało jego libido. Policja nigdy nie odnalazła sprawcy.

Godliman już miał odłożyć akta; szpiegdy nie mieli przecież nic wspólnego z zabójstwami na tle seksualnym. Jego wrodzona skrupulatność kazała mu jednak przeczytać każde słowo, w wyniku czego dowiedział się, że nieszczęsna pani Garden otrzymała rany zadane sztyletem w plecy, a nie tylko fatalny cios w szyję.

Godliman i Bloggs siedzieli po przeciwnych stronach drewnianego stołu w archiwum Starego Scotland Yardu. Godliman rzucił teczkę z aktami w stronę przyjaciela i powiedział: - Myślę, że mamy go.

Bloggs przejrzał papiery i powiedział: - Hm, sztylet.

Wypożyczyli dokumenty i najkrótszą drogą udali się do Ministerstwa Wojny. Kiedy wrócili do pokoju Godlimana, na jego biurku leżał rozszyfrowany meldunek. Godliman zaczął czytać od niechcienia i nagle bardzo podniecony grzmotnął pięścią w stół.

- To on!

- "Rozkazy otrzymałem. Pozdrowienia dla Williego" - czytał Bloggs.

- Pamiętasz go? - zapytał Godliman. - Die Nadel?

- Tak - odpowiedział Bloggs niepewnie. - Igła. Ale nic mi to nie mówi.

- Pomyśl tylko! Sztylet jest jak igła. To ten sam facet. Zabójstwo pani Garden, wszystkie te meldunki w 1940, których nie mogliśmy zlokalizować, spotkanie z Blondiem...

- Może masz rację - zamyślił się Bloggs.

- Potrafię to udowodnić - mówił Godliman. - Czy pamiętasz informację w sprawie Finlandii? Pokazałeś mi ją pierwszego dnia, kiedy tu przyszedłem. No, ten meldunek, który został przerwany.

- Tak. - Bloggs podszedł do segregatorów, żeby odszukać akta.

- Jeśli mnie pamięć nie myli, dzień jego nadania pokrywa się z datą naszego zabójstwa... i mogę się założyć, że moment zabójstwa ma ścisły związek z przerwą w nadawaniu.

Bloggs przyjrzał się zapisowi w aktach.

- Zgadza się w obu wypadkach - oświadczył.

- No widzisz!

- Od co najmniej pięciu lat działa w Londynie i dopiero teraz udaje nam się wpaść na jego trop
- zauważył Bloggs. - Nie będzie łatwo go złapać.
- Godliman przybrał nagle chytry wyraz twarzy.
- To szczerwana sztuka, ale ma ze mną do czynienia. Rozdepczę go jak śmierdzącą wesz.
- Bloggs roześmiał się głośno.
- Mój Boże, jak pan się zmienił, profesorze - zażartował.
- Czy zdajesz sobie sprawę, że roześmiałeś się po raz pierwszy od roku?

Rozdział 9

Łódź wioząca zaopatrzenie na wyspę okrążyła ląd i wpłynęła do zatoki rozpościerającej się pod błękitnym niebem. W łodzi były dwie kobiety: żona przewoźnika (jej męża powołano do wojska i teraz ona prowadziła interes) i matka Lucy.

Matka wysiadła z łodzi. Miała na sobie elegancki kostium: męską marynarkę i krótką spódnicę. Lucy uścisnęła ją serdecznie.

- Mama! Co za niespodzianka!
- Przecież pisałam do ciebie.

List był razem z pocztą na łodzi; matka zapomniała, że pocztę przywożono na wyspę raz na dwa tygodnie.

- A więc to jest mój wnuk! Jaki z niego duży chłopiec!

Mały Jo, który kończył wkrótce trzy lata, zaczerwienił się ze wstydu i schował za spódnicę Lucy. Był ładnym, ciemnowłosym i jak na swój wiek bardzo wyrośniętym chłopcem.

- Wykapany ojciec! - krzyknęła matka.

- Tak - zgodziła się Lucy. W jej głosie czuło się jakby nutę dezaprobaty. - Pewnie jesteś przemarznięta. Chodźmy do domu. Skąd masz tę spódnicę?

Zabrały z łodzi żywność i zaczęły wspinać się po urwisku nad plażą w stronę skalistego wierzchołka. Matka nie przestawała mówić: - Taka teraz moda, kochanie. Zużywa się znacznie mniej materiału. Tu jest dużo cieplej niż na lądzie. Tam taki wiatr. Myślę, że możemy zostawić walizkę na molo, nikt jej przecież nie ukradnie. Wiesz, Jane zaręczyła się z amerykańskim żołnierzem - na szczęście nie jest Murzynem. Pochodzi z miasta, które się nazywa Milwaukee, i nie żuje gumy. To wspaniale, prawda? Zostały mi jeszcze cztery córki do wydania. Czy mówiłam ci, że ojciec został kapitanem w Home Guard? Całe noce spędza na obchodzeniu pastwisk i wypatrywaniu niemieckich spadochroniarzy. Na sklep wujka Stefana spadła bomba - zupełnie nie wiem, co on teraz robi.

- Nie spiesz się tak, mamo, masz czternaście dni, żeby mi wszystko opowiedzieć - zaśmiała się Lucy.

Zbliżyły się do domu.

- Jak tu ładnie! - zachwyciła się matka. Weszły do środka. - Po prostu uroczo!

Lucy usadowiła matkę przy stole kuchennym i przyrządziła herbatę.

- Tom przyniesie twoją walizkę, mamo. Niedługo przyjdzie na lunch.
- Tom? Ten pasterz?
- Tak.

- Czy David pomaga mu w czymkolwiek?

Lucy roześmiała się.

- Jest całkiem na odwrót - wyjaśniła. - Zresztą sam ci o wszystkim opowie. Nie powiedziałaś

mi jeszcze, jaki jest powód twojej wizyty.

- Moja droga, już najwyższy czas, żebym cię odwiedziła. Zdaję sobie sprawę, że w czasie wojny nie powinniśmy odbywać niepotrzebnych podróży, ale raz na cztery lata... nie ma chyba w tym nic złego?

Usłyszały warkot jeepa przed drzwiami i chwilę potem pojawił się David na swym wózku. Pocałował teściową i przedstawił jej Toma.

- Tom - powiedziała Lucy - możesz zarobić dzisiaj na swój lunch, jeśli przyniesiesz walizkę mamy.

David grzał ręce przy piecu.

- Zimno dzisiaj.

- Widzę, że traktujesz hodowlę owiec całkiem poważnie - odezwała się matka.

- Stado jest dwa razy większe niż trzy lata temu - poinformował ją David. - Ojciec nigdy naprawdę nie uprawiał tej wyspy. Postawiłem ogrodzenie na sześć mil od szczytu skały, ulepszyłem pastwiska i wprowadziłem nowe metody hodowli. Nie tylko mamy więcej owiec, ale każde zwierzę daje więcej mięsa i wełny.

- Pewnie Tom wykonuje wszystkie twoje polecenia - powiedziała matka ostrożnie.

- Jesteśmy równymi partnerami, mamó - zaśmiał się David.

Lucy podała smakowity gulasz z serc i obaj mężczyźni pochłonęli przy tym góry ziemniaków. Matka zachwycała się, że Jo potrafi tak ładnie jeść... Po posiłku David zapalił papierosa, a Tom nabił fajkę.

- Chciałabym wiedzieć, kiedy będę miała więcej wnuków? - zapytała matka z promiennym uśmiechem.

Zapadła długa cisza.

- To cudowne, że David tak świetnie daje sobie radę - powiedziała matka.

- Tak - zgodziła się Lucy i znowu w jej głosie czuć było dezaprobatę.

Szły wzdłuż skalistego szczytu. Trzeciego dnia po przyjeździe matki wiatr ucichł i pogoda poprawiła się na tyle, że można było pójść na spacer. Wzięły ze sobą Jo ubranego w sweter rybaka i skórzaną czapkę. Zatrzymały się na szczycie urwiska, żeby popatrzeć na Davida, Toma i psa pilnującego owiec; Lucy zauważyła na twarzy matki ślady wewnętrznej walki między troską o córkę a wrodzoną dyskrecją. Postanowiła oszczędzić matce trudu zadawania pytań.

- On mnie nie kocha - powiedziała.

Matka rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy Jo jest dość daleko.

- Jestem pewna, że nie jest tak źle, kochanie. Ludzie okazują swą miłość w różny sposób.

- Mamó, nie byliśmy mężem i żoną od dnia naszego ślubu.

- No, ale...? - Skinęła znacząco głową w stronę Jo.

- To stało się na tydzień przed ślubem.

- O Boże. - Była wyraźnie zaskoczona. - Czy to, no wiesz, przez ten wypadek?

- Tak, ale nie z tego względu, co myślisz. To nie jest sprawa fizyczna. On po prostu nie chce. - Lucy płakała cicho, łzy spływały po jej ogorzałych policzkach.

- Czy rozmawialiście na ten temat?

- Próbowałam. Mamó, co ja mam zrobić?

- Może czas...

- Już minęły prawie cztery lata!

Zapadła cisza. Zaczęły iść przez wrzos pod bladym popołudniowym słońcem. Jo gonił mewy.

- Kiedyś prawie odeszłam od ojca - powiedziała nagle matka.

- Kiedy to było? - Tym razem Lucy była zaskoczona.

- Niedługo po urodzeniu Jane. Nie powodziło nam się wtedy zbyt dobrze, wiesz, ojciec pracował jeszcze dla waszego dziadka, no i był kryzys. Spodziewałam się trzeciego dziecka w ciągu trzech lat i wydawało mi się, że czeka mnie życie niezwykle monotonne, wypełnione tylko rodzeniem i martwieniem się, jak związać koniec z końcem. I wtedy dowiedziałam się, że ojciec spotyka się ze swoją dawną sympatią, Brendą Simmonds. Nie znałaś jej, pojechała potem do Basingstoke. Zadałam sobie wtedy pytanie, dlaczego nadal z nim jestem, i nie mogłam znaleźć żadnej logicznej odpowiedzi.

Lucy jak przez mgłę pamiętała te dni: dziadka z siwymi włosami, ojca, przystojnego i szczupłego, długo trwające rodzinne posiłki w niewielkiej kuchni ich domu, dużo śmiechu, słońca i zwierząt. Nawet wtedy małżeństwo rodziców zdawało się uosabiać zadowolenie, szczęśliwą trwałość.

- Dlaczego tego nie zrobiłaś? To znaczy, dlaczego go nie porzuciłaś? - zapytała.

- To były inne czasy. Rozwody właściwie nie istniały, a kobiety nie mogły znaleźć zatrudnienia.

- Dzisiaj kobiety wykonują różne zawody.

- Pracowały też w czasie pierwszej wojny, ale potem wszystko się zmieniło w związku z bezrobociem... Podejrzewam, że to samo będzie i tym razem. Wiesz, że mężczyźni mają zawsze więcej szans od nas.

- I nie żałujesz, że z nim zostałam. - Nie brzmiało to jak pytanie.

- Ludzie w moim wieku nie powinni wydawać sądów o życiu - mówiła matka. - Ale moje życie było kwestią przetrwania i to samo dotyczy większości kobiet, które znam. Dochowywanie wierności do końca zawsze wygląda jak ponoszona ofiara, ale bardzo często wcale nią nie jest. W każdym razie nie mam zamiaru dawać ci rad. Nie przyjęłabyś ich zresztą, a nawet gdybyś je wzięła pod uwagę, prawdopodobnie uważałabyś, że to ja ponoszę część winy za twoje nieudane małżeństwo.

- O, mam. - Lucy uśmiechnęła się.

- Wracajmy już - powiedziała matka. - Myślę, że jak na pierwszy dzień zaszliśmy dość daleko.

Któregoś wieczoru siedząc w kuchni Lucy zwróciła się do Davida:

- Chciałabym, żeby matka została jeszcze dwa tygodnie, jeśli oczywiście zechce.

Matka była na górze, kładła Jo do łóżka i opowiadała mu bajkę na dobranoc.

- Czy dwa tygodnie nie wystarczyły wam na dokładne skrytykowanie mojej osoby?

- Nie bądź śmieszny, Davidzie.

Przysunął się razem z wózkiem bliżej jej krzesła.

- Czy chcesz mi wmówić, że wcale o mnie nie rozmawiacie? - powiedział.

- Oczywiście, że rozmawiamy o tobie, jesteś przecież moim mężem.

- Ciekaw jestem, co jej o mnie mówisz?

- Dlaczego tak się denerwujesz? - powiedziała Lucy nie bez złośliwości. - Czego się tak wstydzisz?

- Do diabła, nie mam powodu niczego się wstydzić. Ale nikt nie lubi, żeby jego życie osobiste było omawiane przez dwie plotkujące kobiety.

- Wcale nie plotkujemy o tobie.

- Więc o czym rozmawiacie?

- Nie bądź taki przewrażliwiony.

- Odpowiedz na moje pytanie.

- Ja jej mówię, że chcę od ciebie odejść, a ona usiłuje mnie odwieść od tego zamiaru.

Odwrócił fotel i odjechał.

- Powiedz jej, żeby się o mnie nie martwiła.

- Czy naprawdę tego chcesz?! - zawołała.

Zatrzymał się.

- Nikogo nie potrzebuję, rozumiesz? Dam sobie radę sam. Jestem samowystarczalny.

- A co ze mną? - zapytała cicho. - Może ja potrzebuję kogoś.

- Po co?

- Żeby mnie kochał.

Weszła matka i wyczuła ciężką atmosferę.

- Szybko zasnął - powiedziała. - Jeszcze zanim Kopciuszek poszedł na bal. Myślę, że spakuję się trochę, żeby nie zostawiać wszystkiego na jutro.

Wyszła z kuchni.

- Czy myślisz, że to się kiedyś zmieni, Davidzie? - zapytała Lucy.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Czy będzie między nami tak, jak było przed ślubem?

- Pod warunkiem, że odrosną mi nogi.

- O Boże, czy nie rozumiesz, że to mi wcale nie przeszkadza. Chcę tylko, żebyś mnie kochał.

David wzruszył ramionami.

- To twoje zmartwienie.

Wyszedł, zanim się rozplakała.

Matka nie została na dalsze dwa tygodnie. Następnego dnia Lucy odprowadziła ją na molo. Padał ulewny deszcz i obie włożyły kalosze. Stały w milczeniu czekając na łódź i patrzyły, jak krople spadają na powierzchnię morza. Matka trzymała Jo w ramionach.

- Z czasem wszystko się zmieni, zobaczysz - mówiła. - Cztery lata wcale nie liczą się w małżeństwie.

- Nie przypuszczam, żeby się zmieniło - powiedziała Lucy - a wszystko, co mogę zrobić, to czekać. Jest przecież Jo, wojna i kalectwo Davida... Jak mogę odejść?

Pojawiła się łódź i Lucy wymieniła matkę na trzy skrzynki żywności i pięć listów. Morze było bardzo burzliwe. Matka usiadła w małej kabinie. Machali do niej idąc brzegiem. Lucy poczuła się bardzo samotna, a Jo zaczął płakać.

- Nie chcę, żeby babcia odjeżdżała - skarżył się.

- Ja też nie - szepnęła Lucy.

Rozdział 10

Godliman i Bloggs szli obok siebie chodnikiem zbombardowanej handlowej ulicy Londynu. Stanowili bardzo niedobraną parę: zgarbiony, podobny do ptaka profesor w grubych okularach i z fajką, który podążał krótkimi, drobnymi kroczkami, jakby nie bardzo wiedział, dokąd zmierza, i młodzieniec o ogromnych stopach i jasnych włosach, z rezerwowym wyrazem twarzy, ubrany w prochowiec detektywa i śmieszny kapelusz. Wyglądali jak postacie żywcem wzięte z komiksu.

- Myślę, że Die Nadel jest dobrze ustosunkowany - mówił Godliman.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Bo jego bezczelność uchodzi mu bezkarnie. Te jego "Pozdrowienia dla Williego". Przeznaczone pewnie były dla Canarisa.

- Myślisz, że jest kumplem Canarisa?

- Jest kumplem kogoś ważnego, może nawet ważniejszego niż sam Canaris.

- Coś mi mówi, że to nas gdzieś zaprowadzi.

- Ludzie ustosunkowani na ogół zawierają przyjaźnie w szkole, na uniwersytecie albo w college'u. Spójrz na to.

Przechodzili właśnie obok sklepu, który w miejscu okna wystawowego miał dużą pustą jamę. Na ramie okiennej ktoś przybił skleconą prymitywnie tabliczkę z ręcznie wykonanym napisem: "Bardziej otwarte niż zazwyczaj".

Bloggs zaśmiał się i powiedział: - Widziałem podobny napis przed zbombardowanym posterunkiem policji: "Nie rozrabiajcie - nadal czuwamy".

- To staje się już sztuką w swoim rodzaju.

Ruszyli dalej.

- A co byś powiedział, gdyby tak Die Nadel chodził do szkoły z kimś wysoko postawionym w Wehrmachcie? - zapytał Bloggs.

- Istnieje zwyczaj przechowywania szkolnych zdjęć. Midwinter w suterenie na Kensingtonie (w tym domu, z którego korzystała MI6 przed wojną) przechowuje kolekcję tysięcy fotografii niemieckich oficerów, zdjęcia z parad wojskowych, uściski dłoni z Hitlerem, fotografie z gazet, wszystko, czego sobie tylko życzymy.

- Rozumiem - powiedział Bloggs. - Jeśli się nie mylisz i Die Nadel rzeczywiście ukończył niemiecki odpowiednik naszej szkoły w Eton czy Sandhurst, prawdopodobnie mamy gdzieś jego zdjęcie.

- Prawie na pewno. Szpiegdy na ogół notorycznie boją się aparatów fotograficznych, ale przecież nie zostają szpiegami w okresie wczesnej młodości. Ten, którego znajdziemy w materiałach Midwintera, to będzie bardzo młody Die Nadel.

Minęli duży lej po bombie przed zakładem fryzjerskim. Napis w oknie oznajmiał: "Tanie i szybkie golenie".

- Ale w jaki sposób go rozpoznamy? Nikt go nigdy nie widział - zmartwił się Bloggs.

- Mylisz się. W pensjonacie pani Garden na Highgate znają go dość dobrze.

Dom w stylu wiktoriańskim stał na wzgórzu wznoszącym się nad miastem. Był to budynek z czerwonej cegły i Bloggsowi przyszło na myśl, że wygląda, jakby się gniewał widząc szkody, jakie Hitler wyrządził jego miastu. Był bardzo wysoki, wymarzone miejsce do nadawania informacji drogą radiową. Die Nadel wybrałby pewnie pokój na samej górze. Bloggs zastanawiał się, jakie tajemnice zostały przekazane z tego miejsca do Hamburga w ponurych dniach roku 1940.

Współrzędne geograficzne stalowni i fabryk samolotów, szczegóły dotyczące umocnień na wybrzeżach, plotki polityczne, raporty o maskach przeciwgazowych, schronach przeciwlotniczych, workach z piaskiem, pogłoski o brytyjskich nastrojach, wykaz zniszczeń spowodowanych bombardowaniem.

Drzwi otworzył starszy mężczyzna w czarnej kurtce i pasiastych spodniach.

- Dzień dobry. Jestem inspektor Bloggs ze Scotland Yardu. Chciałbym zamienić słówko z gospodarzem.

Bloggs zauważył błysk strachu w oczach mężczyzny. Młoda kobieta pojawiła się nagle w przejściu i powiedziała: - Proszę wejść.

Wytapetowany korytarz pachniał woskową pastą do podłogi. Bloggs powiesił kapelusz i płaszcz na wieszaku. Stary mężczyzna zniknął w czeluściach domu, a kobieta wprowadziła Bloggsa do bawialni. Pokój urządzony był staromodnie i bogato drogimi meblami. Na wózku stały butelki whisky, dżinu i sherry; żadna z nich nie była jednak otwarta. Kobieta usiadła na misternie rzeźbionym

fotelu i założyła nogę na nogę.

- Dlaczego ten starszy pan boi się policji? - zapytał Bloggs.

- Mój teść jest niemieckim Żydem. Przyjechał tutaj w 1935, uciekając przed Hitlerem, a w 1940 umieściliście go w obozie koncentracyjnym. Jego żona wiedząc, co ją czeka, popełniła samobójstwo. Niedawno teść został wypuszczony z Isle of Man. Dostał list od króla z wyrazami ubolewania z powodu niewygod, na jakie został narażony.

- My nie mamy obozów koncentracyjnych - sprostował Bloggs.

- Ależ to właśnie Anglicy założyli pierwsze obozy tego rodzaju w Południowej Afryce - powiedziała gospodini. - Nie wiedział pan? Chlubimy się naszą historią, tylko że jakoś nie pamiętamy pewnych faktów. Bardzo łatwo przymykamy oczy, jeśli prawda jest dla nas niemiła.

- Czy to takie ważne? - spytał Bloggs.

- Co takiego?

- W roku 1939 przymknęliśmy oczy, aby nie wiedzieć, że nie możemy wygrać wojny z Niemcami - no a teraz?

- Zupełnie jak gdybym słyszała słowa mojego teścia. On nie jest takim cynikiem jak ja. Co możemy zrobić, żeby pomóc Scotland Yardowi?

Rozmowa bawiła Bloggsa i niechętnie wrócił myślą do czekającego go zadania.

- Chodzi o morderstwo, które popełniono w tym domu cztery lata mu.

- To szmat czasu.

- Pewne nowe poszlaki dopiero teraz wyszły na jaw.

- Tak, pamiętam dobrze tę sprawę, oczywiście. Poprzednia właścicielka została zabita przez faceta, który wynajmował u niej pokój. Mój mąż wykupił dom od egzekutora. Nie miała żadnych spadkobierców.

- Chciałbym odszukać ludzi, którzy tu wtedy mieszkali.

- Rozumiem. - Cała wrogość kobiety gdzieś znikła, a na jej inteligentnej twarzy widać było wysiłek osoby starającej się coś sobie przypomnieć. - Kiedy przyjechaliśmy, mieszkało tu trzech mężczyzn, którzy byli w tym domu w czasie zabójstwa: oficer marynarki na emeryturze, sprzedawca i młody chłopak z Yorkshire. Chłopiec wstąpił do wojska i jeszcze ciągle pisuje do nas listy. Sprzedawcę też powołali i zginął na morzu. Dowiedziałam się o tym, bo jego pięć żon nawiązało z nami kontakt. A komandor ciągle jeszcze tu mieszka.

- Ciągle mieszka?! - krzyknął Bloggs. Był to prawdziwy uśmiech szczęścia. - Chciałbym z nim porozmawiać.

- Oczywiście. - Wstała. - Bardzo się postarzał. Zaprowadzę pana do jego pokoju.

Poszli na pierwsze piętro, schodami przykrytymi dywanem.

- Gdy będzie pan z nim rozmawiał - powiedziała kobieta - postaram się odszukać ostatni list, jaki dostaliśmy od chłopca z wojska.

Zapukała do drzwi. Bloggs pomyślał z goryczą, że zrobiła dla niego więcej, niż jego własna gospodini.

- Otwarte! - zawołał głos z wewnątrz i Bloggs wszedł.

Komandor siedział na krześle obok okna; kolana miał przykryte kraciastym kocem. Ubrany był w kurtkę, koszulę i krawat, nosił też okulary o grubych szklach. Miał przerzedzone włosy, siwe wąsy, obwisłe policzki i pełno zmarszczek na twarzy, która kiedyś musiała się podobać kobietom. Pokój wypełniały pamiątki z przeszłości: obrazy przedstawiające statki na morzu, sekstans, luneta, fotografia komandora jako młodego chłopca na pokładzie HMS "Winchester".

- Niech pan spojrzy na niego - odezwał się staruszek patrząc przez szybę. - Ciekaw jestem,

dlaczego ten facet nie jest jeszcze w wojsku.

Bloggs podszedł do okna. Wóz z koniem rozwożący pieczywo stał przy krawężniku blisko domu; podstarzała szkapa zanurzyła pysk w worku z sianem, podczas gdy wnoszono towar. "Ten facet" okazał się być kobietą z krótko przystrzyżonymi jasnymi włosami, ubraną w spodnie. Miała imponujący biust. Bloggs roześmiał się.

- To kobieta w spodniach - wyjaśnił.

- Chryste Panie, naprawdę? - Komandor odwrócił się od okna. - Dzisiaj to już nic nie wiadomo.

Kobiety w spodniach, coś takiego!

Bloggs przedstawił się i zaczął wyjaśniać powód swojej wizyty.

- Wróciliśmy niedawno do sprawy morderstwa, jakie popełniono w tym mieszkaniu w roku 1940. Wydaje mi się, że mieszkał pan tutaj w tym samym czasie, co główny podejrzany, niejaki Henry Faber.

- Zgadza się. W czym mogę panu pomóc?

- Czy dobrze pamięta pan Fabera?

- Bardzo dobrze. Wysoki facet, szatyn, inteligentny, spokojny. Chodził raczej w zniszczonych ubraniach i jeśli ocenia pan ludzi według ich wyglądu, łatwo mógł się pan co do niego pomylić. Lubiłem go, chciałem się nawet z nim zaprzyjaźnić, ale wcale nie życzył sobie tego. Był chyba w pana wieku.

Bloggs stłumił uśmiech; przyzwyczał się już, że ludzie zakładali, że ma więcej lat niż w rzeczywistości, z prostej przyczyny, że był detektywem.

- Jestem pewien, że on tego nie zrobił - dodał komandor. - Znam się trochę na ludziach, szybko się ich poznaje pracując na statku, i jeśli ten facet był zбочeńcem seksualnym, to ja jestem Hermannem Goeringiem.

Bloggs skojarzył nagle blondynkę w spodniach z pomyłką dotyczącą jego wieku i konkluzja przygnębiła go trochę.

- Wie pan co, powinien pan zawsze żądać pokazania legitymacji, gdy odwiedza pana policja - zauważył. Komandor był trochę zaskoczony.

- Dobrze więc, niech mi ją pan pokaże.

Bloggs otworzył portfel w taki sposób, żeby odsłonić zdjęcie Christine.

- Proszę - powiedział.

Komandor przyglądał się zdjęciu przez chwilę, a potem oznajmił: - Bardzo duże podobieństwo.

Bloggs westchnął. Staruszek był prawie ślepy. Wstał.

- To wszystko na dzisiaj - rzucił. - Dziękuję.

- Jestem do pana dyspozycji. Jeśli tylko na coś się przydam - zaproponował komandor. - Anglia niewiele ma dziś ze mnie pożytku. Wie pan, trzeba rzeczywiście być skończonym fajtłapą, jeśli nawet Home Guard człowieka nie chce.

- Do widzenia - powiedział Bloggs i wyszedł z pokoju. Gospodyni czekała w hallu na dole. Wręczyła Bloggsowi list.

- Adresuje się na numer poczty polowej - wyjaśniła. - Na pewno łatwo go pan znajdzie.

- Wiedziała pani, że komandor w niczym nam nie pomoże? - zapytał Bloggs.

- Spodziewałam się tego. Ale on tak się cieszy z każdej wizyty. - Otworzyła drzwi.

Pod wpływem nagłego impulsu Bloggs zaproponował: - Czy nie zjadłaby pani ze mną obiadu?

Cień przemknął przez jej twarz.

- Mój mąż jest ciągle na Isle of Man.

- Przepraszam, myślałem...

- Nic nie szkodzi. Bardzo mi pan pochlebił.
 - Chciałem panią przekonać, że nie jesteśmy gestapo.
 - Wiem, że nie jesteście. Po prostu samotne kobiety stają się zgryźliwe.
 - Straciłem żonę w czasie bombardowania - powiedział Bloggs.
 - Więc pan wie, jak wojna wyzwała nienawiść.
 - Wiem dobrze - zgodził się Bloggs. Schodził po schodach.
- Drzwi zamknęły się za nim. Zaczął padać deszcz.

Wtedy też padał deszcz. Bloggs spóźnił się. Razem z Godlimanem przeglądali nowy materiał. Spieszył się teraz, żeby móc spędzić pół godziny z Christine, zanim żona znowu pojedzie swoim ambulansem. Na ulicy było ciemno; nalot już się zaczął. To, co Christine widziała w nocy, było tak straszne, że nie mogła o tym mówić.

Bloggs był z niej bardzo dumny. Ludzie, z którymi pracowała, twierdzili, że ona jedna była lepsza od dwóch mężczyzn, miotała się po zaciemnionym Londynie prowadząc samochód jak stary kierowca, gwizdząc brała zakręty na dwóch kołach i opowiadała kawały wśród płomieni bombardowanego miasta. Nazywali ją "Nieustraszona". Tylko Bloggs znał prawdę; nadrabiając miną umierała ze strachu. Wiedział o tym, ponieważ wstając rano widział jej przerażone oczy, kiedy wracała do domu po skończonej służbie i mogła odpocząć przez parę godzin.

Deszcz przybierał na sile, kiedy Bloggs wysiadał z autobusu. Nasunął głębiej kapelusz i podniósł kołnierz płaszcza. W kiosku kupił papierosy dla Christine: jak wiele kobiet zaczęła niedawno palić. Sprzedawca pozwolił mu wziąć tylko pięć ze względu na braki w dostawach. Włożył je do bakelitowej papierośnicy od Woolwortha.

Policjant zatrzymał go prosząc o pokazanie dowodu osobistego; niepotrzebna strata następnych paru minut. Przez ulicę przejechał ambulans podobny do tego, który prowadziła Christine; okazał się zarekwirowaną, pomalowaną na szaro ciężarówką do przewożenia owoców.

Kiedy zbliżał się do domu, ogarnęło go dziwne zdenerwowanie. Coraz wyraźniej słychać było eksplozje i głośny warkot samolotu. Tego wieczora wschodnia część Londynu zostanie zbombardowana: spędzi chyba tę noc w schronie Morrisona. Usłyszał głośny huk, przerażająco blisko, i przyspieszył kroku. Kolację zabierze ze sobą do schronu.

Za rogiem ulicy, na której mieszkał, zobaczył ambulans i straż pożarną. Zaczął biec.

Bomba upadła mniej więcej na środku ulicy, po tej stronie, gdzie mieszkał. Chyba niedaleko ich domu. Jezusie, nie w nas, nie...

Trafiła prosto w dach i budynek złożył się jak domek z kart. Pobiegł do tłumu ludzi, sąsiadów, strażaków i ochotników.

- Czy nic się nie stało mojej żonie? Gdzie ona jest? Czy jest w środku?

Strażak popatrzył na niego ze współczuciem.

- Nikt nie wyszedł z tego domu, bracie.

Ratownicy szukali ofiar wśród gruzów. Nagle jeden z nich krzyknął: - Tutaj! - Potem dodał: - Do cholery, to przecież "Nieustraszona" Bloggs.

Fryderyk zaczął się przeciskać do miejsca, gdzie stał mężczyzna. Christine leżała przywalona ciężkim blokiem ściany, pod którym widać było jej twarz z zamkniętymi oczami.

Ratownik krzyknął: - Podnosimy, chłopcy! Raz, dwa trzy!

Christine jęknęła i poruszyła się.

- Ona żyje! - krzyknął Bloggs. Ukłękł obok niej i usiłował podnieść kawał gruzu.

- Nie dasz rady, synu - powiedział ratownik. Betonowy blok drgnął jednak w rękach Bloggsa.

- Uważaj, bo się zabijesz - przestrzegali stojący obok mężczyźni i pochylił się, żeby mu pomóc. Wnieśli blok parę stóp nad ziemią i złapali go mocniej. Ciężar nie leżał już na piersiach Christine. Dwaj inni mężczyźni pospieszili z pomocą.

- Wyciągnę ją stamtąd - powiedział Bloggs.

Wsunął się pod stromy dach cegieł i wziął żonę na rękę.

Ktoś krzyknął: - Cholera, obsuwa się!

Bloggs wydostał się szybko, trzymając Christine mocno w ramionach. Mężczyźni widząc, że jest bezpieczny, puścili blok i szybko odskoczyli na bok. Gruz spadł na ziemię z ogłuszającym łoskotem i wtedy Bloggs zrozumiał, że Christine, która przedtem dźwigała jego ciężar, nie ma właściwie szansy przeżycia.

Zaniósł ją do ambulansu, który odjechał natychmiast. Przed śmiercią otworzyła jeszcze oczy i powiedziała: - Będziesz musiał wygrać tę wojnę beze mnie, kochanie.

Rok później, kiedy schodził ze wzgórza Highgate w stronę rozpościerającego się niżej Londynu, a spływające po jego twarzy krople deszczu mieszały się ze łzami, pomyślał, że kobieta, którą spotkał w domu szpiega, powiedziała wielką prawdę: wojna wyzwala nienawiść.

W czasie wojny chłopcy stają się mężczyznami, a mężczyźni żołnierzami, którzy z kolei awansują, i dlatego też osiemnastoletni Billy Parkin, który powinien pracować jako czeladnik w garbarni swego ojca w Scarborough, znalazł się w wojsku, gdzie uwierzono, że skończył dwadzieścia jeden lat. Szybko awansował do rangi sierżanta i otrzymał rozkaz przeprowadzenia pododdziału przez gorący suchy las do zakurzonej wioski włoskiej z chatami o pobielonych ścianach.

Włosi już skapitulowali, ale Niemcy zaciekle bronili Półwyspu Apenińskiego przed inwazją alianatów. Alianci zmierzali w stronę Rzymu i dla rekrutów sierżanta Parkina była to daleka droga.

Wyszli z lasu na szczyt wzgórza i padli płasko na ziemię, żeby przyjrzeć się leżącej w dole wiosce. Parkin wyjął lornetkę i powiedział: - Oddałbym wszystko za pieprzoną filiżankę herbaty.

W czasie wojny nauczył się pić alkohol, palić papierosy, zajmować kobietami i kłąć jak setki innych żołnierzy. Dawno przestał chodzić na nabożeństwa do kościoła.

Niektóre wioski poddały się, inne podejmowały walkę. Parkin prowadził rozpoznanie według starego sposobu; ponieważ nie wiadomo było, które zechcą się bronić, więc do wszystkich podchodził bardzo ostrożnie, a do tego trzeba było czasu.

Na zboczach wzgórza zobaczył małą osłonę w postaci paru krzaków, wioska rozpościerała się u stóp wzniesienia. Było w niej parę białych domów, rzeka z drewnianym mostem i trochę więcej domów wokół małego placu, na którym stał ratusz i wieża z zegarem. Od wieży aż do mostu była doskonała widoczność; jeżeli wróg był w wiosce, mógł się ukryć tylko na ratuszu. Na sąsiednich polach uwijały się małe figurki; diabli wiedzą, kto to taki. Mogli to być prawdziwi wieśniacy lub też członkowie jakiejś rodzimej grupy: *fascisti*, *mafia*, *corsos*, *partigianos*, *communisti*... czy nawet Niemcy. Póki nie wywiązała się strzelanina, trudno było zgadnąć, po czyjej są stronie.

- Ruszaj, kapralu! - wrzasnął Parkin.

Kapral Watkins wycofał się do lasu i pięć minut później wyłonił się na zakurzonej drodze wiodącej do wioski, ubrany w cywilny kapelusz i brudny stary koc, który zarzucił na swój mundur. Włókł się raczej niż szedł i przewiesił sobie przez ramię tobołek, który mógł być wszystkim, począwszy od worka z cebulą, a skończywszy na upolowanym zającu. Doszedł do skraju wsi i zniknął wewnątrz niskiej chałupy.

Po chwili pojawił się na nowo. Stał blisko ściany, skąd nie było go widać od strony wioski, spojrzał na szczyt wzgórza, gdzie czekali żołnierze, i pomachał ręką: raz, dwa, trzy.

Oddział ruszył w dół wzgórza w kierunku wioski.

- Melduję, sierżancie, że wszystkie domy są puste - powiedział Watkins.

Parkin skinął głową. W końcu o niczym to jeszcze nie świadczyło. Mijali domy, kierując się w stronę rzeki.

- Twoja kolej, Smiler. Przepłyn tę Missisipi.

Szeregowy "Smiler" Hudson starannie złożył swój ekwipunek, zdjął hełm, buty i bieliznę, po czym wszedł do wąskiego strumienia. Po chwili wyłonił się po drugiej stronie, wyszedł na brzeg i zniknął między domami. Tym razem musieli dłużej czekać: większy teren do zbadania. W końcu Hudson pojawił się na drewnianym moście.

- Jeżeli tu ktoś jest, to musi się dobrze ukrywać - powiedział.

Przeniósł swoje rzeczy i oddział przeszedł most, kierując się w stronę wioski. Zbliżając się do rynku, starali się nie iść środkiem ulicy. Jakiś ptak wyfrunął ze strychu jednego z domów i przestraszył Parkina. Niektórzy żołnierze, przechodząc, kopnięciem otwierali drzwi. Mieszkania były puste.

Stali u samego wylotu ulicy i Parkin głową wskazał ratusz.

- Czy byłeś tam w środku, Smiler?

- Tak jest, panie sierżancie.

- Wygląda na to, że wioska jest nasza.

- Tak jest.

Parkin ruszył, żeby przejść przez plac i wtedy właśnie się zaczęło. Usłyszeli huk karabinów i świst kul nad głowami. Ktoś krzyknął. Parkin biegł, uskakiwał, pochylał się. Watkins leżał przed nim, wyjąc z bólu i ściskając nogę. Parkin podniósł go; kula odbiła się od jego hełmu. Pognał do najbliższego domu, wyważył drzwi i upadł na podłogę.

Strzelanina ustała. Parkin zaryzykował i wyrzwał na ulicę. Jeden żołnierz leżał ranny na placu; był to Hudson. Hudson przewrócił się na plecy i usłyszeli pojedynczy strzał. Nie poruszył się już więcej.

- Cholerny idiota - szepnął Parkin.

Watkins klnąc manipulował przy swojej nodze.

- Kula w środku? - zapytał Parkin.

- Ojej! - jęknął Watkins, potem się skrzywił i coś podniósł. - Już jej nie ma.

Parkin wyrzwał znowu na zewnątrz.

- Siedzą skurczybyki na wieży z zegarem - powiedział. - I kto by pomyślał, że jest tam aż tyle miejsca. Nie może być ich wielu.

- Strzelają jednak całkiem nieźle.

- Tak. Załatwili nas. - Parkin zmarszczył brwi. - Czy mamy jakieś "sztuczne ognie"?

- Tak.

- Zobaczmy je więc. - Parkin otworzył plecak Watkina i wyciągnął dynamit. - W porządku.

Przymocuj dziesięciosekundowy lont - powiedział.

Reszta oddziału siedziała w domu po drugiej stronie ulicy.

- Hej, wy tam! - zawołał Parkin. W drzwiach ukazała się twarz żołnierza.

- Tak jest, sierżancie? - zameldował się.

- Za chwilę rzucę "petardę". Kiedy krzyknę, osłońcie mnie ogniem.

- Rozkaz!

Parkin zapalił papierosa. Watkins podał mu laskę dynamitu.

- Ognia! - wrzasnął Parkin. Podpalił lont końcem papierosa, wyszedł na ulicę i z całej siły

rzucił ładunek w stronę wieży z zegarem. Wycofał się do domu, w uszach dzwoniło mu od łoskotu wystrzałów jego ludzi. Jakiś pocisk oderwał kawałek drewna i drzazga wbiła mu się w podbródek. Usłyszał eksplozję.

Zanim zdążył się zorientować, co się dzieje, ktoś po drugiej stronie ulicy wrzasnął: - Cholera jasna!

Parkin wyszedł na zewnątrz. Stara wieża z zegarem rozpadła się. Słysząc było bezsensowne bicie dzwonów, kiedy kurz osiadł na ruinach.

- Czy grywał pan kiedyś w krykieta? Cholernie dobry był ten rzut - pochwalił Parkina Watkins.

Parkin zbliżył się do środka placu. Leżały na nim strzępy porozrywanych na kawałki ciał jakichś trzech Niemców.

- Wieża, w każdym razie, nie była zbyt mocna. Prawdopodobnie rozpadłaby się, gdybyśmy razem wszyscy kichnęli. - Odwrócił się. - Nowy dzień, nowy dolar. - Było to powiedzenie często używane przez Jankesów.

- Sierżancie. Wzywają pana - oznajmił radiotelegrafista.

Parkin wszedł do domu i wziął słuchawkę.

- Tu sierżant Parkin.

- Tu major Roberts. Jest pan zwolniony ze służby liniowej, sierżancie.

- Ale dlaczego? - Pierwszą myślą Parkina było, że odkryli jego prawdziwy wiek.

- Dowództwo potrzebuje pana w Londynie. Niech mnie pan nie pyta dlaczego, bo sam nie wiem. Pański pluton obejmuje kapral, a pan niech wraca na tyły. Wysyłam samochód.

- Rozkaz, panie majorze.

- Pod żadnym pozorem nie wolno panu ryzykować swego życia. To rozkaz. Zrozumiano?

Parkin uśmiechnął się krzywo, myśląc o wieży i dynamicie.

- Zrozumiano - powiedział.

- W porządku. Niech pan rusza. Prawdziwy szczęściarz z pana - pożegnał go major.

Bloggs pomyślał, że wszyscy mówią o Parkinie jak o chłopcu, ale przecież znali go, zanim wstąpił do wojska. Teraz nie było żadnych wątpliwości, że stał się mężczyzną. W ruchach przebijała pewność siebie i młodzieńczy urok, spojrzenie miał bystre, a w obecności wyższych oficerów zachowywał szacunek, nie czując jednak najmniejszego zakłopotania. Bloggs zgadywał, że chłopak ukrywa swój prawdziwy wiek, może nie w swoim wyglądzie i sposobie bycia, ale w drobnych nienaturalnościach, które Bloggs, wytrawny obserwator, dostrzegał, ilekroć była mowa o wieku.

Na początku rozbawił Parkina fakt, że kazali mu przeglądać zdjęcia, ale trzeciego dnia pobytu w zakurzonej piwnicy Midwintera na Kensingtonie nastrój rozbawienia minął, ustępując miejsca znużeniu. Najbardziej irytował go zakaz palenia papierosów. Znacznie bardziej od Parkina znudzony był Bloggs, który w czasie oglądania zdjęć musiał pilnie obserwować reakcje chłopaka.

W pewnej chwili Parkin zdenerwował się: - Nie ściągaliście mnie przecież z Włoch po to, żebym wam pomógł w rozwiązaniu sprawy zabójstwa sprzed czterech lat. Mogłoby to poczekać do końca wojny - powiedział. - Poza tym te zdjęcia są przeważnie fotografiami niemieckich oficerów. Jeśli jest to sprawa, o której mam nie puszczać pary z gęby, najlepiej zrobicie, jeśli mi to od razu powiecie.

- Tak, lepiej będzie, jeśli nie puścisz pary z gęby - powiedział Bloggs.

Parkin powrócił do przeglądania zdjęć. Wszystkie były stare, wiele wyblakłych i pożółkłych. Część pochodziła z książek, czasopism i gazet. Czasami Parkin podnosił lupe, w którą przezornie zaopatrzył go Midwinter, żeby przyjrzeć się dokładnie małej twarzy w dużej grupie, i wtedy za każdym razem serce Bloggsa zaczynało bić mocniej, aż do momentu, kiedy Parkin odkładał szkło i

brał następne zdjęcie.

Poszli do najbliższego pubu zjeść lunch. Tak jak wszędzie w czasie wojny, piwo było słabe, niemniej Bloggs zdecydował, że lepiej będzie jeśli młody Parkin ograniczy się tylko do dwóch kufli; gdyby go nie powstrzymał, chłopak wypiłby pewnie cały galon.

- Faber był bardzo spokojnym facetem - powiedział Parkin. - Absolutnie nikt go nie podejrzewał. Niech pan pamięta, że gospodyni była zupełnie niczego sobie i w końcu sama chciała. Wydaje mi się teraz, że sam bym ją poderwał, gdybym wtedy wiedział, jak się do tego zabrać. No, ale wtedy miałem tylko osiemnaście lat.

Jedli chleb z serem i Parkin pochłaniał ogromne ilości marynowanych cebulek. Potem wyszli z pubu i zatrzymali się na chwilę przed domem, gdzie Parkin wypalił następnego papierosa.

- Widzi pan, on był dość wysokim facetem, przystojnym i wygadany. Wszyscy myśleliśmy, że nie był nikim ważnym, bo marnie się ubierał, jeździł na rowerze i nie miał za wiele pieniędzy. Przypuszczam, że był to sprytny kamuflaż.

- Całkiem prawdopodobne - zgodził się Bloggs.

Tego popołudnia Parkin znalazł nie jedno, ale trzy zdjęcia Fabera. Jedno z nich zrobione było tylko dziewięć lat wcześniej. Jego negatyw miał Midwinter.

Heinrich Rudolph Hans von Mueller-Guder (- Nazywajmy go po prostu Faber - powiedział Godliman śmiejąc się) urodził się 26 maja 1900 roku we wsi Oln na Pomorzu. Rodzina jego ojca składała się z wpływowych obszarników, którzy mieszkali na tych terenach od pokoleń. Jego ojciec, tak jak i Faber, był drugim z kolei synem. W Prusach każdy drugi syn zostawał oficerem w wojsku. Jego matka, córka wysokiego dostojnika Drugiej Rzeszy, wychowywana była na żonę arystokraty, którą też i została.

W wieku lat trzynastu Faber posłany został do szkoły kadetów w Karlsruhe w Badenii. Dwa lata później przeniesiono go do bardziej elitarniej szkoły w Gross-Lichterfelde, niedaleko Berlina. Obie szkoły były instytucjami, w których przestrzegano surowej dyscypliny i wtlaczano wiedzę przy pomocy różgi, zimnych kąpeli i złego jedzenia. Heinrich nauczył się tam jednak mówić płynnie po angielsku, francusku, studiował historię i zdał maturę otrzymując najwyższą ocenę, jaką pamiętano od początku stulecia. Na wzmiankę zasługują jeszcze tylko trzy ważne wydarzenia z tego okresu: podczas srogiej zimy Heinrich zbuntował się przeciwko kierownictwu szkoły do tego stopnia, że jednej nocy uciekł i przeszedł sto pięćdziesiąt mil do domu swej ciotki; złamał rękę instruktorowi zapaśnictwa w czasie jednej z lekcji i raz został wychłostany za nieposłuszeństwo.

W roku 1920 przez krótki czas odbywał służbę jako podchorąży w strefie neutralnej Friedrichsfeld, niedaleko Wesel, w roku 1921 otrzymał wyszkolenie oficerskie w Szkole Wojennej w Metz i w 1922 awansowano go do stopnia podporucznika.

W ciągu następnych paru lat przenoszono go z miejsca na miejsce, przygotowując do pracy w Sztabie Generalnym. W dalszym ciągu wyróżniał się jako doskonały sportowiec, specjalizujący się w biegach długodystansowych. Nie miał wielu bliskich przyjaciół, nigdy się nie ożenił, nie chciał też zapisać się do Partii Narodowosocjalistycznej. Awans na porucznika był nieco opóźniony przez bliżej nie wyjaśnione zdarzenie, kiedy córka podpułkownika z Ministerstwa Obrony zaszła w ciążę, niemniej nastąpił w końcu roku 1928. Jego zwyczaj zwracania się do wyższych rangą oficerów w taki sposób, jak gdyby byli równi mu stopniem, został uznany za wybaczalny, ponieważ Faber był jednocześnie dobrze zapowiadającym się młodym oficerem i pruskim arystokratą.

W późnych latach dwudziestych admirał Wilhelm Canaris zaprzyjaźnił się ze stryjem Heinricha, Ottonem, który był starszym bratem jego ojca, i często spędzał wakacje w rodzinnym majątku w Oln.

W roku 1931 Adolf Hitler, który nie był jeszcze kanclerzem Rzeszy, bawił tam także jako gość.

W 1933 Heinrich został kapitanem i pojechał do Berlina, gdzie powierzono mu pewne tajemnicze zadanie. Z tego właśnie okresu pochodzi jego ostatnie zdjęcie. Od tej pory przestały się o nim ukazywać wzmianki w oficjalnie dostępnych środkach przekazu.

- Możemy dopowiedzieć całą resztę - powiedział Percival Godliman. - Abwehra szkolił go w łączności radiowej, szyfrach, rysowaniu map, włamaniach, szantażu i sztuce skrytobójstwa. Przyjechał do Londynu około roku 1937 i miał masę czasu na głębokie zakonspirowanie się; jego instynkt samotnika zaostriął się jeszcze poprzez udział w grach szpiegowskich. Od chwili wybuchu wojny zabijanie uważał za jeden ze swoich obowiązków. - Godliman spojrział na zdjęcie leżące na biurku. - Całkiem z niego przystojny facet.

Była to fotografia przedstawiająca reprezentację sportową 10 Batalionu Strzelców z Hanoveru. Faber stał w środku i trzymał puchar. Miał wysokie czoło, krótko przystryżone włosy, długi podbródek i małe usta, nad którymi widać było wąskie wąsiki.

Godliman podał zdjęcie Billy Parkinowi.

- Czy bardzo się zmienił?

- Wygląda teraz trochę starszej, ale może jest to skutek charakteryzacji. - Przez chwilę przyglądał się zdjęciu w skupieniu. - Ma teraz dłuższe włosy i zgolił wąsy, ale to na pewno on.

- W jego aktach są jeszcze dwie nie wyjaśnione sprawy - powiedział Godliman - po pierwsze, z dokumentów wynika, że zaczął pracować dla wywiadu w 1933 roku - dość oczywista hipoteza w przypadku, gdy dalsza kariera wojskowa urywa się z przyczyn nieznanych. Druga sprawa dotyczy pewnych podejrzeń, nie potwierdzonych jednak przez żadne z wiarygodnych źródeł, które sugerują, że Faber używając pseudonimu Wasily Zankov spędził parę lat na terenie Związku Radzieckiego.

- To mało prawdopodobne - powiedział Bloggs. - Zupełnie w to nie wierzę.

Godliman wzruszył ramionami.

- Niemniej faktem jest, że niemieccy agenci dokonali przed wojną prowokacji przeciwko pewnym wyższym oficerom radzieckim. Bloggs potrząsnął z niedowierzaniem głową i zmienił temat.

- Co teraz robimy?

- Przede wszystkim sierżant Parkin musi być do nas przeniesiony - odpowiedział Godliman po chwili namysłu. - Jest on jedynym człowiekiem, jakiego znamy, który rzeczywiście widział Die Nadla. Poza tym Parkin wie zbyt wiele, żebyśmy mogli ryzykować jego śmierć na froncie. Gdyby się dostał do niewoli, przesłuchiwany i torturowany mógłby wszystko zdradzić. Druga sprawa, to zrób dokładną odbitkę tej fotografii, a specjalista od retuszu niech domaluje więcej włosów i usunie wąsy. Potem roześlemy zdjęcia.

- Czy mamy narobić szumu wokół tej sprawy? - zapytał Bloggs niepewnie.

- Nie. Musimy teraz działać bardzo ostrożnie. Jeśli wiadomość dostanie się do prasy, Faber dowie się o wszystkim i zniknie. Na razie pošlij zdjęcia tylko na posterunki policji.

- To wszystko?

- Myślę, że tak. Chyba że macie jakiś pomysł.

Parkin przełknął ślinę.

- Panie majorze? - zapytał nieśmiało.

- Tak?

- Wolałbym jednak wrócić do oddziału. Nie nadaję się do pracy administracyjnej.

- Nie ma pan wyboru, sierżancie. Na etapie, na którym jesteśmy, jedna wioska mniej, jedna więcej nie odgrywa już żadnej roli, ale ten Faber może sprawić, że przegramy wojnę. To nie są żarty.

Rozdział 11

Faber pojechał na ryby. Ulokował się wygodnie na dnie długiej na trzydzieści stóp łodzi i płynął kanałem z szybkością trzech węzłów. Cieszył się ciepłem wiosennego słońca. Jedną ręką leniwie trzymał ster, druga spoczywała na wędce ciągnącej za sobą linkę. Przez cały dzień nie udało mu się złowić ani jednej sztuki. Żeby wytłumaczyć używanie lornetki przy łowieniu ryb, obserwował ptaki (oba te zajęcia wcale go nie interesowały, chociaż mimochodem nauczył się sporo o tych przeklętych ptakach). Tego dnia rano wypatrzył nawet gniazdo zimorodka).

Ludzie z przystani w Norwich chętnie wypożyczyli mu łódź na dwa tygodnie. Interes szedł źle; zostały im tylko dwie łodzie i jedna z nich nie była wykorzystana od czasów Dunkierki. Faber targował się trochę o cenę dla samej tylko zasady. W końcu dorzucili mu jeszcze skrzynię konserw.

Zakupił przynętę w pobliskim sklepie; sprzęt do łowienia przywiózł z Londynu. Ludzie, od których pożyczył łódź, zwrócili mu uwagę, że ma szczęście do pogody i życzyli mu udanych połowów. Nikt nawet nie poprosił o jego dowód tożsamości.

Wszystko do tej pory szło jak z płatka. Najtrudniejsza część misji jeszcze go czekała. Określenie siły nieprzyjaciela nie należało bowiem do łatwych zadań. Najpierw jednak trzeba było go znaleźć.

W okresie pokoju wojsko umieściłoby przy drodze swoje własne drogowskazy. Teraz jednak wszystkie znaki informacyjne zostały usunięte.

Najprostszym sposobem wykrycia miejsca postoju armii Pattona była jazda samochodem za pierwszym zauważonym samochodem wojskowym. Niestety Faber nie miał samochodu, osobom cywilnym utrudniano wypożyczanie pojazdów, a nawet gdyby udało mu się jakoś go zdobyć, pozostawał jeszcze problem benzyny. Zresztą widok samochodu, który przemierza kraj, posuwając się w ślad za samochodami wojskowymi, byłby mocno podejrzany.

Dlatego też zdecydował się na łódź. Parę lat przedtem, kiedy w Anglii nie było zakazu sprzedawania map, Faber odkrył, że Wielka Brytania ma tysiące mil dróg wodnych. Pierwotna sieć rzek została powiększona w dziewiętnastym wieku przez kanały. W pewnych regionach, takich jak na przykład Norfolk, sieć dróg wodnych była prawie tak gęsta, jak dróg lądowych.

Pływanie łodzią miało swoje plusy. Jadąc samochodem wyraźnie się dokądś zmierzało, człowiek na rzece po prostu pływał; spanie w stojącym samochodzie wyglądało podejrzanie, natomiast drzemka w przycumowanej łodzi była rzeczą jak najbardziej naturalną. Drogi wodne były puste. I czy słyszał kto kiedyś o blokowaniu kanałów?

Ale były też i minusy. Łądowiska i baraki wojskowe budowano raczej w pobliżu dróg, ich lokalizacja nie była uzależniona od dostępu do wody. Faber musiał penetrować teren w nocy. Opuszczał przycumowaną łódź i chodził po wzgórzach przy świetle księżyca. W trakcie swoich długich wypadów, gdy pokonywał odległości dochodzące do czterdziestu mil, bardzo łatwo mógł nie zauważyć z powodu ciemności obiektów wojskowych; nie miał też dość czasu, by dokładnie spenetrować każdą milę kwadratową.

Wracał do łodzi w kilka godzin po wschodzie słońca, spał do południa i potem płynął dalej, od czasu do czasu zatrzymując się, aby wejść na pobliskie wzgórze i rozejrzeć się po okolicy. Starał się rozmawiać z ludźmi, których spotykał w samotnych farmach czy przybrzeżnych pubach, łudząc się, że wyciągnie od nich jakąś wskazówkę dotyczącą rozlokowania armii. Wszystko na próżno.

W końcu zaczął się zastanawiać, czy nie powinien zmienić rejonu. Próbował wyobrazić sobie sposób rozumowania generała Pattona. Gdyby chciał dokonać inwazji na wschód od ujścia Sekwany wyruszając z bazy we wschodniej Anglii, w którym miejscu rozlokowałby tę bazę? Oczywiście w Norfolk ze względu na doskonałe warunki: pustkowia, wiele płaskich miejsc odpowiednich dla

samolotów oraz bliskość morza, umożliwiającą błyskawiczne wyruszenie. Wash wydawała się najlepszym miejscem do zgrupowania flotyli okrętów. Oczywiście jego przypuszczenia mogły być mylne z przyczyn mu nie znanych. Faber zrozumiał, że wkrótce będzie się musiał przenieść w inne okolice, może wybierze Fens.

Płynąc zbliżył się do śluzy i wypuścił wiatr z żagli, aby zmniejszyć szybkość. Powoli wsunął się do śluzy i lekko stuknął dziobem o jej wrota. Dom dozorca stał w niewielkiej odległości od brzegu. Faber zwinął dłonie w trąbkę i zawołał: - Hej, jest tam kto?! - Potem usiadł przygotowując się na długie czekanie. Kiedyś mówiono mu, że dozorca śluz nie lubią, kiedy się ich ponagla. Poza tym była to właśnie godzina, w której cała Anglia pije herbatę, nie sądził więc, aby mężczyzna zareagował na jego wołanie.

Jakaś kobieta wyszła przed dom i skinęła na niego ręką. Faber pomachał jej, potem wyskoczył na brzeg, przywiązał łódź i wszedł do domu. Dozorca siedział w samej koszuli przy stole kuchennym.

- Chyba się pan nie spieszy? - zapytał.

- Bynajmniej. - Faber uśmiechnął się.

- Mavis, nalej panu filiżankę herbaty.

- Nie chciałbym robić kłopotu - powiedział Faber grzecznie.

- Ależ to żaden kłopot, właśnie zaparzyliśmy cały imbryk.

- Dziękuję - powiedział Faber siadając. Mała kuchnia była jasna i czysta; herbatę podano mu w ładnej filiżance z chińskiej porcelany.

- Przyjechał pan na urlop łowić ryby? - zapytał dozorca.

- Łowić ryby i obserwować ptaki - odpowiedział Faber. - Chcę wkrótce przycumować i spędzić parę dni na łodzi.

- Ach, tak. Niech pan się trzyma drugiej strony kanału. Na tę stronę wstęp wzbroniony.

- Naprawdę? Nie wiedziałem, że te tereny zajmuje wojsko.

- Tak. Zaczynają się jakieś pół mili od mojego domu. Ale czy to jest wojsko, nie umiałbym odpowiedzieć. Nie poinformowali mnie.

- Myślę, że wcale nie musimy wiedzieć - zauważył Faber.

- Tak. Niech pan kończy pić herbatę, to prześluzuję pana. Dziękuję, że pozwolił mi pan dokończyć.

Wyszli z domu, Faber wsiadł do łodzi i odciągnął linkę. Tylne wrota zamknęły się za nim powoli i wtedy dozorca uchylił przednie. Łódź stopniowo unosila się w miarę napływu wody. Po wypełnieniu śluzy dozorca otworzył przednie wrota. Faber postawił żagle i wypłynął. Dozorca machał mu ręką na pożegnanie.

Faber zatrzymał się po przepłynięciu czterech mil i przywiązał łódź do potężnego drzewa na brzegu. Przed zapadnięciem nocy przyrządził sobie posiłek złożony z kiełbasy z puszki, sucharów i wody z butelki. Przebrał się w swoje czarne ubranie, włożył do chlebaka lornetkę, aparat fotograficzny i egzemplarz albumu "Rzadkie ptaki Wschodniej Anglii", kompas schował do kieszeni, w ręce trzymał latarkę. Był gotowy do marszu.

Skręcił knot naftowej lampy, zamknął drzwi kabiny i wyskoczył na brzeg. Zapalił latarkę, sprawdził kompas i wszedł do lasu ciągnącego się wzdłuż kanału.

Kierował się na południe i kiedy przeszedł jakieś pół mili, trafił na ogrodzenie. Był to płot wysokości sześciu stóp, zakończony drutem kolczastym. Faber cofnął się do lasu i wspiął się na wysokie drzewo.

Przez postrzępione chmury przebijał księżyc. Za płotem rozpościerała się otwarta przestrzeń z łagodnym wzniesieniem. Faber nie po raz pierwszy miał wykonać takie zadanie; robił to już

wcześniej w Biggin Hill, Aldershot i na terenach wojskowych całej południowej Anglii. Znał dwa sposoby zabezpieczenia dostępu na teren wojskowy: patrolowanie oraz posterunki wartownicze przy strzeżonych obiektach.

Faber wiedział, że działając ostrożnie i cierpliwie można uniknąć zarówno patroli, jak i posterunków. Zsunął się z drzewa, podszedł do płotu, ukrył się starannie za krzakiem i postanowił czekać.

Musiał sprawdzić, o jakiej porze patrol będzie tędy przechodził; jeśli się nie pojawi do świtu, Faber wróci tu następnej nocy. Przy tak dużym obszarze, patrol mógł okrążyć ogrodzenie tylko raz w ciągu nocy.

Miał szczęście, bo zaraz po dziesiątej usłyszał odgłos kroków i trzy sylwetki przeszły po drugiej stronie płotu. Pięć minut później Faber przeskoczył ogrodzenie. Nadal kierował się na południe, wiedząc, że najszybciej dociera się do celu idąc po linii prostej. Ani razu nie zapalił latarki. Starał się trzymać blisko płotu i drzew, tam gdzie tylko było to możliwe, i omijał wszelkie wzniesienia, gdzie nagłe światło księżyca mogło zdradzić jego obecność. Z rzadka porozrzucane chaty wydawały się czymś nierealnym w barwach czerni, szarości i srebra. Ziemia ugięła się pod stopami, jak gdyby zbliżał się do bagien. Zwinny lis mknął przez pole szybko niczym pies myśliwski.

Dochodziła już północ, kiedy Faber natknął się na pierwsze oznaki obecności wojska. Były raczej dziwne. W odległości niecałej mili zauważył w świetle księżyca kilka rzędów baraków ustawionych z regularnością właściwą budownictwu wojskowemu. Natychmiast padł na ziemię, nie mogąc uwierzyć w prawdziwość tego, co widzi. Okna baraków były bowiem ciemne i nie słyszał żadnych głosów.

Przez dziesięć minut leżał bez ruchu, czekając, aż sytuacja się wyjaśni, ale nic się nie zmieniło, tylko borsuk wyłonił się z ciemności, a potem na widok człowieka umknął w popłochu.

Faber zaczął pełzać przed siebie i kiedy był już dostatecznie blisko, zrozumiał, że baraki nie tylko są puste, ale i nie wykończone. Większość z nich składała się jedynie z dachu na słupach. Niektóre miały tylko jedną ścianę.

Nagle usłyszał czyjś śmiech i zamarł w bezruchu. Leżał, wstrzymując oddech, i czekał, co się stanie. Zobaczył błysk zapałki, która szybko zgasła, zostawiając dwa żarzące się punkty w jednym z nie dokończonych baraków. Domyślił się, że byli to wartownicy.

Faber sprawdził sztylet w fałdzie rękawa, a potem zaczął pełzać dalej w głąb obozu, starając się szerokim łukiem ominąć wartowników.

Nie wykończone budynki nie miały ani podłóg, ani fundamentów. W pobliżu nie było widać żadnych ciężarówek, taczek, betoniarek, łopat czy materiałów budowlanych. Błotnista droga prowadziła z obozu na pola, ale koleiny porośnięte były świeżą trawą; zrozumiał, że nikt tędy od dawna nie jechał.

Wyglądało, jak gdyby ktoś podjął decyzję zakwaterowania w tym miejscu dziesięciu tysięcy ludzi, a potem nagle zmienił zamiar. W parę tygodni po rozpoczęciu budowy. Zupełnie nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć.

Obserwował teren zachowując ostrożność na wypadek, gdyby wartownikom przyszło nagle do głowy zrobić obchód. W samym środku obozu stało parę wojskowych pojazdów. Były stare i pokryte rdzą, wymontowano z nich silniki i siedzenia. Jeżeli jednak ktoś chciał mieć jakiś pożytek ze starych gruchotów, dlaczego nie oddał karoserii na złom?

Rząd baraków z wykończonymi ścianami tworzył kraniec obozu. Przypominało to wszystko raczej dekorację do filmu niż autentyczną budowę.

Faber doszedł do wniosku, że niczego więcej tej nocy się nie dowie. Zbliżył się do

wschodniego skraju obozu, padł na ziemię i przeczołgał się pod płótem na tyle daleko, żeby zniknąć z pola widzenia. Pół mili dalej obejrzał się za siebie. Z tej odległości baraki wyglądały znowu jak wykończone budynki.

Zaświtała mu pewna myśl. Postanowił dokładniej spenetrować teren. Okolice nadal była względnie płaska, czasem tylko urozmaicona przez łagodne wzniesienia. Gdzieś wyrastały kępki drzew i krzewów, które stanowiły świetną kryjówkę. Musiał okrążyć jezioro, którego lustrzana powierzchnia połyskiwała w blasku księżyca. Słyszał pohukiwania sowy i kiedy spojrzał w tamtą stronę, zauważył walącą się stodołę. Po pięciu milach marszu natknął się na lotnisko polowe. Ilość samolotów przekraczała jego najśmielsze przypuszczenia o sile RAF-u. Stały tam Pathfindery uzbrojone w rakiety, Lancastery, amerykańskie B-24, myśliwskie i rozpoznawcze: Hurricane, Spitfire i Mosquito w ilości wystarczającej do wsparcia inwazji.

Wszystkie bez wyjątku miały podwozia zanurzone w miękkiej ziemi, kadłuby powalane błotem. I znowu nie zauważył żadnego światła i ruchu.

Faber przyjął tę samą taktykę, co przedtem. Czołgał się w stronę samolotów, aż zlokalizował miejsce posterunku wartowniczego. Na środku lotniska stał mały namiot. Słaby blask lampy przebijał przez płótno. Mogło tam być dwóch, może trzech mężczyzn.

Kiedy Faber zbliżył się do samolotów, wydały mu się podejrzanie płaskie i coraz niższe. Ze wzrastającym zdziwieniem podszedł do pierwszego z brzegu i dotknął jego kadłuba. Był to kawał dykty grubości pół cala, wyciętej na kształt sylwetki Spitfire'a i odpowiednio pomalowanej. Wszystkie atropy samolotów wykonano z tego samego materiału i Faber naliczył ich ponad tysiąc.

Wstał, kątem oka obserwując namiot, gotów paść na ziemię, gdyby pojawili się wartownicy. Obszedł wokół tej makietę lotniska, przyglądając się sztucznym bombowcom i myśliwcom, kojarząc je w myślach z dekoracją baraków, zupełnie oszołomiony tym, co odkrył.

Zdał sobie nagle sprawę, że jeśli będzie dalej penetrował teren, napotka więcej podobnych lotnisk i nie wykończonych baraków. Jeśli pojedzie do Wash, znajdzie tam pewnie tekturowe eskadry niszczycieli i makiety okrętów desantowych. Był to śmiały, precyzyjnie obmyślony, kosztowny i zakrojony na szeroką skalę plan. Celem jego nie było jednak oszukanie miejscowej ludności, lecz obserwatorów z powietrza. Nawet nisko lecący samolot wyposażony w nowoczesny sprzęt fotograficzny i bardzo czułe filmy wróciłby ze swej misji przywożąc zdjęcia, które w sposób niezbity ukazywałyby ogromną koncentrację wojsk lądowych i lotnictwa.

Nic więc dziwnego, że niemiecki Sztab Generalny spodziewał się inwazji na wschód od ujścia Sekwany. Anglicy obmyślili pewnie plan porozumiewania się z grupami generała Pattona drogą radiową przy pomocy szyfrów znanych Niemcom; sfalszowane raporty agentów zostały wysłane hiszpańską pocztą dyplomatyczną do Hamburga. I tak dalej, i tak dalej.

Anglicy mieli cztery lata, żeby się przygotować do tej inwazji. Przeważająca część wojsk niemieckich zajęta była walką na froncie wschodnim. Gdy tylko alianci postawią stopę na ziemi francuskiej, nic ich już nie powstrzyma. Zaatakowanie ich na samym brzegu i zniszczenie, w chwili gdy opuszczą okręty, stało się jedyną szansą dla Niemców. Jeżeli będą czekać na inwazję w złym miejscu, stracą tę ostatnią szansę.

Faber zrozumiał nagle cały ten prosty, ale jakże niebezpieczny plan. Musi koniecznie zawiadomić Hamburg. Zastanawiał się, czy mu uwierzą. Strategię wojenną rzadko zmieniano na podstawie raportu jednego człowieka. Wiedział, że jego zdanie szczególnie się liczy, ale czy do tego stopnia? Musiał mieć dowody i zabrać je do Berlina. Potrzebował zdjęć. Zrobił zdjęcia tej gigantycznej mistyfikacji, pojedzie do Szkocji, żeby spotkać się z łodzią podwodną, i osobiście doręczy dowody Führerowi. Nic więcej nie może zrobić.

Do fotografowania potrzebne jest światło, będzie więc musiał poczekać do świtu. Zapamiętał, że niedaleko stała zniszczona stodoła, postanowił spędzić w niej resztę nocy.

Sprawdził kompas i ruszył przed siebie. Stodoła okazała się bardziej oddalona, niż myślał, bo dopiero po godzinie marszu wyłoniła się na tle lasu. Był to stary drewniany budynek z dziurawym dachem. Szczury opuściły go już dawno z braku pożywienia i tylko nietoperze zadomowiły się na strychu.

Faber położył się na deskach, ale świadomość tego, że oto może zmienić przebieg największej w historii wojny, nie pozwalała mu zasnąć. Świt zaczynał się o 5.21. O godzinie 4.20 Faber opuścił stodołę.

Pomimo braku snu, dwie godziny odpoczynku sprawiły, że mięśnie trochę odpoczęły, umysł pracował sprawniej, a samopoczucie uległo znacznej poprawie. Zachodni wiatr przegnał chmury, więc chociaż księżyc się schował, nadal widać było gwiazdy.

Wszystko układało się pomyślnie. Kiedy zbliżył się do lotniska, już był prawie dzień. Wartownicy siedzieli jeszcze w namiocie. Prawdopodobnie spali; Faber wiedział z własnego doświadczenia, że najbardziej chce się spać we wczesnych godzinach rannych.

Wkręcił do aparatu fotograficznego "Leica" wysokoczuły film agfowski, pozwalający na wykonanie trzydziestu sześciu zdjęć. Miał nadzieję, że substancje chemiczne nie uległy rozkładowi, gdyż trzymał filmy w swojej walizce od chwili przybycia do Anglii. W czasie wojny kupno błon fotograficznych w tym kraju stało się niemożliwe. Nie przypuszczał jednak, aby coś mogło stać się jego filmom, gdyż przechowywał je w chłodnym miejscu i bez dostępu światła.

Kiedy czerwona kula słońca ukazała się nad horyzontem, zabrał się do robienia zdjęć. Robił całe serie, z różnych odległości i pozycji, kończąc na zbliżeniu jednego tekturowego samolotu; fotografie miały odkryć całą prawdę oszukańczego planu.

Kiedy skończył, kątem oka zauważył jakiś ruch. Padł płasko na ziemię i wczołgał się pod makietę jednego z samolotów. Z namiotu wynurzył się żołnierz, przeszedł parę kroków i oddał mocz pod drzewem. Potem przeciągnął się i ziewnął głośno, zapalając papierosa. Rozejrzał się odruchowo po lotnisku, wzdrygnął się i wrócił do namiotu.

Faber wstał i zaczął biec. Čwierć mili dalej obejrzał się na zachód, w stronę baraków. Wiedział, że informacje, które zdobył, są niezwykle cenne. Zresztą Hitler podejrzewał, że taka właśnie jest prawda. Człowiek, który potrafi udowodnić, że Führer znowu ma rację, a wszyscy eksperci są w błędzie, może się spodziewać czegoś więcej niż tylko przyjacielskiego poklepania po ramieniu. Faber zdawał sobie sprawę, że Hitler uważa go za najlepszego agenta Abwehry. Dzięki swemu odkryciu może zyskać urząd Canarisa.

Oby tylko wszystko się udało. Przyśpieszył kroku, biegnąc dwadzieścia jardów, potem idąc następne dwadzieścia i znowu biegnąc - w ten sposób dobaraków o 6.30. Dzień zrobił się już jasny, więc nie chciał ryzykować i podchodzić zbyt blisko, ponieważ wartownicy opuścili już namiot i siedzieli w baraku bez ścian, z którego mieli dokładny widok na okolicę. Położył się pod płótem i zrobił zdjęcia z bezpiecznej odległości. Na zwyczajnych odbitkach będą to tylko baraki, ale duże powiększenia powinny pokazać szczegóły oszustwa.

Zrobił trzydzieści zdjęć i postanowił wrócić do łodzi. Przyspieszył kroku; wiedział, że wygląda teraz bardzo podejrzanie - samotny mężczyzna w czarnym ubraniu, który z dużym płóciennym chlebakiem myszkuje po terenie wojskowym.

Doszedł do ogrodzenia po godzinie intensywnego marszu. Po drodze natknął się jedynie na dzikie gęsi. Kiedy przeskoczył płot zwieńczony drutem kolczastym, odetchnął z ulgą. Za ogrodzeniem, w okolicy sąsiadującej z terenem wojskowym, jego obecność jako żeglarza i miłośnika ptaków miała

pewne usprawiedliwienie; mógł wrócić do swojej roli rybaka, teraz nic mu już nie groziło.

Minął las, z trudem łapiąc oddech, i nareszcie poczuł odprężenie po wielkim napięciu ostatniej nocy. Zdecydował, że popłynie jeszcze kilka mil, zanim zakotwiczy łódź i pozwoli sobie na parę godzin snu.

Zbliżył się do kanału. Co za ulga. Żaglówka wyglądała zachęcająco w świetle porannego słońca. Kiedy odpłynie, zrobi sobie herbatę, a potem..

Mężczyzna w mundurze wyszedł z kabiny łodzi i powiedział:

- No tak. Ciekawe, kim pan jest?

Faber znieruchomiał. "Tylko spokojnie" - powiedział sobie w myślach. Intruz nosił mundur kapitana Home Guard. Uzbrojony był w ręczny pistolet, który trzymał w zapiętym futerale. Był wysoki, smukły i miał pewnie jakieś sześćdziesiąt lat. Spod czapki wyglądały pasma siwych włosów. Nie wyciągnął broni.

- Jest pan na mojej łodzi, więc wydaje mi się, że to ja powinienem zapytać, kim pan jest - powiedział Faber spokojnie.

- Kapitan Stephen Langham z Home Guard.

- James Baker - przedstawił się Faber pozostając nadal na brzegu. Podejrzewał, że kapitan nie patroluje terenu samotnie.

- Co pan tu robi?

- Jestem na urlopie.

- Gdzie pan chodził?

- Obserwowałem ptaki.

- W nocy? Uważaj na niego, Watson.

Młody mężczyzna w wojskowym mundurze podszedł do Fabera z lewej strony. W rękę trzymał strzelbę. Faber rozejrzał się dookoła. Inny mężczyzna stanął z prawej strony, a jeszcze jeden z tyłu.

- Z której strony on przyszedł, kapralu?! - zawołał kapitan. Odpowiedź nadeszła ze szczytu wysokiego dębu.

- Prosto z terenu wojskowego.

Faber zastanawiał się, jakie ma szanse. Czterech na jednego, oczywiście do chwili, kiedy kapral nie zejdzie z drzewa. Broni nie mieli za dużo: strzelba i pistolet kapitana. I wyglądali na amatorów. Łódź też będzie dużą pomocą.

- Teren wojskowy? - udął zdziwienie Faber. - Widziałem tylko kawałek płotu. Czy nie mógłby pan zabrać tej rusznicy? Jeszcze wypali i kogoś zrani.

- Nikt w ciemnościach nie obserwuje ptaków - oburzył się kapitan.

- Nie zgadzam się z panem - powiedział Faber. - Kryjówka w ciemnościach jest najlepsza, bo wtedy ptaki nie widzą obserwatora, gdy się budzą o świcie. Jest to ogólnie przyjęty sposób postępowania. Rozumiem, że Home Guard stara się wypełniać jak najlepiej swoje obowiązki i zawsze kieruje się patriotyzmem, ale bez przesady, dobrze? Przecież wystarczy, jeśli sprawdzicie moje papiery i napiszecie sprawozdanie.

Kapitan zdawał się wahać.

- Co pan ma w tym chlebaka?

- Lornetkę, aparat fotograficzny i album ptaków. - Faber wsunął ręce do chlebaka.

- Nie, proszę nic nie ruszać - powiedział kapitan. - Watson, zajrzyj do środka.

- Ręce do góry! - krzyknął Watson.

Faber uniósł ręce nad głowę, prawa ręka niemal dotykała rękawa, w którym ukryty był sztylet. Postanowił nie dopuścić do żadnej strzelaniny.

Watson ścisnął mocniej strzelbę, podszedł do Fabera z lewej strony i otworzył klapkę jego chlebaka. W tej samej chwili Faber wyciągnął sztylet z rękawa, zrobił krok w stronę wartownika i zanurzył głęboko nóż w jego szyi. Drugą ręką wytrącił młodemu mężczyźnie strzelbę.

Widząc, co się dzieje, dwaj stojący na brzegu żołnierze rzucili się w jego stronę, a kapral szybko zaczął zsuwać się po gałęziach dębu.

Kiedy ciało Watsona osunęło się bezwładnie na ziemię, Faber wyciągnął nóż i rozejrzał się wokół. Kapitan w panice próbował otworzyć klapę futerału z pistoletem. Faber skoczył na pokład łodzi, która zakołysała się pod jego ciężarem, i rzucił sztyletem w kapitana, ale mężczyzna stał zbyt daleko, aby cios mógł być celny. Ostrze zahaczyło tylko o klapę munduru i lekko zadrasnęło brodę. Kapitan puścił kaburę, aby zatamować krew.

Faber odwrócił się, żeby zobaczyć, co się dzieje na brzegu. Jeden z żołnierzy skoczył na łódź. Faber wyszedł mu na spotkanie, trzymając sztywno prawą rękę. Wartownik skoczył prosto na wystający nóż.

Zderzenie powaliło jednak Fabera na ziemię i sztylet wyślizgnął mu się z dłoni. Wartownik nakrył swym ciałem narzędzie, od którego zginął. Faber szybko zerwał się na nogi; nie było czasu na odzyskanie noża, bo kapitan już otwierał kaburę. Faber skoczył na niego, rękami szukając twarzy. Pistolet upadł na ziemię. Kciuki Fabera naciskały gałki oczne kapitana, który krzyknął z bólu, próbując uwolnić się od uścisku.

Usłyszeli nagły łomot, gdy następny wartownik wylądował na deskach łodzi. Faber zostawił kapitana, który nie był w stanie wystrzelić z pistoletu, nawet jeśli zdążył go wcześniej odbezpieczyć. Czwarty mężczyzna wywijał policyjną pałką. Zamachnął się nią z całej siły i Faber odskoczył w prawo, niemniej uderzenie trafiło go w ramię. Poczul, że traci władzę w lewej ręce. Wyteżył wszystkie siły i kantem prawej dłoni zadał niezwykle silny cios w kark mężczyzny. Ku jego zdziwieniu, wartownik wcale nie upadł i po raz drugi zamachnął się pałką. Faber zebrał resztki sił. Czuł znowu lewe ramię, które zaczęło go strasznie boleć. Złapał głowę wartownika w obie ręce, pchnął ją do przodu, ścisnął wykręcając i jeszcze raz pchnął. Słychać było ostry zgrzyt pękającego kręgosłupa. Jednocześnie pałka wylądowała tym razem na głowie Fabera. Zachwiał się, oszołomiony tym niespodziewanym ciosem. Kapitan wpadł na niego, słaniając się wciąż na nogach. Faber odepchnął go. Wojskowa czapka pofrunęła w powietrze, kiedy kapitan z głośnym pluskiem wypadł za burtę. Tymczasem kapral zsunął się z drzewa i pędził w stronę łodzi. Faber wyciągnął sztylet spod ciała wartownika i skoczył na brzeg. Watson wciąż jeszcze żył, ale były to ostatnie jego chwile; krew nie przestawała płynąć z rany na karku.

Faber i kapral stali naprzeciwko siebie. Kapral trzymał strzelbę, ale w oczach jego widać było strach i grozę. W ciągu paru sekund potrzebnych do zejścia z drzewa nieznajomy zabił jego trzech towarzyszy, a czwartego wrzucił do kanału.

Faber rzucił okiem na broń; był to stary model przypominający raczej obiekt muzealny. Gdyby kapral wierzył w jej skuteczność, nie czekałby przecież tak długo.

Kapral zrobił krok do przodu i Faber zauważył, że tamten utyka lekko na prawą nogę - może zwichnął ją przy schodzeniu z drzewa. Faber zaczął robić uniki, zmuszając kaprala do stanięcia na słabej nodze w chwili, kiedy usiłował zmierzyć się do strzału. Końcem buta Faber wyczuł kamień i kopnął go do przodu. Wzrok kaprala powędrował za kamieniem, a wtedy Faber przesunął się w bok.

Kapral pociągnął za cyngiel, ale strzał nie nastąpił. Stara strzelba po prostu się zacięła.

Faber zabił go jednym uderzeniem noża w szyję. Został więc tylko kapitan. Faber rozejrzał się i zobaczył starego mężczyznę wychodzącego z wody na brzeg. Podniósł kamień i rzucił trafiając w głowę, ale kapitan zdołał się jednak wydostać na brzeg i zaczął biec.

Faber wskoczył do wody, zanurkował, przepłynął kawałek i wyszedł z drugiej strony kanału. Kapitan odbiegł już jakieś sto jardów, ale ponieważ był stary, więc zmęczył się szybko. Faber nie miał kłopotu z dogonieniem go, wkrótce usłyszał ciężkie sapanie śmiertelnie zmęczonego człowieka. Kapitan zwolnił, potem upadł w zarośla. Faber zbliżył się i odwrócił jego twarz w swoją stronę.

- Jesteś... diabłem - wyszeptał kapitan.

- Widziałeś moją twarz - powiedział Faber i zabił go.

Rozdział 12

Trzysilnikowy transportowiec Ju? ze swastykami na skrzydłach wylądował na mokrym od deszczu pasie startowym lotniska Rastenburg położonego w lesie we Wschodnich Prusach. Niski mężczyzna o wyrazistych rysach, dużym nosie, szerokich ustach i wielkich uszach wysiadł z kabiny i szybko poszedł w stronę czekającego opodal Mercedesa.

Kiedy samochód mijał mokry, ciemny las, feldmarszałek Erwin Rommel zdjął czapkę i zaczął przesuwać nerwowo ręką po swej łysiej głowie. Wiedział, że za parę tygodni tą samą drogą będzie jechał inny człowiek, wioząc bombę w swej teczce - bombę przeznaczoną dla samego Führera. A tymczasem wojna musi toczyć się dalej, tak aby przyszedł przywódca Niemiec, którym może zostać nawet sam Rommel, mógł pertraktować z aliantami z pozycji siły.

Po przejechaniu dziesięciu mil, samochód dotarł do Wolfschanze - Wilczego Szańca, miejsca głównej kwatery Hitlera i jego coraz mniejszej i bardziej nerwowej grupy zaufanych generałów.

Mżawka nie ustawała i krople deszczu spadały ze smukłych sosen, które rosły za wysokim ogrodzeniem. Przed bramą prywatnej kwatery Hitlera Rommel włożył czapkę i wysiadł z samochodu. SS Oberführer Rattenhuber, Szef Ochrony Osobistej, bez słowa wyciągnął rękę po pistolet feldmarszałka.

Narada miała się odbyć w podziemnym betonowym bunkrze; zimnym, wilgotnym i dusznym. Rommel zszedł na dół po schodach. W pomieszczeniu zebrało się już około dwunastu wyższych oficerów czekających na wyznaczoną południową konferencję. Byli wśród nich Himmler, Goering, von Ribbentrop i Keitel. Rommel zaszalutował i usiadł na krześle.

Kiedy pojawił się Hitler, wszyscy wstali. Führer miał na sobie szarą bluzę i czarne spodnie. Rommel zauważył, że coraz bardziej się garbi. Hitler poszedł prosto do najdalszego krańca bunkra, gdzie przytwierdzona do betonu wisiała mapa północno-zachodniej Europy. Wyglądał na zmęczonego i poirytowanego. Bez żadnych wstępów od razu przystąpił do rzeczy.

- W tym roku nastąpi inwazja aliantów na Europę. Angielskie i amerykańskie wojska wylądują od strony Wielkiej Brytanii. Zniszczymy je na samej linii wybrzeża. W tej sprawie wszelkie dyskusje są zbędne.

Rozejrzył się po sali, jak gdyby czekając na słowa sprzeciwu. Zapanowała całkowita cisza. Rommel wzdrygnął się; w bunkrze było zimno jak w grobie.

- Pozostaje kwestia, w którym miejscu wylądują. Von Roenne ma głos.

Pułkownik Alexis von Roenne, który przejął urząd Canarisa, wstał, zwracając się twarzą do słuchaczy. Zwykły kapitan na początku wojny, wyróżnił się wspaniałym raportem o słabości francuskich wojsk, raportem, który został uznany za decydujący czynnik w zwycięstwie Niemców nad Francuzami. W 1942 został szefem Biura Wywiadu Wojskowego, które wchłonęło Abwehrę po upadku Canarisa. Rommel słyszał, że pułkownik jest dumny i bardzo pewny siebie, ale też niezwykle zdolny.

- Mamy wiele informacji, ale nie są one kompletne - zaczął Roenne. - Alianci nadali inwazji kryptonim "Overlord". Miejsca koncentracji wojsk na terenie Wielkiej Brytanii wyglądają następująco. - Podniósł pałeczkę i podszedł do mapy ściennej. - Pierwsze - wzdłuż południowego wybrzeża. Drugie - w rejonie Wschodniej Anglii. Trzecie - w Szkocji. Wojska we Wschodniej Anglii wydają się najliczniejsze. Jesteśmy zdania, że inwazja będzie się rozwijać w trzech kierunkach. Najpierw dywersyjne uderzenie na Normandię. Następnie główny atak od strony cieśniny Dover na wybrzeże w okolicach Calais. I wreszcie oskrzydający atak ze Szkocji przez Morze Północne do Norwegii. Wszystkie źródła wywiadowcze przewidują taki właśnie rozwój wypadków. - Pułkownik skończył i usiadł.

- Są jakieś uwagi? - zapytał Hitler.

Rommel, jako dowódca Grupy Armii B, która okupowała północne wybrzeża Francji, pierwszy zabrał głos.

- Mogę przytoczyć jeden potwierdzający tę hipotezę dowód. Rejon Pas de Calais jest znacznie częściej bombardowany przez nieprzyjaciela niż inne odcinki wybrzeża.

- Jakie źródła wywiadowcze potwierdzają pana przypuszczenie, von Roenne? - zapytał Goering. Pułkownik wstał.

- Rozpoznanie lotnicze, przechwycone nieprzyjacielskie meldunki i raporty agentów. - Usiadł.

Hitler skrzyżował dłonie na podbrzuszu - nerwowe przyzwyczajenie będące znakiem, że zaraz wygłosi mowę.

- Powiem panom teraz - zaczął - w jaki sposób rozumowałbym na miejscu Winstona Churchilla. Rozważyłbym dwa kierunki inwazji: okolice na wschód od Sekwany lub na zachód od niej. Wschód ma pewną przewagę; jest bliżej. Ale w nowoczesnej taktyce wojennej liczą się tylko dwa oznaczenia dystansów. Czy cel jest w zasięgu myśliwców, czy poza nim. Oba tereny znajdują się w zasięgu myśliwców. W związku z tym odległość nie odgrywa żadnej roli. Zachodnie wybrzeże ma wielki port Cherbourg, na wschodzie nie ma żadnych portów. A co najważniejsze, wschód ma dużo mocniejsze fortyfikacje niż zachód. Nieprzyjaciel także wysyła przecież samoloty zwiadowcze. Gdybym był Churchillem, wybrałbym więc wybrzeże na zachód od Sekwany, ale chciałbym, aby Niemcy myśleli, że wyląduję na wschodnim. Na każdy bombowiec wysłany na Normandię przypadająby dwa bombowce lecące do Pas de Calais. Próbowałbym zniszczyć wszystkie mosty na Sekwanie. Nadawałbym mylące informacje przez radio, wysyłał nieprzyjacielowi fałszywe raporty szpiegowskie, koncentrowałbym wojska po drugiej stronie. Oszukałbym głupców takich jak Rommel i von Roenne. Nie traciłbym nadziei, że sam Führer da się nabrać.

Nastąpiła długa cisza, po której pierwszy przemówił Goering.

- Mein Führer - powiedział. - Wydaje mi się, że przypisuje pan Churchillowi geniusz równy pańskiemu.

Dało się odczuć lekkie odprężenie wśród dowódców zebranych w ponurym bunkrze. Goering trafił w samo sedno, wyrażając swój sprzeciw w formie komplementu. Pozostali oficerowie poparli go, znajdując mocne argumenty na udokumentowanie swych twierdzeń; uważali, że alianci z uwagi na szybkość wybiorą najkrótszą drogę morską; bliższe wybrzeże pozwoli bombowcom na uzupełnienie paliwa w krótkim czasie i na powrót do akcji. Południowo-wschodnie wybrzeże Anglii stanowiło także dogodniejsze miejsce lądowania ze względu na znacznie większą ilość zatok. Wydawało się nieprawdopodobne, żeby wszystkie raporty szpiegów myliły się w ten sam sposób.

Przez pół godziny Hitler słuchał wszystkich tych uwag, aż wreszcie podniósł rękę prosząc o ciszę. Wziął ze stołu pożąłkłe kartki papieru i potrząsnął nimi w powietrzu.

- W 1941 - powiedział - wydałem rozkaz budowy umocnień wybrzeży. Już wtedy

przepowiedziałem, że alianci wylądują na wysuniętych wybrzeżach Normandii i Bretanii, których doskonale usytuowane porty stanowią idealne przyczółki. To powiedziała mi wtedy moja intuicja i teraz mówi mi dokładnie to samo! - Wąska strużka piany pojawiła się na dolnej wardze Führera.

Von Roenne poprosił o głos. "On ma więcej odwagi ode mnie" - pomyślał Rommel.

- Mein Führer - zaczął. - Nasze działania wywiadowcze trwają nadal, nasi ludzie nie przestają pracować na terenie Wielkiej Brytanii. Niedawno wysłałem tam jednego z naszych szpiegów, żeby się skontaktował z agentem, który używa pseudonimu Die Nadel.

Hitler ożywił się niespodziewanie.

- Oczywiście, znam tego człowieka. Niech pan mówi dalej.

- Die Nadel otrzymał rozkaz rozpoznania i oceny sił Pierwszej Grupy Armii pod dowództwem generała Pattona we Wschodniej Anglii. Jeśli odkryje, że nasze przypuszczenia co do ilości wojsk są przesadzone, będziemy musieli zrewidować dotychczasowe hipotezy. Jeżeli natomiast doniesie, że armia jest tak silna, jak obecnie uważamy, nie będzie żadnych wątpliwości, że Calais jest celem inwazji.

Goering spojrzał na von Roennego.

- Kto to jest ten Die Nadel? - zapytał.

Hitler odpowiedział mu na pytanie: - Jedyne porządny agent, jakiego zwerbował Canaris, ponieważ to ja sam mu go poleciłem - wyjaśnił. - Znam jego rodzinę, prawdziwy filar Rzeszy. Twardzi, lojalni, uczciwi Niemcy. Die Nadel jest bardzo zdolnym agentem. Przeglądam wszystkie jego raporty. Zanim Anglicy rozpoczęli wojnę, on już był w Londynie. Przedtem działał w Rosji...

- Mein Führer - wtrącił się von Roenne. Hitler spojrzał na niego z rozdrażnieniem, ale widocznie uznał, że szef wywiadu miał prawo mu przerwać.

- O co chodzi? - zapytał.

- Czy ustalimy, że raport Die Nadla będzie decydujący? Hitler skinął głową.

- Ten człowiek na pewno odkryje prawdę.

CZĘŚĆ TRZECIA

Rozdział 13

Faber oparł się o drzewo i zwymiotował, czując dreszcze na całym ciele. Potem zaczął się zastanawiać, czy powinien pochować pięciu zamordowanych mężczyzn. Doszedł do wniosku, że zajęłoby mu to jakieś trzydzieści do sześćdziesięciu minut w zależności od tego, jak dokładnie będzie chciał ukryć ich ciała. W tym czasie Anglicy mogą go aresztować. Pomyślał, że jednak rozsądniej będzie zyskać cenne godziny poprzez utrudnienie znalezienia zabitych. Zniknięcie pięciu mężczyzn zostanie zauważone bardzo szybko, poszukiwania rozpoczną się pewnie około godziny dziewiętej. Przy założeniu, że zginęli podczas codziennego obchodu, łatwo uda się odtworzyć trasę wartowników. Poszukiwacze przede wszystkim przetrząsną każdy kawałek drogi. Jeżeli nie ukryje ciała, szybko je zauważą i podniosą alarm. W przeciwnym razie złożą raport, że nic nie znaleźli, w wyniku czego zorganizowane zostaną dokładne poszukiwania z udziałem psów gończych i policjantów, dokładnie badających każdy skrawek ziemi. Odnalezienie ciała może im zabrać nawet cały dzień. W tym czasie Faber zdąży dotrzeć do Londynu. Musi koniecznie opuścić ten kraj, zanim Anglicy zorientują się, że trzeba szukać mordercy. Postanowił zaryzykować i stracić nawet godzinę na ukrycie ciała.

Przeplłynął kanał, ciągnąc za sobą trupa starego kapitana. Bezceremonialnie położył go w cieniu krzaka. Następnie zabrał dwa ciała z dna łodzi i ułożył je na trupie kapitana. Potem przywłókł jeszcze Watsona i kaprała. Musiał wykopać głęboki dół, ale nie miał łopaty. Znalazł w lesie miejsce, gdzie ziemia wydawała się dość miękka, i zaczął kopać przy pomocy garnka zabranego z łodzi.

Na początku odgarniał liście leżące na głębokości paru stóp, co przychodziło mu z dużą łatwością. Później jednak trafił na glinę i kopanie stało się niesłychanie uciążliwe. W ciągu trzydziestu minut intensywnej pracy udało mu się powiększyć otwór w ziemi o jakieś kilkanaście cali. Zdecydował, że taka głębokość musi wystarczyć.

Przyciągnął ciała i układał je po kolei w wykopanej dziurze. Potem zdjął swoje zabłocone i poplamione krwią ubranie i położył na wierzchu. Przykrył grób ziemią i liśćmi zerwanymi z pobliskich krzaków i drzew. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało normalnie.

Okopał nogą skrawek ziemi nad wodą, żeby ukryć krew Watsona. Ślady krwi można było zauważyć także i w łodzi, w miejscu, gdzie przedtem leżał zasztyletowany żołnierz. Faber wziął jakąś ścierkę i dokładnie wymył pokład.

Potem włożył czyste ubranie, postawił żagiel i odpłynął. Nie łowił ryb i nie obserwował ptaków; nie było czasu na tego rodzaju przyjemności. Starał się płynąć jak najszybciej, zwiększając odległość między łodzią a niedawno wykopanym grobem. Wiedział, że musi prędko wysiąść na ląd i znaleźć lepszy środek lokomocji. Płynąc rozważał możliwość jazdy skradzionym samochodem, obliczał, jakie jest prawdopodobieństwo złapania pociągu. Samochód byłby szybszy, chociaż jego zniknięcie zostałoby natychmiast zauważone bez względu na to, czy kradzież skojarzono by z zagubionym patrolem Home Guard. Odnalezienie stacji kolejowej wymagało sporo czasu, ale było bezpieczniejsze; gdyby zachował ostrożność, uniknąłby jakichkolwiek podejrzeń przez resztę dnia.

Zastanawiał się, co powinien zrobić z łodzią. Najlepiej byłoby ją zatopić, ale ktoś mógłby to zauważyć. Jeśli natomiast porzuci ją w jakimś porcie lub po prostu przycumuje na brzegu kanału, policja skojarzy opuszczoną żaglówkę z trupami wartowników znacznie szybciej i domyśli się, w

którym kierunku uciekł. Odłożył na później decyzję w tej sprawie.

Zupełnie też stracił orientację co do miejsca, w jakim się znalazł. Mapa angielskich dróg wodnych, którą miał przy sobie, uwzględniała każdy most, port i śluzę; niestety nie pokazywała sieci kolejowej. Wyliczył, że znajduje się w odległości około dwóch godzin marszu od co najmniej sześciu wiosek, ale nie wiedział, czy we wszystkich zbudowano stacje kolejowe.

W końcu szczęście uśmiechnęło się do niego i przyniosło rozwiązanie dwóch problemów: okazało się, że kanał biegnie pod mostem kolejowym. Zapakował do chlebaka kompas, film, portfel z pieniędzmi i sztylet. Pozostałe rzeczy postanowił zatopić razem z łodzią.

Zwinął żagle, rozmontował podstawę masztu i położył go na pokładzie. Potem wyjął szpunt i wyskoczył na brzeg z cumą w ręku.

Powoli łódź zaczęła wypełniać się wodą i zdryfowała pod most. Faber ciągnął linę w taki sposób, aby łódź w chwili tonięcia znalazła się dokładnie pod ceglany sklepieniem. Najpierw zniknęła rufa, za nią dziób, a w końcu woda kanału przykryła dach kabiny. Jeszcze parę pęcherzyków i powierzchnia wygładziła się. Przypadkowy przechodzień nie mógł zauważyć łodzi na dnie kanału, gdyż padał na nią cień mostu. Faber wrzucił cumę do wody.

Tory kolejowe biegły z północnego wschodu na południowy zachód. Faber wspiał się na wał przybrzeżny i zaczął iść w kierunku południowo-zachodnim, w stronę Londynu. Kursowały tu prawdopodobnie tylko lokalne pociągi i to nieliczne, które zatrzymywały się na każdej stacji.

Słońce zaczęło grzać coraz mocniej i Faber spocił się od szybkiego marszu. Pobrudzone krwią ubranie zakopał razem z ciałami wartowników i włożył na siebie dwurzędową bluzę oraz grube flanelowe spodnie. Zdjął teraz bluzę i przewiesił ją przez ramię.

Po upływie czterdziestu minut usłyszał dalekie sapanie lokomotywy i schował się w krzakach rosnących wzdłuż torów. Parowóz, jakich coraz mniej widywało się w Anglii, przejechał powoli, kierując się na północny wschód. Wypuszczał wielkie kłęby pary i ciągnął za sobą wagony załadowane węglem. Gdyby Faber spotkał pociąg jadący w przeciwnym kierunku, mógłby spróbować wskoczyć. Zaoszczędziłoby mu to długiego spaceru. Z drugiej jednak strony, leżąc wśród węgla stałby się podejrzanie brudny i musiałby bardzo uważać, aby nikt go nie zauważył przy wysiadaniu. Postanowił, że bezpieczniej będzie, jeżeli zrezygnuje na razie z pociągu.

Tory kolejowe biegły prosto jak strzała przez płaski teren. Faber minął farmera, który orał pole traktorem. Nie było rady na to, aby pozostać zupełnie niezauważonym. Farmer pomachał do niego ręką nie przerywając pracy. Faber pocieszał się, że mężczyzna znajdował się zbyt daleko, aby mógł zapamiętać dobrze jego twarz.

Przeszedł około dziesięciu mil, kiedy ujrzał przed sobą stację. Znajdowała się w odległości jakiejś pół mili i udało mu się nawet zobaczyć platformy peronów oraz kilka semaforów. Spróbował iść na skrót przez pola, z dala od torów kolejowych, przemykając się między drzewami.

Parę minut później wszedł do wioski. Nie miał pojęcia, co to za miejscowość, gdyż nie zauważył żadnego drogowskazu. Groźba niemieckiej inwazji minęła już dawno i Faber dziwił się, że mieszkańcy nie poustawiali znaków drogowych, jak gdyby ciągle obawiali się niebezpieczeństwa.

Minął urząd pocztowy, sklep z nasionami i stary pub z wywieszonym nad drzwiami szyldem "Pod Bykiem". Kiedy przechodził obok pomnika bohaterów ostatniej wojny, jakaś kobieta pchająca wózek dziecinny pozdrowiła go przyjacielskim "dzień dobry".

Mała stacyjka tonęła w promieniach wiosennego słońca. Faber wszedł do środka i zaczął szukać rozkładu jazdy. Zauważył, że przytwierdzono go na tablicy ogłoszeń, więc zabrał się do studiowania godzin przyjazdu pociągów.

- Na pana miejscu wcale nie wierzyłbym temu, co tam jest napisane - odezwał się głos zza

okienka kasy - jest to największe dzieło fikcji od czasów *Sagi rodu Forsythe 'ów*.

Faber zdawał sobie sprawę, że rozkład jazdy jest nieco przestarzały, niemniej chciał sprawdzić, czy jakieś pociągi jeżdżą do Londynu.

- Czy orientuje się pan, o której godzinie będzie pociąg do Londynu? - zapytał.

Urzędnik uśmiechnął się ironicznie.

- Jeśli dopisze panu szczęście - powiedział - może się pojawić w każdej chwili.

- Na wszelki wypadek kupię jednak bilet.

- Pięć szylingów i cztery pensy - głos kasjera zabrzmiał urzędowo. - Podobno włoskie pociągi nigdy się nie spóźniają - zauważył.

- To prawda - zgodził się Faber. - Lepiej jednak mieć złe pociągi, ale za to dobry rząd.

Mężczyzna spojrział na niego lekko zaniepokojony.

- Oczywiście, ma pan rację - zgodził się. - Czy poczeka pan w tutejszym pubie? Słysząc tam dobrze, kiedy nadjeżdża pociąg, a zresztą poślę po pana, gdy tylko ten londyński się pojawi.

Faber nie chciał, żeby zbyt wielu ludzi oglądało jego twarz.

- Nie, dziękuję - powiedział. - Wydałbym tylko niepotrzebnie pieniądze. - Wziął bilet i skierował się w stronę peronu.

Parę minut później kasjer wyszedł z budynku i usiadł obok niego na ławce, próbując nawiązać rozmowę.

- Czy spieszy się panu? - zapytał.

Faber potrząsnął przecząco głową.

- Teraz już mi wszystko jedno - powiedział. - Miałem dzisiaj cholernie pechowy dzień. Najpierw zasnęłam, potem pokłóciłem się z szefem, a ciężarówka, którą jechałem, nawaliła po drodze.

- Nie musi mi pan mówić - powiedział kasjer - znam dobrze takie dni. - Spojrzął na zegarek. - Dzisiaj rano pociąg jadący z Londynu nie spóźnił się wcale - dodał po chwili. - A skoro pojechał, musi wrócić. Może dopisze panu szczęście. - Wycofał się do kasy.

I rzeczywiście, Faber miał szczęście, gdyż pociąg nadjechał dwadzieścia minut później. Zatłoczony był po brzegi; Faber zauważył tłum żołnierzy, farmerów, biznesmenów zalegających szczelnie przedziały i korytarze. Z trudem znalazł dla siebie miejsce na podłodze blisko okna. Kiedy pociąg ruszył, podniósł z ziemi porzuconą gazetę sprzed dwóch dni, pożyczył od kogoś ołówki i zaczął rozwiązywać krzyżówki. Szczycił się swoją umiejętnością rozwiązywania krzyżówek w języku angielskim; jest to bowiem trudny sprawdzian znajomości obcego języka. Po chwili monotony ruch pociągu sprawił, że ogarnęła go senność nie do opanowania.

Zaczął śnić, że właśnie przyjechał z Francji do Londynu, mając przy sobie belgijski paszport na nazwisko Jana van Geldera, przedstawiciela firmy Phillips (miało to tłumaczyć celnikom fakt posiadania przez niego walizki z radioodbiornikiem). Mówił wtedy płynnie po angielsku, chociaż był to bardzo szkolny sposób wysławiania się. Celnicy dali mu spokój jako obywatelowi kraju z tego samego obozu. Udało mu się złapać pociąg jadący do Londynu. (Wtedy jeszcze pociągi nie były tak zatłoczone jak teraz i można było sobie zamówić nawet gorące danie). Faber zjadł pieczeń wołową i pudding. Potem zaczął dyskutować ze studentem historii z Cardiff na temat politycznej sytuacji w Europie. Sen przypominał rzeczywistość aż do chwili wjazdu na dworzec Waterloo, kiedy przemienił się w męczący koszmar.

Kłopoty zaczęły się przy wyjściu, gdzie sprawdzano bilety. Tak jak wszystkie sny, ten był też przedziwnie nielogiczny. Dokument, który sprawdzali Anglicy, okazał się jego prawdziwą

legitymacją, a nie sfalszowanym paszportem.

- To jest legitymacja Abwehry - powiedział kontroler.

- Ależ nie - zaprzeczył Faber z absurdalnie wyraźnym niemieckim akcentem. Co się stało z jego poprawną angielską wymową?

- *Ja gekauft* ten bilet w Dover. O, do diabła! - Faber był coraz bardziej przerażony.

Kontroler biletów przeobraził się nagle w londyńskiego policjanta w mundurze, który, jak się wydawało, wcale nie zauważył nagłego przejścia na niemiecki. Uśmiechnął się grzecznie i powiedział: -Chciałbym sprawdzić pana *klamotten*.

Stacja wypełniona była tłumem ludzi i Faber zastanawiał się, czy zdołałby uciec. Rzucił walizkę z radioodbiornikiem i zaczął biec, roztrącając pasażerów. Nagle przypomniał sobie, że zostawił w pociągu spodnie, a na jego skarpetkach widać hitlerowskie swastyki. Będzie musiał kupić spodnie w najbliższym sklepie, zanim ludzie zauważą spieszącego się gdzieś faceta bez spodni i w faszystowskich skarpetach. Właśnie wtedy ktoś z tłumu wrzasnął: - Widziałem kiedyś twoją twarz - i podstawił mu nogę. Faber upadł z łoskotem, lądując na podłodze przedziału, w którym zasnął.

Zamrugnął oczami, ziewnął i rozejrzał się wokół. Rozboleła go głowa. Przez chwilę odczuł ulgę, że koszmarny sen był tylko snem, potem komizm symboli bardzo go rozbawił - skarpetki ze swastyką, świetny pomysł!

- Nieźle pan sobie pospał - powiedział siedzący obok mężczyzna w kombinezonie robotnika.

Faber spojrział na niego ze złością. Zawsze bał się, że mówieniem przez sen może się zdradzić.

- Miałem bardzo niemiły sen - wyjaśnił krótko i mężczyzna więcej się nie odezwał.

Tymczasem zapadła noc; musiał zatem dość długo spać. Gwałtownie włączono w przedziale błękitne światło i ktoś zaciągnął zasłony. Twarze pasażerów zamieniły się w bezkształtne, jasne plamy. Robotnik siedzący obok Fabera znowu próbował nawiązać rozmowę.

- Niezłą mieliśmy zabawę - zakomunikował.

Faber zmarszczył brwi zaniepokojony.

- Co się stało? - zapytał. Niemożliwe przecież, żeby przespał rewizję.

- Mijał nas pociąg Jankesów, który jechał z szybkością około dziesięciu mil na godzinę, a prowadził go czarnuch. Dzwoneczek dzwonił, a lokomotywa miała z przodu zderzak jak na westernach. Zupełnie Dziki Zachód.

Faber uśmiechnął się i przypomniał sobie swój sen. Wbrew pesymistycznym przepowiedniom koszmaru, dotarł do Londynu bez żadnych przeszkód. Kiedy po raz pierwszy przyjechał do tego miasta, zgłosił się do hotelu, gdzie pokazał swój belgijski paszport. Później poświęcił cały tydzień na dokładne zwiedzanie cmentarzy przy wiejskich kościołach. Odnalazł wtedy na nagrobkach nazwiska mężczyzn w swoim wieku i postarał się o trzy duplikaty ich metryk urodzenia. Potem wynajął mieszkanie i dzięki sfalszowanym referencjom nie istniejącej firmy z Manchesteru dostał jakąś skromną posadę. Figurował nawet na liście przedwojennych wyborców dzielnicy Highgate. Głosował wtedy na partię konserwatystów. Kiedy zaczęto racjonować żywność, ubrania i benzynę, książeczki z kartkami były rozdawane przez właścicieli domów każdej osobie, która akurat spała danej nocy w mieszkaniu, i Faber wpadł na pomysł, żeby nocować w swych trzech różnych domach i w ten sposób dostawać potrójną ilość kartek. Spalił swój belgijski dokument. Gdyby potrzebował paszportu, mógł się postarać o trzy brytyjskie.

Pociąg zatrzymał się i głośny hałas dobiegający z zewnątrz upewnił pasażerów, że dojechali do miejsca przeznaczenia. Kiedy Faber wysiadł z wagonu, nagle zdał sobie sprawę, że od chwili skromnego posiłku poprzedniego dnia nie miał właściwie nic w ustach. Minał budkę kontrolera

biletów i wyruszył na poszukiwanie bufetu. Roilo się w nim od ludzi, głównie żołnierzy, którzy opierając się o stoły spali lub usiłovali usnąć. Faber zamówił kanapkę z serem i filiżankę herbaty.

- Żywność jest zarezerwowana dla żołnierzy - poinformowała go kobieta stojąca za kontuarem.
- Wobec tego poproszę tylko herbatę.
- Ma pan filiżankę?
- Nie mam. - Fabera zdziwiło to pytanie.
- My też nie mamy, przyjacielu.

Faber odszedł wyraźnie zde gustowany. Zastanawiał się, czy nie pójść na obiad do hotelu Great Eastern, ale doszedł do wniosku, że zabrałoby mu to zbyt wiele czasu. Zamiast tego więc wszedł do najbliższego pubu, wypił dwa kufle słabego piwa, a potem kupił porcję frytek i stojąc na ulicy jadł je prosto z papierowej torebki. Posiłek ten dał mu złudzenie sytości.

Następne zadanie polegało na znalezieniu drogerii i włamaniu się do niej. Musiał wywołać film, żeby się upewnić, że zdjęcia rzeczywiście wyszły. Nie miał zamiaru ryzykować podróży do Niemiec wioząc rolkę bezużytecznego filmu. Jeśli zdjęcia nie wyszły, będzie musiał ukraść nowy film i powtórzyć niebezpieczną wyprawę. Na samą myśl o tym dreszcz przebiegł mu po plecach.

Postanowił wybrać mały, samodzielny zakład posiadający ciemnię, a nie filię wielkiego laboratorium. Taki sklepik musiał się mieścić w dzielnicy, której mieszkańców stać było na kupno drogich aparatów fotograficznych. Część Londynu, w której znajduje się dworzec Liverpool, na pewno nie należała do takich miejsc. Postanowił spenetrować okolice ekskluzywnej dzielnicy Bloomsbury.

Ulice zalane światłem księżycy wydawały się dość spokojne; tego wieczoru nie słyhać było wycia syren. Dwóch żandarmów zatrzymało go w okolicach Chancery Lane i poprosiło o dokumenty. Faber udał, że jest lekko pijany, i żołnierze w hełmach MP nie zadawali więcej pytań. Na północnym krańcu Southampton Row Faber znalazł sklep, który spełniał wszystkie wymagania. Na wystawie umieszczono dużą reklamę firmy Kodak. O dziwo, sklep był otwarty i Faber bez namysłu wszedł do środka. Zgarbiony, nerwowy mężczyzna z mocno przerzedzonymi włosami i okularami na nosie stał za ladą w białym kitlu.

- Sprzedajemy tylko na receptę lekarza - powiedział widząc Fabera.
- Dobrze, dobrze. Chciałem tylko zapytać, czy wywołujecie zdjęcia?
- Tak, jeśli przyjdzie pan jutro...
- Czy zajmujecie się tym na miejscu? - zapytał Faber. - Bardzo mi zależy na czasie.
- Tak, jeśli przyjdzie pan jutro...
- Czy odbitki dostanę tego samego dnia? Mój brat przyjechał na urlop i chciałby zabrać trochę zdjęć ze sobą.
- Najszybciej robimy w ciągu dwudziestu czterech godzin. Niech pan przyjdzie jutro.
- Dobrze, przyjdę - skłamał Faber. Wychodząc zauważył, że pozostało jeszcze dziesięć minut do zamknięcia sklepu. Przeszedł na drugą stronę ulicy, stanął w cieniu i czekał.

Dokładnie o godzinie dziewiątej aptekarz ukazał się na ulicy, zamknął drzwi i odszedł. Faber udał się w przeciwnym kierunku i minął dwie przecznice.

W pierwszej chwili wydawało mu się, że nie ma żadnego dojścia od tyłu sklepu. Było to niemiłe zaskoczenie, gdyż Faber nie chciał włamywać się frontowym wejściem. Otwarte drzwi mogłyby wzbudzić podejrzenia policjanta pilnującego porządku w tej dzielnicy. Zaczął iść równoległą ulicą szukając przejścia, którego jednak nigdzie nie mógł znaleźć. A przecież musiała gdzieś z tyłu być "studnia"; obie ulice leżały zbyt daleko od siebie, aby domy mogły się stykać tylnymi ścianami.

W końcu natknął się na duży stary budynek z tabliczką informującą, że jest to internat dla studentów pobliskiego college'u. Frontowe drzwi nie były zamknięte na klucz. Faber wszedł do środka i podążył do wspólnej dużej kuchni. Przy stole siedziała samotna dziewczyna; piła kawę i czytała książkę. Faber wymamrotał: - Kontrola zaciemnienia college'u. - Kiwnęła głową i nie zwracając na niego uwagi ponownie zagłębiła się w lekturze. Faber wyszedł tylnymi drzwiami.

Minął podwórze, potykając się o stertę puszek po konserwach, i znalazł drzwi prowadzące do zaułka. Po chwili stał na tyłach drogerii. Pomyślał, że wejście to nie było chyba nigdy używane. Wgramolił się na stos porzuconych opon samochodowych i z całej siły pchnął drzwi. Spróchniałe drewno nie stawiało oporu i Faber znalazł się w środku.

Odszukał ciemnię i zamknął się w niej. Duża czerwona żarówka wisiała u sufitu. Ciemnia była całkiem niezłe wyposażona. Na półkach stały butelki z nalepkami; zobaczył też powiększalnik, a nawet suszarkę do odbitek.

Zaczął pracować szybko, ale precyzyjnie, pilnując, żeby temperatura w pojemnikach była właściwa, i mieszając płyny w odpowiednich proporcjach. Odmierzał czas kolejnych faz procesów chemicznych według wskazówek dużego elektrycznego zegara, który wisiał na ścianie.

Negatywy wyszły doskonale. Wysuszył je, potem włożył pod powiększalnik i wykonał kompletny zestaw odbitek o wymiarach dziesięć na osiem. Czuł wzrastające podniecenie na widok stopniowo wyłaniających się kształtów w kuwecie z wywoływaczem. Tak, to była dobra robota!

A teraz podejmie ważną decyzję.

Pewien problem nie dawał mu spokoju przez cały dzień i teraz, kiedy zdjęcia były gotowe, musiał go jeszcze raz rozważyć.

Co się stanie, jeśli nie uda mu się dotrzeć do Niemiec? Podróż, jaka go czekała, była, mówiąc skromnie, co najmniej ryzykowna. Wiedział, że potrafi dotrzeć na umówione spotkanie, pomimo wszelkich restrykcji obowiązujących w podróżach zagranicznych i wzmożonej czujności straży przybrzeżnej. Nie miał jednak pewności, czy łódź podwodna będzie na niego czekać w umówionym miejscu i czy uda się jej później przedostać przez Morze Północne. Może się przecież zdarzyć, że po wyjściu z drogerii wpadnie pod samochód.

Świadomość, że w każdej chwili może umrzeć nie podzieliwszy się z nikim największą tajemnicą tej wojny, stała się nie do zniesienia.

Musiał się jakoś zabezpieczyć i mieć niezbitą pewność, że dowody oszukańczego planu alianatów dotrą do Abwehry. Postanowił przekazać tę ważną informację w liście do Hamburga.

Oczywiście nie istniała żadna poczta między Anglią i Niemcami. Listy musiały przechodzić przez kraj neutralny i były dokładnie czytane. Mógł napisać szyfrem, ale nie miało to większego sensu; musiał przecież posłać zdjęcia, które stanowiły jedyne liczące się dowody.

Był jeszcze jeden stary i wypróbowany sposób. Przypomniał sobie urzędnika pracującego w portugalskiej ambasadzie, który sympatyzował z Niemcami. Podzielał ich poglądy, a oni dobrze mu płacili za jego usługi. Portugalczyk mógł przekazać wiadomość pocztą dyplomatyczną do niemieckiej ambasady w Lizbonie. Ten kontakt istniał już od początku 1939 i Faber nigdy z niego nie korzystał, z wyjątkiem jednego rutynowego sprawdzenia kanałów łączności, o które poprosił go Canaris.

Faber poczuł, jak ogarnia go bezsilny gniew na myśl, że ma poprosić o pomoc jakiegoś urzędnika. Nienawidził sytuacji, w których musiał liczyć na innych. Ten kontakt mógł już przecież nie istnieć albo był spalony, i wtedy Anglicy dowiedzieliby się, że odkrył ich plany.

Podstawowa zasada szpiegowska opiera się na tym, że wróg nie może się dowiedzieć, jakie jego tajemnice zostały odkryte, w przeciwnym bowiem razie wartość takiego odkrycia równa się zeru. Chociaż w tym przypadku było trochę inaczej, no bo jaki pożytek mogli mieć Anglicy ze swojej

wiedzy? Problem inwazji na Francję nie przestawał istnieć. Trzeba było jednak podjąć jakąś decyzję. Rozsądek przemawiał za przekazaniem zdobytych informacji człowiekowi z ambasady portugalskiej. Faber usiadł, żeby napisać list, chociaż jego harda natura ciągle się buntowała.

Rozdział 14

Fryderyk Bloggs spędził bardzo niemiłe popołudnie na wsi. Kiedy pięć zdenerwowanych żon zawiadomiło miejscowy komisariat, że ich mężowie nie powrócili na kolację do domów, tamtejszy posterunek wysilił całą swą inteligencję i wydedukował, że patrol Home Guard gdzieś przepadł. Był prawie pewny, że żołnierze sami musieli się zgubić - ich oddział składał się przecież z mężczyzn, którzy byli głusi, trochę stuknięci albo starzy, w przeciwnym razie powołano by ich do pełnienia służby w prawdziwej armii. Dla świętego spokoju i żeby czuć się w porządku wobec przełożonych, zawiadomił o całym zdarzeniu swoje zwierzchnie władze. Sierżant, który odebrał wiadomość, natychmiast zorientował się, że zaginieni mężczyźni patrolowali bardzo ważny teren wojskowy. Przekazał informację swojemu przełożonemu, który z kolei zawiadomił Scotland Yard. Przesłano stamtąd człowieka z Oddziału Specjalnego, a z sekcji MI5 - Bloggsa.

Człowiekiem z Oddziału Specjalnego był Harris, który kiedyś zajmował się sprawą zabójstwa na Stockwell. Bloggs i Harris spotkali się w pociągu, którego lokomotywa okazała się archaicznym parowozem z Dzikiego Zachodu, pożyczonym Anglii przez Amerykanów z uwagi na niedostatki w transporcie kolejowym. Harris ponowił swoje zaproszenie na niedzielny obiad, ale Bloggs jeszcze raz powiedział mu, że przez większość niedziel pracuje.

Wysiedli z pociągu i wypożyczyli rowery. Jechali wzdłuż kanału i nagle zauważyli dużą grupę przetrząsających teren policjantów. Harris, który był dość tęgi i o dziesięć lat starszy od Bloggsa, zmęczył się trochę szybką jazdą na rowerze.

Pod mostem kolejowym spotkali następny oddział poszukujących. Harris z ulgą powitał możliwość zejścia z roweru.

- Czy znaleźliście ciała? - zapytał.

- Nie, tylko łódź - oznajmił policjant. - Kim pan jest? Wymienili nazwiska. Posterunkowy zdjął mundur i zanurkował, żeby zbadać zatopioną łódź. Po chwili pojawił się na powierzchni ze szpuntem w ręku.

Bloggs spojrzał na Harrisa.

- Myśli pan, że celowo zatopiona? - zapytał.

- Na to wygląda. - Harris zwrócił się do nurka: - Czy zauważył pan coś jeszcze?

- Zatopiono ją stosunkowo niedawno. Jest w dobrym stanie, a maszt został zdjęty, nie złamany.

- Całkiem dużo informacji jak na minutowy pobyt pod wodą - zauważył Harris.

- W niedzielę często żegluję - wytłumaczył nurek z uśmiechem.

Harris i Bloggs wsiedli na rowery i pojechali dalej. Kiedy spotkali główną grupę poszukiwaczy, dowiedzieli się, że trupy mężczyzn zostały już znalezione.

- Zamordowani - oznajmił inspektor, który kierował akcją - kapitan Langham, kapral Lee oraz szeregowi Watson, Dayton i Forbes. Dayton został uduszony, reszta zabita ostrym narzędziem, prawdopodobnie nożem. Ciało Langhama musiało leżeć przedtem w kanale. Wszystkich zakopano w płytkim grobie. To była krwawa rzeź. - Był zupełnie roztrzęsiony.

Harris przyjrzał się z bliska pięciu trupom ułożonym w jednym rzędzie na ziemi.

- Widziałem już kiedyś takie rany, Fred - powiedział. Bloggs przyjrzał się uważniej.

- O Boże, to przecież znowu on!

Harris skinął głową.

- Sztylet - powiedział.

- Czy wiecie, kto to zrobił? - spytał zaskoczony inspektor.

- Tylko zgadujemy - poinformował go Harris. - Podejrzewamy, że człowiek ten popełnił już dwa morderstwa. Jeśli to ten sam facet, wiemy, kim jest, ale zupełnie nie mamy pojęcia, gdzie go szukać.

Inspektor zmrużył oczy.

- Ach więc to tak - powiedział. - Sąsiedztwo terenów wojskowych, Oddział Specjalny i MI5, które zjawiają się natychmiast na miejscu wypadku. Czy powinienem jeszcze coś wiedzieć o tej sprawie?

- Tak - odpowiedział Harris - jest jeszcze prośba, żeby pan milczał, dopóki pana przełożony nie porozumie się z naszymi ludźmi.

- To się wie.

- Czy udało się wam jeszcze coś znaleźć, inspektorze? - zapytał Bloggs.

- Nadal przeczesujemy teren, zataczając coraz to większe koła, ale jak dotąd bez rezultatu. W grobie leżały też jakieś ubrania.

Bloggs badał je uważnie: czarne spodnie, czarny sweter, krótka czarna skórzana kurtka podobna do tych, jakie noszą lotnicy RAF-u.

- Strój maskujący - zauważył Harris.

- Musiał należeć do dużego mężczyzny - dodał Bloggs.

- Jakiego wzrostu jest ten facet, którego szukasz?

- Ma ponad sześć stóp.

- Czy przesłuchiwałeś już ludzi, którzy znaleźli zatopioną łódź?

- Tak. - Bloggs zmarszczył brwi. - Gdzie jest najbliższa śluza?

- Cztery mile stąd w górę rzeki.

- Jeśli ten facet płynął łodzią, dozorca śluzy musiał go zauważyć, prawda?

- Chyba tak - zgodził się inspektor.

- Lepiej z nim pogadajmy - zaproponował Bloggs i wsiadł na rower.

- Nie myślisz chyba, że zdołam przejechać następne cztery mile - jęknął Harris.

- Ależ to świetny sposób na schudnięcie - powiedział Bloggs.

Przejechanie czterech mil zajęło im prawie godzinę, ponieważ ścieżka przeznaczona była raczej dla koni, a nie dla rowerzystów; błotnista i nierówna, pełna pojedynczych głązów i wystających korzeni drzew. Zanim jeszcze dotarli do śluzy, Harris ociekał potem, dyszał ciężko i kłął cicho pod nosem.

Dozorca śluzy siedział przed małym domkiem. Zaciągał się dymem z fajki i rozkoszował miłą atmosferą letniego popołudnia. Był to mężczyzna w średnim wieku o bardzo powolnym sposobie mówienia i jeszcze wolniejszych ruchach. Popatrzył na dwóch rowerzystów z wyrazem lekkiego rozbawienia.

Pierwszy przemówił Bloggs, bo Harris strasznie się zasapał.

- Jesteśmy z policji.

- Ach tak - zdziwił się dozorca. - Czy coś się stało? - zapytał.

Wydawał się tak podniecony, jak kot na widok ognia.

Bloggs wyciągnął z portfela fotografię Fabera i podał ją mężczyźnie.

- Czy widział pan kiedyś tego człowieka? - zapytał.

Dozorca położył zdjęcie na kolanach i spokojnie zaczął zapalać fajkę. Przez chwilę w skupieniu przyglądał się podobiznie mężczyzny, a potem oddał fotografię.

- No więc? - zapytał Harris.

- Zgadza się. - Kiwał powoli głową. - Był tutaj wczoraj mniej więcej o tej samej porze. Wypił z nami filiżankę herbaty. Nawet dość miły facet. Co on takiego zrobił? Czyżby odsłonił światło w godzinach zaciemnienia?

- Wszystko pasuje - powiedział Bloggs i usiadł całkiem zdruzgotany tym, co usłyszał.

Harris zaczął głośno myśleć, próbując odtworzyć kolejność wypadków.

- Faber cumuje łódź gdzieś na brzegu i pod osłoną nocy idzie zbadać teren wojskowy - mówił cicho, tak żeby dozorca nie mógł go usłyszeć. - Gdy wraca, Home Guard już wykryła jego łódź. Załatwia ich wszystkich po kolei, potem żegluje jeszcze kawałek w stronę linii kolejowej, topi łódź i... wskazuje do pociągu.

- W którą stronę biegnie linia kolejowa, przecinająca kanał parę mil w dół rzeki? - zapytał Bloggs dozorcę.

- W stronę Londynu.

- Cholera jasna! - zaklął Bloggs z bezsilną wściekłością.

Bloggs dotarł do Ministerstwa Wojny w Whitehall o północy. Godliman i Parkin już tam na niego czekali.

- To on, wszystko się zgadza - poinformował ich Bloggs i opowiedział całą historię.

Parkin zdradzał wyraźne ożywienie, Godliman natomiast popadł w zadumę. Kiedy Bloggs skończył swoją relację, Godliman zauważył z goryczą: - Więc wrócił do Londynu i znowu szukamy igły w stogu siana. - Bawił się zapalkami układając z nich obrazek na biurku. - Czy wiecie, że za każdym razem, kiedy spojrzę na tę fotografię, odnoszę wrażenie, że gdzieś już widziałem tego cholernego faceta.

- Spróbuj sobie przypomnieć - poprosił Bloggs. - Gdzie to mogło być?

Godliman z rezygnacją potrząsnął głową.

- Musiało to być tylko raz i w jakichś dziwnych okolicznościach. Jakbym widział tę twarz wśród studentów na wykładzie albo w jakimś tłumie na przyjęciu. Przelotne spojrzenie, przypadkowe spotkanie.

Kiedy sobie wreszcie przypomnę, prawdopodobnie wcale nam to nie pomoże.

- Gdzieś w tych okolicach? - nie dawał za wygraną Bloggs.

- Zupełnie nie mogę sobie przypomnieć i pewnie dlatego jest to bardzo ważne - powiedział Godliman.

Zapadła cisza. Parkin zapalił papierosa jedną z zapalek, którymi bawił się Godliman.

- Moglibyśmy zrobić milion odbitek tego zdjęcia - zaproponował Bloggs patrząc na przyjaciela. - Rozdać je wszystkim policjantom, członkom cywilnej obrony przeciwlotniczej, wartownikom Home Guard, dróżnikom i innym funkcjonariuszom, rozwiesić je na parkanach i wydrukować w gazetach...

Godliman potrząsnął głową.

- To zbyt ryzykowne - powiedział. - No, bo jeśli Faber zdążył przekazać Hamburgowi zdobyte informacje, a my zaczniemy go jawnie szukać na wszystkie możliwe sposoby, szybko wywnioskuje, że wiadomość jest prawdziwa. Rozdmuchując całą sprawę dostarczymy jedynie dowodów na potwierdzenie wiarygodności jego obserwacji.

- Musimy jednak coś zrobić - zniecierpliwiał się Bloggs.

- Oczywiście, że roześlemy zdjęcia oficerom policji. Przekażemy też dane dotyczące jego wyglądu prasie, zaznaczając, że jest on po prostu zwykłym mordercą. Możemy dostarczyć szczegóły zabójstw na Highgate i Stockwell bez zbytecznych wyjaśnień, że sprawa ściśle tajna.

- Ależ to walka z wiatrakami - obruszył się Bloggs.

- Nic innego nie możemy na razie zrobić.

- Zaczniemy więc od Scotland Yardu - zaproponował Bloggs i podniósł słuchawkę.

Godliman spojrział na zegarek.

- Niewiele więcej możemy dzisiaj działać - zauważył - ale jakoś zupełnie nie chce mi się iść do domu. Nie będę mógł zasnąć. Parkin wstał.

- Wobec tego idę po czajnik i zaparzę świeżą herbatę - powiedział i wyszedł z pokoju.

Zapałki na biurku Godlimana tworzyły obrazek konia z wozem. Zlikwidował jedną z nóg konia i zapalił nią fajkę.

- Czy masz dziewczynę, Fred? - zapytał próbując nawiązać rozmowę.

- Nie.

- Chcesz powiedzieć, że nikogo nie miałeś od tamtego...

- Nikogo - przerwał mu Bloggs.

Przez chwilę Godliman palił fajkę w milczeniu.

- Kiedyś musi być przecież koniec żałoby - odezwał się w końcu. Bloggs udał, że nie słyszy tej uwagi.

- Może nie powinienem cię pouczać niczym stara ciotka - mówił Godliman. - Wiem dobrze, co czujesz, sam przecież przez to przeszedłem. Jedyne różnica polega na tym, że ja nie mogłem nikogo winić.

- Nie ożeniłeś się jednak po raz drugi - rzucił Bloggs, starając się nie patrzeć na przyjaciela.

- Nie, ale nie chcę, żebyś ty popełnił podobny błąd. Kiedy będziesz w moim wieku, zobaczysz, że na dłuższą metę samotność potrafi być ciężarem.

- Czy mówiłem ci już kiedyś, że nazywali ją "Nieustraszona" Bloggs?

- Tak, mówiłeś.

Bloggs spojrział w końcu na Godlimana.

- Powiedz - zapytał - czy jest jakieś miejsce na świecie, gdzie mógłbym znaleźć podobną dziewczynę?

- Czy koniecznie musi mieć cechy bohatera?

- Po Christine - tak.

- Anglia pełna jest bohaterów, Fred.

W tej właśnie chwili wkroczył pułkownik Terry.

- O, wujek Andrew!... - wykrzyknął Godliman zrywając się z krzesła.

- Nie wstawaj - przerwał mu Terry. - Mam ważną nowinę. Słuchajcie obaj uważnie, bo powinniście wiedzieć, co się stało. Ten, kto zabił tych pięciu z Home Guard, odkrył nasz największy sekret. Przede wszystkim przyjmijcie do wiadomości, że rozpoczniemy inwazję lądując w Normandii. Niemcy jednak są przekonani, że pojawimy się od strony Calais. Plan dezinformacji nieprzyjaciela opiera się głównie na stworzeniu fałszywej Pierwszej Grupy Armii Amerykańskiej, zlokalizowanej na terenach wojskowych, których okolice patrolowali zamordowani mężczyźni. Na tym obszarze zgromadzono makiety baraków, tekturowe samoloty, gumowe czołgi, jednym słowem armię dużych zabawek, które z wysokości lotów zwiadowczych do złudzenia przypominają prawdziwe.

- Skąd ta pewność, że nasz szpieg odkrył całą prawdę? - spytał Bloggs.

Terry podszedł do drzwi.

- Rodriguez, proszę wejść - powiedział. Wysoki, przystojny mężczyzna o kruczoczarnych włosach i długim nosie wszedł do pokoju i uklonił się grzecznie Godlimanowi i Bloggsowi.

- Senior Rodriguez jest naszym człowiekiem w ambasadzie Portugalii - oznajmił Terry. - Powiedz im, Rodriguez, co się stało. Mężczyzna stał przy drzwiach, nerwowo miętosząc kapelusz.

- O jakiejś jedenastej - zaczął - przyjechała do ambasady taksówka. Pasażer wcale z niej nie wysiadł, tylko kierowca podszedł do drzwi z kopertą zaadresowaną do Francisca. Portier zawołał mnie, gdyż takie dostał instrukcje, i sam wzięłem kopertę. Zdążyłem jeszcze zanotować numer taksówki.

- Rozpoczęliśmy już poszukiwania tego samochodu - wtrącił się Terry. - W porządku, Rodriguez, lepiej już wracaj. Dziękuję.

Wysoki Portugalczyk opuścił pokój. Terry wręczył Godlimanowi dużą, złotą kopertę zaadresowaną do Manuela Francisco. Godliman otworzył ją - poprzednio ktoś ją rozpieczętował - wyciągnął drugą kopertę naznaczoną nic nie mówiącymi układami liter. Domyślił się, że to szyfr. W środku wewnętrznej koperty Godliman znalazł parę kartek zapisanych ręcznym pismem oraz komplet zdjęć o rozmiarach dziesięć na osiem. Godliman przyglądał się uważnie listowi.

- Wygląda na całkiem zwyczajny szyfr - powiedział.

- Wcale nie musisz tego czytać - poradził mu niecierpliwie Terry - wystarczy spojrzeć na zdjęcia.

Godliman posłuchał rady kuzyna i w milczeniu obejrzał trzydzieści fotografii. Potem wręczył je Bloggsowi.

- No, to koniec - powiedział.

Bloggs rzucił okiem na zdjęcia i położył na biurku.

- To przecież tylko asekuracja - zauważył Godliman. - Facet wciąż ma negatywy i na pewno gdzieś z nimi jedzie.

Trzej mężczyźni siedzieli nieruchomo w małym pokoju, zupełnie wytrąceni z równowagi tym, co przed chwilą zobaczyli.

- Zawiadomię Churchilla - odezwał się wreszcie Terry. Jednocześnie zadzwonił telefon i pułkownik podniósł słuchawkę.

- Tak. Dobrze. Przyprowadź go tutaj natychmiast. Zapytaj go przedtem, w jakim miejscu zostawił pasażera. Co takiego? Naprawdę?

Dziękuję, przyjeżdżaj natychmiast. - Odłożył słuchawkę. - Taksówkarz wysadził pasażera przy szpitalu uniwersyteckim - powiedział.

- Może odniósł jakąś ranę w walce z Home Guard? - odezwał się Bloggs.

- Gdzie mieści się ten szpital? - zapytał Terry.

- Około pięciu minut drogi od dworca Euston - wyjaśnił Godliman. - Pociągi z Euston jadą do Holyhead, Liverpoolu, Glasgow... ze wszystkich tych miejscowości odchodzi prom do Irlandii.

- Z Liverpoolu do Belfastu - zauważył Bloggs - potem samochodem do granicy. Z Eire do wybrzeża Atlantyku, gdzie czeka łódź podwodna. Myślę, że nie zaryzykowałby trasy Holyhead - Dublin ze względu na kontrolę paszportową, i nie widzę najmniejszego sensu w podróży do Glasgow.

- Fred, najlepiej będzie, jeśli pójdziesz na stację, pokażesz ludziom zdjęcie Fabera i zapytasz, czy ktoś nie widział go wsiadającego do pociągu - zaproponował Godliman. - Zadzwonię na dworzec, żeby powiedzieć, że już jedziesz i jednocześnie zapytam, jakie pociągi odjechały po dziesiątej trzydzieści.

Bloggs wziął kapelusz i płaszcz.

- Zaczynam działać! - rzucił wychodząc.

Godliman podniósł słuchawkę.

- Ja też! - powiedział.

Na dworcu Euston pomimo późnej pory było jeszcze pełno ludzi. W czasie pokoju stacje zamykano około północy, ale opóźnienia spowodowane wojną sprawiły, że często ostatni pociąg nie odjeżdżał przed rannym, przywożącym mleko. Hala dworcowa wypełniona była stosami walizek i tobołków oraz śpiącymi przy nich ludźmi.

Bloggs pokazał zdjęcie trzem policjantom pilnującym porządku na peronach. Żaden z nich, nie rozpoznał twarzy. Wypytał dziesięć sprzątaczek wagonów - na próżno. Podszedł do każdej budki kontrolera. Jeden z przesłuchiwanym pracowników odpowiedział rzeczowo, że stara się raczej przyglądać biletom niż twarzom pasażerów. Zaczepił nawet paru podróżnych - bez żadnego rezultatu. W końcu poszedł do kasy i pokazał zdjęcie urzędnikom sprzedającym bilety.

Łysy, gruby kasjer z wystającą sztuczną szczęką rozpoznał w końcu twarz Fabera.

- Dla rozrywki prowadzę pewną grę - wyjaśnił. - Kiedy patrzę na pasażerów, staram się zauważyć jakieś szczegóły, które wytłumaczyłyby mi powód ich podróży. Tak więc mężczyzna w czarnym krawacie jedzie prawdopodobnie na pogrzeb, farmer, który wraca do domu, nosi ubłocone wysokie buty. Zauważam czapki studenckie albo biały ślad na palcu kobiety, z którego zdjęła obrączkę... rozumie pan teraz? Moja praca jest bardzo nudna... nie, żebym się skarżył, tylko...

- A co szczególnie zauważył pan patrząc na faceta ze zdjęcia? - przerwał mu Bloggs.

- Absolutnie nic. No właśnie, zupełnie nie wiedziałem, co z nim jest. Wyglądał, jak gdyby nie chciał rzucać się nikomu zbyt w oczy. Wie pan, co mam na myśli.

- Tak, wiem. - Bloggs zamyślił się. - Chciałbym, żeby pan się dobrze zastanowił, zanim pan odpowie. Czy pamięta pan, gdzie on mógł pojechać?

- Tak - powiedział gruby kasjer - do Inverness.

- To wcale nie znaczy, że on tam jedzie - wywnioskował Godliman. - Jest przecież zawodowcem i dobrze wie, jakie pytania będziemy zadawać na stacjach kolejowych. Przypuszczam, że Faber automatycznie kupuje bilet w zupełnie przeciwnym kierunku. - Spojrzał na zegarek. - Musiał zdążyć na pociąg, który odchodzi o jedenastej czterdzieści pięć i wjeżdża teraz pewnie do Staffordu. Sprawdziłem u zawiadowcy stacji - dodał wyjaśniająco. - Zatrzymają pociąg niedaleko Crewe. Mam do dyspozycji samolot, który przetrzuci was do Stoke-on-Trent. Parkin, wsiądziesz do pociągu na pierwszej stacji przed miejscowością Crewe. Ubierzesz się w mundur kontrolera i będziesz sprawdzał wszystkie bilety i oglądał twarze w tym pociągu. Kiedy zauważysz Fabera, nie spuszczaaj z niego oka. Bloggs, będziesz czekał przy wyjściu w Crewe na wypadek, gdyby Faber zdecydował się uciec na tej stacji. Ale myślę, że nie ucieknie. Wsiądziesz do pociągu i będziesz pierwszy w Liverpoolu. Poczekasz przy budce kontrolera na pojawienie się Parkina i Fabera. Połowa tamtejszego posterunku będzie na miejscu, gotowa pomóc w każdej chwili.

- Wszystko pójdzie jak z płatka, o ile on mnie nie rozpozna - powiedział Parkin. - Ale co będzie, jeśli Faber pamięta moją twarz jeszcze z Highgate?

Godliman otworzył szufladę biurka i wyciągnął z niej rewolwer, który wręczył Parkinowi.

- Jeśli cię rozpozna, zastrzel drania.

Parkin schował broń do kieszeni bez dalszych pytań.

- Chcę, żebyście obaj w pełni zdawali sobie sprawę z wagi waszego zadania. Jeśli nie uda nam

się złapać tego człowieka, inwazja Europy zostanie opóźniona, prawdopodobnie o rok. Przez ten czas możemy stracić szansę wygrania wojny. Korzystna dla inwazji chwila, którą mamy teraz, może się już nie powtórzyć - powiedział Godliman.

- Czy zostaliśmy poinformowani, ile dni nas dzieli od tego ważnego Dnia? - zapytał Bloggs.

- To tylko kwestia tygodni. Nic więcej nie wiem na ten temat.

- A więc stanie się to w czerwcu - myślał głośno Parkin.

- Do diabła - zaklął Bloggs.

- Bez komentarzy - rzucił Percy.

Telefon zadzwonił i Godliman podniósł słuchawkę. Po chwili spojrzął na obu mężczyzn i oznajmił: - Samochód już na was czeka. Bloggs i Parkin wstali pośpiesznie.

- Poczekajcie chwilę - powiedział Godliman. Zatrzymali się przy drzwiach i spojrzeli na profesora. Godliman mówił do słuchawki:

- Tak jest, sir. Oczywiście. Zrobię to. Do widzenia, sir.

Bloggs nie mógł sobie przypomnieć żadnego człowieka, do którego Godliman zwracałby się "sir".

- Kto to był? - zapytał w końcu.

- Churchill - wyjaśnił Godliman.

- Co on miał do powiedzenia? - zapytał Parkin zaskoczony.

- Życzył nam szczęścia i udanej akcji.

Rozdział 15

W przedziale zrobiło się zupełnie ciemno. Faber przypomniał sobie usłyszany kiedyś dowcip: "Weź rękę z mego kolana. Nie, nie ty, tylko ty". Anglicy wymyślali kawały w każdej sytuacji. Stan kolei brytyjskich był gorszy niż kiedykolwiek, ale nikt nie narzekał, gdyż wszyscy zdawali sobie sprawę, że dzieje się tak ze względu na wojnę. W ciemnościach Faber czuł się znacznie bezpieczniej: nikt nie widział jego twarzy.

Wcześniej pociąg rozbrzmiewał zbiorowymi śpiewami. Rozpoczęli trzej marynarze stojący na korytarzu, do których przyłączył się cały przedział.

Potem usłyszeli ryk syren ogłaszających alarm przeciwlotniczy i pociąg zwolnił do trzydziestu mil na godzinę. Pasażerowie powinni wtedy położyć się płasko na podłodze, ale oczywiście nie wystarczyło dla wszystkich miejsca. Rozległ się przeraźliwy głos jakiejś kobiety: "O Boże, jak się boję" i wtedy mężczyzna mówiący z wyraźnym londyńskim akcentem zaczął ją pocieszać: "Dziewczyno, jesteś w najbezpieczniejszym miejscu, nic ci tu nie zrobią". Napięcie nagle zmalowało i strach gdzieś się ulotnił. Ktoś otworzył walizkę i puścił w obieg paczkę kanapek z jajkiem.

Jeden z marynarzy zaproponował grę w karty.

- Jak można grać w karty w takich ciemnościach?

- Wystarczy wyczuć ich brzegi. Wszystkie karty Harry'ego są znaczone.

Około czwartej rano pociąg stanął nieoczekiwanie.

- Założę się, że jesteśmy niedaleko Crewe - powiedział miły głos, który według Fabera należał do ofiarodawcy kanapek z jajkiem.

- Znając prędkość, jaką rozwijają nasze pociągi, możemy być gdzieś między Bolton i Bournemouth - odezwał się londyńczyk.

Pociąg drgnął i ruszył znowu ku wielkiej radości wszystkich pasażerów. Faber pomyślał, że

żaden z podróżujących mężczyzn niczym nie przypominał stereotypowego Anglika z jego lodowatą rezerwą i poczuciem własnej wyższości.

Parę minut później usłyszeli głos z korytarza: "Proszę bilety do kontroli". Faber rozpoznał akcent z Yorkshire; byli już na północy kraju. Pospiesznie zaczął szukać biletu w kieszeni.

Siedział w samym rogu obok drzwi, skąd miał dokładny widok na korytarz. Konduktor oświetlał latarką bilety pasażerów i Faber zauważył jego twarz w odbijającym się świetle. Wydała mu się dziwnie znajoma.

Faber czekał, aż kontroler podejdzie do niego. Przypomnił sobie swój nocny koszmar i zdanie, które wciąż dźwięczało mu w uszach: "Przecież to jest legitymacja Abwehry". Uśmiechnął się do siebie w ciemnościach.

Nagle zmarszczył czoło, zastanawiając się, czy był to tylko zwyczajny zbieg okoliczności. Pociąg zatrzymuje się z przyczyn nie wyjaśnionych, zaraz potem następuje kontrola biletów, twarz konduktora nie jest zupełnie obca... Może nie ma to większego znaczenia, ale nie zabili go dotąd tylko dlatego, że nauczył się niczego nie lekceważyć. Wyjrzał jeszcze raz na korytarz, kontroler wszedł do jakiegoś przedziału.

Pociąg zatrzymał się tylko na chwilę - stacja, według dobrze poinformowanych współtowarzyszy podróży w przedziale, nazywała się Crewe - i ruszył dalej.

Faber jeszcze raz przyjrzał się twarzy konduktora i nagle przypomniał sobie. Pensjonat w Highgate! Chłopak z Yorkshire, który tak bardzo chciał wstąpić do wojska!

Zaczął uważnie śledzić jego ruchy. Zauważył, że latarka kontrolera oświetla nie tylko bilety, ale i twarz każdego pasażera.

"Spokojnie - mówił sobie w myślach Faber. - Nie wyciągaj zbyt pochopnych wniosków". No bo niby w jaki sposób mogli wiedzieć tak szybko, gdzie go szukać. Czyżby w tak krótkim czasie odkryli, do którego wsiadł pociągu, odnaleźli jednego z niewielu ludzi, którzy pamiętali jego twarz, i kazali mu udawać kontrolera biletów? Nie, to zupełnie niemożliwe.

Przypomnił sobie, że chłopak nazywał się Parkin. Billy Parkin. Wydawał się teraz znacznie starszy. Nie, to musi być ktoś do niego podobny - może starszy brat. Na pewno to czysty przypadek.

Parkin wszedł do sąsiedniego przedziału. Nie było chwili do stracenia. Faber przygotował się na najgorsze i szybko zaczął obmyślać plan działania. Wstał, wyszedł z przedziału i zaczął iść korytarzem, starając się omijać walizki, torby i ciała śpiących pasażerów. Ubikacja na szczęście była wolna. Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Starął się tylko zyskać na czasie; konduktorzy pamiętali również o toaletach. Usiadł na sedesie i zaczął się zastanawiać, jak wybrnąć z sytuacji. Pociąg nabrał już szybkości i wyskoczenie z wagonu stało się zbyt ryzykowne. Poza tym ktoś mógłby go wtedy zauważyć i jeśli naprawdę go szukali, zatrzymają pociąg.

- Bilety proszę. - Głos Parkina stawał się znowu niedaleki. Nagle Faberowi przyszedł do głowy pewien pomysł. Połączenie między dwoma wagonami stanowiło małą przestrzeń, zamkniętą rozciągającą się harmonijką, z drzwiami po obu stronach, chroniącymi od hałasu i przeciągu. Wyszedł z ubikacji, przedarł się do końca wagonu, otworzył drzwi i stanął w przejściu. Potem zamknął drzwi za sobą.

Poczuł lodowate zimno. Hałas stawał się nie do zniesienia. Usiadł na ziemi i zwinął się w kłębek udając, że próbuje drzemać. W takim miejscu tylko trup mógłby zasnąć, chociaż w tych czasach pasażerowie dziwnie się zachowywali w pociągach. Siłą woli starał się zapanować nad dreszczami.

- Bilety proszę. - Drzwi otworzyły się za nim.

Udawał, że nie słyszy. Dobięł go dźwięk zamykanych drzwi.

- Obudź się, śpiąca królewno. - Głos na pewno należał do Parkina. Faber udawał, że się porusza, potem wstał, cały czas odwrócony plecami. Zrobił gwałtowny ruch, w ręku błysnął mu sztylet. Popchnął Parkina w stronę drzwi i podniósł ostrze do jego szyi.

- Jeśli nie będziesz cicho, to cię zabiję - wyszeptał. Drugą ręką zabrał chłopakowi latarkę i oświetlił jego twarz. Parkin był mniej przerażony, niż się tego spodziewał Faber.

- No tak. Billy Parkin, który tak bardzo chciał wstąpić do wojska, a skończył na pracy w kolejnictwie. Zawsze to jednak mundur.

- To ty! - powiedział Parkin.

- Dobrze wiesz, że to ja, mały Billy Parkinie. Szukałeś mnie przecież. Dlaczego? - Starał się, żeby w jego głosie brzmiała wyraźna złośliwość.

- A po co miałbym pana szukać. Nie jestem przecież policjantem - oburzył się Parkin.

Faber groźnie poruszył nożem.

- Przestań kłamać.

- Słowo honoru, panie Faber. Niech mnie pan puści, obiecuję, że nikomu nie powiem, że pana widziałem.

Faber zaczął mieć pewne wątpliwości. Albo Parkin mówił prawdę, albo udawał tak dobrze, jak on sam.

Parkin poruszył się nagle i prawą ręką zaczął szukać czegoś w ciemnościach. Faber żelaznym uściskiem złapał jego ramię. Parkin usiłował walczyć przez chwilę, ale Faber przystawił ostrze sztyletu do jego szyi i chłopak uspokoił się. Potem Faber poszukał kieszeni, do której usiłował sięgnąć Parkin, i wyciągnął z niej rewolwer.

- Kontrolerzy biletów nie noszą broni - powiedział. - Dla kogo pracujesz, Parkin?

- My wszyscy nosimy teraz broń. Z powodu zaciemniania zbrodnie zdarzają się dzisiaj w pociągach bardzo często.

Parkin kłamał odważnie i z uporem. Faber zdecydował, że samymi groźbami nie zmusi go do mówienia.

Pchnięcie było nagłe, szybkie i celne. Ostrze sztyletu przesunęło się w jego dłoni i na ułamek sekundy zanurzyło w lewym oku Parkina. Ręka Fabera zacisnęła się mocno na ustach chłopaka. Hałas pędzącego pociągu zagłuszył stłumiony krzyk gwałtownego bólu. Parkin podniósł obie ręce w stronę uszkodzonego oka.

Faber wykorzystał przewagę.

- Pamiętaj, że masz jeszcze drugie oko. Dla kogo pracujesz? - pytał dalej.

- Dla wywiadu wojskowego. Błagam, niech pan więcej tego nie robi.

- Kto? Menzies? Masterman?

- Ach nie, Godliman, Percy Godliman.

- Godliman? - Faber znał skądś to nazwisko, ale nie był to właściwy czas, żeby próbować przypomnieć sobie skąd. - Co oni mają?

- Zdjęcie, rozpoznałem je wśród innych.

- Jakie zdjęcie? Jakie zdjęcie?

- Drużyna biegaczy, wyścigi, puchar, armia... - jęczał Parkin.

Faber przypomniał sobie. O Boże, skąd oni je wzięli? Nocny koszmar sprawdzał się; mieli jego zdjęcie. Ludzie rozpoznają teraz jego twarz. Jego twarz!

Zbliżył sztylet do prawego oka Parkina.

- W jaki sposób się dowiedziałeś, gdzie jestem?

- Niech pan tego nie robi, błagam... agent w ambasadzie Portugalii przechwycił pana list... zapamiętał numer taksówki... pytaliśmy na dworcu Euston... błagam, drugie oko, nie! - Zasłonił twarz rękoma.

- Jakie dalsze plany? Gdzie zastawiliście pułapkę? - pytał Faber.

- Glasgow. Czekają na pana w Glasgow. Tam zrewidują pociąg. - Faber zniżył nóż do poziomu brzucha Parkina. - Ilu ludzi? - zapytał, żeby odciągnąć jego uwagę. Potem zadał zdecydowany cios mierząc w serce.

Parkin patrzył swym jednym okiem z wyrazem grozy i wcale nie umierał. Była to ujemna strona ulubionej przez Fabera metody zabijania jednym ciosem sztyletu. Przeważnie szok wywołany uderzeniem noża wystarczał, żeby zatrzymać pracę serca. Ale w przypadku bardzo mocnego serca nie zawsze tak się działo - zresztą zdarza się, że i chirurdzy wstrzykują czasem bezpośrednio do serca adrenalinę. Nawet gdyby serce nie przestało pracować, jego ruch wytworzy otwór wokół noża i chłopak się wykrwawi. Rezultat był ten sam, tylko umieranie trwało dłużej.

W końcu ciało Parkina zwiotczało. Zatopiony w myślach, Faber podtrzymywał je przez chwilę opierając o ścianę. Zanim chłopak umarł, Faber zauważył dziwny wyraz na jego twarzy - jakby przebłysk odwagi, jakiś niepewny uśmiech. Na pewno miało to swoje znaczenie. Takie znaki były zawsze bardzo ważne.

Położył ciało na ziemi, układając je w pozycji śpiącego człowieka, w taki sposób, aby nie widać było rany. Czapkę kolejarza kopnął w kąt przejścia. Wyczyścił sztylet o spodnie Parkina i wytarł plamy na rękach. "Co za koszmarna historia" - pomyślał.

Ukrył nóż w rękawie i otworzył drzwi do następnego wagonu. W ciemności szukał drogi do swojego przedziału. Kiedy usiadł wreszcie na miejscu, londyńczyk wszczął rozmowę: - Strasznie długo pana nie było - taka kolejka?

- Coś musiało mi zaszkodzić.

- Pewnie kanapka z jajkiem - zaśmiał się londyńczyk.

Faber myślał o Godlimanie. Nazwisko nie było mu obce - jak przez mgłę widział twarz tego człowieka w średnim wieku, z okularami na nosie i fajką w zębach, o trochę nieprzytomnym spojrzeniu naukowca. Ależ tak, oczywiście - był profesorem.

Przypominał sobie teraz dokładnie. W pierwszych latach swojego pobytu w Londynie Faber miał niewiele do roboty. Wojna jeszcze się nie zaczęła i większość ludzi wcale nie wierzyła w jej nadejście. (Faber nie należał do grupy optymistów). Zajmował się mało pożyteczną pracą polegającą na przeglądaniu i sprawdzaniu starych map Abwehry, jak również sporządzaniem ogólnych raportów w oparciu o własne obserwacje i przeczytane artykuły z gazet. Aby wypełnić czas, poprawić swoją angielszczyznę i sprawdzić, jak dalece uda mu się grać rolę Anglika, wyruszył na zwiedzanie kraju.

Zamiar obejrzenia katedry w Canterbury był całkiem niewinny, chociaż Faber nie zapomniał kupić pocztówki przedstawiającej widok miasta i kościoła z góry, które to zdjęcie wysłał Luftwaffe. Co prawda niewiele pomogło; niemal przez cały rok 1942 Niemcy bezskutecznie próbowali zniszczyć katedrę. Faber poświęcił cały dzień na dokładne obejrzenie budowli, odczytywał stare inicjały wyryte na ścianach, rozpoznawał style architektoniczne, w trakcie zwiedzania kościoła studiował dokładnie objaśnienia w przewodniku.

Właśnie oglądał wschodnie krużganki chóru, podziwiając ślepe arkady, kiedy zauważył obok siebie starszego mężczyznę, który podobnie jak i on pochłonięty był studiowaniem szczegółów budowli.

- Fascynujące, nie uważa pan? - powiedział mężczyzna, a Faber zapytał, co właściwie ma na myśli.

- Ten ostro zakończony łuk między okrągłymi arkadami. Bez żadnego powodu, bo wydaje mi się, że ta część na pewno nie została odbudowana. Z niewiadomych zupełnie przyczyn architekt po prostu zmienił ten jeden łuk. Ciekawe dlaczego?

Faber zrozumiał, co nieznamy ma na myśli. Chór był romański, a nawa gotycka, niemniej to właśnie na chórze znajdował się pojedynczy gotycki łuk.

- A może mnisi chcieli zobaczyć, jak wyglądają ostre łuki i architekt wybudował jeden na próbę - starał się znaleźć wytłumaczenie. Starszy mężczyzna spojrzął na niego wyraźnie zdziwiony.

- Doskonałe wytłumaczenie! Rzeczywiście tak właśnie mogło być. Czy jest pan historykiem?

Faber roześmiał się.

- Nie, tylko urzędnikiem, który czasami czyta książki historyczne.

- Ludzie doktoryzują się dzięki takim błyskotliwym hipotezom.

- Ach, więc pan jest historykiem?

- Tak, na własną zgubę. - Wyciągnął rękę. - Nazywam się Percy Godliman.

“Czy to możliwe - myślał Faber, kiedy pociąg pędził przez Lancashire - żeby ten tak pospolicie wyglądający człowiek w tweedowym ubraniu odkrył prawdę o mnie?” Aby nie rzucać się zbyt w oczy, szpiedzy przeważnie udawali urzędników, nigdy zaś naukowców, gdyż takie kłamstwo było zbyt łatwe do wykrycia. Istniały jednak pewne pogłoski, że i ludzie z tytułami naukowymi pracowali w wywiadzie. Faber zawsze wyobrażał sobie, że agenci to mężczyźni młodzi, wysportowani, agresywni i zarówno odważni, jak sprytni. Godliman był sprytny, lecz nie miał żadnej z pozostałych cech. Chyba... że się zmienił.

Faber spotkał go ponownie, chociaż nie zamienili wtedy ani jednego słowa. Nieco później, po spotkaniu w katedrze, Faber przeczytał ogłoszenie, zapraszające na publiczny wykład profesora Godlimana, który miał mówić o czasach Henryka II. Poszedł więc z ciekawości. Prelekcja była żywa, przekonywająca i świadczyła o dużej erudycji wykładowcy. Godliman wydawał się być trochę komiczną postacią, kiedy śmieszy się podrygiwał, podniecając się coraz bardziej tematem, ale Faber szybko zrozumiał, że umysł jego jest niezwykle prężny i przenikliwy.

A więc to był człowiek, który wiedział, jak wygląda Die Nadel. O Boże, następny amator. Popełniał błędy nie do wybaczenia. Jednym z nich było wysłanie Billy Parkina, bowiem Faber rozpoznał chłopca. Godliman powinien przecież wysłać człowieka, którego twarzy Faber nigdy nie widział. Oczywiście, Parkin prędzej niż ktoś inny mógł rozpoznać Fabera, ale nie miał żadnej szansy przeżycia takiego spotkania. Zawodowiec przewidziałby wszystkie konsekwencje takiego kroku.

Pociąg zatrzymał się nagle i stłumiony głos na peronie poinformował, że znaleźli się w Liverpoolu. Faber zaklął pod nosem; powinien raczej zająć się obmyśleniem następnego posunięcia, a nie marnować czas na wspomnienia o Godlimanie.

Czekali na niego w Glasgow, tak przynajmniej powiedział Parkin. Dlaczego właśnie w Glasgow? Przecież na dworcu Euston mogli się dowiedzieć, że kupił bilet do Inverness! A jeśli nawet podejrzewali, że jechał do całkiem innego miasta, powinni się domyślić, że jego wybór padnie raczej na Liverpool, skąd najłatwiej można się dostać na prom płynący do Irlandii.

Faber nienawidził zbyt pochopnych decyzji. Cokolwiek jednak o nim wiedzieli, musiał teraz wsiąść z pociągu.

Wstał, otworzył drzwi, zszedł na peron i skierował się w stronę budki kontrolera. Nagle coś przyszło mu do głowy. Przypomniał sobie dziwny błysk w oczach Parkina tuż przed jego śmiercią. Nie była to nienawiść, strach czy ból, chociaż widział je również w spojrzeniu chłopaka. Przypomniało to raczej doznanie... triumfu.

Faber spojrzął na kontrolera, przeszedł obok niego i nagle zrozumiał wszystko. Naprzeciwko

wyjścia czekał młody blondyn ubrany w kapelusz i prochowiec, którego Faber widział przedtem na Leicester Square.

Zmuszony do zdrady, upokorzony Parkin zdążył jeszcze przed śmiercią oszukać Fabera. Pułapka znajdowała się tutaj, a nie w Glasgow.

Mężczyzna w prochowcu nie zdążył jeszcze zauważyć Fabera w tłumie wychodzących podróżnych. Faber zawrócił i wsiadł z powrotem do pociągu. Kiedy znalazł się w środku, rozsunął zasłony i wyjrzał na zewnątrz. Młody blondyn przyglądał się uważnie twarzom ludzi w tłumie. Nie zauważył wcale mężczyzny, który wycofał się do pociągu.

Faber patrzył, jak pasażerowie przechodzą przez bramę, aż w końcu peron opustoszał. Blondyn zaczął coś szybko mówić do kontrolera biletów, który z kolei potrząsnął przecząco głową. Znajomy z Leicester Square wydawał się nalegać. Po chwili gestem przywołał policjanta, który wynurzył się z ukrycia i zaczął coś mówić do konduktora. Jeszcze jeden policjant spacerujący po dworcu przyłączył się do grupy, a za nim mężczyzna w cywilnym ubraniu, który mógł być ważnym urzędnikiem administracji kolejowej.

Maszynista i palacz opuścili lokomotywę i również podeszli do bariery przy wyjściu. Wszyscy mężczyźni żywo gestykulowali wykrzykując jakieś słowa.

W końcu kolejarze wzruszyli ramionami, gestem tym dając wyraz swojej rezygnacji. Blondyn i policjant wezwali pozostałych funkcjonariuszy i zdecydowanym krokiem ruszyli w stronę peronu.

Postanowili przeszukać pociąg.

Kolejarze, którzy zrezygnowali z dalszych poszukiwań, poszli w przeciwnym kierunku, prawdopodobnie w celu znalezienia bufetu z ciepłą herbatą. Blondyn i jego grupa zostali na peronie i zaczęli zbliżać się do zatłoczonych wagonów. Nagle Faber wpadł na pewien pomysł.

Otworzył drzwi i wyskoczył z drugiej strony pociągu. Między wagonami, niewidoczny dla policji, zaczął biec wzdłuż torów w stronę lokomotywy, potykając się o wystające podkłady szyn i ślizgając na żwirze.

Początek nie zapowiadał nic dobrego. Od chwili, w której zorientował się, że Billy Parkin nie wysiadł z pociągu, Fryderyk Bloggs wiedział, że Die Nadel znowu umknął im sprzed samego nosa. Kiedy policjanci wchodzili do pociągu, aby dokładnie sprawdzić wszystkie przedziały, Bloggs zaczął się zastanawiać nad możliwymi przyczynami zniknięcia Parkina i wnioski, do jakich doszedł, nie były zbyt optymistyczne.

Podniósł kołnierz swego płaszcza i zaczął iść po peronie. Za wszelką cenę chciał złapać Die Nadla, nie tylko ze względu na inwazję (choć stanowiło to już wystarczający powód), ale żeby pomścić pięciu zamordowanych mężczyzn z Home Guard, śmierć Christine, no i z uwagi na osobę Godlimana.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła czwarta. Wkrótce zacznie się dzień. Bloggs nie spał całą noc i nic nie jadł od wczorajszego śniadania, działał tylko dzięki adrenalinie. Nie miał już teraz żadnych wątpliwości, że cały plan zawiódł; niepowodzenie pozbawiło go resztek energii. Głód i zmęczenie odezwały się ze zdwojoną siłą. Wysiłkiem woli odsunął od siebie myśl o ciepłym jedzeniu i wygodnym łóżku.

- Proszę pana! - Policjant wychylił się z okna wagonu i zaczął machać w jego stronę. - Proszę pana! Bloggs podbiegł do niego.

- Czy coś znalazłeś?

- Tutaj chyba jest ten pana człowiek, ten Parkin. Bloggs wspiął się po schodach do wagonu.

- Co takiego?

- Niech pan lepiej sam zobaczy. - Policjant otworzył drzwi prowadzące do przejścia między wagonami i poświecił latarką.

Na ziemi leżał Parkin, Bloggs rozpoznał go po mundurze kontrolera biletów. Wziął latarkę z rąk policjanta, klęknął obok Parkina i przewrócił go na plecy.

Kiedy zobaczył twarz chłopca, szybko spuścił wzrok i wyszeptał: - O Boże.

- Więc to jest Parkin? - zapytał policjant.

Bloggs skinął głową. Wstał powoli, starając się nie patrzeć na ciało.

- Przesłuchamy wszystkich ludzi z tego wagonu i z sąsiednich - postanowił. - Ktokolwiek widział lub słyszał coś podejrzanego, zostanie zatrzymany na dalsze przesłuchanie. Nie bardzo wierzę, żeby nam to pomogło, gdyż podejrzewam, że morderca wyskoczył z pociągu jeszcze przed Liverpooliem.

Bloggs wyszedł z wagonu. Grupa policjantów przeszukujących pociąg wykonała już swoje zadanie i zebrała się na peronie. Bloggs wyznaczył sześciu ludzi do pomocy przy przesłuchaniach.

- Wygląda na to, że ptaszek ulotnił się - powiedział inspektor policji.

- Prawie na pewno - zgodził się Bloggs. - Czy przeszukaliście ubikację i wagon służbowy?

- Tak. Byliśmy na dachu i pod pociągiem, w lokomotywie i węglarce.

Jeden z podróżnych wysiadł z pociągu i zaczął iść w stronę Bloggsa i inspektora. Dyszał ciężko, widocznie był chory na płuca.

- Przepraszam - powiedział.

- Słucham pana - zwrócił się do niego inspektor.

- Właśnie się zastanawiałem, czy panowie nie szukacie kogoś?

- A dlaczego pan pyta?

- Zastanawiałem się, czy nie szukacie wysokiego mężczyzny?

- A o co chodzi? - zapytał inspektor. Bloggs przerwał niecierpliwie: - Tak, szukamy. Niech pan wreszcie wydusi to z siebie.

- Chciałem tylko powiedzieć, że jakiś wysoki facet wysiadł z drugiej strony pociągu.

- Kiedy?

- Minutę lub dwie po wjechaniu pociągu na stację. Widziałem, jak wsiadał, a potem wyskakiwał na tory z drugiej strony. Nie miał żadnego bagażu, co wydało mi się dość podejrzanym i pomyślałem...

- Cholera jasna! - zaklął inspektor.

- Musiał zwietrzyć zasadzkę - powiedział Bloggs. - Ale w jaki sposób? Nie wie przecież, jak wyglądam, a wasi ludzie pozostawali w ukryciu.

- Coś musiało go jednak ostrzec.

- Więc dostał się na drugi peron i wyszedł innym wyjściem. Czy nikt go nie zauważył?

Inspektor wzruszył ramionami.

- O tej porze nie ma tu wiele ludzi - powiedział. - A nawet, gdyby go zauważyli, mógł po prostu powiedzieć, że bardzo mu się spieszy i nie ma czasu stać w kolejce przed budką kontrolera.

- Czy inne wyjścia nie zostały obstawione?

- Nie przyszło mi to do głowy.

- Mnie też nie.

- Możemy przeszukać okolice, a potem sprawdzimy znane nam kryjówki w mieście, no i oczywiście cały czas będziemy mieć na oku prom do Irlandii.

- Racja - powiedział Bloggs.

Ale jakiś wewnętrzny głos mówił mu, że nie znajdą Fabera.

Po przeszło godzinie oczekiwania pociąg wreszcie ruszył. Faber poczuł silny skurcz w lewej nodze; kurz drażnił go w nosie. Widział, jak kolejarze wsiadają do lokomotywy i usłyszał strzępy rozmowy o trupie znalezionym w pociągu. Metaliczny dźwięk węgla przerzucanego przez palacza, potem syk pary i szcęk tłoków, nagle szarpnięcie i unoszący się dym, w chwili gdy pociąg ruszał. Faber z ulgą zmienił pozycję i pozwolił sobie na lekkie kichnięcie. Poczł się znacznie lepiej.

Schował się głęboko tak pod węglem, że trzeba by co najmniej przez dziesięć minut kopać łopata, aby go odsłonić. Tak jak przypuszczał, policja przeszukując wagon z węglem ograniczyła się do jednorazowych pobieżnych oględzin. Zastanowił się, czy nie zaryzykować wyjścia z kryjówki. Robiło się coraz jaśniej; nie przypuszczał jednak, aby mogli go zauważyć z mostu nad torami. Pył węglowy pokrył jego skórę grubą warstwą i w słabym świetle dnia Faber wyglądał jak ciemna plama na czarnym tle poruszającego się pociągu. Zdecydował, że zaryzykuje. Powoli i ostrożnie zaczął wydostawać się spod sterty węgla.

Wciągnął głęboko chłodne powietrze poranka. Węgiel wygarniano z węglarki przez mały otwór umieszczony z przodu wagonu. Kiedy poziom węgla się obniży, palacz pewnie wejdzie do środka. Ale na razie taka wizyta nie groziła jeszcze Faberowi.

Rozjaśniło się i Faber zauważył, że wygląda jak górnik, który przed chwilą wyszedł z kopalni. Od stóp do głów pokryty był pyłem węglowym. Będzie musiał się jakoś umyć i zmienić ubranie.

Udało mu się wreszcie znaleźć dobry punkt obserwacyjny. Pociąg ciągle jeszcze mijał przedmieścia, przejeżdżał obok fabryk, magazynów i nędznych małych domków. Faber zastanawiał się, co powinien teraz zrobić.

Jego pierwotny plan zakładał, że wysiądzie w Glasgow, gdzie złapie następny pociąg do Dundee, skąd przedostanie się dalej na wschodnie wybrzeże, do Aberdeen. Pomyślał, że ciągle jeszcze może wysiąść w Glasgow; nie na samej stacji oczywiście; wyskoczy przed albo za dworcem. Było to jednak trochę ryzykowne. Pociąg na pewno zatrzyma się między Liverpoolem i Glasgow i wtedy mogą go zauważyć. Postanowił jak najszybciej znaleźć inny środek lokomocji. Doszedł do wniosku, że najbezpieczniejszym miejscem do opuszczenia pociągu byłby pojedynczy tor tuż za miastem czy wioską. Najlepiej gdyby wysiadł w pustej okolicy, położonej jednak w pobliżu zamieszkałych osiedli, gdzie mógłby ukraść samochód i ubranie. Powinien poczekać, aż pociąg zacznie jechać pod górę i zwolni; łatwiej będzie wtedy wyskoczyć.

Pociąg posuwał się z prędkością jakichś czterdziestu mil na godzinę. Faber położył się na węglu i czekał. Nie mógł bez przerwy śledzić trasy, bo obawiał się, że ktoś go w końcu zauważy. Zdecydował, że będzie wyglądał tylko wtedy, gdy pociąg zmniejszy szybkość.

Po paru minutach monotonnej jazdy złapał się na tym, że zasypia. Zmienił pozycję i podparł się na łokciach w nadziei, że jeśli znowu zaśnie, to upadnie na twarde węgiel i szybko się obudzi.

Pociąg nabierał szybkości. Przedtem na trasie Londyn-Liverpool częściej stał niż jechał, teraz natomiast pędził z jednakową szybkością. Na domiar złego zaczął padać zimny deszcz. Ubranie coraz bardziej nasiąkało wodą, która zdawała się zamieniać w lód. Był to jeszcze jeden powód, dla którego Faber postanowił jak najprędzej wyskoczyć, bał się, że gotów jeszcze umrzeć z wycieńczenia, nim dojadą do Glasgow!

Pociąg wciąż nie zwalniał i Faber zaczął rozważać możliwość wymordowania załogi. Opuszczony semafor uratował im życie. Pociąg zwalniał stopniowo i Faber domyślił się, że maszynista musiał ograniczyć szybkość. Rozejrzał się po okolicy. Wokół rozciągały się pola. Zrozumiał powód, dla którego pociąg zaczynał zwalniać - zbliżali się właśnie do węzła kolejowego i semafor zabraniał wjazdu.

Faber uniósł się, kiedy pociąg stanął, a gdy po pięciu minutach wagony znów ruszyły, wgramolił się na szczyt tendra, złapał za jego brzeg i skoczył.

Wylądował na miękkim nasypie twarzą w gęstych chwastach. Kiedy turkot pociągu oddalił się, Faber zerwał się na nogi. Jedynym śladem cywilizacji w zasięgu jego wzroku była nastawnia, drewniana dwupiętrowa budowla z dużymi oknami w pokoju kontrolnym na górze, schodami zewnętrznymi i drzwiami na parterze. Dalej było widać drogę wysypaną żwirem.

Faber zatoczył duże koło, próbując podejść do budynku od tyłu, gdzie nie było okien. Wszedł do środka przez drzwi i zauważył ubikację, umywalnię i płaszcz wiszący na kołku.

Szybko zdjął ociekające wodą ubranie, umył ręce i twarz. Potem zaczął energicznie wycierać całe ciało brudnym ręcznikiem. Upewnił się, że mały podłużny pojemnik z negatywami wciąż przyklejony jest bezpiecznie do jego piersi. Włożył płaszcz dróżnika, pozostawiając w pokoju własną przemoczoną kurtkę.

Był jeszcze problem zdobycia następnego środka lokomocji. Dróżnik musiał mieć przecież rower lub motocykl. Wszedł na zewnątrz i rzeczywiście znalazł rower przywiązany do płotu po drugiej stronie nastawni. Przeciął mały zamek ostrzem sztyletu. Prowadząc rower, zaczął iść wzdłuż ściany, w której nie było okien. Dopiero gdy nabrał pewności, że nikt go nie widzi, wsiadł na rower i wjechał na ścieżkę wysypaną żwirem.

Rozdział 16

Percival Godliman przyniósł z domu do biura małe polowe łóżko. Rozstawił je w pokoju i nie zdejmując ubrania położył się, na próżno usiłując zasnąć. Od prawie czterdziestu lat, to znaczy od momentu, kiedy zdał ostatnie egzaminy na uniwersytecie, nigdy nie cierpiał na bezsenność. Chętnie zamieniłby obecnie zmartwienia na niepokoje czasów studenckich.

Był wtedy zupełnie innym człowiekiem, nie tylko znacznie młodszym, ale i mniej... roztargnionym. Ambitny i odważny, chciał zająć się polityką. Nie był zbyt pilnym studentem, dlatego też denerwował się w trakcie egzaminów.

W czasach swojej młodości ulegał dwóm krańcowo różnym pasjom; pociągały go naukowe dyskusje i towarzyskie rozrywki. Przemawiał śmiało w Oxford Union, a jego zdjęcia z zabaw studenckich wydrukował nawet "Tatler". Kobietami interesował się w sposób umiarkowany; pragnął żyć jedynie z kobietą, którą kochał, nie dlatego, że kierowały nim jakieś zasady, lecz ponieważ tak dyktowała mu jego własna natura.

Jego pierwszą kobietą była Eleanor, wcale nie początkująca studentka, tylko już bardzo zdolna absolwentka wydziału matematyki, pełna wdzięku i kobiecego ciepła. Jej ojciec właśnie umierał na pylicę po czterdziestu latach pracy w kopalni. Młody Percival przedstawił dziewczynę swej rodzinie.

Ojciec Godlimana pełnił ważną funkcję prezesa sądu w hrabstwie. Jego dom wydał się Eleanor prawdziwym pałacem, niemniej dziewczyna starała się nie okazywać zbytniego zdziwienia i przez cały czas wizyty zachowywała się naturalnie. Umiała zareagować ciętym dowcipem, gdy matka Percy'ego okazała jej raz jawne lekceważenie. Za to pokochał ją jeszcze mocniej.

Godliman skończył studia i po pierwszej wojnie światowej pracował jako nauczyciel w szkole prywatnej z internatem. Kandydował też trzy razy w dodatkowych wyborach do parlamentu. Niestety nie mogli mieć dzieci i ten fakt bardzo ich przygnębiał, niemniej bardzo się kochali i byli szczęśliwi, toteż śmierć Eleanor Godliman odczuł jako swoją największą tragedię. Utrata żony zmieniła go do

tego stopnia, że stracił całkiem chęć do życia i szukał ucieczki w studiach nad średniowieczem.

Wspólne przeżycia zbliżyły go z Bloggsem. Dopiero wojna obudziła w Godlimanie jego dawną energię. Wrodzony zapał, werwa i inicjatywa, które czyniły z niego dawniej dobrego mówcę, pedagoga i nadzieję Partii Liberalnej, odezwały się w nim na nowo. Życzył gorąco Bloggsowi, aby jemu udało się uwolnić od gorzkich myśli i samotności.

Właśnie gdy Godliman o nim myślał, Bloggs zadzwonił z Liverpoolu. Oznajmił, że Parkin nie żyje, a Die Nadel znów wymknął się z zastawionej na niego pułapki.

Gdy Godliman usłyszał wiadomość, przymknął oczy z wyrazem rozpacz.

- To ciebie powinienem był wsadzić do tego pociągu - zamruczał.

- Dziękuję ci bardzo.

- Dla prostego powodu. On ciebie nie zna.

- Myślę, że jednak zna - zaprotestował Bloggs. - Podejrzewamy, że zwietrzył zasadzkę dlatego, że zauważył moją twarz, gdy wysiadł z pociągu.

- Ale kiedy mógł cię przedtem widzieć? Chyba nie na Leicester Square?

- Zupełnie nie wiem, w jaki sposób, ale chyba właśnie tam... zdaje się, że wciąż go nie doceniamy.

- Szkoda, że on nie walczy po naszej stronie - zamruczał Godliman. - Czy obserwujecie prom?

- Tak.

- Oczywiście wcale na niego nie wsiądzie. Prędzej ukradnie łódź. Chociaż może wciąż jeszcze jedzie do Inverness.

- Zawiadomiłem już tamtejszą policję.

- Dobrze. Ale nie przypuszczam, żebyśmy mogli przewidzieć cel jego podróży. Najlepiej zrobimy, jeśli w ogóle nic nie będziemy zakładać.

- Zgoda.

Godliman wstał, wziął do ręki telefon i zaczął chodzić tam i z powrotem.

- Nie wiadomo też, czy wysiadł z drugiej strony pociągu. Równie prawdopodobna jest hipoteza, że wyskoczył przed albo za Liverpoolem. - Umysł Godlimana zaczął pracować ze zdwojoną energią, rozważał wszystkie ewentualności. - Muszę porozmawiać z inspektorem.

- Jest tutaj, zaraz ci go dam - powiedział Bloggs. W słuchawce nastąpiła cisza i za chwilę inny głos oznajmił:

- Inspektor Anthony przy aparacie.

- Czy zgodzi się pan ze mną, że człowiek, którego szukamy, wysiadł z pociągu gdzieś w pana rejonie?

- Bardzo prawdopodobne.

- Myślę, że przede wszystkim będzie szukał jakiegoś środka transportu, chciałbym więc, żeby pan sprawdził, czy jakikolwiek samochód, łódź, rower czy nawet osioł nie zostały skradzione w zasięgu stu mil od Liverpoolu w ciągu ostatniej doby. Proszę być ze mną w stałym kontakcie. Każdą informację proszę przekazywać Bloggsowi i we wszystkim zasięgać jego rady.

- Tak jest.

- Miejcie oczy i uszy otwarte na wszelkie przestępstwa, które może popełnić nasz zbieg, a więc kradzieże żywności i ubrania, niewytłumaczone napady, sfalszowane dokumenty i tak dalej.

- Dobrze.

- I jeszcze jedno, panie Anthony. Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę, że człowiek, którego szukamy, to nie tylko niebezpieczny morderca.

- Domyślam się tego choćby z faktu, że pan jest w to zaangażowany. Szczegóły nie są mi jednak

znane.

- I nie pozna ich pan. Wystarczy chyba, jeśli powiem, że jest to niezwykle ważna sprawa, od której zależy bezpieczeństwo kraju i sam premier jest nią żywo zainteresowany.

- Rozumiem. Pan Bloggs chce panu jeszcze coś powiedzieć.

Godliman usłyszał głos Bloggsa: - Czy przypomniałeś sobie, w jakich okolicznościach widziałeś tę twarz?

- Ach, tak, ale jak przewidywałem, nie ma to żadnego znaczenia. Spotkałem go kiedyś przypadkiem w katedrze w Canterbury i rozmawialiśmy przez chwilę o architekturze. Wszystko, co mogę o nim powiedzieć, to to, że jest niezwykle inteligentny. Pamiętam kilka jego błyskotliwych uwag.

- Przekonaliśmy się, że jest niegłupi.

- Niestety zbyt dobrze - powiedział Godliman ze smutkiem.

Inspektor Anthony był zażywnym mężczyzną. Miał miękki liverpoolski akcent i całą swą postawą wspaniale reprezentował klasę średnią w Anglii. Był trochę zdezorientowany po otrzymaniu rozkazów od MI5, nie wiedział, czy wściekać się, czy cieszyć, że oto na swoim terenie ma szansę uratowania Anglii.

Bloggs dostrzegł wewnętrzną rozterkę inspektora; często stykał się z podobnymi reakcjami w swojej pracy i z góry wiedział, jak należy się zachowywać, aby wyciągnąć dla siebie jak najwięcej korzyści.

- Bardzo jestem panu wdzięczny za pomoc, inspektorze. Takie sprawy nie przechodzą w Whitehall nie zauważone.

- Wypełniam tylko mój obowiązek - wyjaśnił Anthony. Nie był pewien, czy powinien mówić do Bloggsa "sir".

- Jest jednak wielka różnica między niechętną współpracą a ofiarną pomocą.

- Tak. Myślę, że minie parę godzin, zanim znowu wpadniemy na trop tego człowieka. Czy chciałby się pan zdrzemnąć?

- Tak - zgodził się Bloggs z wdzięcznością. - Jeśli ma pan jakieś niepotrzebne krzesło gdzieś w kącie...

- Niech pan zostanie tutaj - zaproponował Anthony wskazując pokój. - Będę na dole i obudzę pana, gdy tylko czegoś się dowiemy. Proszę się rozgościć.

Anthony wyszedł z pokoju, a Bloggs usiadł w wygodnym fotelu. Zamknął oczy i natychmiast ujrzał twarz Godlimana, mówiącego:

- Każda żałoba ma swój koniec... Nie chcę, żebyś popełnił ten sam błąd.

- Bloggs uświadomił sobie nagle, że boi się końca wojny, bo czuje, że dawne jego problemy, o których mówił Godliman, znowu odżyją. Wojna upraszcza życie, wiedział, dlaczego nienawidzi wroga i czego się po nim spodziewają. Ale co będzie potem... Myśl o jakiejś innej kobiecie wydawała się zdradą nie tylko wobec Christine, ale i wobec kraju.

Ziewnął i wsunął się głębiej w fotel. Myśli poczęły się urywać i powoli zapadał w sen. Gdyby żona umarła przed wojną, rozważałby możliwość ponownego małżeństwa. Zawsze lubił i szanował Christine, ale dopiero wtedy, gdy zaczęła jeździć ambulansem po zbombardowanym Londynie, jego szacunek zamienił się w głęboki podziw, a przywiązanie przekształciło się w miłość. W owym czasie przeżywali razem coś niepowtarzalnego, czego nie znali inni kochankowie. Minał już przeszło rok od śmierci Christine i Bloggs wiedział, że bez trudu mógłby sobie znaleźć drugą żonę, którą by lubił i szanował, ale nie wierzył, że byłby z nią szczęśliwy. Typowe małżeństwo z przeciętną kobietą

zawsze przypominałoby mu niezwykłą Christine.

Poruszył się w fotelu, aby uwolnić się od majaków i wreszcie spróbować usnąć. Godliman powiedział kiedyś, że Anglia roi się od bohaterów. Jeśli Die Nadel uciekł z kraju, Anglia może stać się krajem niewolników. Po pierwsze musi...

Ktoś potrząsnął go za ramię. Zasnął bardzo mocno i wydawało mu się, że znalazł się w jednym pokoju z Die Nadlem, ale nie widział go, ponieważ agent wyklął mu oczy sztyletem. Kiedy się obudził, ciągle myślał, że jest ślepy, nie mógł bowiem zobaczyć, kto nim tak potrząsa. W końcu zrozumiał, że ma zamknięte oczy. Otworzył je i ujrzał potężną postać inspektora Anthony, który się nad nim pochylał.

Bloggs wyprostował się i przetarł oczy.

- Coś nowego? - zapytał.

- I to mnóstwo - odpowiedział Anthony. - Tylko nie wiadomo, które nowiny są naprawdę ważne. Tu jest pana śniadanie. - Postawił na biurku filiżankę herbaty i talerzyk z herbatnikami, po czym usiadł naprzeciwko.

Bloggs wstał z fotela i przeniósł się na krzesło przy biurku. Pociągnął łyk herbaty. Była słaba i bardzo słodka.

- A więc do roboty - powiedział. Anthony wręczył mu plik zapisanych kartek.

- Nie chce mi pan chyba powiedzieć, że są to jedyne wykroczenia popełnione na pana terenie...

- Ależ nie - obruszył się Anthony - nie interesują nas przypadki pijaństwa, kłótni małżeńskich, nieprzestrzegania nakazu zaciemnienia, łamanie przepisów drogowych. Nie zajmujemy się też zbrodniami już ukaranymi.

- Przepraszam - powiedział Bloggs - ciągle jeszcze śpię. Zaraz przejrzę te papiery.

Przeczytał o trzech włamaniach; w jednym domu skradziono biżuterię, w drugim futra.

- Mógł ukraść też cenne przedmioty tylko po to, żeby nas dezorientować - zauważył Bloggs. - Zaznaczcie miejsca włamań na mapie, dobrze? Może ułożą się w jakiś wzór. - Oddał dwie kartki Anthony'emu. Trzecie włamanie popełniono stosunkowo niedawno i szczegóły nie były jeszcze znane. Anthony zaznaczył miejsce na mapie.

Okazało się, że z Urzędu do Spraw Wyżywienia w Manchesterze zostały skradzione książeczki z kartkami na żywność. "Przecież nie potrzebuje kartek na żywność tylko dla samej żywności" - pomyślał Bloggs i odłożył akta z opisem tej sprawy. Niedaleko Preston skradziono rower, a w Birkenhead zgłoszono gwałt.

- Nie sądzę, żeby był gwałticielem, ale zapamiętajcie to miejsce - polecił Bloggs Anthony'emu. Kradzież roweru zauważono niedaleko miejsca trzeciego włamania.

- Nastawnia, z której zabrano rower, stoi chyba przy głównych torach? - zapytał Bloggs.

- Myślę, że tak - odpowiedział Anthony.

- Przypuśćmy, że Faber ukrył się jednak w tym pociągu, a my po prostu nie zauważyliśmy go. Czy po opuszczeniu Liverpoolu nastawnia była pierwszym miejscem, przy którym zatrzymał się pociąg?

- Chyba tak.

Bloggs przyjrzał się uważniej kartce papieru.

- Złodziej zabrał płaszcz i zostawił swoją przemoczoną kurtkę.

- To jeszcze o niczym nie świadczy - wzruszył ramionami Anthony.

- Żadnych skradzionych samochodów? - zapytał niepewnie Bloggs.

- Ani łodzi, ani osłów - odpowiedział Anthony. - Kradzieże samochodów są dzisiaj rzadkością.

O samochód teraz łatwo, gorzej z benzyną.

- Byłem przekonany, że ukradnie samochód w Liverpoolu - powiedział Bloogs i ze złością uderzył dłonią w kolano. - Rower nie na wiele mu się przyda.

- Myślę, że powinniśmy iść jednak tym tropem - upierał się Anthony. - To nasza najlepsza poszlaka.

- Dobrze. Tymczasem sprawdźcie jeszcze raz te włamania, żeby się upewnić, czy nie skradziono żywności i ubrań. Poszkodowani mogli początkowo niczego nie zauważyć. Pokażcie również tej zgwałconej dziewczynie zdjęcie Fabera. I notujcie pilnie wszystkie przestępstwa. Czy możecie mi załatwić jakiś transport do Preston?

- Zdobędę dla pana samochód - obiecał Anthony.

- Kiedy poznamy szczegóły trzeciego włamania?

- Myślę, że właśnie w tej chwili trwa przesłuchanie - powiedział Anthony. - Zanim dotrze pan do nastawni, powinienem mieć już pełny obraz sytuacji.

- Niech pan każe ludziom szybko działać. - Bloogs sięgnął po płaszcz. - Zadzwoń, jak tylko dojadę.

- Anthony? Tu Bloogs. Jestem w nastawni.

- Niech pan natychmiast wraca. Trzeciego włamania dokonał pana facet.

- Jest pan tego pewien?

- Chyba że dwóch takich samych grasuje po okolicy, strasząc ludzi sztyletem.

- O jakich ludziach pan mówi?

- O dwóch starszych paniach, mieszkających samotnie na małej farmie.

- Mój Boże, Czy nie żyją?

- Wygląda na to, że za chwilę umrą, ale z podniecenia.

- Co takiego?

- Niech pan tu przyjedzie. Sam się pan przekona.

- Już jadę.

Był to właśnie taki dom, w jakim zwykły mieszkać dwie samotne starsze panie. Mały, kwadratowy i stary, z furtką, która skrzypi przy otwieraniu, z jasnoróżowymi zasłonami w oknach sypialni, drzwiami starannie pomalowanymi i mosiężną kołatką w kształcie głowy konia. Drzwi przysłaniał krzak dzikiej róży, który rósł na fusach niezliczonych imbryków herbaty, wylewanych przez właścicielki domu. W małym frontowym ogródku za przyszyżonym żywopłotem kiełkowały w równych rzędach warzywa.

Bloogs zapukał i po chwili otworzyła mu siedemdziesięcioletnia staruszka ze strzelbą w rękę.

- Dzień dobry - powiedział - jestem z policji.

- Wcale nie jesteś - odpowiedziała - oni już tu byli. A teraz zmiataj stąd, zanim rozwalę ci łeb.

Bloogs przyjrzał się jej uważniej. Była to dość niska, siwowłosa kobieta o okrągłej, bladej i pomarszczonej twarzy. W rękach cienkich jak patyki mocno trzymała strzelbę.

Bloogs spojrział w dół na jej stopy i zobaczył, że nosi wysokie buty, jakie farmerzy zwykli wkładać do pracy.

- Dziś rano odwiedziła panią policja miejscowa. Ja jestem ze Scotland Yardu - wyjaśnił Bloogs.

- Skąd mogę wiedzieć, że mówi pan prawdę? - zapytała. Bloogs odwrócił się i zawołał kierowcę wozu policyjnego. Policjant wysiadł z samochodu i podszedł do furtki. - Czy mundur

policjanta jest dla pani wystarczającym dowodem? - zapytał Bloggs.

- W porządku - dała się w końcu przekonać i pozwoliła mu wejść do środka.

Bloggs znalazł się w niskim pokoju zatłoczonym ciężkimi starymi meblami. Wszędzie stały figurki z chińskiej porcelany i ozdobnego szkła. Na kominku palił się ogień. Cały dom pachniał lawendą i kotami.

Na jego widok wstała z fotela druga starsza pani. Była podobna do swojej siostry, tylko dwa razy grubsza. Kiedy się podnosiła, dwa koty zeskoczyły z jej kolan.

- Dzień dobry - powiedziała. - Jestem Emma Parton, a to jest moja siostra, Jessie. Proszę nie zwracać najmniejszej uwagi na tę strzelbę, dzięki Bogu nie jest naładowana, Jessie uwielbia dramaty. Proszę, niech pan siada. Jak na policjanta wygląda pan niezwykle młodo. Dziwię się, że Scotland Yard zainteresował się tą małą kradzieżą. Czy dziś rano przyjechał pan z Londynu? Jessie, zrób temu chłopcu filiżankę herbaty.

Bloggs usiadł.

- Jeżeli włamywacz jest osobą, o której myślimy, to mamy do czynienia z niebezpiecznym przestępcą - wyjaśnił.

- Widzisz, miałam rację! - krzyknęła Jessie. - Mógł nas zamordować z zimną krwią!

- Nie bądź głupia - powiedziała Emma. Potem zwróciła się do Bloggsa: - To był taki miły mężczyzna!

- Proszę mi opowiedzieć, co się tu stało - poprosił Bloggs.

- Wyszedłam z domu - zaczęła Emma - żeby wybrać jajka z kurnika. Jessie została w kuchni...

- Zaskoczył mnie - przerwała Jessie - nie miałam nawet czasu żeby wyjąć strzelbę.

- Oglądasz zbyt wiele westernów - skarciła siostrę Emma.

- Wolę je od twoich filmów miłosnych - nic tylko łzy i pocałunki...

Bloggs wyciągnął z portfela fotografię szpiega.

- Czy to ten mężczyzna? - zapytał. Jessie obejrzała dokładnie zdjęcie.

- Tak, to on - stwierdziła.

- Jacy jesteście mądrzy! - zachwyciła się Emma.

- Gdybyśmy byli mądrzy, dawno już byśmy go złapali - powiedział Bloggs. - Co on zrobił?

Jessie wyjaśniła: - Trzymał nóż na mojej szyi i mówił: "Jeden fałszywy ruch, a poderżnę ci gardło". Widziałam, że wcale nie żartuje.

- Och, Jessie, przedtem mówiłaś, że ci powiedział: "Nic ci się nie stanie, jeśli zrobisz, co ci każę".

- Zupełnie na jedno wychodzi, Emmo!

- Czego on chciał? - zapytał Bloggs.

- Jedzenia, kąpieli, świeżego ubrania i samochodu. Poczęstowałyśmy go oczywiście jajkami. Znalazłyśmy jakieś ubrania, które należały kiedyś do zmarłego męża Jessie, Normana...

- Czy mogłaby je pani opisać?

- Ależ tak. Niebieska kurtka, kombinezon i kraciasta koszula. Zabrał też samochód biednego Normana. Zupełnie nie wiem, jak będziemy teraz jeździć do kina. To nasza jedyna słabość, rozumie pan, kino...

- Jaki to był samochód?

- Morris. Norman kupił go w 1924. Świetnie nam służył ten samochód.

- Na szczęście nasz gość nie zdążył się wykąpać - powiedziała Jessie.

- Tak - potwierdziła Emma - musiałam mu wytłumaczyć, że dwie samotne kobiety nie mogą pozwolić, aby jakiś obcy mężczyzna kąpał się w kuchni... - Zarumieniła się.

- Uważasz, że lepiej jest mieć podejrzyjane gardło, niż oglądać mężczyznę w majtkach, prawda, głuptasie? - wtrąciła Jessie.

- A jak się zachował, kiedy panie odmówiły mu kąpeli? - zapytał Bloggs.

- Roześmiał się, ale myślę, że nas zrozumiał - westchnęła Emma.

Bloggs nie zdołał ukryć uśmiechu.

- Myślę, że obie panie zachowałyście się bardzo dzielnie - powiedział. - Odjechał więc stąd starym Morrisem ubrany w kombinezon i niebieską kurtkę. Która to była godzina?

- Około wpół do dziesiątej.

Bloggs machinalnie pogłaskał rudego kota, który zmrużył oczy i zamruczał.

- Ile było benzyny w samochodzie?

- Parę galonów, ale on zabrał nasze kupony. Nagła myśl olśniła Bloggsa.

- Czy paniom przysługują kartki na benzynę?

- Tak, jako farmerom - zaczęła bronić się Emma i zarumieniła się lekko.

Jessie parsknęła.

- Jesteśmy samotne i stare. Oczywiście, że nam przysługują.

- Chodzimy do kina tylko przy okazji załatwiania ważnych spraw w mieście - dodała Emma. - Nigdy nie marnujemy benzyny.

Bloggs uśmiechnął się i podniósł dłoń.

- W porządku, proszę się uspokoić, przydział paliwa to nie jest moja branża. Jaką szybkość rozwija ten samochód?

- Nigdy nie przekraczamy trzydziestu mil na godzinę - wyjaśniła Emma.

Bloggs spojrział na zegarek.

- Nawet z taką prędkością mógł odjechać już siedemdziesiąt pięć mil. - Wstał. - Muszę przekazać informację do Liverpoolu. Czy jest tu telefon?

- Niestety nie.

- Jaki to był model Morrisa?

- Cowley.

- Jakiego koloru?

- Szarego.

- Numer rejestracyjny?

- MLN 29.

Bloggs zanotował wszystkie te dane.

- Czy myśli pan, że odzyskamy kiedyś ten samochód? - spytała Emma.

- Przypuszczam, że tak, chociaż może być w bardzo złym stanie. Złodzieje na ogół nie oszczędzają skradzionych pojazdów. - Skierował się w stronę drzwi.

- Mam nadzieję, że złapie pan tego faceta! - krzyknęła za nim Emma.

Jessie odprowadziła Bloggsa do wyjścia. Nadal zaciskała kurczowo dłonie na strzelbie. Przy drzwiach złapała go za rękaw i zapytała szeptem: - Niech mi pan powie, kim on właściwie jest? Zbiegłym więźniem? Mordercą? Gwałcicielem?

Bloggs zauważył, że jej małe zielone oczy błyszczą od wielkiego podniecenia. Wiedział, że uwierzy we wszystko, co powie. Schylił głowę i szepnął jej do ucha: - Niech pani nie piśnie nikomu ani słowa - to niemiecki szpieg.

Faber przejechał most Sark i tuż po dwunastej był już w Szkocji. Minał dom na rogatkach, niski budynek, którego szyld obwieszczał, że jest to jeden z najstarszych budynków Szkocji. Nad drzwiami wisiała tablica z napisem trudnym do odczytania, lecz Faber z niektórych słów domyślił się, że była to jakaś legenda o zawieraniu małżeństw. Dopiero kiedy wjechał do wsi Gretna, zrozumiał znaczenie tych słów: przypomniał sobie, że jest w miejscu, w którym udzielano ślubu zbiegom.

Na drogach wciąż stały kałuże wody, ale słońce wysuszało je dość szybko. Zauważył, że znowu pojawiły się znaki drogowe i tablice z nazwami wsi. Widocznie zmniejszono środki ostrożności na wypadek inwazji. Faber mijał małe nizinne wioski o śmiesznych dla niego nazwach: Kirkpatrick, Kirtlebridge, Ecclefechan. Krajobraz był piękny, zielone wrzosowiska lśniły w słońcu i rozciągały się szeroko, jak daleko sięgał wzrok.

W Carlisle zatrzymał się, żeby nabrać benzyny. Kobieta w poplamionym fartuchu, która obsługiwała stację benzynową, nie zadawała mu żadnych pytań. Wypełnił po brzegi bak, a zapasowy kanister umieścił w bagażniku.

Bardzo był zadowolony z małego samochodu, który chociaż stary potrafił wyciągnąć pięćdziesiąt mil na godzinę. Czterocylindrowy mocny silnik jeszcze bez trudu pokonywał wzgórza Szkocji. Obite skórą siedzenie było bardzo wygodne. Nacisnął klakson ostrzegając zbliżające się stado owiec.

Przejechał przez rynek małego miasteczka Lockerbie, minął malowniczy most Johnstone nad rzeką Annan i zaczął wspinać się na wzgórze Beattock. Zauważył, że coraz częściej jedzie na trzecim biegu. Postanowił zrezygnować z najkrótszej drogi do Aberdeen, prowadzącej przez Edynburg i wybrzeże. Wiedział, że prawie na całym wschodnim wybrzeżu Szkocji, po obu stronach zatoki Forth, znajdują się tereny wojskowe i dziesięćmilionowy pas lądu zamkniętego dla turystów. Władze, oczywiście, nie mogły dokładnie kontrolować tak dużego obszaru, niemniej Faber zdawał sobie sprawę, że istniało większe prawdopodobieństwo zatrzymania go właśnie tam. Postanowił więc trzymać się jak najdalej od strzeżonej strefy.

W końcu, wcześniej czy później, i tak znajdzie się na tym obszarze - raczej później niż wcześniej. Zaczął obmyślać historię, którą opowie, kiedy go zatrzymają. W związku z coraz większymi ograniczeniami w sprzedaży benzyny właściwie skończyły się w ciągu ostatnich paru lat prywatne podróże dla przyjemności, i ludzie, którzy jeździli w sprawach służbowych, byli surowo karani, jeśli tylko zbczyli z głównej trasy dla załatwienia spraw osobistych. Faber słyszał kiedyś o tym, że uwięziono pewnego słynnego impresaria za to tylko, że używał benzynę przeznaczoną dla potrzeb rolnictwa do przewożenia paru aktorów z teatru do hotelu Savoy. Środki masowego przekazu wciąż informowały ludzi, że bombowiec Lancaster zużywa dwa tysiące galonów paliwa, aby dotrzeć do zagłębia Ruhry. W normalnych warunkach nic nie mogłoby sprawić Faberowi większej przyjemności niż świadomość, że spala właśnie benzynę, która mogłaby być użyta przy bombardowaniu jego ojczyzny. Lecz w obecnej sytuacji, gdy miał przy sobie ważne informacje, aresztowanie go przez Anglików za nieprzestrzeganie przepisów oszczędzania benzyny byłoby niełatwą do zniesienia ironią losu.

Sytuacja była bardzo trudna. Główny ruch na szosie tworzyły ciężarówki wojskowe, a Faber nie miał żadnej przepustki. Nie mógł udawać zaopatrzeniowca, który dowozi produkty dla armii, gdyż jechał pustym samochodem. Zaczął się zastanawiać, jacy ludzie podróżowali bezkarnie w tych czasach? Marynarze na urlopie, niektórzy urzędnicy, nieliczni urlopowicze, wykwalifikowani robotnicy. Nikt więcej. Mogłoby udawać inżyniera, specjalistę od jakichś ezoterycznych spraw, jak choćby zagadnienie oleju do skrzyni biegów w wysokich temperaturach. Mogł powiedzieć, że jedzie

naprawić jakieś urządzenie w fabryce w Inverness. Gdyby go zapytano o miejsce tej fabryki, odpowiedziałby, że to tajemnica wojskowa. (Zmyślony cel jego podróży powinien się znajdować w dużej odległości od prawdziwego, nie mógł bowiem dopuścić do sytuacji, w której okazałoby się, że pytający wie, że taka fabryka wcale nie istnieje). Miał pewne wątpliwości co do tego, czy inżynierowie-konsultanci ubierali się w kombinezony podobne do tego, jaki ukradł staruszkom, z drugiej jednak strony w czasie wojny wszystko było możliwe. Po rozważeniu wszystkich ewentualności poczuł się w miarę bezpieczny, na wypadek gdyby zechcieli go rewidować. Niebezpieczeństwo zatrzymania na drodze przez policję, poszukującą Henry Fabera - szpiega-uciekiniera, stanowiło zupełnie odrębny problem. Posiadali przecież jego zdjęcie. Zнали jego twarz. Wkrótce dowiedzą się też, jak wygląda samochód, który ukradł. Nie przypuszczał, żeby pozamykali drogi, ponieważ nie wiedzieli, w którą stronę zmierzał, niemniej był pewien, że każdy policjant w kraju zacznie wypatrywać szarego Morrisa Cowleya, z numerem rejestracyjnym MLN 29.

Gdyby go zauważyli gdzieś na terenie odkrytym, niełatwo byłoby im go złapać, gdyż wiejscy policjanci jeździli tylko na rowerach. Wiedział jednak, że każdy policjant może zawiadomić swój posterunek, a wtedy zaczną go ścigać samochodami. Zdecydował, że jeśli zobaczy policjanta, natychmiast ukryje samochód w rowie, ukradnie nowy i pojedzie w przeciwnym kierunku. Niziny Szkocji miały dość mało ludności i Faber liczył, że dojedzie do Aberdeen przez nikogo nie zauważony. W mieście będzie całkiem inaczej, gdyż niebezpieczeństwo wytopienia go samochodem policyjnym było znacznie większe. Ucieczka stanie się wtedy niemożliwa: jechał przecież starym samochodem, policja natomiast miała na ogół świetnych kierowców. Najlepiej będzie, jeśli wysiądzie z Morrisa i spróbuje zgubić się w tłumie lub gdzieś w bocznych uliczkach. Za każdym razem, kiedy musiał wjechać do dużego miasta, rozważał możliwość ukrycia samochodu w rowie i kradzieży następnego. Problem polegał na tym, że koła zostawiłyby szerokie ślady, łatwe do wykrycia przez MI5. Postanowił więc wjeżdżać do dużych miast tylko bocznymi ulicami. Spojrzał na zegarek. Wjedzie do Glasgow o zmierzchu i łatwiej będzie mu się ukryć w ciemnościach.

Rozwiązanie nie było najlepsze, ale szpieg nie miał prawa do całkowitego poczucia bezpieczeństwa.

Kiedy znalazł się na szczycie wysokiego wzgórza, zaczęło padać. Zatrzymał samochód i wysiadł, żeby podnieść płócienny dach. Powietrze było ciepłe i duszne. Faber spojrział w niebo i zauważył nadciągające ciężkie chmury. Wyraźnie zanosilo się na burzę.

Ruszył dalej i w miarę posuwania się do przodu zaczął dostrzegać pewne usterki małego samochodu. Deszcz i wiatr przedzierały się przez liczne otwory płóciennego dachu, a mała wycieraczka, poruszająca się tylko w górnej połowie szyby, odsłaniała jedynie część drogi. Kiedy samochód wjechał na teren bardziej górzysty, silnik zaczął podejrzanie hałasować. Trudno było się dziwić. Faber zupełnie nie oszczędzał starego wehikułu.

Ulewa ustała. Burza gdzieś się rozeszła, chociaż niebo było wciąż ciemne i coś posępnego unosiło się w powietrzu.

Faber przejechał przez Crawford klucząc między zielonymi wzgórzami, potem minął Abington, przejeżdżając obok kościoła i urzędu pocztowego na zachodnim brzegu rzeki Clyde, a następnie Lesmahagow, położone na skraju wrzosowiska.

W pół godziny później znalazł się na przedmieściach Glasgow. Kiedy wjechał na teren zabudowany, skierował się na północ od głównej drogi, starając się objechać miasto. Mijał kolejne małe uliczki, przecinając główne arterie i kierując się w stronę wschodniej części miasta. Dotarł do Cumberland Road, gdzie znowu skręcił na wschód, i wyjechał z Glasgow.

Wszystko toczyło się szybciej, niż się tego spodziewał. Szczęście nadal go nie opuszczało.

Znalazł się na szosie A80, przejeżdżał obok fabryk, kopalń i farm. W głowie mieszało mu się już od szkockich nazw miejscowości: Millerston, Stepps, Muirhead, Mollinsburn, Condorrat.

Szczyście opuściło go między Cumberland i Stirling. Rozwinął właśnie dość dużą szybkość na prostej szosie opadającej w dół wzgórza. Kiedy wskazówka szybkościomierza doszła do czterdziestu pięciu mil na godzinę, usłyszał nagle bardzo głośny hałas dobiegający z silnika, przypominający szcęk łańcucha przechodzącego przez koło zębate. Zmniejszył szybkość do trzydziestu, ale silnik nadal hałasował. Zrozumiał, że jakaś ważna część samochodu musiała się zepsuć. Zaczął nasłuchiwać. Mogła to być skrzynia biegów albo wał korbowy. Na pewno nie było to tak proste jak zapchany gaźnik czy też uszkodzony rozrusznik, i pomoc mechanika mogła okazać się niezbędna. Zatrzymał się i zajrzał pod maskę samochodu. Zauważył rozlany wszędzie olej, poza tym wszystko było w porządku. Siadł z powrotem za kierownicę i odjechał. Dał się odczuć wyraźny spadek mocy silnika, niemniej mały Morris wciąż posuwał się naprzód. Trzy mile dalej nad chłodnicą zaczęła się unosić para. Faber zdał sobie sprawę, że samochód wkrótce stanie na dobre. Zaczął szukać odpowiedniego miejsca, w którym mógłby go zostawić. Wybrał błotnistą drogę odchodzącą od głównej szosy. Prawdopodobnie prowadziła ona do jakiejś farmy. W odległości stu jardów wiejska droga skręcała za dużym krzakiem jeżyn. Faber zaparkował wóz pod tym krzakiem i wyłączył silnik. Unosząca się para zaczęła stopniowo znikać. Wysiadł i zamknął drzwi samochodu. Zrobiło mu się szczerze żal Emmy i Jessie. "Jakże trudno będzie zreperować ich samochód przed końcem wojny" - pomyślał.

Wrócił pieszo do głównej szosy i zauważył, że z tej odległości samochód pozostaje niewidoczny. Może upłynąć cały dzień, a nawet dwa, zanim porzucony pojazd wzbudzi podejrzenia. Do tego czasu miał nadzieję dotrzeć do Berlina.

Przyspieszył kroku. Wcześniej czy później dojdzie przecież do jakiegoś miasta, w którym ukradnie nowy pojazd. Jak do tej pory ucieczka przebiegała planowo: nie minęła jeszcze doba od chwili, gdy opuścił Londyn. Do przybycia łodzi podwodnej o szóstej po południu następnego dnia dzieliło go jeszcze wiele godzin.

Słońce zaszło już dawno i zrobiło się zupełnie ciemno. Faber z trudnością rozróżniał kształty wokół siebie. Na szczęście na środku drogi namalowano białą linię - była to innowacja wynikła z konieczności zwiększenia bezpieczeństwa przy poruszaniu się w zaciemnionym kraju. Faberowi udało się jakoś iść tym śladem. Wiedział, że w ciszy nocnej usłyszy każdy zbliżający się samochód na długo przed jego pojawieniem się.

W rzeczywistości minął go tylko jeden pojazd. Z daleka usłyszał głośny warkot silnika, szybko zszedł z drogi i położył się na ziemi. Był to dość duży samochód, Faber przypuszczał, że Vauxhall. Jechał bardzo szybko. Kiedy już zniknął w ciemnościach, Faber wrócił na jezdnię i zaczął iść dalej. Po dwudziestu minutach marszu zauważył ten sam pojazd stojący na poboczu. Gdyby go wcześniej zobaczył, postarałby się go wyminąć idąc przez pola, ale sytuacji niemal wpadł na ciemny kadłub z wygaszonymi światłami.

Zanim zdążył się zastanowić, co powinien zrobić, ktoś oświetlił mu twarz latarką i niski głos zapytał: - Kto tam?

Faber poruszył się w jasnej smudze światła:

- Ma pan jakieś kłopoty? - zapytał.

- Tak.

Nieznajomy zniżył latarkę i kiedy Faber podszedł bliżej, zobaczył wąsatego mężczyznę w średnim wieku, ubranego w dwurzędowy płaszcz. W jednej ręce trzymał trochę niepewnie duży klucz francuski i widać było, że zupełnie nie wie, co z nim zrobić.

- Czy coś się zepsuło? - Faber spojrzął pod maskę.

- Stracił całą moc - powiedział mężczyzna. - Silnik najpierw pracował na pełnych obrotach, a potem zaczął przerywać. Obawiam się, że nie za tęgi ze mnie mechanik. - Jeszcze raz oświetlił twarz Fabera. - Czy zna się pan na samochodach? - zapytał z nadzieją w głosie.

- Nie bardzo - odpowiedział Faber. - Zauważam jednak odłączony kabel. - Wziął latarkę z rąk nieznajomego, pochylił się nad silnikiem i podłączył przewód do świecy. - Niech pan teraz spróbuje - zaproponował.

Mężczyzna wsiadł do samochodu i zapalił silnik.

- Wspaniale! - starał się przekrzyknąć hałas motoru. - Jest pan genialny. Proszę wsiadać.

Faberowi przyszło nagle do głowy, że może jest to po mistrzowsku obmyślona pułapka MI5, ale szybko odsunął tę myśl: gdyby wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu dowiedzieli się, gdzie jest, nie obchodziliby się z nim przecież tak łagodnie. Wysłaliby dwudziestu policjantów, kilka radiowozów i wzięli go siłą.

Zdecydował się wsiąść. Samochód ruszył ostro i stopniowo zaczął nabierać prędkości. Faber rozsiadł się wygodnie.

- Nazywam się Richard Porter - przedstawił się kierowca.

Faber gorączkowo zaczął przypominać sobie, który z dowodów ma przy sobie.

- James Baker - powiedział.

- Bardzo mi miło. Musiałem pana nie zauważyć przejeżdżając obok.

Faber zorientował się, że nieznajomy tłumaczy się przed nim, że wcześniej nie zabrał go do swego samochodu - w związku z ograniczoną sprzedażą benzyny właściciele pojazdów obowiązani byli do podwożenia przygodnych pasażerów.

- W porządku - uspokoił go Faber. - Prawdopodobnie zaszyłem się wtedy gdzieś w krzakach i zachwycalem odgłosami natury. Słyszałem zresztą, jak pan przejeżdżał.

- Czy jedzie pan z daleka? - Porter zaoferował Faberowi cygaro.

- Dziękuję bardzo, nie palę. Tak, z Londynu.

- Cały czas okazjami?

- Nie, samochód zepsuł mi się w Edynburgu. Trzeba wymienić jedną część, której nigdzie nie mogłem dostać, zostawiłem go więc w warsztacie.

- To się nazywa pech. Jadę do Aberdeen i mogę pana podwieźć w tamtą stronę.

Faber zaczął szybko rozważać propozycję nieznajomego. Co za szczęście. Przymknął oczy i spróbował zobaczyć mapę Szkocji.

- Świetnie się składa - powiedział. - Jadę do Banff, a Aberdeen leży przecież po drodze. Chciałem jechać autostradą, gdyż nie mam przepustki. Czy Aberdeen leży na terenach wojskowych?

- Tylko port - odpowiedział Porter. - Ale proszę się zupełnie tym nie przejmować. Jestem sędzią pokoju i członkiem Watch Committee. Jadąc moim samochodem, nie ma pan żadnych powodów do obaw.

Faber uśmiechnął się w ciemnościach. To był udany dzień.

- Dziękuję - powiedział i zdecydował zmienić temat rozmowy.

- Czy jako sędzia pracuje pan na pełnym etacie?

Porter zapalił cygaro i zaczął wypuszczać kłęby dymu.

- Niezupełnie. Częściowo jestem na emeryturze. Zanim zaczęły się moje kłopoty z sercem, praktykowałem jako adwokat.

- Ach tak. - Faber postarał się, aby w jego głosie zabrzmiało współczucie.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadza panu dym? - Pomachał dużym cygarem.

- Ani trochę - odpowiedział Faber.

- Co sprowadza pana do Banff?

- Jestem inżynierem i wezwano mnie do jednej z fabryk... w rzeczy samej jest to sprawa ściśle tajna. Porter podniósł dłoń.

- Może pan więcej nic nie mówić. Rozumiem.

Zapadła cisza. Samochód mijał kolejne miejscowości. Porter musiał znać drogę na pamięć, gdyż pomimo zaciemnienia jechał bardzo szybko. Monotonna jazda wywoływała senność; Faber stłumił ziewnięcie.

- Do diabła, pewnie pan bardzo zmęczony - zauważył Porter. - Co za głupiec ze mnie. Proszę się zupełnie nie krępować i zdrzemnąć trochę.

- Z przyjemnością - powiedział Faber i zamknął oczy.

Ruch samochodu przypominał kołysanie pociągu. Znowu nawiedził go dawny koszmar senny, tym razem w nieco innej postaci. Nie dyskutował już o polityce, jedząc obiad ze współtowarzyszem podróży, tylko z nie wyjaśnionych przyczyn jechał węglarką, siedząc na swym radionadajniku, oparty o twardą ścianę żelaznego wagonu. Pociąg wtoczył się na dworzec Waterloo i wszyscy, nawet wysiadający pasażerowie, trzymali w ręku zdjęcie Fabera jako zawodnika sportowego. Przyglądali się sobie uważnie, porównując wszystkie twarzą z tą jedną twarzą na zdjęciu. Przy wyjściu z dworca kontroler biletów złapał go za ramię i zapytał: "To pan jest tym na zdjęciu, prawda?" Faber poczuł, że odebrało mu mowę. Mógł tylko wpatrywać się tępo w fotografię i przypominać sobie dzień, w którym zdobył puchar. Mój Boże, to był dopiero bieg. Pamiętał, że pokonując ostatnie pięćset metrów był tak wyczerpany, że chciał umrzeć jak najprędzej - i teraz pewnie też umrze widząc swoje zdjęcie w ręce kontrolera... Kontroler mówił: "Zbudź się, zbudź", i nagle Faber znalazł się z powrotem w samochodzie Richarda Portera i to właśnie Porter kazał mu się obudzić.

Prawa ręka odruchowo powędrowała pod lewy rękaw kurtki, gdzie znajdował się sztylet i nagle Faber przypomniał sobie, że przecież dla Portera James Baker jest tylko niewinnym przygodnym pasażerem. Opuścił więc dłoń i rozprężył się.

- Budzi się pan zupełnie jak żołnierz - zauważył Porter bardzo rozbawiony. - Jesteśmy w Aberdeen.

Faber przypomniał sobie, że Porter jest sędzią i znanym działaczem. Przyjrzał się siedzącemu obok mężczyźnie. W niewyraźnym świetle wstającego dnia zauważył czerwoną twarz, gęste wąsy i płaszcz z wielbłądziej wełny, który musiał wiele kosztować. Faber domyślał się, że to mężczyzna znany w mieście z majątku i dużych wpływów. Gdyby nagle zniknął, jego nieobecność zostałaby natychmiast zauważona. Postanowił darować mu życie.

- Dzień dobry - powiedział Faber.

Spojrzał przez okno na kamienne miasto. Jechali powoli główną ulicą mijając sklepy rozciągające się po obu stronach. Kilku robotników zmierzało już zdecydowanie w jedną stronę. Faber domyślił się, że są to rybacy. Miejscowość wydawała się wyjątkowo nieprzytulna.

- Czy chciałby się pan ogolić i zjeść śniadanie przed wyruszeniem w dalszą drogę? Serdecznie zapraszam do swego domu.

- Bardzo to miło z pana strony...

- Ależ nie ma o czym mówić. Gdyby nie pan, sterczałbym pewnie jeszcze na szosie A80 przy Stirling, czekając, aż otworzą warsztat.

- Dziękuję za zaproszenie, ale nie skorzystam. Chciałbym jak najszybciej ruszyć dalej.

Porter nie nalegał i Faber zaczął podejrzewać, że z ulgą przyjął jego odmowę.

- Wobec tego wysadzę pana na George Street - zaproponował. - Tam właśnie zaczyna się szosa

A96, która jest najkrótszą drogą do Banff. - Chwilę później zatrzymał samochód na rogu ulicy. - To właśnie tutaj.

- Dziękuję za podwiezienie. - Faber otworzył drzwi.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Porter uściśnął mu dłoń. - Powodzenia!

Faber wysiadł zamykając za sobą drzwi i samochód odjechał. Pomyślał, że nie musi się wcale obawiać Portera, który pójdzie do domu i pewnie prześpi cały dzień. Zanim się zorientuje, komu pomógł, będzie już za późno, żeby cokolwiek zrobić.

Patrzył, jak samochód powoli znika za zakrętem, potem przeszedł jezdnię i znalazł się na Market Street. Po chwili był już w dokach i kierując się węchem, dotarł do targu rybnego. Poczł się znacznie bezpieczniej, kiedy krążył po zatłoczonym, hałaśliwym rynku. Wszędzie pachniało rybami, a ludzie nosili podobne jak on ubranie. Słychać było soczyste przekleństwa, Faber zauważył, że pewne kłopoty w rozumieniu sprawiał mu gardłowy akcent tych ludzi, którzy mówiąc ucinali końcówki. Na jednym ze straganów kupił gorącą herbatę w obtłuczonym kubku i potężną pajdę chleba z białym serem.

Usiadł na beczce, jadł i robił plany. Tego wieczora powinien ukraść łódź. Złościło go, że musi czekać cały dzień, musi koniecznie obmyślić sposób ukrycia się przez najbliższe dwanaście godzin. Cel wyprawy był jednak zbyt bliski, by mógł pozwolić sobie na jakiegokolwiek ryzyko. Kradzież łodzi o zmierzchu wydawała się znacznie bardziej bezpieczna niż w środku dnia.

Skończył jeść śniadanie i wstał. Za parę godzin miasto obudzi się i zacznie tętnić życiem. Powinien wykorzystać ten czas na znalezienie dobrej kryjówki. Okrążył doki i przystań. Wiedział, że kontrola wybrzeży dokonywana jest dość powierzchownie. Szybko wypatrzył parę przejść, w których mógł pozostać nie zauważony. Przeciął piaszczystą plażę i znalazł się na dwumilowej promenadzie. Kilka prywatnych jachtów zakotwiczone na jej końcu, tuż przy ujściu rzeki Don. Faber pomyślał, że świetnie nadawałyby się do ucieczki, gdyby nie brakowało im paliwa. Ciężkie chmury zasłoniły słońce. Powietrze stało się duszne i znów zanosilo się na burzę. Kilku zdesperowanych urlopowiczów wyłoniło się z nadmorskich hoteli i siadło na plaży, z uporem czekając na pojawienie się słońca. Faber nie wierzył, żeby ich nadzieje zostały spełnione tego dnia.

Plaża była jedynym miejscem, gdzie mógł się ukryć. Policja z pewnością przeczesze stację kolejową i dworzec autobusowy, nie będzie jednak przeszukiwać całego miasta. Sprawdzi pewnie parę hoteli i pensjonatów. Mało prawdopodobne, żeby oglądali każdą osobę na plaży. Postanowił spędzić dzień na leżaku.

Kupił w kiosku gazetę i wynajął leżak. Zdjął koszulę i wciągnął ją z powrotem na kombinezon. Siedział bez kurtki.

Gdyby pojawił się jakiś policjant, wiedział, że zauważy go, zanim ten dojdzie do leżaka. Będzie miał masę czasu na opuszczenie plaży i zniknięcie w ulicach miasta.

Zaczął przeglądać gazetę. Nagłówki donosiły o nowej ofensywie aliantów we Włoszech. Faber odniósł się do informacji sceptycznie. Gazeta miała niewyraźny druk i nie zamieszczono w niej żadnych zdjęć. Przeczytał, że policja poszukuje niejakiego Henry Fabera, podejrzanego o zamordowanie sztyletem dwojga ludzi w Londynie.

Jakaś kobieta w kostiumie kąpielowym przeszła obok, przyglądając się uważnie jego twarzy. Serce zamarło mu w piersiach. Nagle stwierdził z ulgą, że kobieta po prostu zaleca się do niego. Przez chwilę chciał nawet zagadać do niej. Minęło tyle czasu od ostatniego... Szybko przywołał się do porządku. Cierpliwości, cierpliwości. Jutro będzie już pewnie w domu.

Była to mała łódka rybacka, długa na pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt stóp, z dużym pokładem i wbudowanym silnikiem. Musiała mieć silny nadajnik radiowy, o czym świadczyła wysoka antena.

Kabina znajdowała się na rufie i mogła pomieścić tylko dwóch stojących ludzi, tablicę przyrządów pokładowych oraz koło sterowe. Klepkowy, dobrze uszczelniony kadłub nosił ślady świeżej farby. Inne łodzie stojące w przystani równie dobrze nadawały się do ucieczki, ale Faber wybrał tę, którą obserwował. Widział, jak załoga przywiązuje ją do brzegu i uzupełnia zapas paliwa.

Począł parę minut, aż rybacy odejdą, potem poszedł na przystań i skoczył na pokład łodzi. Nazywała się "Marie II".

Faber zobaczył, że koło sterowe przymocowano łańcuchem. Kucnął, tak aby nie widziano go z brzegu, i przez następne dziesięć minut rozkręcał zamek. Wcześniej zrobiło się ciemno, gęste chmury przesłaniały niebo.

Kiedy udało mu się wreszcie uwolnić koło sterowe, wyciągnął małą kotwicę, wyskoczył na brzeg i odwiązał cumę. Wrócił do kabiny, sprawdził silnik i nacisnął rozrusznik. Motor zakrzuszył się i ucichł. Spróbował jeszcze raz. Udało się. Zaczął wypływać z przystani.

Wyminął sąsiednią łódź przy nadbrzeżu i skierował się w stronę toru wodnego oznaczonego bojami. Domyślał się, że tylko łodzie o znacznie większym zanurzeniu zmuszone były korzystać z kanału. Zbyt duża ostrożność nikomu jednak jeszcze nie zaszkodziła.

Wypłynął z portu i poczuł silny wiatr - miał nadzieję, że nie zapowiada on zmiany pogody. Morze zrobiło się nagle niespokojne i mała łódka zaczęła gwałtownie unosić się na wysokich falach. Faber zwiększył obroty silnika, sprawdził, jak działa kompas, i ustawił kurs. W szafce pod kołem sterowym znalazł kilka starych i prawie nie używanych map - bez wątplenia kapitan łodzi, doskonale obeznany ze szlakiem, wcale z nich nie korzystał. Faber sprawdził współrzędne geograficzne, które zapamiętał tamtej nocy w Stockwell, skorygował kurs i unieruchomił ster.

Wiatr smagał grzbieity fal. Okna kabiny zalewała woda. Faber nie bardzo wiedział, czy to deszcz, czy wzburzone morze. Wysunął głowę z kabiny i po chwili całą twarz miał moką.

Nastawił radio. Usłyszał najpierw szum, potem trzaski. Zmienił częstotliwość i udało mu się wyłowić parę mało ważnych informacji. Odbiornik działał doskonale. Nastroił aparat na częstotliwość łodzi podwodnej, potem wyłączył go - było za wcześnie na złapanie kontaktu.

W miarę jak wypływał na szerokie morze, fale stawały się coraz większe. Łódź miotana się, balansowała przez chwilę na grzbiecie każdej fali, a potem tak gwałtownie zsuwała się w dół, że przyprawiało to o mdłości. Faber wpatrywał się w okna kabiny. Nic nie było widać. Zbierało mu się na wymioty. Kiedy tylko zaczął się pocieszać, że fale nie mogą być już wyższe, nowa góra wody, większa od poprzedniej, wyrzucała łódź pod niebo. Fale zbliżały się do siebie, tak że kuter kładł się zwrócony raz dziobem do góry, to znów w dół. Kiedy oślepiający blask błyskawicy oświetlił na moment przestrzeń, Faber zobaczył spiętrzoną masę wody, która runęła na dziób, zalewając pokład i kabinę. Po chwili usłyszał straszliwy grzmot i nie bardzo wiedział, czy był to odgłos piorunów, czy hałas pękającej łodzi. Zaczął nerwowo przeszukiwać kabinę w nadziei znalezienia kamizelki ratowniczej. Na próżno.

Błyskawice bez przerwy rozświetlały niebo. Faber trzymał się kurczowo unieruchomionego koła sterowego i z całej siły oparł się o ścianę kabiny, pragnąc za wszelką cenę utrzymać równowagę. Nie mógł już panować nad łodzią, morze robiło z nią, co chciało.

Pocieszał się jednak, że przecież takie łodzie wytrzymują na ogół gwałtowne letnie burze. Nie bardzo w to jednak wierzył. Doświadczony rybak zauważyłby prawdopodobnie oznaki zbliżającego się sztormu i wiedząc, że statek nie przetrwa takiej nawałnicy, nigdy nie opuściłby przystani.

Faber stracił zupełnie poczucie miejsca, w którym się znalazł. Może dopływał w okolice Aberdeen lub też był w pobliżu miejsca umówionego spotkania. Usiadł na podłodze kabiny i włączył radio. Łódź trzęsła się i kołysała tak gwałtownie, że miał kłopoty z nastawieniem nadajnika. Zaczął

kręcić gałką, ale nic nie mógł złapać. Zgłosił do maksimum, nie usłyszał jednak żadnego dźwięku. Doszedł do wniosku, że antena została złamana.

Przełączył na nadawanie i zaczął powtarzać kilka razy prostą informację: “Słucham cię, odbiór”, potem przestawił z powrotem na odbiór. Nie bardzo wierzył, żeby jego sygnał został usłyszany.

Wyłączył silnik, aby oszczędzać paliwo. Pomyślał, że musi za wszelką cenę wydostać się z tej nawalnicy. Potem zrobi wszystko, żeby zreperować albo wymienić antenę.

Łódź zsunęła się gwałtownie z następnej fali i Faber zrozumiał, że tylko włączenie silnika może uratować kuter od zatonięcia. Postanowił uruchomić starter, ale nic z tego nie wyszło. Próbował kilka razy, aż wreszcie zrezygnował, przeklinając własną głupotę. W pewnej chwili łódź przechyliła się tak bardzo, że Faber upadł i uderzył głową o ster.

Leżał oszołomiony na pokładzie, przekonany, że za chwilę łódź stanie się wrakiem. Następna fala uderzyła w kabinę, wybijając wszystkie szyby. Faber znalazł się nagle pod wodą. Wydało mu się, że łódź tonie, zerwał się więc na nogi i zaczął odgarniać wodę. Strzaskane okna przestały istnieć, niemniej kuter nie zatonął. Kopniakiem otworzył drzwi kabiny i woda zaczęła wylewać się na zewnątrz. Przywarł do koła sterowego.

Niestety, siła sztormu ciągle rosła. W ostatnim przebłysku świadomości Faber pomyślał, że takie sztormy zdarzają się w tych okolicach pewnie raz na sto lat. Całą uwagę i siłę woli skupił teraz na utrzymaniu koła sterowego. Powinien przywiązać się do koła, ale nie miał odwagi wypuścić go z rąk i poszukać kawałka liny. Miał wrażenie, że wiatr i całe tony wody sprzysięgły się, aby oderwać go od steru. Czuł, jak jego stopy ślizgają się po mokrej podłodze. Nieznośnie bolały go ramiona. Łapał chciwie powietrze, gdy tylko udało mu się wynurzyć głowę nad powierzchnię wody. Chwilami był na granicy utraty przytomności. Jak przez mgłę zobaczył, że zniknął gdzieś płaski dach kabiny. Błyskawice raz po raz rozświetlały niebo i wtedy wyraźnie widział rozszalałe morze. Fale atakowały ze wszystkich stron. Doznał wstrząsu, gdy stwierdził, że stracił czucie w dłoniach, zaciśniętych kurczowo na sterze. Słyszał nieustanny szum i przestał już rozróżniać, czy były to odgłosy wiatru, morza czy piorunów. Powoli tracił przytomność. Zaczął mieć wizje na granicy jawy i koszmaru sennego - zobaczył dziewczynę, która tak uparcie wpatrywała się w niego wtedy na plaży. Zbliżała się teraz w jego stronę jakby płynąc pod pokładem łodzi rybackiej. Wyglądała bardzo ponętnie w kostiumie kąpielowym, który szczelnie opinał jej ciało, szła ku niemu, ale nie mogła dojść. Wiedział, że kiedy podejdzie wreszcie tak blisko, iż będzie mógł jej dotknąć, zdejmie zeszywniałe dłonie z koła sterowego. Powtarzał uparcie: “Jeszcze nie teraz, nie teraz”, a ona szła z uśmiechem na twarzy i zalotnie kołysała biodrami. Ogarnęła go ogromna ochota, żeby wypuścić koło z rąk i schwycić ją, ale resztką rozsądku mówiła mu, że jeśli się poruszy, nigdy jej nie dotknie, więc czekał, patrzył na nią i uśmiechał się do niej od czasu do czasu i nawet kiedy zamknął oczy, ciągle ją widział.

Coraz częściej tracił i odzyskiwał przytomność. Myśli odpływały, najpierw zniknęło morze i łódź, potem dziewczyna rozplywała się we mgle i kiedy budził się znowu, był zdziwiony, że wciąż jeszcze żyje i stoi trzymając ster w rękach. Całą siłą woli zmuszał się, żeby nie stracić całkowicie świadomości, ale wyczerpanie było zbyt wielkie i w końcu uległ.

Ostatnim wysiłkiem woli zdążył jeszcze zauważyć, że fale poruszają się w jednym kierunku unosząc ze sobą łódź. Ciemności rozświetliła kolejna błyskawica i wtedy zobaczył ogromną ciemną masę. Niemożliwe, żeby to była fala, nie, to musiała być skała... Chwilową radość przytłumił nagły strach, że łódź rozbije się o twardą górę. Bezmyślnie próbował uruchomić starter, a potem szybko wrócił do steru, lecz już nie potrafił nad nim zapanować.

Nowa fala uniosła łódź, a potem cisnęła nią jak odrzuconą zabawką. Kiedy wylatywał w

powietrze z rękami wciąż zaciśniętymi na sterze, ujrzał przed sobą wystający ostry koniec skały. Był pewien, że za chwilę łódź rozpadnie się na kawałki. Jednak kadłub kutra na szczęście otarł się tylko lekko o brzeg skały. Ogromne fale atakowały ze wszystkich stron. Łódź nie mogła się już dłużej opierać nawałnicy. Jeszcze jedno uderzenie i hałas rozpadającego się kadłuba rozległ się w ciszy nocnej niczym wystrzał armatni. Był to koniec łodzi.

Woda cofnęła się i Faber zdał sobie sprawę, że kadłub pękł, ponieważ uderzył o brzeg. Zupełnie oglupiały zobaczył plażę w świetle kolejnej błyskawicy. Woda wdarła się znowu na pokład i morze zepchnęło resztki łodzi z piasku, przewracając Fabera. Zdążył jeszcze zauważyć, że plaża była dość wąska i fale uderzały wysoko w przybrzeżne skały. Po prawej stronie zobaczył falochron i pomost prowadzący na wierzchołek skalistej góry. Wiedział, że jeśli opuści łódź, następna fala rozwali mu głowę o skałę. Gdyby udało mu się dopaść falochronu w krótkiej chwili między dwiema falami, mógłby spróbować wspiąć się tak wysoko na pomost, aby znaleźć się poza zasięgiem wody. Jakaś szansa przeżycia jeszcze istniała.

Następna fala strzaskała cały pokład. Łódź zapadła się, a cofająca się woda pociągnęła za sobą Fabera. Rzucił się do przodu - nogi trzęsły się pod nim jak galareta - i zaczął biec przez mieliznę w stronę falochronu. Przebiegnięcie tych paru jardów było dla niego największym wysiłkiem życia. Marzył, żeby się potknąć, upaść i umrzeć w morzu, ale trzymał się prosto, tak jak wtedy, gdy wygrał wyścig na pięć tysięcy metrów. Wreszcie dopadł falochronu. Złapał za jeden z pali i chwycił rękami deski, modląc się w duchu, aby choć na moment odzyskał siłę w dłoniach. Wspiął się po palu, najpierw głowa znalazła się nad krawędzią pomostu, potem przerzucił resztę ciała.

Kiedy powstał z kolan, nadeszła nowa fala i rzuciła go do przodu. Niosła go parę jardów, a potem cisnęła brutalnie na deski. Połykał wodę i zaczął widzieć gwiazdy. Przywołał znów całą siłę woli, żeby ruszyć do przodu. Nic z tego. Czuł, że jakaś siła ciągnie go nieubłaganie w tył. Nagle ogarnęła go wściekłość. Nie pozwoli się pokonać, nie teraz. Zaczął wymyślać burzy, morzu, Anglikom, Percivalowi Godlimanowi i nagle znowu zaczął biec, uciekając od morza. Pokonywał pochyłość z zamkniętymi oczami, z nienawiścią w sercu. Pamiętał niewyraźnie, jak przez mgłę, że kiedyś już odczuwał podobną wściekłość i prawie umarł. Biegł tracąc poczucie kierunku, ale z mocnym postanowieniem, że nie może zatrzymać się, chyba że straci przytomność.

Wzniesienie było długie i strome. Silny mężczyzna mógł wbiec łatwo na sam szczyt, jeśli dużo trenował i był wypoczęty. Olimpijczyk, jeśli był zmęczony, mógł co najwyżej pokonać połowę wzgórza. Czterdziestoletni przeciętny mężczyzna przebiegłby najwyżej dwa jardy.

Faber wbiegł na sam szczyt. Tuż przed końcem miał lekki atak serca i stracił przytomność, ale nogi pracowały dwa razy szybciej. Wreszcie upadł na podmokłe torfowisko.

Nie miał pojęcia, jak długo leżał na ziemi. Kiedy otworzył oczy, burza wciąż szalała, ale budził się już dzień. Parę jardów dalej zauważył małą farmę, która wyglądała na zamieszkaną.

Uniósł się na rękach i rozpoczął mozolne czołganie w stronę frontowych drzwi.

Rozdział 18

U9 zataczała leniwe koła, jej mocne silniki pracowały miarowo, kiedy przebijała się przez głębię morza niczym szary bezzębny rekin. Jej dowódca, pułkownik-komandor Werner Heer, popijał kawę zbożową i walczył z chęcią zapalenia papierosa. Ostatni dzień i noc wydawały się nie mieć końca. Nie był zachwycony zadaniem, które polecono mu wypełnić. Był przede wszystkim żołnierzem i cierpiał, że nie będzie mógł walczyć. Nie znosił też spokojnego oficera Abwehry i jego

przebiegłych niebieskich oczu. Był to niemiły gość na pokładzie.

Agent wywiadu, major Wohl, siedział naprzeciwko kapitana. Kapitan pomyślał, że ten cholerny facet nigdy nie wygląda na zmęczonego. Niebieskie oczy rozglądały się wokół zauważając wszystko, ale nigdy nie zmieniały swego wyrazu. Pomimo pewnych niewygód życia pod wodą, jego mundur zawsze wyglądał świeżo. Wohl zapalał nowego papierosa dokładnie co dwadzieścia minut i niedopałki miały zawsze tę samą długość. Heer bardzo chciał przestać palić, choćby po to, aby zaostrzyć przepisy i pozbawić Wohla przyjemności, jaką daje mu nikotyna, niestety nie mógł się na to zdobyć: był zbyt namiętym palaczem.

Heer nigdy nie przepadał za ludźmi z wywiadu, gdyż przebywając z nimi odnosił wrażenie, że zbierają informacje o nim samym. Nie lubił też współpracy z Abwehrą. Jego statek przeznaczony był do walki, a nie do przemykania się wzdłuż wybrzeży Wielkiej Brytanii w oczekiwaniu na pojawienie się szpiegów. Narazanie na ryzyko kosztownego mechanizmu, jakim była łódź podwodna, oraz jej doskonale wyszkolonej załogi dla jakiegoś faceta, który nie wiadomo, czy się w ogóle pojawi, wydawało się czystym szaleństwem.

Wypił kawę do końca i skrzywił się.

- Paskudztwo - powiedział.

Wohl obrzucił go spojrzeniem, które nic nie wyrażało, potem odwrócił wzrok. Nie odezwał się ani słowem. Heer poruszył się niespokojnie na krześle. Gdyby był na statku, chodziłby pewnie nerwowo po pokładzie, lecz w łodzi podwodnej unikało się zbytecznych ruchów.

- Wasz człowiek nie pojawi się w taką pogodę - powiedział.

Wohl spojrział na zegarek.

- Poczekamy do szóstej rano - oznajmił ze spokojem. Nie był to rozkaz, gdyż Wohl nie mógł rozkazywać Heerowi, niemniej takie rzeczowe stwierdzenie faktu stanowiło zniewagę dla wyższego rangą oficera.

- Do cholery, ja jestem tutaj kapitanem! - wykrzyknął Heer.

- Obaj mamy wypełniać rozkazy - zauważył chłodno Wohl.- Jak pan wie, pochodzą od bardzo ważnej osobistości.

Heer powściągnął gniew. Ten smarkacz miał oczywiście rację. Heer wypełni jego rozkazy. Kiedy jednak wrócą do portu, złoży na niego skargę za nieposłuszeństwo. Nie bardzo wierzył, żeby to pomogło: piętnaście lat służby w marynarce nauczyło Heera, że ludzie z kwatery głównej sami dla siebie stanowili prawo.

- Jeżeli ten wasz człowiek jest tak głupi, że wypłynie dziś wieczór, nie wierzę, żeby przeżył ten sztorm - powiedział.

Jedyną odpowiedzią Wohla było nic nie mówiące spojrzenie.

- Czy złapałeś coś, Weissman?! - zawołał Heer do radiotelegrafisty.

- Nic nie słyhać, panie kapitanie.

- Mam złe przeczucie, że szmery, które usłyszeliśmy kilka godzin temu, pochodziły od niego - powiedział Wohl.

- Jeśli nawet tak było, to nadawał je daleko od miejsca spotkania - błysnął inteligencją radiotelegrafista. - Uważam, że brzmiało to raczej jak uderzenie pioruna.

- Jeśli to nie był on, to trudno. Jeśli jednak to był on, dawno musiał już utonąć - Heer był wyraźnie z siebie zadowolony.

- Nie zna pan możliwości tego człowieka - powiedział Wohl i tym razem w jego głosie dało się wyczuć pewne podniecenie.

Heer popadł w milczenie. Odgłos silnika uległ lekkiej zmianie i wydawało mu się, że słyszy

jakieś podejrzane szmery. Jeśli w czasie podróży powrotnej staną się głośniejsze, będzie musiał zrobić przegląd techniczny w porcie. Zrobi to w każdym wypadku, choćby po to, aby uniknąć następnej wyprawy z niesympatycznym majorem Wohlem.

Marynarz zajrzał do kajuty.

- Czy chce pan kawy, panie kapitanie?

Heer potrząsnął przecząco głową.

- Jeśli jeszcze się napiję, zacznę siusiać kawą.

- A ja poproszę - powiedział Wohl i wyciągnął następnego papierosa. Ten gest kazał Heerowi spojrzeć na zegarek. Było dziesięć po szóstej. Pedantyczny major Wohl przełożył na później wypalenie papierosa, który wypadał na godzinę szóstą, tylko po to, aby przedłużyć o parę minut okres czekania pod wodą.

- Wracamy do domu! - rozkazał kapitan.

- Chwileczkę - odezwał się Wohl. - Po wyjściu na powierzchnię proponuję, żebyśmy się rozejrzeli, zanim odplyniemy.

- Niech pan nie będzie głupcem - powiedział Heer. Wiedział, że może sobie pozwolić na taką uwagę. - Czy zdaje pan sobie sprawę, jaki sztorm tam się teraz rozszalał? W takich warunkach nie można otworzyć luku na rufie, a peryskop pokaże nam wodę na odległość zaledwie paru jardów.

- Skąd pan wie o sile sztormu będąc na tej głębokości?

- Z własnego doświadczenia - poinformował go Heer.

- Wobec tego przynajmniej wyślijcie wiadomość do bazy z informacją, że nasz człowiek nie nawiązał kontaktu. Bardzo prawdopodobne, że rozkażą nam przedłużyć czekanie. Heer westchnął zniecierpliwiony.

- Nie można z takiej głębokości nawiązać kontaktu radiowego z bazą - tłumaczył.

W końcu opanowanie opuściło Wohla i wybuchnął: - Komandorze Heer, rozkazuję panu wypłynąć na powierzchnię i nawiązać kontakt radiowy z bazą, zanim opuścimy miejsce spotkania. Człowiek, którego mamy zabrać, jest w posiadaniu informacji, od których zależy przyszłość Rzeszy. Sam Führer czeka na jego raport.

Heer spojrział na niego.

- Cieszę się, że w końcu coś pan wyjaśnił, majorze. - Odwrócił się. - Cała naprzód! - wrzasnął.

Dźwięk dwóch bliźniaczych silników przemienił się w ryk i łódź zaczęła nabierać szybkości.

CZĘŚĆ CZWARTA

Rozdział 19

Kiedy Lucy obudziła się, sztorm, który rozpoczął się poprzedniego wieczoru, szalał dalej. Pochyliła się nad brzegiem łóżka, poruszając się ostrożnie, żeby nie obudzić Davida, i podniosła zegarek z podłogi. Było parę minut po szóstej. Wichura wyła nad dachem domu. David mógł jeszcze pospać, niewiele zdoła dzisiaj zrobić.

Zastanawiała się, czy dach bardzo ucierpiał tej nocy. Będzie musiała sprawdzić strych. Poczekaj z tym, kiedy David wyjdzie, w przeciwnym razie będzie wściekły, że nie powiedziała mu, aby on to zrobił.

Wyślizgnęła się z łóżka. Było bardzo zimno. Gorąca pogoda ostatnich paru dni okazała się fałszywym latem, przygotowaniem do sztormu. Teraz, w czasie burzy, zimno było jak w listopadzie. Ściągnęła flanelową koszulę przez głowę i szybko włożyła ciepłą bieliznę, spodnie i sweter. David poruszył się na łóżku. Spojrzała na niego niespokojnie. Przewrócił się na drugi bok i na szczęście spał dalej.

Lucy zajrzała do pokoju małego Jo. Trzyletni chłopczyk przeszedł już z kołyski do prawdziwego łóżka i często wypadał z niego nie budząc się wcale. Tego ranka jednak leżał na łóżku śpiąc smacznie z buzią szeroko otwartą. Lucy uśmiechnęła się na jego widok. Wyglądał słodko, kiedy spał.

Zeszła cicho na dół, zastanawiając się, co też ją mogło obudzić tak wcześnie. Czyżby Jo zapłakał, a może przyczyną był sztorm? Uklękła przed kominkiem, zawinęła wysoko rękawy swetra i zaczęła rozpalać ogień. Wysypując popiół z paleniska gwizdała piosenkę, którą знаła z radia: "Jesteś, czy nie jesteś moim kochanym?" Wybrała najgrubsze polana. Suche paprocie łatwo się rozpalały; kładła je na sam spód i przykrywała drewnem i węglem. Czasami używała tylko drewna, ale węgiel dawał więcej ciepła w taką pogodę. Przez parę minut trzymała kawałek gazety nad paleniskiem, aby chwycił ciąg w kominie. Po chwili drewno buchnęło jasnym płomieniem, a węgiel zarzył się czerwonym blaskiem. Złożyła papier i wsunęła go pod szufłę na węgiel - przyda się następnego dnia.

Ogień kominka powinien wkrótce ogrzać mały dom, a na razie trzeba się zadowolić filiżanką gorącej herbaty. Lucy poszła do kuchni i nastawiła czajnik na elektrycznej kuchence. Umieściła dwie filiżanki na tacy, potem poszukała papierosów Davida i popielniczki. Przyrządziła herbatę, napełniła filiżanki i poszła z tacą przez hall w stronę schodów na górę.

Postawiła już jedną stopę na najniższym stopniu, kiedy usłyszała lekkie stukanie. Zatrzymała się, zmarszczyła brwi i doszła do wniosku, że to wiatr musiał uderzyć czymś o ścianę. Zrobiła następny krok i znowu usłyszała ten sam dźwięk. Tak jakby ktoś pukał do drzwi.

Bzdura oczywiście. Nikt nie mógł przecież pukać z wyjątkiem Toma, a on zawsze wchodził od kuchni bez pukania.

Hałas powtórzył się. Żeby zaspokoić własną ciekawość, zeszła ze schodów i przełożywszy tacę do jednej ręki, otworzyła drzwi. Przerażona puściła tacę na ziemię. Obcy mężczyzna wtargnął do środka i upadł, przewracając ją własnym ciałem. Lucy krzyknęła.

Strach minął po chwili. Nieznajomy leżał twarzą do ziemi obok niej w hallu i znajdował się w takim stanie, że nie mógł nikogo zaatakować. Miał na sobie przemoczone ubranie, a jego ręce i twarz były białe i lodowate.

Lucy zerwała się na nogi. Tymczasem David zsunął się ze schodów i zapytał: - Co się stało? Co to jest?

- Jakiś facet - wskazała Lucy palcem.

David dotarł do końca schodów i usadowił się w wózku na kółkach.

- Nie widzę powodu, żeby tak wrzeszczeć - zauważył chłodno. Przysunął fotel bliżej i zaczął przyglądać się mężczyźnie leżącemu na podłodze.

- Przepraszam, ale on mnie tak przestraszył. - Uklękła, złapała nieznajomego za ramiona i wciągnęła go do bawialni. David jechał za nią. Lucy położyła mężczyznę przed kominkiem.

David patrzył zamyślony na nieprzytomnego człowieka.

- Skąd, do diabła, wziął się na tej wyspie? - zastanawiał się głośno.

- Pewnie rozbitek ze statku.

- Masz rację.

Lucy zauważyła jednak, że nieznajomy ma na sobie ubranie robotnika, a nie marynarza. Przyjrzała mu się dokładniej. Był wysokim, potężnie zbudowanym mężczyzną. Miał wyrazistą twarz o delikatnych rysach, wysokim czole i wystającej szczęce. Pomyślała, że gdyby nie śmiertelna bladeść policzków, byłby całkiem przystojny.

Nieznajomy poruszył się i otworzył oczy. Wyglądał na straszliwie przerażonego, zupełnie jak mały chłopiec, który budzi się w obcym miejscu. Uspokoił się jednak szybko i bacznie zaczął rozglądać wokół, przenosząc wzrok kolejno na Lucy, Davida, okna, drzwi i kominek.

- Musimy zdjąć z niego to ubranie - zdecydowała Lucy. - Przynies jakąś piżamę i szlafrok, Davidzie.

David odjechał, aby spełnić jej prośbę, a Lucy uklękła przy nieznajomym. Zaczęła ściągać z niego buty i skarpetki. Wydawało jej się, że dostrzega w jego oczach jakby lekkie rozbawienie. Kiedy jednak spróbowała zdjąć z niego kurtkę, skrzyżował ręce na piersi ochronnym ruchem.

- Umrze pan na zapalenie płuc, jeśli dłużej zostanie pan w tym ubraniu - powiedziała łagodnie. - Proszę mi pozwolić je zdjąć.

- Nie wydaje mi się, abyśmy się dość dobrze znali - odparł - nawet nie zostaliśmy sobie przedstawieni.

Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział. W jego głosie było tyle pewności siebie i zabrzmiało to tak formalnie, że widząc, jak przy tym wszystkim strasznie wygląda, Lucy mimo woli wybuchnęła śmiechem.

- Czy pan się wstydzi? - zapytała.

- Po prostu uważam, że każdy człowiek powinien dbać o zachowanie swego tajemniczego wyglądu. - Uśmiechnął się szeroko i nagle jego usta wykrzywiły się w paroksyzmie bólu. Przymknął oczy.

Wrócił David z czystą piżamą.

- Widzę, że poznaliście się już - zauważył.

- Będiesz musiał go rozebrać - powiedziała Lucy. - Mnie nie pozwolił.

David spojrzał obojętnie.

- Dziękuję, dam sobie radę sam - oznajmił nieznajomy - jeśli państwo pozwolą.

- Ależ proszę bardzo - zgodził się David. Rzucił piżamę na krzesło i odjechał na wózku.

- Zrobię świeżą herbatę - zaproponowała Lucy idąc za mężem. Wychodząc zamknęła dyskretnie drzwi do bawialni.

W kuchni David już napełniał czajnik. Zapalony papieros zwisał mu z ust. Lucy pospiesznie usunęła z korytarza potłuczoną porcelanę i weszła do kuchni.

- Jeszcze przed chwilą miałem wątpliwości, czy ten facet żyje, a teraz sam się ubiera.

Lucy zajęta była przyrządzaniem herbaty.

- Może udawał.

- Perspektywa rozbierania go przez ciebie wróciła mu nagle siły.

- Dziwne, że można być tak nieśmiałym.

- Twoja własna niedoskonałość w tej materii powoduje, że nie doceniasz tej cechy u innych.

Filizanki zagrzechotały niebezpiecznie w rękach Lucy.

- Na ogół stajesz się złośliwy i elokwentny dopiero po śniadaniu. - Zaczęła nalewać wrzątek do czajnika. - Nie kłóćmy się już dzisiaj. Dla odmiany możemy zrobić coś pożytecznego. - Wzięła tacę i poszła do bawialni.

Nieznajomy zapinał guziki piżamy i kiedy weszła, odwrócił się do niej plecami. Postawiła tacę na stole i rozlała herbatę do filiżanek. Kiedy spojrzała w jego stronę, miał już na sobie szlafrok Davida.

- Pani jest bardzo uprzejma - powiedział i patrzył jej prosto w oczy.

Lucy pomyślała, że wcale nie wygląda na człowieka nieśmiałego. Był starszy od niej - oceniała go na jakieś czterdzieści lat. Może dlatego tak się zachowywał. I coraz mniej przypominał rozbitka ze statku.

- Proszę usiąść koło ognia - zaproponowała i wręczyła mu filiżankę gorącej herbaty.

- Chyba nie zdołam utrzymać spodeczka - powiedział. - Zupełnie zdrętwiały mi palce. -

Szttywnymi rękami wziął od niej filiżankę i ostrożnie uniósł ją do ust.

Wszedł David i poczęstował go papierosem. Nieznajomy podziękował.

- Gdzie jestem? - zapytał, kiedy opróżnił już filiżankę.

- Na Wyspie Wiatrów - pospieszył z odpowiedzią David. Wydawało się, że mężczyzna odetchnął z ulgą.

- Myślałem, że morze wyrzuciło mnie z powrotem na ląd. David poradził mu, żeby sobie rozgrzał stopy przy kominku.

- Prawdopodobnie morze wyrzuciło pana na plażę - powiedział.

Przybiegł zaspany Jo, wlokąc za sobą ogromnego pluszowego misia z urwaną łapą. Kiedy zobaczył przybysza, podbiegł szybko do Lucy i schował się za nią.

- Przestraszyłem cię, dziewczynko - powiedział mężczyzna z uśmiechem.

- To chłopiec. Muszę obciąć mu włosy. - Lucy wzięła Jo na kolana.

- Przepraszam. - Wyraz bólu znowu pojawił się na jego twarzy. Lucy wstała sadzając Jo na kanapie.

- Musimy położyć tego biedaka do łóżka, Davidzie - powiedziała.

- Chwileczkę - odezwał się David. Przysunął się bliżej do nieznajomego. - Czy ktoś jeszcze się uratował? - zapytał.

- Sam płynąłem - wyszeptał i widać było, że z trudem wiąże myśli.

- Davidzie... - zaczęła Lucy.

- Jeszcze jedno pytanie: czy zawiadomił pan straż przybrzeżną o swej wyprawie?

- Czy to ma jakieś znaczenie? - Lucy coraz bardziej się niecierpliwiła.

- Oczywiście, że ma, bo jeśli to zrobił, szukają go teraz ryzykując życiem, a my możemy ich zawiadomić, że jest bezpieczny.

- Nikomu... nie mó...wiłem - jęknął mężczyzna.

- Dość tych pytań, Davidzie - powiedziała Lucy i uklękła przed nieznajomym. - Czy zdoła pan wejść po schodach na górę? Skinął głową i zrobił wysiłek, żeby wstać. Lucy przewiesiła jego rękę

przez ramię i ruszyła w stronę sypialni.

- Położę go do łóżka Jo - powiedziała.

Zaczęli wchodzić po schodach bardzo ostrożnie, zatrzymując się na każdym stopniu. Kiedy znaleźli się na piętrze, lekkie rumieńce, które wywołał ogień kominka, zniknęły z twarzy mężczyzny, ustępując miejsca chorobliwej bladości. Lucy wprowadziła gościa do mniejszej sypialni. Zsunął się bezwładnie na łóżko, Lucy przykryła go kocami i wyszła z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Faber odczuł ulgę nie do opisania. W ciągu ostatnich paru minut panował nad sytuacją ponadludzkim wysiłkiem. Czuł się słaby, chory i pokonany.

Kiedy drzwi farmy otworzyły się, pozwolił sobie na chwilę odpoczynku. Niebezpieczeństwo wróciło, gdy piękna dziewczyna zaczęła go rozbierać, a on przypomniał sobie pojemnik z filmami przytwierdzony do piersi. Czujność obudziła się wtedy na chwilę. Bał się również wezwania ambulansu, chociaż nie wspomniano tej możliwości, prawdopodobnie wyspa była za mała, żeby mieć szpital. Na szczęście morze wyrzuciło go do Szkocji. Gdyby tak się stało, zatonięcie statku zostałoby na pewno zgłoszone. Pytania, jakie zadał mu David, przekonały go, że żadna wiadomość nie będzie przekazana w najbliższym czasie.

Faber nie miał siły, żeby rozmyślać o dalszym zagrożeniu. Na razie był w miarę bezpieczny, powinien się więc uspokoić. Nie zginął i leżał w ciepłym, wygodnym łóżku.

Przewrócił się na drugi bok i zaczął oglądać pokój: drzwi, okna, kominek. Przyzwyczajenie do zachowania ostrożności przetrwało wszystko. Zauważył, że ściany pomalowane są na różowo, jak gdyby młode małżeństwo oczekiwało, że urodzi im się córka. Zauważył małą kolejkę żelazną i liczne książki z obrazkami porozrzucane na podłodze. Więc to prawdziwy dom, w którym można się czuć bezpiecznie.

Przymknął oczy. Pomimo całkowitego wyczerpania, z wielkim trudem zmuszał każdy mięsień swego ciała do relaksu. Stopniowo myśli gdzieś uciekły i w końcu zasnął.

Lucy skosztowała płatki owsiane i dodała jeszcze trochę soli. Nauczyli się je jeść bez cukru, szkockim zwyczajem, który przejęli od Toma. Odzwyczaja się zupełnie od słodzenia porridge'u. Postanowiła nigdy nie wracać do gotowania słodkich płatków, nawet gdyby cukier znowu stał się dostępny bez ograniczeń. Śmieszne, jak łatwo można było się przyzwyczaić do różnych rzeczy, jeśli zaistniała konieczność. Polubili ciemny chleb, margarynę, słone płatki.

Rozlała zupę na talerze i rodzina zasiadła do śniadania. Jo wypijał ogromne ilości mleka. David jadł dużo; miał w tym czasie wielki apetyt i wcale nie tył od obfitych posiłków. Pozostał szczupły dzięki pracy fizycznej na świeżym powietrzu. Lucy przyjrzała się jego dłoniom na stole. Były szorstkie i zawsze opalone - prawdziwe ręce robotnika. Przypomniała sobie dłonie nieznanego. Miał długie palce, a skóra była biała pod zadrapaniami i krwią. Nie wyglądał na człowieka zaprawionego w trudach żeglarstwa.

- Niewiele dzisiaj zrobisz - odezwała się Lucy. - Wygląda na to, że sztorm wcale się nie skończy.

- To bez znaczenia - odburknął David. - Owce wymagają opieki bez względu na pogodę.

- Gdzie będziesz pracował?

- Niedaleko domu Toma. Pojadę tam jeepem.

- Weź mnie ze sobą - poprosił Jo.

- Nie dzisiaj - zabroniła Lucy. - Jest mokro i zimno.

- Ale boję się tego pana.

- Nie bądź głupi - uśmiechnęła się Lucy. - Nie robi nam nic złego. Jest tak chory, że nie może

się ruszać.

- Kto to jest?

- Nie wiemy, jak się nazywa. Jest rozbitkiem ze statku i musimy się nim zaopiekować do momentu, kiedy wyzdrowieje i będzie mógł wrócić na ląd. To bardzo miły pan.

- Czy on jest moim wujkiem?

- Nie. Jest obcy. Jedz, Jo.

Chłopiec był rozczarowany. Kiedyś widział wujka i nabrał wtedy przekonania, że wujek jest panem rozdającym cukierki, za którymi przepadał, i pieniądze, z którymi nie bardzo wiedział, co zrobić.

David skończył jeść śniadanie i włożył płaszcz od deszczu. Był wielki niczym namiot, z rękawami i otworem na głowę, przykrywał również prawie cały wózek inwalidzki. Włożył kaptur i zawiązał go pod brodą. Pocałował Jo i powiedział do widzenia Lucy.

Chwilę później usłyszała warkot jeepa. Podeszła do okna, żeby zobaczyć, jak David wyrusza w deszcz. Tylne koła pojazdu ślizgały się na mokrej drodze. Będzie musiał bardzo uważać.

Wróciła do Jo.

- To jest pies - powiedział chłopiec i pokazał jej rysunek, jaki wykonał na obrusie przy pomocy mleka i płatków owsianych.

Lucy uderzyła go po ręce karcąc: - Co za bałagan! - Chłopiec spojrział na nią ponuro i z wściekłością i Lucy przyszło na myśl, jak bardzo przypomina swego ojca. Obaj mieli ciemną skórę i prawie czarne włosy i obaj zamykali się w sobie, kiedy ogarniała ich wściekłość. Tylko że Jo często się śmiał, na szczęście odziedziczył też jakieś cechy po rodzinie matki.

Jo wydawało się, że zamyślane spojrzenie matki oznacza gniew i powiedział: - Przepraszam.

Umyła go pod zlewem kuchennym, potem sprzątnęła brudne naczynia ze stołu, cały czas myśląc o nieznanym na górze. Wiedziała, że kryzys minął i przybysz nie umrze. Ogarnęła ją ciekawość, kim jest. Skąd pochodzi? Jak się nazywa? Dlaczego płynął w czasie sztormu? Czy ma rodzinę? Dlaczego ubiera się jak robotnik, mówi trochę wiejskim akcentem i ma ręce urzędnika? Wszystko to było raczej niezwykle.

Przyszło jej na myśl, że gdyby nie żyła na takim odludziu, krótkie odwiedziny obcej osoby nie zrobiłyby na niej takiego wrażenia. Podejrzewała, że mógł być dezerterskim, kryminalistą lub nawet uciekinierem z obozu jenieckiego. Mieszkając na wyspie zapominało się, że inni ludzie mogą okazać się wrogami. Cieszyła się z widoku nowej twarzy i jakiegokolwiek podejrzenia wydały się jej niesprawiedliwe. "A może - pomyślała z niechęcią - bardziej niż inne kobiety znajduję przyjemność w spotkaniu przystojnego mężczyzny..." Szybko odsunęła tę myśl od siebie.

Bzdura, kompletna bzdura. Był tak zmęczony i chory, że nie stanowił dla nikogo żadnego zagrożenia. Nawet na lądzie chyba nie odmówiono by mu pomocy, gdyby pojawił się taki ubłocony i półprzytomny. Kiedy poczuje się lepiej, po prostu o wszystko go wypytają i jeśli jego wersja przybycia na wyspę okaże się trochę podejrzana, dzięki radiostacji Toma zawsze mogą porozumieć się z lądem.

Skończyła zmywać i cicho zakradła się na górę, żeby rzucić na niego okiem. Spał zwrócony twarzą w stronę drzwi i kiedy zbliżyła się, natychmiast otworzył oczy. Znowu zauważyła trwający ułamek sekundy wyraz strachu.

- Proszę się nie obawiać - wyszeptała. - Sprawdzam tylko, czy wszystko jest w porządku.

Przymknął oczy bez słowa. Lucy zeszła na dół. Ubrała siebie i Jo w nieprzemakalne płaszcze i wysokie kalosze. Kiedy wyszli na zewnątrz, deszcz padał wielkimi strugami i wiatr ostro zacinał. Spojrzała na dach, sprawdzając, ile dachówek zniszczył sztorm. Uginając się szła pod wiatr w stronę

skalistego urwiska.

Mocno trzymała rączkę Jo bojąc się, że wichura porwie gdzieś malca. Chwilę później zaczęła żałować, że wyszła z domu. Deszcz wdarł się za kołnierz jej płaszcz i dostał się nawet do butów. Jo pewnie też cały przemókł. Pomyślała, że nic się jednak nie stanie, jeśli parę minut dłużej zostaną na deszczu. Lucy chciała dojść do plaży.

Kiedy w końcu wspięli się na szczyt pochyłości, zrozumiała, że zejście na plażę jest całkiem niemożliwe. Wąskie drewniane przejście było śliskie od deszczu i bała się, że idąc w takim wietrze, straci równowagę i spadnie na położoną sześćdziesiąt stóp niżej plażę. Musiała się zadowolić samym jej widokiem.

Olbrzymie fale, każdej wielkości małego domu, toczyły się z ogromną szybkością. Przecinając plażę fala wznosiła się jeszcze wyżej - grzbiet jej zawijał się niczym znak zapytania - i wreszcie rozbijała się u stóp skały. Piana rozprysnęła się wysoko nad skalnym wzniesieniem i widząc ją Lucy cofnęła się, a Jo wydał okrzyk zachwytu. Lucy usłyszała śmiech chłopca tylko dzięki temu, że schował się w jej ramionach i trzymał usta blisko jej ucha, szum wiatru i morza zagłuszał bowiem wszelkie odgłosy.

Było coś niesamowitego w widoku rozszalałego żywiołu, kiedy stało się prawie na krawędzi skały. Poczucie bezpieczeństwa mieszało się ze świadomością zagrożenia, dreszcz zimna przechodził w pot wywołany strachem. Było to niezwykle, a w życiu Lucy zdarzało się bardzo mało niezwykłych rzeczy.

Miała już wracać do domu, bojąc się o zdrowie małego Jo, kiedy nagle zobaczyła łódź. Nie była to już oczywiście łódź, tylko ogromne kawały drewna, które kiedyś tworzyły pokład i kil. Unosiły się porozrzucane po skałach, przypominając z tej odległości zapałki. Lucy zrozumiała, że łódź, która się rozbiła, musiała być duża. Jeden człowiek na pewno z trudem dawał sobie radę z jej prowadzeniem. Szkody, jakie morze czyniło dziełu rąk ludzkich, były ogromne. Lucy na próżno, wypatrywała dwóch połączonych kawałków drewna.

Na Boga, w jaki sposób ten człowiek przeżył to wszystko?

Wzdrygnęła się na myśl, jak okrutnie fale i skały mogły potraktować ciało człowieka. Jo zauważył, że spochmurniała i szepnął jej do ucha: - Chodźmy do domu.

Odeszła szybko od brzegu i pobiegła błotnistą drogą w stronę farmy.

Kiedy znaleźli się w ciepłym wnętrzu, zdjęli przemoczone płaszcze, czapki, buty i powiesili je w kuchni. Lucy poszła na górę i jeszcze raz zajrzała do pokoju nieznanego. Tym razem nie otworzył oczu. Spał spokojnie, ale podejrzewała, że przedtem obudził się i kiedy poznał jej kroki na schodach, zamknął oczy, zanim zdążyła otworzyć drzwi.

Zaczęła przygotowywać gorącą kąpiel. Oboje z Jo przemokli do suchej nitki. Rozebrała chłopca i wsadziła go do wanny, potem pod wpływem nagłego impulsu zdjęła mokre ubranie i weszła razem z nim. Gorąca kąpiel była prawdziwym błogosławieństwem. Zamknęła oczy i odprężyła się. Jak cudownym uczuciem była świadomość, że jest we wnętrzu ciepłego domu, gdy burza w szale bezsilności atakuje kamienne ściany farmy.

Życie stało się nagle interesujące, po trzech latach monotonii. Jedna tylko noc sprowadziła sztorm, wrak rozbitej łodzi i tajemniczego mężczyznę. Chciała, żeby nieznanomy szybko się obudził i opowiedział jej trochę o sobie.

Nadeszła pora gotowania obiadu dla domowników. Postanowiła przyrządzić pieczeń baranią. Wyszła z wanny i wytarła się starannie ręcznikiem. Jo pochłonięty był puszczaniem na wodę małego gumowego kota. Lucy przyjrzała się własnemu odbiciu w lustrze, szczególnie rozstępom na brzuchu, jakie pozostawiła ciąża. Zmniejszyły się powoli, ale wiedziała, że nigdy całkiem nie znikną. Gdyby

dokładnie opaliła się na całym ciele, na pewno wyglądałaby ładniej. Uśmiechnęła się do siebie myśląc, że to zupełnie niemożliwe. A zresztą, kto chciałby oglądać jej ciało. Chyba tylko ona sama.

- Czy mogę jeszcze zostać minutę? - zapytał Jo. Bardzo często zadawał to pytanie i czasami minuta mogła znaczyć pół dnia.

- Tak, aż się ubiorę - zgodziła się Lucy. Powiesiła ręcznik na sznurze i podeszła do drzwi.

Nieznajomy stał w progu i patrzył na nią. Lucy zastanawiała się później, dlaczego nie odczuła żadnego strachu. Patrzył na nią w jakiś szczególny sposób, nie było w jego twarzy ani groźby, ani lubieźności, pożądania czy głupiej afektacji. Nie przyglądał się jej piersiom czy łonu, ale patrzył prosto w oczy. Spojrzała na niego, trochę zaskoczona, ale zupełnie nie zawstydzona, dziwiąc się, że nie krzyczy i nie zasłania się rękami, wreszcie, że nie zamyka mu drzwi przed nosem.

Zauważyła też w jego oczach, lub może wydawało się jej tylko, że zauważyła, coś, co przypominało podziw, jakby błysk rozbawienia i ślad smutku. Czar prysnął i on cofnął się do swej sypialni, zamykając za sobą drzwi. Chwilę później usłyszała skrzypnięcie łóżka pod ciężarem jego ciała. I bez najmniejszego powodu poczuła się nagle straszliwie winna.

Rozdział 20

W tym samym czasie Percival Godliman poruszył niebo i ziemię sprawdzając wszystkie drogi wylotowe. Każdy policjant w Zjednoczonym Królestwie otrzymał zdjęcie Fabera i prawie połowa zajmowała się tylko szukaniem zbiega. W miastach sprawdzali hotele i pensjonaty, stacje kolejowe i dworce autobusowe, kawiarnie i centra handlowe. Z wielką starannością przeszukiwali kryjówki pod mostami i ruiny zbombardowanych budowli. We wsiach zaglądali do stodół, silosów, pustych farm, ruin zamków, sprawdzali zarośla, polany i pola zasiane zbożem. Pokazywali zdjęcie kasjerom biletowym, mężczyznom obsługującym stacje benzynowe, pracownikom pobierającym opłaty za przejazd promem. We wszystkich portach i lotniskach na każdym biurku urzędnika kontroli paszportowej przyczepiono zdjęcie Fabera.

Policja przypuszczała, że poszukuje się niebezpiecznego mordercy. Policjant ze służby ruchu został poinformowany, że mężczyzna na zdjęciu zabił nożem dwoje ludzi w Londynie. Starsi stopniem oficerowie wiedzieli trochę więcej, mianowicie, że jedno z morderstw popełniono na tle seksualnym, motywy drugiego były zupełnie nieznane, trzecie natomiast, o którym podwładni nie powinni się dowiedzieć, okazało się krwawym i niewytłumaczonym zabójstwem żołnierza jadącego pociągiem do Liverpoolu. Jedynie wysocy rangą policjanci i kilku oficerów Scotland Yardu zdawało sobie sprawę, że ten żołnierz na krótki czas został przydzielony do MI5 i że te wszystkie morderstwa miały związek z Security Office.

Gazety pisały jedynie o zwyczajnym poszukiwaniu mordercy. Kiedy Godliman udostępnił szczegóły, większość dzienników przekazała całą historię w wydaniu wieczornym. Pierwsze wydanie gazet przeznaczonych dla czytelników Szkocji, Ulsteru i Północnej Walii nie zdążyło wydrukować sensacyjnych wiadomości i następnego dnia wypuszczono dodatek nadzwyczajny. Ofiarę ze Stockwell przedstawiono jako robotnika, nadano mu fałszywe nazwisko i podano parę wymyślonych szczegółów dotyczących jego życia w Londynie. To morderstwo, według dziennikarzy, pozostawało w jakimś związku ze śmiercią Uny Garden w 1940 roku, ale jaki to był związek, dokładnie nie wiedziano. Zabójca mordował przy użyciu sztyletu.

Dwie gazety z Liverpoolu szybko dowiedziały się o zamordowanym w pociągu funkcjonariuszu kolei i snuły rozważania, czy i w tym wypadku sprawcą zabójstwa był mężczyzna z Londynu

zabijający sztyletem. Dziennikarze tych gazet próbowali dowiedzieć się czegoś od policji z Liverpoolu. Redaktorzy naczelni otrzymali telefonicznie rozkaz z Komendy Głównej nie drukowania żadnych danych dotyczących tej sprawy.

Ogółem aresztowano stu pięćdziesięciu siedmiu wysokich brunetów; wszystkich podejrzewano, że nazywają się Faber. Wszyscy z wyjątkiem dwudziestu dziewięciu mogli udowodnić swoją niewinność. Pracownicy MI5 przesłuchiwali tych dwudziestu dziewięciu. Dwudziestu siedmiu wezwało rodziców, krewnych czy sąsiadów, którzy potwierdzili ich zeznania - wszyscy urodzili się na terenie Wielkiej Brytanii i nie opuszczali kraju w latach dwudziestych, kiedy Faber przebywał w Niemczech.

Dwaj ostatni z zatrzymanych zostali przywiezieni do Londynu i przesłuchiwał ich sam Godliman. Byli kawalerami żyjącymi samotnie, nie posiadali żadnych krewnych i często zmieniali miejsce zamieszkania.

Pierwszy z nich był pewnym siebie, elegancko ubranym mężczyzną, który w sposób nie bardzo przekonujący utrzymywał, że zarabia na utrzymanie jeżdżąc po kraju i wynajmując się w różnych miejscach jako robotnik. Godliman wytłumaczył mu, że szuka niemieckiego szpiega i że w przeciwieństwie do policji może wtrącić do więzienia kogo chce na okres wojny bez żadnej możliwości obrony. Co więcej, nie jest w najmniejszym stopniu zainteresowany łapaniem zwyczajnych kryminalistów i każda informacja przekazana mu na terenie Ministerstwa Wojny jest ściśle tajna i nie może być nigdzie dalej podana.

Zatrzymany mężczyzna przyznał się wobec tego, że jest oszustem, i podał adresy dziewiętnastu starszych pań, od których wyłudził ich rodzinną biżuterię w ciągu ostatnich trzech tygodni. Godliman przekazał go policji.

Nie poczuwał się do obowiązku dochowania danego słowa wobec zawodowego oszusta.

Ostatni podejrzany również się załamał w trakcie przesłuchiwania. Sekret, który ukrywał, polegał na tym, że bynajmniej nie był kawalerem. Wręcz przeciwnie. Miał żonę w Brighton, w Solihull, Birmingham, Colchester, Newbury i Exeter. Wszystkie przedstawiły, świadectwo ślubu jeszcze tego samego dnia. Bigamista znalazł się w areszcie, gdzie czekał na rozprawę.

Poszukiwania Fabera nie ustawały. W tym gorączkowym okresie Godliman spał w swoim biurze.

Dworzec kolejowy Tempie Meads w Bristolu:

- Dzień dobry. Czy nie zechciałaby pani spojrzeć na to zdjęcie?
- Hej, dziewczęta, gliniarz pokazuje swoje fotografie!
- Bez żartów, proszę powiedzieć, czy widziała już pani tego człowieka?
- O rany, ale przystojny! Bardzo chciałabym go spotkać.
- Myślę, że zmieniałaby pani zdanie wiedząc, co zrobił. Proszę, żeby wszystkie panie rzuciły okiem na to zdjęcie.
- Nigdy go nie widziałam.
- Ja też nie.
- Nie mam pojęcia, kto to jest.
- Kiedy go złapiecie, zapytajcie, czy miałby ochotę na randkę z ładną dziewczyną z Bristolu.
- Przestańcie, dziewczęta... Wydaje wam się, że możecie zachowywać się jak mężczyźni tylko dlatego, że nosicie spodnie i macie pracę tragarza...

Prom w Woolwich:

- Paskudny dzień, panie poruczniku.
- Dzień dobry, kapitanie. Myślę, że na pełnym morzu jest jeszcze gorzej.
- Czy mogę panu w czymś pomóc? A może po prostu przepływa pan rzekę?
- Chcę, żeby przyjrzał się pan tej twarzy, kapitanie.
- Chwileczkę, tylko włożę okulary. Proszę się nie obawiać. Kiedy prowadzę statek, świetnie widzę. Potrzebuję okularów, gdy chcę zobaczyć coś z bliska. O co więc chodzi?
- Czy przypomina panu coś to zdjęcie?
- Przykro mi, poruczniku, ale zupełnie nic.
- Hm, proszę mnie jednak powiadomić, jeśli kiedyś spotka pan tego człowieka.
- Obiecuję.
- Szczęśliwej podróży, kapitanie.

Leak Street w Londynie, dom pod numerem trzydzieści pięć:

- Sierżant Riley, co za niespodzianka!
- Nie wysilaj się, Mabel. Kogo dzisiaj masz u siebie?
- Samych przyzwoitych mężczyzn, znasz mnie przecież, sierżancie.
- Znam cię i dlatego tu jestem. Czy żaden z twoich przyzwoitych gości nie nawiewa?
- Od kiedy to zajmujesz się werbowaniem do wojska?
- Mylisz się, Mabel. Szukam przestępcy i jeśli tu przyszedł, na pewno powiedział ci, że nawiewa.

- Słuchaj, Jack. Mówię ci przecież, że nie ma tu nikogo obcego. Daj mi święty spokój i idź sobie.

- Dlaczego mam ci wierzyć?
- Pamiętasz rok trzydziesty szósty?
- O ile lepiej wyglądałaś wtedy, Mabel!
- Ty też, Jack.
- Jeden zero dla ciebie. Jeśli ten facet tu przyjdzie, daj znać, okay?
- Obiecuję.
- I nie trać z nim ani chwili.
- W porządku.
- Mabel, on zasztylował kobietę w twoim wieku. Chodzi mi tylko o ciebie.
- Wiem, dziękuję.
- No to buzi.
- Uważaj na siebie, Jack.

Bar kawowy Billa przy szosie A30 niedaleko Bagshot:

- Bill, nalej mi jedną herbatę. I daj podwójną porcję cukru.
- Dzień dobry, poruczniku Pearson. Paskudny dzień, prawda?
- Co leży na tym półmisku, Bill, czy to kamienie z Portsmouth?
- Posmarowane masłem bułeczki, jak zresztą dobrze pan wie.
- Ach tak, poproszę więc dwie. Dziękuję... Chodźcie tu, chłopcy! Jeśli ktoś myśli, że mu dzisiaj sprawdzę ciężarówkę, może opuścić to miejsce. A teraz przypatrzcie się temu zdjęciu.
- Co on przeskrobał? Czy jechał na rowerze bez świateł?
- Ale żartowniś z ciebie, Harry. Pokaż wszystkim to zdjęcie. Czy nikt nie podwiózł tego faceta?
- Ja nie.

- Ani ja.
- Przykro mi, poruczniku, ale nie.
- Nigdy nie widziałem tej twarzy.
- Dziękuję wam, chłopcy. Gdybyście go kiedyś zobaczyli, zgłóście to natychmiast. No to na razie.
- Poruczniku?
- Słucham, Bill?
- Nie zapłacił pan za bułeczki.
- Konfiskuję je jako dowody rzeczowe. Cześć.

Stacja benzynowa w Carlisle:

- Dzień dobry pani. Jak będzie pani miała chwilkę czasu...
- Momencik, sierzancie. Tylko skończę z tym panem... Dwanaście szylingów i sześć pensów. Dziękuję. Do widzenia.
- Jak idzie interes?
- Źle jak zwykle. Czy mogę panu w czymś pomóc?
- Wejdźmy najpierw do środka.
- Dobrze. A więc o co chodzi?
- Proszę się przyjrzeć temu zdjęciu i zastanowić, czy nie sprzedawała pani ostatnio benzyny temu mężczyźnie?
- Hm, to nie takie trudne, bardzo rzadko ktoś tędy przejeżdża... Ach tak, pamiętam, był tutaj!
- Kiedy?
- Przedwczoraj rano.
- Czy jest pani pewna?
- Hm... Wygląda starzej niż na zdjęciu, ale jestem całkiem pewna, że to był on.
- Czym jechał?
- Szarym samochodem. Nie znam się zanadto na markach, ta stacja należy do mojego męża, który jest teraz w marynarce wojennej.
- Ale jak wyglądał? Czy to był sportowy samochód, czy wielka limuzyna?
- Był to raczej stary typ samochodu, z płóciennym dachem, który można otworzyć. Dwuosobowy. Sportowy. Miał zapasowy kanister na benzynę, który też napełniłam.
- Czy pamięta pani, jak ten facet był ubrany?
- Niezupełnie. Wydaje mi się, że miał kombinezon robotnika.
- Czy był wysoki?
- Wyższy od pana.
- O rany, to on. Czy jest u pani telefon...?

William Duncan miał dwadzieścia pięć lat, ponad pięć stóp wzrostu, sto pięćdziesiąt funtów wagi i cieszył się pierwszorzędnym zdrowiem. Zawdzięczał je częstemu przebywaniu na świeżym powietrzu i całkowitemu brakowi zainteresowania papierosami, alkoholem i nocnymi hulankami. A jednak nie powołano go do wojska.

Do ósmego roku życia wydawał się całkiem normalnym dzieckiem, może trochę tylko opóźnionym w rozwoju, później jednak jego umysł przestał się po prostu rozwijać. Nie działo się tak na skutek jakiegoś urazu psychicznego czy fizycznego uszkodzenia. Przez długi czas nikt nie zauważył, że chłopiec jest trochę nienormalny, gdyż w wieku lat dziewięciu wydawał się tylko nieco

zahamowany w rozwoju, a kiedy skończył dwanaście, okazał się po prostu tępawy. W piętnastym roku życia był głupkowaty, a w osiemnastym uznano go za wiejskiego idiotę.

Jego rodzice należeli do tajemniczej religijnej grupy fundamentalistów, której członkowie nie mogli wchodzić w związki małżeńskie z wyznawcami innych sekt (co być może przyczyniło się do głupoty Willie'ego). Modlili się za niego, zawieźli go nawet do specjalisty w Stirling. Lekarz, mężczyzna w podeszłym wieku, zbadał chłopca dokładnie, a potem oświadczył, patrząc surowo nad okularami w złotej oprawie, że chłopiec zatrzymał się w swym rozwoju umysłowym w wieku lat ośmiu i taki już pewnie pozostanie do końca życia. Nadal modlili się za niego, podejrzewając jednak, iż Bóg chciał ich w ten sposób wypróbować. Nabrali więc przekonania, że Willie został zbawiony i oczekiwali dnia, kiedy zobaczą go całkiem zdrowego w blasku Chwały. Tymczasem chłopak potrzebował pracy.

Ośmioletnie dziecko potrafi paść krowy, a że pilnowanie krów stanowi pewne zajęcie, więc głupi Willie został pastuchem. Właśnie kiedy paść krowy, zauważył samochód po raz pierwszy.

Doszedł do wniosku, że na pewno siedzą w nim zakochani. Willie wiedział o istnieniu zakochanych i o różnych rzeczach, które robili w ciemnych miejscach, jak zagajniki, kina i samochody, a o których nie mówiło się nigdy głośno. Pognał więc szybko krowy przez zagajnik, w którym stał zaparkowany dwuosobowy Morris Cowley, rocznik 1924 (znał się na samochodach, jak każde ośmioletnie dziecko), starając się nie patrzeć w jego stronę, aby przypadkiem nie zobaczyć grzechu.

Wprowadził krowy do obory, gdyż nadeszła pora dojenia, potem poszedł okrężną drogą do domu, zjadł kolację, przeczytał ojcu na głos z wielkim trudem rozdział z Leviticusa i poszedł do łóżka snuć marzenia o zakochanych.

Wieczorem następnego dnia samochód wciąż stał na swoim miejscu. Pomimo całej swej niewinności Willie wiedział, że kochankowie nie mogli zajmować się sobą przez dwadzieścia cztery godziny bez przerwy. Pozbywszy się więc wszelkich skrupułów, podszedł do samochodu i zajrzał do środka. Był pusty. Podłoga przy silniku była ciemna i zalana olejem. Willie wymyślił nowe wytłumaczenie: samochód zepsuł się i kierowca musiał go porzucić. Nie przyszło mu do głowy, żeby zastanowić się, dlaczego ukryto go w krzakach.

Willie poszedł na farmę i opowiedział gospodarzowi, co zobaczył: - Niedaleko głównej drogi stoi zepsuty samochód.

Farmer był potężnym mężczyzną o jasnych brwiach, które marszczył w zabawny sposób, kiedy zastanawiał się nad czymś poważnie.

- Czy nie było nikogo w pobliżu? - zapytał.
- Nie. Już wczoraj go tam widziałem.
- Dlaczego więc zaraz nie powiedziałeś mi o tym?

Willie zaczerwienił się ze wstydu.

- Myślałem, że to samochód... zakochanych.

- Ach, rozumiem. - Farmer wiedział, że nie potrzebuje się wstydić przed chłopcem, niemniej poczuł lekkie zmieszanie. Poklepał dobrotliwie Willie'ego po ramieniu i powiedział: - Idź teraz do domu, sam się tym zajmę.

Farmer wydoił krowy i poszedł obejrzeć samochód. Zastanowiło go, dlaczego ktoś starał się go tak starannie ukryć. Słyszał o uciekającym mordercy z Londynu i choć nie przypuszczał, żeby samochód należał do poszukiwanego przez policję mężczyzny, niemniej doszedł do wniosku, że porzucony pojazd może mieć związek z jakimś przestępstwem. Po kolacji postanowił więc wysłać na koniu swego najstarszego syna do wsi, by powiadomił telefonicznie policję w Stirling.

Policja pojawiła się, zanim jeszcze chłopak zdążył wrócić do domu. Przyjechało co najmniej dwunastu mężczyzn, z których każdy okazał się wielkim miłośnikiem herbaty. Farmer i jego żona przez pół nocy nie zmrzyli oka, zajęci usługiwaniem gościom.

Wezwany został głupi Willie i rumieniąc się ze wstydu musiał powtórzyć całą historię o samochodzie, który stał ukryty w krzakach poprzedniego wieczoru, a do którego nie zaglądał, przekonany, że siedzą w nim zakochani.

W każdym razie była to najbardziej ekscytująca noc od początku wojny.

Tego wieczoru Percival Godliman, który miał spędzić czwartą kolejną noc w biurze, postanowił pójść do domu, aby wykąpać się, zmienić ubranie i spakować walizkę.

Zajmował przytulne mieszkanie w domu na Chelsea. Było małe, ale wystarczająco duże dla samotnego mężczyzny. Wszędzie panował nienaganny porządek, z wyjątkiem gabinetu, do którego sprzątaczką nie miała wstępu. Pokój tonął w książkach i porozrzucanych wszędzie papierach. Meble, dobrane z dużym smakiem, Godliman kupił przed wojną. Nadawały mieszkaniu przytulny wygląd. W salonie stały wygodne fotele klubowe i wielki gramofon, a kuchnia pełna była rzadko używanych sprzętów.

Czekając, aż wanna napełni się ciepłą wodą, siedział w fotelu paląc papierosa - zrezygnował z fajki, bo za dużo było przy niej roboty - i przyglądał się obrazowi, który stanowił najcenniejszą jego własność. Było to średniowieczne malowidło przedstawiające upiorne, fantastyczne wizje, prawdopodobnie Hieronima Boscha. Obraz ten od wieków należał do jego rodziny i Godliman nie sprzedał go nawet wtedy, gdy bardzo potrzebował pieniędzy, ponieważ wyjątkowo go lubił.

Kiedy się kąpał, zaczął myśleć o Barbarze Dickens i jej synu, Piotrze. Nikomu o niej nie mówił, nawet Bloggsowi, chociaż już chciał wspomnieć coś na ten temat w trakcie ich rozmowy o powtórny ożenku, ale pułkownik Terry właśnie mu przerwał. Była wdową, która straciła męża na samym początku wojny. Godliman nie miał pojęcia, ile ma lat; wyglądała na jakieś czterdzieści, co nie było wiele, jak na matkę dwudziestodwuletniego chłopca. Była bardzo atrakcyjna, inteligentna i dowcipna. Zajmowała się przechwytywaniem informacji nadawanych szyfrem przez wroga. Miała także duży majątek. Godliman zaprosił ją na kolację trzy razy, zanim jeszcze rozpoczęły się jego obecne kłopoty. Podejrzał, że była w nim zakochana.

Zaaranzowała spotkanie między Godlimanem i swoim synem, który był kapitanem. Godliman polubił chłopca. Wiedział jednak coś, o czym ani Barbara, ani jej syn nie mieli pojęcia - Piotr miał być wysłany do Normandii.

Było to dodatkowym powodem, dla którego musiał złapać Die Nadla. Wyszedł z wanny i zaczął się długo i starannie golić. "Czy jestem w niej zakochany?" - zastanawiał się. Nie bardzo wiedział, jak powinno się odczuwać miłość będąc w średnim wieku. Nie była to na pewno płonąca namiętność wczesnej młodości. Przywiązanie, podziw, czułość, cień nieśmiałego pożądania? Jeśli te uczucia składały się na miłość, to pewnie ją kochał.

Bardzo chciał dzielić z kimś swoje życie. Zbyt długo żył samotnie, zajęty jedynie studiami nad historią. Teraz liczne przyjaźnie wewnątrz Military Intelligence pochłaniały mu masę czasu. Nie kończące się zajęcia, całonocne zebrania, w trakcie których dochodzili do wielkich odkryć, wszechobecny nastrój entuzjazmu, gorączkowa pogoń za pełnią życia ludzi, którzy stale ocierają się o śmierć. We wszystkim tym miał swój udział. Zdawał sobie sprawę, że życie zmieni się wraz z końcem wojny, niemniej pewne niedawno odkryte przez niego wartości pozostaną, jak choćby potrzeba rozmowy z kimś bliskim o własnych rozczarowaniach i sukcesach, potrzeba obecności drugiej osoby w późnych godzinach nocnych, konieczność dzielenia się z kimś własnymi wrażeniami

i doznaniem.

Wojna była strasznym, przygnębiającym koszmarem, ale był to okres, w którym miało się przyjaciół. Jeżeli pokój przywróci mu jego samotność, Godliman będzie się czuł bardzo nieszczęśliwy.

W obecnych warunkach świadomość posiadania czystej bielizny i świeżo uprasowanej koszuli wydawała się szczytem luksusu. Włożył jeszcze przed powrotem do biura parę czystych koszul do walizki i usiadł rozkoszując się smakiem whisky. Wojskowy szofer w przydzielonym mu samochodzie, który stał przed domem, mógł jeszcze trochę poczekać.

Nabijał właśnie fajkę tytoniem, kiedy zadzwieczał telefon. Odłożył fajkę i zamiast niej zapalił papierosa.

Jego telefon był podłączony do centrali Ministerstwa Wojny. Telefonistka poinformowała go, że dzwoni główny inspektor policji Dalkeith ze Stirling.

Począł na połączenie, a potem powiedział: - Godliman przy aparacie.

- Znaleźliśmy tego Morrisa Cowleya - oznajmił Dalkeith bez żadnych wstępów.

- W którym miejscu?

- Szosa A80 na południe od Stirling.

- Był pusty?

- Tak. Zepsuty. Stał tam co najmniej dwadzieścia cztery godziny. Kierowca zjechał z głównej drogi i ukrył go w krzakach. Zauważył go tutejszy głupekowaty wieśniak.

- Czy jest jakiś przystanek autobusowy albo stacja kolejowa w pobliżu tego miejsca?

- Nie.

- Wobec tego nasz ptaszek po opuszczeniu auta musiał iść pieszo albo jechać okazją - burknął Godliman.

- Właśnie.

- Przesłuchajcie wszystkich ludzi z tej okolicy...

- Już to robimy próbując się dowiedzieć, czy ktoś go widział albo podwiózł swoim samochodem.

- W porządku. Informujcie mnie o wszystkim... Tymczasem przekażę tę wiadomość do Scotland Yardu. Dziękuję, Dalkeith.

- Będziemy w stałym kontakcie. Do widzenia, pułkowniku.

Godliman położył słuchawkę i poszedł do swego gabinetu. Rozłożył mapę drogową północnych rejonów Wielkiej Brytanii. Londyn, Liverpool, Carlisle, Stirling... Faber wyraźnie zmierzał do północno-wschodniej Szkocji.

Godliman zastanawiał się, czy jego teoria, że Faber chce wydostać się z kraju, jest słuszna. Najłatwiej byłoby mu uciekać przez neutralną Irlandię na zachód. Wschodnie wybrzeże Szkocji było natomiast miejscem różnorodnej wojskowej działalności. Czy możliwe, żeby Faber spokojnie zbierał dalsze informacje wiedząc, że MI5 depta mu po piętach? Godliman wiedział, że Faber jest bardzo odważny, ale nie przypuszczał, aby aż do tego stopnia. W końcu nie odkryje w Szkocji nic takiego, co byłoby ważniejsze od informacji, jaką już zdobył.

A jednak Faber zmierzał w stronę wschodniego wybrzeża. Godliman przypomniał sobie wszystkie dostępne szpiegowi sposoby ucieczki: samolot lądujący na odludnym wrzosowisku, podróż skradzionym kutrem przez Morze Północne, spotkanie z łodzią podwodną u wybrzeży kraju, rejs statkiem handlowym przez Morze Bałtyckie do Szwecji i przekroczenie granicy z okupowaną Norwegią... było tysiące sposobów wydostania się z Wielkiej Brytanii.

Musi zawiadomić Scotland Yard o ostatnim odkryciu. Trzeba będzie poprosić szkocką policję,

żeby odnalazła człowieka, który zabrał pasażera niedaleko Stirling. Godliman wrócił do salonu, żeby zatelefonować, ale aparat zaczął dzwonić, zanim do niego doszedł. Szybko podniósł słuchawkę.

- Godliman przy aparacie.

- Jakiś Richard Porter dzwoni z Aberdeen.

- Aha. - Godliman oczekiwał raczej telefonu Bloggsa z Carlisle. - Proszę mnie połączyć. Halo.

Tu Godliman.

- Nazywam się Richard Porter. Należę tutaj do rejonowego Watch Committee.

- W czym mogę panu pomóc?

- Hm, naprawdę strasznie mi głupio.

Godliman starał się nie tracić cierpliwości.

- Słucham pana.

- Ten typ, którego szukacie, no, ten nożownik, wie pan. Obawiam się, że podwiozłem tego łobuza własnym samochodem.

Godliman ścisnął mocniej słuchawkę.

- Kiedy?

- Przedwczoraj wieczorem. Popsuł mi się samochód na szosie A80 niedaleko Stirling. W samym środku paskudnej nocy. Jakiś facet szedł pieszo i zreperował go jak gdyby nigdy nic. No więc oczywiście...

- Gdzie go pan zostawił?

- W samym Aberdeen. Powiedział, że jedzie do Banff. Problem polega na tym, że zmęczony podróżą przespałem cały dzień i zorientowałem się dopiero dziś po południu...

- Niech pan nie robi sobie wyrzutów, panie Porter. Dziękuję za telefon.

- Do widzenia.

Godliman poczekał, aż głos telefonistki odezwie się w słuchawce.

- Proszę mnie natychmiast połączyć z Bloggsem w Carlisle.

- Właśnie czekał, aż telefon będzie wolny.

- Świetnie!

- Halo, Percy. Czy jest coś nowego?

- Wpadliśmy znowu na jego trop, Fred. Porzucił Morrisa niedaleko Stirling i ktoś go podwiózł do Aberdeen.

- Gdzie? Do Aberdeen?

- Wygląda na to, że próbuje uciec wyjściem na wschód.

- Kiedy dojechał do Aberdeen?

- Prawdopodobnie wczoraj z samego rana.

- Nie miał więc czasu, żeby uciec, chyba że bardzo się pospieszył. Mają tam teraz sztorm, jakiego najstarsi ludzie nie pamiętają. Zaczął się wczoraj w nocy i trwa nadal. Żaden statek nie wypłynął i warunki są zbyt trudne, aby mógł wylądować jakiś samolot.

- Świetnie. Pojedź tam jak najszybciej. Ja tymczasem poruszę tamtejszą policję. Zadzwoń natychmiast, jak znajdziesz się w Aberdeen.

- Już ruszam.

- Fred?

- Tak.

- Zobaczysz, złapiemy jeszcze tego drania.

Kiedy Godliman odkładał słuchawkę, w uszach wciąż jeszcze słyszał śmiech Freda.

Rozdział 21

Kiedy Faber się obudził, było prawie ciemno. Przez okna sypialni wyraźnie widział resztki światła dziennego znikające powoli w gęstniejących ciemnościach zapadającej nocy. Burza szalała nadal, deszcz walił w dach i żłobił w ziemi rwące potoki, a wiatr zawodził z niezmienną siłą.

Zapalił małą lampkę przy łóżku. Był to tak duży wysiłek, że z ulgą opadł na poduszkę. Przestraszył się, że jest aż tak słaby. Ci, którzy wierzą, że racja leży po stronie siły, powinni zawsze być silni i Faber był na tyle mądry, żeby znać powinności wynikające z zasad swej etyki. Strach nie był mu obcy - może właśnie dzięki niemu wciąż jeszcze żył. Nigdy w całym swoim życiu nie czuł się bezpieczny. W pewien szczególny sposób, w jaki pojmujemy najbardziej podstawowe rzeczy o nas samych, rozumiał, że stale poczucie zagrożenia stanowiło przyczynę, dlatego zdecydował się zostać szpiegiem; był to jedyny sposób życia, jaki pozwalał mu na likwidowanie ludzi, którzy choć w najmniejszym stopniu stanowili dla niego zagrożenie. Strach przed własną słabością był tylko częścią jego skomplikowanej natury, ogarniętej obsesją zachowania stałej niezależności i pełnej pogardy dla przełożonych.

Leżał w łóżku dzieciennym w pokoju o różowych ścianach i oglądał swoje mocno pokiereszowane ciało. Na szczęście kości były całe. Nie czuł śladu gorączki. Jego silny organizm nie poddawał się przeziębieniu, pomimo nocy spędzonej na łodzi. Był tylko bardzo osłabiony. Podejrzewał, że stan ten wywołany został nie samym tylko wyczerpaniem fizycznym. Przypomniał sobie chwilę, kiedy wbiegł na szczyt urwiska i myślał, że umiera, przekonany, że ten nadludzki wysiłek musiał spowodować jakieś stałe zmiany w jego organizmie.

Sprawdził, czy nic nie zginęło. Pojemnik zawierający negatywy zdjęć nadal przyklejony był taśmą do jego piersi, sztylet tkwił przywiązany do lewej ręki, a dokumenty i pieniądze znajdowały się w kieszeni bluzy pożyczonej piżamy.

Odgarnął koce i usiadł na łóżku kładąc stopy na chłodnej podłodze. Poczul zawrót głowy, który po chwili minął. Wstał. Wiedział, że nie może pozwolić sobie na zbytne roztkliwianie się nad własną słabością. Włożył szlafrok i poszedł do łazienki.

Kiedy wrócił, zauważył, że ktoś położył na łóżku jego bieliznę, kombinezon i koszulę. Były czyste i świeżo uprasowane. Nagle przypomniał sobie piękną nagą kobietę, którą widział w łazience, kiedy wstał rano; było to dziwne spotkanie i nie bardzo wiedział, co o nim myśleć.

Ubierał się powoli. Chętnie ogoliłby się, ale przedtem wolał zapytać gospodarza, czy pożyczyc mu maszynkę do golenia, którą zauważył na półce w łazience. Niektórzy mężczyźni z taką samą niechęcią pożyczali żyletki, jak własne żony. Odważył się jedynie wziąć plastikowy dziecienny grzebień, który znalazł w górnej szufladzie komody.

Spojrzał na swe odbicie w lustrze bez cienia dumy. Nie miał zbyt wysokiego mniemania o własnej urodzie. Wiedział, że podoba się tylko niektórym kobietom. Miał ich zresztą więcej w swoim życiu niż większość mężczyzn, ale przypisywał to raczej swoim potrzebom niż wyglądowi. Odbicie w lustrze mówiło, że jest przystojny, i to mu całkiem wystarczyło.

Zadowolony z siebie opuścił pokój i zszedł powoli po schodach. Znowu ogarnęła go fala słabości, którą siłą woli postanowił pokonać; chwytając się kurczowo słupków balustrady, schodził powoli noga za nogą, aż znalazł się na parterze.

Zatrzymał się na chwilę przed drzwiami bawialni i nie słysząc żadnych głosów, skierował się w stronę kuchni. Zapukał i wszedł. Młode małżeństwo siedziało przy stole kończąc kolację.

Kiedy pojawił się w drzwiach, kobieta krzyknęła: - Już się pan obudził! Czy nie powinien pan jeszcze poleżeć?

Faber pozwolił, żeby doprowadziła go do krzesła.

- Dziękuję - powiedział. - Nie powinna mi pani pomagać w udawaniu chorego.

- Pan sobie chyba nie zdaje sprawy, przez co pan przeszedł powiedziała. - Czy zjadłby pan coś?

- Nie chciałbym pani robić kłopotu...

- Ależ to żaden kłopot. Bez przesady. Zostawiłam trochę ciepłej zupy dla pana.

- Naprawdę, państwo są tacy mili, a ja nawet nie wiem, jak się nazywacie.

- David i Lucy Rose. - Naląła zupę i postawiła talerz na stole. - Nakrój trochę chleba, Davidzie, dobrze?

- Jestem Henry Baker. - Faber nie wiedział, dlaczego wymienił właśnie to imię i nazwisko. Nie miał dokumentów takiego człowieka. Policja poszukiwała Henry Fabera, więc powinien przybrać swą drugą postać, Jamesa Bakera, ale w jakiś dziwny sposób zależało mu, żeby ta kobieta mówiła do niego "Henry", co było najbliższym odpowiednikiem jego prawdziwego imienia Heinrich. Zresztą nie miało to większego znaczenia; w końcu mógł powiedzieć, że nazywa się James, ale dla przyjaciół jest zawsze Henrym.

Skosztował zupę i nagle obudził się w nim wilczy apetyt. Jadł szybko, pomagając sobie chlebem. Kiedy skończył, Lucy roześmiała się. Wyglądała ślicznie z oczami błyszczącymi rozbawieniem, ukazując gęste małe zęby w szeroko otwartych ustach.

- Chce pan więcej? - zaproponowała.

- Dziękuję bardzo.

- Widzę, że jedzenie dobrze panu robi. Nie jest pan już taki blady.

Faber uświadomił sobie, że czuje się znacznie lepiej. Jadł teraz wolniej, bardziej z uprzejmości niż głodu.

- Jak to się stało, że sztorm złapał pana na pełnym morzu? - przemówił po raz pierwszy David.

- Nie zdręczaj pana, Davidzie - szepnęła Lucy.

- Nic nie szkodzi - odezwał się Faber. - Przez własną głupotę. To była moja pierwsza rybacka wyprawa od wybuchu wojny i nie wierzyłem, żeby pogoda mogła mi ją popsuć. Czy łowi pan ryby?

David potrząsnął przecząco głową.

- Hoduję owce.

- Czy zatrudnia pan wielu ludzi?

- Tylko starego Toma.

- Pewnie wiele jest podobnych farm na tej wyspie.

- Wcale nie. Mieszkamy na jednym końcu wyspy, a Tom na drugim. Między naszymi domami są tylko owce.

Faber kiwał powoli głową. Nie mogło być lepiej. Kobieta, kaleka, dziecko i starzec nie stanowili wielkiej przeszkody. Poza tym czuł się znacznie lepiej.

- W jaki sposób kontaktuje się pan z lądem? - zapytał.

- Raz na dwa tygodnie przypląwa tu łódź. Powinna przybyć w poniedziałek, ale chyba nie zdoła, jeśli sztorm się nie skończy. Na farmie Toma jest radiostacja, ale używamy jej tylko w nagłych wypadkach. Gdyby szukano pana albo gdyby potrzebował pan pomocy lekarskiej, wtedy można by z niej skorzystać. W obecnej sytuacji nie wydaje mi się to wcale konieczne. Zresztą nawiązanie kontaktu z lądem jest bezcelowe, gdyż nikt w tych warunkach nie przybędzie, aby pana stąd zabrać, a kiedy sztorm się skończy i tak pojawi się tu łódka.

- Rozumiem. - Faber starał się ukryć zadowolenie. Problem nawiązania kontaktu z łodzią podwodną w poniedziałek nie dawał mu spokoju już od dłuższego czasu. W bawialni państwa Rose zauważył zwyczajny odbiornik radiowy i gdyby się bardzo postarał, mógł go przerobić na nadajnik.

Fakt posiadania przez Toma prawdziwej radiostacji rozwiązywał cały problem.

- Do jakiego celu służy Tomowi radiostacja? - zapytał Faber.

- Należy do Królewskiej Służby Obserwacyjno-Meldunkowej. W lipcu 1940 roku zbombardowano Aberdeen. W wyniku tego zginęło pięćdziesiąt osób. Nie ostrzegano przed nalotami lotniczymi. Właśnie wtedy zrekrutowano Toma. Dobrze się składa, że ma lepszy słuch niż wzrok.

- Bombowce nadlatują z Norwegii, prawda?

- Chyba tak.

Lucy wstała.

- Przejdźmy do drugiego pokoju - zaproponowała. Obaj mężczyźni podążyli za nią. Faber zauważył, że osłabienie i zawroty głowy minęły bezpowrotnie. Przytrzymał drzwi bawialni, żeby David mógł wjechać swym wózkiem inwalidzkim i stanąć blisko ognia. Lucy zaproponowała Faberowi kieliszek koniaku. Odmówił i wtedy naląła trochę dla siebie i męża.

Faber usiadł wygodnie w fotelu i zaczął przyglądać się swym gospodarzom. Lucy była przedziwnie piękna. Miała śliczny owal twarzy, szeroko osadzone bursztynowe, niesamowite kocie oczy i gęste, kasztanowate włosy. Męski rybacki sweter i luźne spodnie ukrywały jej zgrabne, pełne kształty. Gdyby zakręciła włosy i włożyła jedwabne pończochy oraz wieczorową suknię, wyglądałaby wspaniale. David także był bardzo przystojny, brunet o ciemnej karnacji, ładny prawie urodą kobiety, pomimo zarostu bardzo ciemnej brody. Byłby całkiem wysoki, gdyby jego sparaliżowane nogi pozostawały we właściwej proporcji do długości ramion. Faber domyślał się, że muskularne od stałego pchania kół wózka ręce kaleki są silne i zręczne.

Byli ładną parą, niemniej coś złego unosiło się między nimi. Co prawda Faber nie był ekspertem w sprawach małżeńskich, ale jego znajomość technik przesłuchiwania nauczyła go dostrzegać ukryty język ciała: zgadywać z pozornie nic nie znaczących gestów, kiedy ktoś się boi, kłamie, ukrywa coś czy też pozostaje nieustraszony. Lucy i David rzadko patrzyli na siebie i nigdy się nie dotykali. Rozmawiali raczej z nim niż ze sobą. Krążyli wokół siebie jak dwa nastroszone indyki walczące o utrzymanie małej przestrzeni, na której tylko one mogą się poruszać. Wyczuwało się między nimi jakieś dziwne napięcie. Byli jak Churchill i Stalin tymczasowo zmuszeni do połączenia swych sił we wspólnej walce, starannie ukrywający głęboką wzajemną wrogość. Faber zastanawiał się, jakie mogą być przyczyny nienawiści małżonków.

Ten przytulny domek pełen dywanów, wygodnych foteli w kwieciste wzory, jasnych ścian, ładnych obrazów i płonącego ognia na kominku wydawał się być wulkanem wrogich namiętności. Mieszkać samotnie z dzieckiem i starcem jako jedynymi towarzyszami i z tą niechęcią między nimi... przypomniawszy mu się sztuka, którą kiedyś widział w Londynie, jakiegoś Amerykanina Tennessee coś tam.

David jednym haustem opróżnił swój kieliszek.

- Idę spać - oznajmił. - Strasznie łamię mnie w krzyżu.

Faber zerwał się z fotela.

- Przepraszam, to pewnie ja państwa zatrzymuję.

- Nic podobnego - uspokoił go David. - Spał pan cały dzień, nie myślę więc, żeby chciało się panu iść teraz do łóżka. A poza tym, jestem pewien, że Lucy chętnie z panem porozmawia. Po prostu bolą mnie plecy; jak pan wie, utrzymują cały ciężar ciała.

- Weź lepiej dwie pastylki na noc - powiedziała Lucy. Zdjęła; słoiczek z najwyższej półki szafki na książki, wytrząsnęła dwie tabletki i podała mężowi.

Przełknął je szybko bez żadnego popijania.

- Dobranoc - rzucił kierując się w stronę drzwi.

- Dobranoc, Davidzie.

- Dobranoc, panie Rose.

Po chwili Faber usłyszał, jak David wspina się po schodach, i zastanawiał się, jak on to robi.

Lucy wszczęła rozmowę, jakby chcąc zagłuszyć hałas, który wywoływał David.

- Gdzie pan mieszka, panie Baker? - zapytała.

- Proszę mówić do mnie Henry. Mieszkam w Londynie.

- Strasznie dawno tam nie byłam. Pewnie niewiele zostało z tego, co widziałam.

- Miasto się zmieniło, ale nie tak bardzo, jak pani myśli. Kiedy była tam pani ostatni raz?

- W czterdziestym. - Naląła sobie następny kieliszek. - Odkąd zamieszkaliśmy w tym domu, raz tylko opuściłam wyspę, żeby urodzić dziecko. Nie można dzisiaj wiele podróżować, prawda?

- Dlaczego zamieszkaliście na tej wyspie?

- Hm. - Usadowiła się wygodnie przed kominkiem z kieliszkiem w ręku.

- Może nie powinienem...

- Nic nie szkodzi. Mieliśmy wypadek w dniu naszego ślubu. Właśnie wtedy David stracił obie nogi. Miał latać jako pilot na myśliwcu... myślę, że oboje chcieliśmy uciec. Teraz wiem, że to był błąd, ale wtedy wydawało się to najlepszym rozwiązaniem.

- Jego zgryźliwość jeszcze bardziej się tu pewnie rozwinęła.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Jest pan bardzo spostrzegawczy.

- Trudno nie zauważyć - powiedział cicho. - Nie zasługuje pani na takie traktowanie.

Zamrugnęła nerwowo powiekami.

- Pan dostrzega zbyt wiele.

- To nie takie trudne. Dlaczego pani tego nie przerwie, jeśli nie jest tak, jak trzeba?

- Doprawdy nie wiem, jak panu to wytłumaczyć. Same stereotypy. Przysięga małżeńska, dziecko, wojna... jeśli jest jakaś inna odpowiedź na pana pytanie, nie potrafię znaleźć właściwych słów.

- Wyrzuty sumienia - dodał Faber. - Ale myśli chyba pani czasem o porzuceniu męża?

Patrzyła na niego kręcąc głową z niedowierzaniem.

- Jak to się dzieje, że pan wie aż tyle? - nie mogła się nadziwić.

- Straciła pani umiejętność udawania, żyjąc z dala od ludzi na tej wyspie. Poza tym z zewnątrz dostrzega się znacznie więcej.

- Czy był pan już kiedyś żonaty?

- Nie, nigdy.

- Dlaczego? Małżeństwo dziwnie do pana pasuje.

Teraz Faber z kolei zamyślił się i zapatrzył w ogień. Właśnie, dlaczego? Zawsze znajdował tę samą odpowiedź - ze względu na zawód. Ale nie mógł jej tego powiedzieć i było to zresztą zbyt łatwe wytłumaczenie.

- Nigdy nie zakochałem się tak mocno - wykrztusił. Powiedział to bez głębszego namysłu i zastanawiał się, ile w słowach tych kryło się prawdy. Chwilę później zaczął rozmyślać, w jaki sposób Lucy udało się zmylić jego czujność; do tej pory był przekonany, że to on jest panem sytuacji.

Zamilkli oboje na krótką chwilę. Ogień na kominku powoli wygasł. Parę zbłąkanych kropeł deszczu trafiło do komina i z sykiem upadło na rozżarzone węgle. Sztorm nie ustępował. Faber zaczął sobie przypominać swoje ostatnią kobietę. Nazywała się Gertruda. Działo się to siedem lat temu, ale dokładnie widział jej postać w migocącym ogniu: okrągła niemiecka twarz, jasne włosy, zielone oczy, okrągłe piersi, zbyt szerokie biodra, grube nogi, brzydkie stopy. Prowadziła rozmowy podobne

do tych, które się słyszy wśród podróżujących pociągiem, i przejawiała dziki, nieskończony entuzjazm do spraw seksu... Prawiła mu liczne komplementy, podziwiając jego inteligencję i zachwycając się ciałem. Pisała teksty do szlagierów i odczytywała je na głos w nędznej suterenie berlińskiego mieszkania: nie było to zbyt lukratywne zajęcie. Oczami wyobraźni widział, jak leży naga w brudnym pokoju i zmusza go, aby robił jej coraz dziwniejsze i bardziej podniecające rzeczy: bił ją, dotykał siebie, leżał nieruchomo, podczas gdy ona go kochała... Potrząsnął głową, aby odpędzić wspomnienia. Nigdy dotąd, w ciągu długich lat samotniczego życia, nie miał podobnych myśli. Wizje przeszłości zaczęły go niepokoić. Spojrzał na Lucy.

- O czym pan myśli? - zapytała z uśmiechem.

- Wspominam dawne czasy. Ta rozmowa o miłości...

- Nie powinnam była jej wcale zaczynać.

- Ależ dlaczego?

- Czy to dobre wspomnienia?

- Bardzo dobre. Ale pani też o czymś rozmyślała? Uśmiechnęła się znowu.

- Myślałam o przyszłości, a nie o przeszłości.

- I co pani zobaczyła?

Już chciała odpowiedzieć, kiedy nagle zmieniła zamiar. Zdarzyło się to po raz drugi. W jej oczach widać było pewne napięcie.

- Widzę panią z innym mężczyzną - powiedział Faber. Podczas gdy mówił, zastanawiał się, dlaczego to robi. - Jest dużo słabszy od Davida i mniej przystojny, ale kocha go pani właśnie dlatego, że jest słaby. Jest mądry, ale niebogaty, wrażliwy, lecz nie sentymentalny, czuły, oddany, kochający. Jest...

Ścisnęła tak mocno kieliszek, że szkło pękło jej w dłoniach. Kawałki upadły jej na kolana i posypały się na dywan, ale zdawała się wcale tego nie zauważać. Faber zerwał się i ukląkł przed nią.

- Skaleczyła sobie pani rękę - powiedział oglądając krwawiący palec.

Lucy zaczęła płakać.

- Przepraszam - wyszeptała.

Skaleczenie było powierzchowne. Wyciągnęła chusteczkę do nosa z kieszeni spodni i owinęła nią palec. Faber puścił jej dłoń i zaczął zbierać kawałki potłuczonego szkła. Żałował, że nie pocałował jej, kiedy miał okazję. Położył resztki kieliszka na kominku.

- Nie chciałem pani denerwować - powiedział.

Zdjęła chusteczkę i obejrzała palec, który wciąż jeszcze krwawił.

- Gdzie jest jakiś bandaż? - zapytał Faber.

- W kuchni - odpowiedziała.

Znalazł zwinięty bandaż, nożyczki i agrafkę. Nalał gorącej wody do miseczki i wrócił do salonu.

Podczas jego nieobecności otarła łzy z policzków. Siedziała bezwolnie, kiedy przemywał jej palec w ciepłej wodzie, a potem założył opatrunek. Patrzyła na jego twarz, a nie na rękę, trudno było jednak zgadnąć, o czym myśli.

Kiedy skończył, szybko wstał, zastanawiając się, czy aby nie zaangażował się zanadto. Najwyższy czas, żeby się wycofać.

- Pójdę już spać - powiedział.

Skinęła głową.

- Jeszcze raz przepraszam...

- Niech pan przestanie się tłumaczyć - powiedziała ostro. - Nie pasuje to do pana. - W jej głosie brzmiała złość. A więc i ona doszła do wniosku, że sprawy zaszły trochę za daleko.

- Czy pani tu zostaje? - zapytał.

Pokręciła przecząco głową.

- No więc... - Otworzył przed nią drzwi.

Kiedy go mijala, spuściła oczy. Szedł za nią przez hall i na górę po schodach. Spróbował wyobrazić ją sobie ubraną w jedwabną obcisłą sukienkę, eleganckie pończochy, zamiast znoszonych szarych spodni, i ładne buty na wysokich obcasach w miejsce starych pantofli.

Przed drzwiami swego pokoju odwróciła się do niego i wyszeptała: - Dobranoc.

- Dobranoc, Lucy - odpowiedział, po raz pierwszy mówiąc jej po imieniu.

Popatrzyła na niego przez chwilę. Sięgnął po jej rękę, ale uprzedziła jego zamiar i odwróciła się szybko. Weszła do sypialni i zamknęła drzwi, nie oglądając się za siebie. Faber stał z wyciągniętą ręką i otwartymi ustami, zastanawiając się, co czuła, a bardziej jeszcze nad tym, co czuł sam.

Rozdział 22

Bloggs niebezpiecznie szybko jechał zarekwirowanym samochodem. Strome kręte szkockie drogi tonęły w strugach deszczu, w zagłębieniach zbierała się woda. Fale deszczu zalewały szybę samochodu. Na bardziej odkrytych wierzchołkach wzgórz wydawało się, że siła wiatru ściągnie samochód z drogi i rzuci go na rozmokłe torfowiska rozciągające się wokół. Przez dziesiątki mil nachylony nad kierownicą Bloggs wpatrywał się w przetarty wycieraczką fragment szyby, starając się rozpoznać niewyraźne kształty w świetle reflektorów przenikających ciemną ścianę deszczu. Tuż za Edynburgiem przejechał trzy króliki; poczuł niemile uderzenie, kiedy koła rozgniatyły ich małe futrzane ciała. Nie zmniejszył jednak szybkości. Zastanawiał się przez chwilę, dlaczego króliki opuszczają swe kryjówki właśnie nocą.

Stałe napięcie nerwowe spowodowało ból głowy i bolały go strasznie plecy od ciągłego siedzenia. Czuł narastający głód. Otworzył okno w nadziei, że chłodny wiatr podziała orzeźwiająco, ale wpadający do środka deszcz zmusił go do natychmiastowego zasunięcia szyby. Zaczął rozmyślać o Die Nadlu-Faberze, jakkolwiek się ten człowiek nazywał, uśmiechniętym chłopcu w krótkich spodenkach, ze zwycięskim trofeum w ręku. Także ten wyścig Faber wygrywał. Miał czterdzieści osiem godzin przewagi i tylko on znał drogę, którą jechał. Bloggsa pasjonowałyby nawet ta walka, gdyby stawka nie była tak bardzo wysoka.

Wyobrażał sobie, co by zrobił znalazłszy się twarzą w twarz z tym człowiekiem. "Zastrzeliłbym drania natychmiast, nie czekając, aż mnie zabije" - pomyślał. Faber był zawodowcem i z takimi typami nie należało się zbyt patyczkować. Szpiegami byli na ogół amatorzy - sfrustrowani anarchiści, ludzie, którzy marzyli o ciekawym, pełnym przygód życiu, chciwi mężczyźni, niezaspokojone w miłości kobiety albo ofiary szantażu. Jeśli miało się do czynienia z zawodowcem, często okazywał się on bardzo niebezpieczny, gdyż wiedział, że inni zawodowcy są równie bezlitośni.

Bloggs wjechał do Aberdeen na jakieś dwie godziny przed wschodem słońca. Nigdy, w całym swoim życiu, widok latarni na ulicach nie sprawił mu tyle radości. Nie przeszkadzało mu nawet, że światło było przyćmione albo zaciemnione. Nie miał pojęcia, gdzie mieści się posterunek policji, nie spotkał też nikogo, kto mógłby mu udzielić informacji. Objechał więc miasto dookoła i w pewnym momencie ujrzał znajomy, niewyraźnie oświetlony znak.

Zaparkował samochód i nie zważając na deszcz pobiegł w stronę budynku. Czekali już tam na

niego. Godliman zawiadomił ich o wszystkim telefonicznie, a Godliman był teraz bardzo ważną osobistością. Natychmiast wprowadzono Bloggsa do pokoju Alana Kincaida, mężczyzny po pięćdziesiątce, który był nadinspektorem tutejszego posterunku. Bloggs przywitał się z trzema innymi oficerami o bardzo dziwnych nazwiskach, które natychmiast wypadły mu z pamięci.

- Nieźle musiał pan jechać z Carlisle - zauważył Kincaid.

- O mały włos nie przypląciłem tego życiem - odpowiedział Bloggs i usiadł. - Gdybyście mogli wykombinować jakąś kanapkę...

- Oczywiście. - Kincaid wychylił się przez drzwi i wydał jakieś rozporządzenie. - Przyniosą za sekundę - oznajmił.

Bloggs zauważył, że ściany dawno nie były malowane, na drewnianej podłodze stały brzydkie ciężkie meble: biurko, parę krzeseł i szafa z aktami. Pokój miał bardzo surowy wygląd, nie było w nim żadnych obrazów, ozdób ani akcentów osobistych. Na podłodze stała taca pełna brudnych filiżanek, a w powietrzu unosił się dym papierosów. Widać było, że pracowano tu całą noc.

Kincaid miał małe wąsy, przerzedzone siwe włosy i okulary na nosie. Był to potężny mężczyzna o inteligentnym wyglądzie, nosił szelki i koszulę bez marynarki i należał do tych policjantów, którzy, według Bloggsa, stanowili filar brytyjskiej policji. Mówił z miejscowym akcentem i Bloggs domyślił się, że podobnie jak i on sam, przeszedł wszystkie szczeble awansu, sądząc jednak z wieku, nie przychodziło mu to zbyt łatwo.

- Co pan wie, jeśli chodzi o tę sprawę? - zapytał Bloggs.

- Niewiele. Tylko tyle, co pana przełożony powiedział: że morderstwa, które ten człowiek popełnił w Londynie, nie stanowią najważniejszego powodu naszego pościgu. Wiemy także, dla jakiego wydziału pracujecie. Kiedy połączymy te dwie informacje, nie mamy wątpliwości, że Faber jest bardzo niebezpiecznym szpiegiem.

- Zgadza się - powiedział Bloggs i zapytał: - Co działaliście do tej pory?

Kincaid oparł stopy o biurko.

- Przyjechał tutaj dwa dni temu, prawda? - upewnił się.

- Tak.

- Właśnie wtedy zaczęliśmy go szukać. Mieliśmy jego zdjęcie. Przypuszczam, że wszystkie posterunki policji w kraju wiedzą, jak on wygląda?

- Tak.

- Przeszukaliśmy hotele, pensjonaty, stacje kolejowe i dworce autobusowe. Robiliśmy to całkiem dokładnie, chociaż wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze, że przyjechał do tego miasta. Jak się pan może domyślić, wszystko bez najmniejszego rezultatu. Sprawdzimy jeszcze raz, ale wydaje mi się, że natychmiast wyjechał z Aberdeen.

Weszła kobieta w mundurze policyjnym, niosąc filiżankę herbaty i grubą kanapkę z serem. Bloggs podziękował jej i łączywie zabrał się do jedzenia.

- Jeden z naszych ludzi był na stacji, zanim odjechał pierwszy pociąg - ciągnął dalej Kincaid. - Tak samo na dworcu autobusowym. Jeśli opuścił miasto, musiał ukraść samochód albo pojechał autostopem. Do tej pory nie zgłoszono żadnej kradzieży samochodu.

- Cholera jasna - zaklął Bloggs z ustami pełnymi chleba. Z trudem przełknął duży kęs i powiedział: - Nie mamy więc zielonego pojęcia, w którą stronę się udał.

- Myślę, że raczej pojechał autostopem.

- Mógł uciec morzem.

- Ze wszystkich łodzi, które opuściły tego dnia port, żadna nie była tak duża, żeby nią można było sztormować. Potem nic nie wypłynęło z powodu burzy.

- Jakieś skradzione łodzie?

- Nic nie zgłoszono.

Bloggs poruszył się niespokojnie.

- Przecież w taką pogodę nikt nie pójdzie do portu, aby wypłynąć, więc kradzież łodzi może być nie zauważona, aż do chwili kiedy skończy się sztorm.

- Nie wzięliśmy tego pod uwagę, szefie - odezwał się jeden z oficerów siedzących w pokoju.

- Rzeczywiście - zgodził się Kincaid.

- Kapitan portu powinien sprawdzić wszystkie stojące tam stale jednostki - poradził Bloggs.

- Zgadza się z panem - przytaknął Kincaid. Po chwili wykręcał: już numer telefonu i wydawał rozporządzenie. - Kapitan Douglas? Mówi Kincaid. Tak, wiem, że cywilizowani ludzie mocno śpią o tej porze. Ale najgorsze pan jeszcze usłyszysz. Chcę, żeby pan pochodził trochę w tym deszczu. Tak, dobrze mnie pan słyszy.

Pozostali policjanci wybuchnęli śmiechem.

Kincaid przykrył dłonią słuchawkę i powiedział do nich: - To, co mówią o przekleństwach marynarzy, jest całkowitą prawdą. - Odsunął rękę i krzyknął do aparatu: - Niech pan sprawdzi wszystkie jednostki i zobaczy, czy stoją na swoich miejscach! Jeśli macie, podajcie nazwiska, adresy i numery telefonów wszystkich właścicieli, z wyjątkiem tych, którzy legalnie wypłynęli z portu. Tak. Tak. Wiem... Podwójna whisky. Dobrze, niech będzie cała butelka. Powodzenia, przyjacielu. - Odłożył słuchawkę.

- Wściekły? - zapytał uśmiechając się Bloggs.

- Gdybym zrobił z moją pałką policyjną to, co mi poradził, nigdy nie mógłbym już usiąść. - Kincaid spoważniał. - Obchód portu zabierze mu jakieś pół godziny i potem zaczniemy sprawdzać wszystkie adresy. Może coś to da, chociaż mam wrażenie, że raczej pojechał autostopem.

- Też tak myślę.

Nagle drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł mężczyzna w średnim wieku ubrany po cywilnemu. Kincaid i jego podwładni wstali i Bloggs poszedł za ich przykładem.

- Dzień dobry panu - odezwał się Kincaid. - To jest pan Bloggs. Panie Bloggs, pan Richard Porter.

Wymienili uścisk dłoni. Porter był mężczyzną o czerwonej twarzy i starannie utrzymanych wąsach. Ubrany był w dwurzędowy płaszcz wielbłądziego koloru.

- Miło pana poznać - powiedział. - Jestem tym durniem, który podrzucił waszego ptaszka do Aberdeen. Strasznie mi przykro. - Bloggs zauważył, że nie mówi z miejscowym akcentem.

Na pierwszy rzut oka Porter wydawał się być typem naiwnego głupca, który potrafi przewieźć swym samochodem szpiega przez pół kraju. Bloggs nie dał się jednak zmylić pozorom - wylewna serdeczność i dobroduszość mogła ukrywać przebiegłość i inteligencję.

- Skąd panu przyszło do głowy, że mężczyzna, którego pan zabrał, może być niebezpiecznym mordercą? - zapytał.

- Dowiedziałem się o porzuconym Morrisie i właśnie niedaleko tego miejsca spotkałem człowieka, którego szukacie.

- Czy widział pan jego zdjęcie?

- Tak. Nie udało mi się dokładnie zobaczyć twarzy, bo jechaliśmy głównie nocą. Ale widziałem wystarczająco dużo w świetle latarki, kiedy pochylaliśmy się nad silnikiem i potem, gdy o świcie wjeżdżaliśmy do Aberdeen. Z samego zdjęcia łatwo mogłem wywnioskować, że to on, no a skojarzywszy to jeszcze z miejscem, z którego go zabrałem, niedaleko porzuconego Morrisa, jestem tego pewien.

- Racja - zgodził się Bloggs. Zaczął się zastanawiać, czy Porter mógłby mu dostarczyć jakiejś pożytecznej informacji.

- Jakie wrażenie zrobił na panu Faber? - zapytał w końcu.

- Wydawał się bardzo zmęczony, zdenerwowany i gotów na wszystko, w takiej właśnie kolejności. Nie był też Szkotem.

- Jak określiłby pan jego akcent?

- Przeciętnej szkoły prywatnej. Zupełnie nie pasował do jego ubrania, rozumie pan. Miał na sobie kombinezon robotnika. To też skojarzyłem dopiero później.

Kincaid przerwał im proponując herbatę. Zgodzili się chętnie. Bloggs doszedł do wniosku, że Porter nie jest wcale taki głupi, na jakiego wygląda.

- O czym rozmawialiście? - zapytał.

- O niczym ważnym.

- Byliście przecież razem przez parę dobrych godzin...

- Spał prawie całą drogę. Zreperował samochód - to był tylko rozłączony przewód, ale zupełnie tracę głowę, gdy trzeba coś naprawić. Potem powiedział mi, że samochód zepsuł mu się w Edynburgu i że jedzie do Banff. Wolał ominąć Aberdeen, gdyż nie miał przepustki upoważniającej do przejazdu przez teren strzeżony. No i wtedy, jak skończony idiota, pocieszyłem go, żeby się nie martwił, bo poręczę za niego, jeśli nas zatrzymają. Co za dureń ze mnie. No, ale miałem wobec niego dług wdzięczności.

- Nie ma w tym pana winy - uspokoił go Kincaid. Bloggs był nieco odmiennego zdania, ale pozostawił je dla siebie. Powiedział natomiast: - Bardzo niewielu ludzi widziało Fabera i mało kto może nam powiedzieć, jak on wygląda. Proszę się głęboko zastanowić, jakiego rodzaju jest to człowiek?

- Obudził się zupełnie tak, jak budzą się żołnierze - myślał głośno Porter. - Zachowywał się grzecznie i wydawał się bardzo inteligentny. Zauważyłem, że mocno ściska rękę przy powitaniu. Zawsze to zauważam.

- Czy nie przypomina się panu coś jeszcze?

- Chyba tak. Kiedy się obudził... - Porter zmarszczył czoło starając się sobie coś przypomnieć. - Prawą ręką sięgnął do lewego rękawa, dokładnie w ten sposób. - Zademonstrował.

- Ważna informacja - zauważył Bloggs. - Wiemy więc, gdzie ukrywa nóż.

- Obawiam się, że to wszystko, co pamiętam.

- Powiedział panu, że jedzie do Banff, co znaczy, że udaje się w zupełnie innym kierunku.

- Tak pan myśli?

- Szpiedzy kłamią dla samej zasady. Założę się, że zanim powiedział panu, dokąd jedzie, dowiedział się najpierw o celu pańskiej podróży.

- Rzeczywiście. - Porter kiwał głową w zamyśleniu. - A to dopiero!

- Myślę, że pojechał albo do Aberdeen, albo na południe, po tym, jak go pan już zostawił. Mówił, że jedzie na północ, więc wybrał zupełnie przeciwny kierunek.

- Takie zgadywanie często do niczego nie prowadzi - zauważył Kincaid.

- A czasami właśnie prowadzi - wykrzywił się w uśmiechu Bloggs.

- Czy Faber wiedział, że pan jest sędzią?

- Tak. Powiedziałem mu o tym.

- Tylko dlatego nie zabił pana.

- Chryste Panie! Co pan przez to rozumie?

- Wiedział, że zniknięcie pana będzie bardzo szybko zauważone.

- Chryste Panie! - powtórzył Porter i trochę zbladł. Myśl, że mógłby się stać następną ofiarą Fabera, jakoś wcale nie przyszła mu do głowy.

Drzwi znowu się otworzyły i do pokoju wszedł wysoki mężczyzna.

- Zdoylem dla was tę informację i, do cholery, mam nadzieję, że się do czegoś przyda - powiedział.

Bloggs uśmiechnął się szeroko. Oczywiście musiał to być sam kapitan portu. Niski mężczyzna o siwych, krótko przyszyrzonych włosach, ubrany w kurtkę z mosiężnymi guzikami, zaciągał się dymem z ogromnej fajki.

- Niech pan wejdzie, kapitanie - poprosił Kincaid. - Jak to się stało, że pan tak przemókł? Nie powinien pan wychodzić na deszcz.

- Odwal się, stary - powiedział kapitan. Widząc jednak rozradowane twarze siedzących w pokoju policjantów, Bloggs zwątpił w autentyczność gniewu starego żeglarza.

- Dzień dobry, kapitanie - odezwał się Porter.

- Dzień dobry, Wysoki Sądzie - powitał go kapitan.

- Co pan odkrył? - zapytał Kincaid.

Kapitan zdjął powoli czapkę i zaczął strząsać krople deszczu z daszka.

- Zniknęła "Marie II" - oznajmił. - Widziałem, jak wchodziła do portu tego popołudnia, w którym zaczął się sztorm. Nie zauważyłem, żeby wypływała, i wiem, że tego dnia miała zostać w porcie, a jednak gdzieś zniknęła.

- Kto jest jej właścicielem?

- Tom Halfpenny. Rozmawiałem z nim już przez telefon. Twierdzi, że zarzucił cumę tamtego dnia i od tej pory nie był w porcie.

- Jakiego typu jest ta łódź?

- Mała mocna łódź rybacka z wbudowanym silnikiem. Całkiem zwyczajna. Miejscowi rybacy nie korzystają z projektów wzorcowych budując swe statki.

- Zadam panu teraz bardzo ważne pytanie - powiedział Bloggs.- Czy taka łódź może przetrwać sztorm?

Kapitan zapalał fajkę. Po chwili powiedział: - Tak, jeśli prowadzi ją bardzo doświadczony żeglarz, ale to też nic pewnego.

- Jak daleko mógł odplynać, zanim złapał go sztorm?

- Jakieś parę mil. Niech pan pamięta, że "Marie II" wróciła do portu dopiero wieczorem.

Bloggs wstał, przez chwilę chodził nerwowo po pokoju, po czym znowu usiadł.

- Więc gdzie ona teraz jest? - zapytał.

- Według wszelkiego prawdopodobieństwa na dnie oceanu. - W głosie kapitana czuło się pewną radość.

Perspektywa śmierci Fabera wydała się Bloggsowi trochę nieprzekonywająca. Ogarnęło go uczucie niezadowolenia, niepokoju i frustracji. Potarł ręką policzek: będzie się musiał ogolić.

- Uwierzę, kiedy zobaczę na własne oczy - oznajmił.

- Ale nie zobaczy pan.

- Niech pan zachowa dla siebie te ponure uwagi - powiedział ostro Bloggs. - Potrzeba mi informacji, a nie jakichś pesymistycznych wizji. - Policjanci siedzący w pokoju przypomnieli sobie nagle, że pomimo swego młodego wieku Bloggs był wśród nich najstarszym rangą oficerem. - Rozważmy wszystkie możliwości. Załóżmy, że Faber opuścił Aberdeen jadąc łądem, a ktoś inny ukradł "Marie II". W takim przypadku dojechał już prawdopodobnie do miejsca swego przeznaczenia, ale sztorm nie pozwolił mu na opuszczenie kraju. Wszystkie posterunki policji nie

ustają w intensywnych poszukiwaniach i na razie nic więcej nie możemy zrobić.

Rozważmy teraz drugą ewentualność, tę, że Faber wciąż jeszcze jest na terenie Aberdeen. W tym wypadku zrobiliśmy również wszystko, co w naszej mocy: poszukiwania w mieście trwają nadal.

Trzecia możliwość: wypłynął z miasta łodzią. Myślę, że w tym miejscu zgodziliśmy się, że jest to najbardziej prawdopodobne. Rozbijmy to na trzy części. Założenie A: Faber przesiadł się na inny statek, możliwe, że na łódź podwodną, jeszcze zanim rozpętała się burza. Nie wydaje mi się, aby miał na to czas, ale może jakoś zdążył. Założenie B: jako rozbitek znalazł schronienie na wyspie albo łądzie. I wreszcie założenie C: utonął.

Jeśli udało mu się spotkać z łodzią podwodną, przegraliśmy z kretesem i nic więcej nie możemy zrobić. Wykluczmy więc tę ewentualność. Jeśli znalazł gdzieś schronienie, a kuter zamienił się we wrak, wcześniej czy później znajdziemy "Marie II" albo jej szczątki. Powinniśmy natychmiast zacząć badać wybrzeża i spenetrować powierzchnię morza, gdy tylko pogoda poprawi się na tyle, że będziemy mogli wysłać samoloty. Jeżeli naprawdę znalazł się na dnie oceanu, zauważymy pewnie unoszące się na wodzie resztki łodzi.

Naszą akcję powinniśmy więc prowadzić w trzech kierunkach. Nie zaprzestajemy poszukiwań już rozpoczętych, organizujemy nową akcję dokładnego przeszukania całego wybrzeża rozciągającego się na północ i południe od Aberdeen. Z chwilą uspokojenia się sztormu sprawdzamy powierzchnię oceanu z samolotów.

Bloggs zaczął chodzić po pokoju, kiedy dzielił się z kolegami swymi spostrzeżeniami. Wreszcie stanął i rozejrzał się wokół.

- Pytania, niejasności, propozycje? - zapytał.

Zrobiło się już bardzo późno. Nagły przyływ energii Bloggsa wyprowadził ich wszystkich z obezwładniającego letargu, w który przedtem popadli. Jeden z policjantów pochylił się do przodu i zatarł nerwowo ręce, drugi zaczął zawiązywać sznurowadła, jeszcze inny włożył kurtkę munduru. Wszyscy chcieli natychmiast zabrać się do pracy. Nie mieli żadnych pytań.

- W porządku - powiedział Bloggs. - Wygrajmy więc tę batalię.

Rozdział 23

Faber leżał rozbudzony. Jego organizm prawdopodobnie potrzebował jeszcze snu, pomimo tego że właściwie cały dzień spędził w łóżku. Umysł pracował jednak ze zdwojoną aktywnością, rozważając wszystkie możliwości, kreśląc plany i rozmyślając o kobietach i domu.

Właśnie teraz, kiedy tak niewiele go dzieliło od wydostania się z obcego kraju, wspomnienia domu rodzinnego stały się boleśnie słodkie. Zaczął przypominać sobie różne błahe szczegóły, jak pyszna kielbasa pokrajana w kawałki, samochody, które jeżdżą prawą stroną ulicy, prawdziwie wysokie drzewa, a przede wszystkim swój ojczysty język - słowa z precyzyjnie oddanym znaczeniem, twarde brzmienie spółgłosek, czyste samogłoski, czasownik na końcu zdania, niepowtarzalna melodia i akcent. Myśli o seksualnych uniesieniach znowu przypomniały mu Gertrudę: jej twarz na pościeli, makijaż rozmazany przez jego pocałunki, zaciśnięte mocno powieki, potem oczy z zachwytem wpatrzone w niego, rozchylone usta z trudem łapiące powietrze i szept: "Ja, *liebling*, ja..."

Bzdura. Przez siedem lat żył jak mnich, ale ona nie musiała przecież narzucać sobie jakichkolwiek ograniczeń. Odkąd się rozstali, mogła mieć dziesiątki mężczyzn. A może dawno nie żyła, zginęła od bomby RAF-u albo została zamordowana przez fanatyków, którzy odkryli, że jej nos jest o pół cala za długi, lub też przejechał ją motor w zaciemnionym mieście. W każdym razie na

pewno o nim zapomniiała. Prawdopodobnie nigdy jej już nie zobaczy. Była jednak symbolem. Normalnie Faber nie pozwalał sobie na snucie sentymentalnych wspomnień. Jego charakter krył w sobie pewną powściągliwość, którą Faber kultywował, znając jej ochronne właściwości. Teraz, kiedy jeden tylko krok dzielił go od wielkiego sukcesu, poczuł pewne rozluźnienie, które, nie usypiając czujności, pozwoliło jednak na małe fantazjowanie.

Trwający sztorm był jego sprzymierzeńcem. W poniedziałek za pomocą radiostacji Toma spróbuje nawiązać kontakt z łodzią podwodną i gdy burza się uciszy, kapitan wyśle po niego szalupę do zatoki. Gdyby natomiast sztorm skończył się przed poniedziałkiem, mogła zaistnieć mała komplikacja w postaci łodzi dostarczającej żywność. W razie jej przybycia, dla mieszkańców wyspy stanie się oczywiste, że powinien wrócić nią na ląd.

Obraz Lucy pojawił się znowu w jego myślach z nową wyrazistością. Zobaczył jej płonące bursztynowe oczy, kiedy patrzyła, jak bandażuje skaleczony palec, widział jej zgrabną sylwetkę, kiedy szła przed nim na górę po schodach ubrana w luźny męski sweter, widział duże piersi o doskonałych kształtach, gdy stała naga w łazience. Zaczął sobie wyobrażać, że Lucy pochyła się nad skaleczonym palcem i całuje go w usta, odwraca się na schodach i przyciąga go do siebie, wychodzi z łazienki i kładzie jego ręce na swych piersiach.

Przewrócił się niespokojnie na drugi bok, wściekły, że wyobrażenia podsuwa mu marzenia, jakich nie miewał od czasów szkolnych.

Próbował sobie przypomnieć, ile kobiet miał w życiu. Anna, Gretchen, Ingrid, jedna Amerykanka, dwie prostytutki w Stuttgarcie. Nie potrafił przypomnieć sobie wszystkich, ale nie mogło być ich więcej niż dwadzieścia.

Żadna z nich nie była jednak tak piękna, jak Lucy. Ogarnęła go wściekłość - zawróciła mu w głowie dlatego, że był już tak bardzo blisko domu i przez tyle lat nie pozwalał sobie na żadne sentymenty. Co się stało z jego wewnętrzną dyscypliną? Powinien się mieć na baczności aż do całkowitego zakończenia zadania.

No i jeszcze sprawa łodzi, która przybędzie z lądu. Musi jakoś rozwiązać ten problem. Najlepszym sposobem było uwięzienie mieszkańców wyspy. Powitałby sam przewoźnika łodzi, odebrał prowiant i odesłał go, wyjaśniając swoją obecność na wyspie odwiedzinami u kuzynów. Powiedziałby, że przyjechał na innej łodzi po to, aby obserwować tutejsze ptaki... zresztą wymyśliłby cokolwiek. Było to na razie zbyt małe zmartwienie, aby się nad nim teraz zastanawiać. Zajmie się tym później, kiedy pogoda rzeczywiście się poprawi.

Właściwie nie miał poważnych zmartwień. Samotna wyspa, całe mile oddalona od lądu, no i jej czworo mieszkańców - nie mógł znaleźć lepszego schronienia. Opuszczenie Wielkiej Brytanii stało się w tych warunkach tak łatwe, jak wydobycie się z dziecinnego kojca. Kiedy przypomniiał sobie wszystkie trudności, które musiał do tej pory przezwyciężyć, i ludzi, których zamordował (pięciu rezerwistów z Home Guard, chłopaka z Yorkshire w pociągu, wysłannika Abwehry), wyspa stała się prawdziwym rajem.

Pozbycie się starca, kaleki, kobiety i dziecka nie było zadaniem zbyt trudnym.

Lucy też nie mogła zasnąć. Nasłuchiwała odgłosów, które dochodziły ze wszystkich stron. Sztorm był jak orkiestra, w której deszcz walił w bęben tłukąc o dach, wiatr grał na flecie gwizdząc na poddaszu, a morze z plażą wykonywało glissando. Stary dom trzeszczał i skrzypiał, poszturchiwany przez bezlitosną burzę. Ale i w środku słyhać było różne dźwięki, chociażby powolny regularny oddech, który na szczęście nie przechodził w głośnie chrapanie. David zapadł w głęboki sen po zażyciu podwójnej dawki środków nasennych. Z drugiego pokoju dochodziło szybkie i

plytkie sapanie małego Jo, który rozłożył się wygodnie na łóżku polowym przysuniętym do ściany.

“Ten hałas nie pozwala mi usnąć - pomyślała Lucy. - Kogo właściwie chcę oszukać?” Wiedziała, że przyczyną jej bezsenności jest Henry, który widział ją rozebraną w łazience, dotykał delikatnie jej ręk, gdy bandażował skaleczony palec, a teraz prawdopodobnie spał mocno w sąsiednim pokoju.

Właściwie niewiele jej powiedział o sobie. Wiedziała tylko, że jest kawalerem. Nie miała pojęcia, z jakich stron pochodzi, akcent nie zdradzał go w najmniejszym stopniu. Nic też nie mówił o swojej pracy; wyobrażała sobie, pewnie jest dentystą albo żołnierzem. Jak na prawnika był za mało nudny, zbyt inteligentny jak na dziennikarza, a lekarze o niczym innym przecież nie mówią, jak o swoim zawodzie. Ubierał się zbyt skromnie, żeby być adwokatem, a jak na aktora zachowywał się ze zbyt dużą nieśmiałością. Na pewno miał coś wspólnego z wojskiem.

Zastanawiała się, czy mieszkał sam. Może razem z matką. Albo kobietą. Ciekawe, jak się ubierał, kiedy nie łowił ryb. Oczami wyobraźni widziała go w granatowym dwurzędowym garniturze z białą chusteczką w górnej kieszeni marynarki. Czy miał własny samochód? Jeżeli, to na pewno jakiś rzadki i całkiem nowy model, którym rozwijał niebezpieczną szybkość.

Myśl o Faberze za kierownicą swego wozu przypomniła jej samochód Davida. Zamknęła mocno oczy, żeby odpędzić nocne widziadła. Musi koniecznie zacząć myśleć o czymś innym.

Uwaga jej skoncentrowała się więc znowu wokół Henry'ego i Lucy ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że ma ochotę spędzić z nim noc.

Było to dość dziwne życzenie, zupełnie nie pasujące do wyznawanych przez nią zasad, według których podobne pragnienia mogli mieć mężczyźni, ale nigdy kobiety. Kobieta po przypadkowym spotkaniu mężczyzny, który jej się spodobał, mogła zapragnąć lepiej go poznać, mogła nawet się w nim zakochać, nigdy jednak nie powinna odczuwać fizycznego pożądania, chyba że była... anormalna.

Próbowała wytłumaczyć sobie, że to wszystko jest śmieszne, że przecież nie będzie się kochać z pierwszym lepszym mężczyzną, z którym los ją zetknął. Nie należała przecież do kobiet tego pokroju. A jednak nie mogła przestać o nim myśleć. David i Jo spali kamiennym snem i nic nie stało na przeszkodzie, żeby pójść do pokoju Henry'ego i wślizgnąć się do jego łóżka.

Nic nie stało na przeszkodzie, oprócz zasad wpajanych w nią od dziecka i charakteru, który buntował się przed takim posunięciem.

Jak też zachowałby się Henry w podobnej sytuacji? Podejrzewała, że okazałby czułość i serdeczność, a nie pogardę, spowodowaną tym, że oddała mu się jak dziewczyna z Soho.

Obróciła się na drugi bok, śmiejąc się z własnej głupoty. Skąd ta pewność, że nie będzie nią pogardzał? Dopiero jeden dzień minął od jego pojawienia się na wyspie, poza tym większość czasu Faber spędził śpiąc w łóżku, nic więc właściwie o nim nie wie.

Tak bardzo jednak chciała, żeby na nią znowu spojrział tym swoim spojrzeniem, w którym podziw mieszał się z odrobiną rozbawienia, żeby dotknął jej ciała i objął mocno.

Nie mogąc przestać o tym myśleć, wstała z łóżka i wyszła na korytarz.

Faber usłyszał kroki zbliżające się do drzwi i zareagował w sposób automatyczny. Odsunął na bok wszelkie jałowe myśli i szybko wyskoczył z łóżka, podszedł do okna i stanął w najciemniejszym miejscu pokoju, trzymając sztylet w ręku.

Usłyszał, że ktoś otwiera drzwi, wchodzi do środka i zamyka drzwi za sobą. Zdziwiło go to trochę, wiedział bowiem, że zabójca zostawiłby drzwi otwarte dla ułatwienia sobie ucieczki. Wydało mu się też bardzo mało prawdopodobne, aby intruz mógł go zauważyć w miejscu, w którym stał. Przypomniał sobie jednak, że zawdzięczał życie swej, może czasem przesadnej, ostrożności.

Deszcz uderzał w szyby miarowo, niemniej udało mu się wyłowić nowy dźwięk od strony łóżka - odgłos czyjegoś oddechu. Rzucił się na intruza, powalił na łóżko głową w dół i przysunął sztylet do jego szyi. Nagle rozpoznał Lucy, zwolnił uścisk i zapalił światło nocnej lampki.

Jej twarz wydała mu się przeraźliwie blada w słabym świetle lampy. Faber błyskawicznie ukrył sztylet, zanim zdążyła go zauważyć.

- Strasznie przepraszam - powiedział zmieszany. Przewróciła się na plecy i widząc, że siedzi na niej okrakiem z bardzo głupią miną, wybuchnęła śmiechem.

- Myślałem, że to jakiś włamywacz - dodał Faber.

- Skąd by się tu wziął włamywacz? - zaśmiała się i policzki zaróżowiły się jej od rumieńców wstydu.

Miała na sobie luźną staromodną flanelową koszulę nocną, która przykrywała ją dokładnie od stóp do głów. Kasztanowate gęste włosy leżały w bezładzie na poduszce.

- Jesteś niezwykle piękna - powiedział Faber cicho. Zamknęła oczy, a on pochylił się i pocałował ją w usta.

Opuściła go wczesnym rankiem. Usłyszeli rumor dobiegający z sąsiedniej sypialni i nagle przypomniała sobie o istnieniu męża i syna. Faber chciał jej powiedzieć, że jest to przecież bez znaczenia, nie ma powodu, aby przejmować się tym, czy mąż wie o całej sprawie i co o tym myśli, ale trzymał język za zębami i pozwolił jej odejść. Pocałowała go jeszcze raz, bardzo mocno, potem wstała, poprawiła pogniecioną koszulę i na palcach wyszła z pokoju. Patrzył na nią z zachwytem.

Leżał na plecach spoglądając w sufit i zastanawiał się, jaka naprawdę jest. Trochę naiwna i bardzo niedoświadczona, ale wspaniała. "Mógłbym się w niej z łatwością zakochać" - pomyślał.

Wstał i odnalazł pod łóżkiem pojemniczki z mikrofilmami oraz sztylet. Zastanawiał się, czy powinien nadal mieć je przy sobie. Gdyby w ciągu dnia znowu przyszła do niego...W końcu zdecydował nie rozstawać się z nożem, czułby się bez niego jak rozebrany. Pojemnik z mikrofilmami postanowił schować w górnej szufladzie komody pod dokumentami i portfelem. Wiedział, że w ten sposób łamie podstawowe zasady obowiązujące w jego zawodzie, ale usprawiedliwiał się, że było to w końcu jego ostatnie zadanie i w związku z tym czuł się upoważniony do pofolgowania swym instynktom. Nawet gdyby ktoś zauważył zdjęcia, nie miało to większego znaczenia, bo nic nie mógłby z nimi zrobić.

Położył się na chwilę, po czym znowu wstał. Lata praktyki nie pozwalały mu na takie głupie ryzykowanie. Włożył pojemnik z filmami oraz dokumenty do kieszeni kurtki. Dopiero wtedy odzyskał spokój.

Usłyszał głos dziecka, kroki Lucy, kiedy schodziła ze schodów, i łoskot wózka Davida kierującego się do łazienki. Będzie musiał wstać i zjeść śniadanie z domownikami. Już i tak nie chciało mu się spać.

Stanął przy oknie, którego szyby zalewał deszcz, i patrzył na szalejący sztorm do momentu, w którym usłyszał skrzyp otwieranych drzwi łazienki. Włożył górę od piżamy i poszedł się ogolić. Użył maszynki Davida nie przejmując się wcale, czy właściciel nie zgłosiłby sprzeciwu. Nie miało to teraz żadnego znaczenia.

Rozdział 24

Erwin Rommel wiedział od samego początku, że dojdzie do kłótni z Heinzem Guderianem. Generał Guderian uosabiał typ pruskiego oficera pochodzenia szlacheckiego, jakich Rommel nie

znosił. Znali się od dawna. Każdy z nich w młodości dowodził batalionem strzelców w Goslarze, a po raz drugi los ich zetknął w czasie kampanii wrześniowej. Kiedy Rommel opuszczał Afrykę, wysunął sugestię, aby Guderian objął po nim dowództwo, gdyż wiedział, że walka o ten kontynent jest już przegrana. Ten manewr nie udał mu się jednak, ponieważ w tym czasie Guderian popadł w niełaskę u samego Hitlera i propozycja Rommla pozostała bez echa.

Rommel podejrzewał, że Guderian należy do tej grupy niemieckich oficerów, którzy, kiedy przychodzą do Herrenklubu, aby wypić kufel piwa, kładą na kolanach jedwabną chusteczkę do nosa w obawie przed rozprasowaniem się kantów spodni. Został oficerem, ponieważ jego ojciec był oficerem, a dziadek słynął z bogactwa. Rommel, syn nauczyciela, który w ciągu zaledwie czterech lat przeskoczył ze stopnia podpułkownika do rangi feldmarszałka, pogardzał skrycie kastą wojskowych arystokratów, do której nigdy nie należał.

Siedział teraz po drugiej stronie stołu i patrzył na generała pociągającego koniak zrabowany w piwnicach francuskich Rothschildów. Guderian i jego prawa ręka, generał von Geyr, przybyli do kwatery głównej Rommla w miejscowości La Roche Guyon w północnej Francji po to, aby mu powiedzieć, jak rozlokować wojska. Wizyty tego typu niecierpliwiły i złościły feldmarszałka. Był on zdania, że obowiązkiem Sztabu Generalnego jest zorganizowanie dobrego wywiadu i regularnego zaopatrzenia wojska. Doświadczenie zdobyte w Afryce mówiło mu, że główne dowództwo zawodziło w obu tych wypadkach.

Guderian był mężczyzną o krótko przystrzyżonych, płowych wąsach. Gęsta siatka zmarszczek otaczała jego oczy, stwarzając złudzenie nieustannego uśmiechu. Był wysoki i przystojny, co wcale nie pomogło mu w zjednaniu sobie sympatii niskiego, brzydkiego i łysiejącego Rommla. Wydawał się dziwnie spokojny, a na tym etapie wojny tylko głupcy mogli zachować spokój. Posiłek, jaki przed chwilą spożył (cielęcina i wino z południa Francji), nie był żadnym usprawiedliwieniem.

Rommel patrzył w okno i obserwował krople deszczu spadające z liści lipy na podwórze. Czekał, aż Guderian rozpocznie naradę. Kiedy wreszcie zaczął mówić, stało się jasne, że generał zastanawiał się przedtem nad najtrafniejszym sposobem przedstawienia problemu i zdecydował się omówić go drogą okrężną.

- W Turcji 9 i 10 Armia brytyjska razem z wojskami tureckimi koncentruje się niedaleko granicy z Grecją. W Jugosławii walczą partyzanci. Francuzi szykują się w Algierii do skoku przez Morze Śródziemne. Wydaje się, że Rosjanie planują jakąś wielką operację. We Włoszech alianci są gotowi do marszu na Rzym.

A teraz parę drugorzędnych faktów: generał porwany na Krecie, oficer Abwehry zamordowany w Lyonie, napad na stację radarową na wyspie Rodos, samolot zniszczony przez sabotażystów w Atenach, atak komandosów na Sagaag, eksplozja wytwórni tlenu w Boulogne nad Sekwaną, pociąg wykolejony w Ardenach, cysterny z benzyną podpalone w Bousens... Mógłbym tak ciągnąć bez końca.

Sytuacja jest jasna. Na obszarach okupowanych szerzy się sabotaż i dywersja, obserwujemy również pewne przygotowania do inwazji. Nikt z nas nie ma już żadnych wątpliwości, że tego lata nastąpi główne uderzenie aliantów, a wyżej wspomniane ekscesy mają na celu wprowadzenie nas w błąd co do kierunku i miejsca ataku.

Generał przerwał swój wywód. Rommla irytował jego mentorski ton i kiedy zapadła chwila ciszy, postanowił mu przerwać.

- Po to chyba mamy Sztab Generalny, aby właściwie interpretował zdobyte informacje, rozpoznawał wszelkie objawy działalności nieprzyjaciela i przewidywał jego posunięcia.

Guderian uśmiechnął się z pobłażaniem.

- Musimy jednak pamiętać, że trafność naszych wniosków jest ograniczona - powiedział. - Każdy z nas ma swoje zdanie na temat kierunku, z którego przyjdzie uderzenie. Nasze plany strategiczne powinny także wziąć pod uwagę możliwość, że opieramy się na błędnych przypuszczeniach.

Rommel zorientował się, co chciał udowodnić generał za pomocą tych wszystkich argumentów, i z trudem powstrzymywał się, by nie zaprotestować, zanim Guderian dojdzie do ostatecznej konkluzji.

- Dowodzi pan czterema dywizjami pancernymi - ciągnął Guderian. - 2 Dywizja Pancerna w Amiens, 116 w Rouen, 21 w Caen i 2 Dywizja SS w Tuluzie. Generał von Geyr zasugerował wycofanie ich z wybrzeża, aby w każdej chwili stały gotowe do szybkiego przeciwuderzenia. Takie posunięcie jest bardzo ważne z punktu widzenia aktualnej strategii Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu. Przykro mi stwierdzić, że pan nie tylko odrzucił propozycję von Geyra, ale przesunął jeszcze 21 Dywizję w stronę atlantyckiego wybrzeża.

- Pozostałe trzy także przesunę na wybrzeże! - wybuchnął Rommel. - Czy nigdy już niczego się nie nauczycie? Alianci rządzą w powietrzu. Gdy tylko rozpocznie się inwazja, dalsze grupowanie wojsk stanie się niemożliwe. Gdyby wasze cenne czołgi stały w Paryżu w chwili wylądowania aliantów na wybrzeżu, pozostałyby w Paryżu przygwożdżone przez bombowce RAF-u aż do chwili, gdy alianti zjawią się na bulwarze St. Michel. Wiem, co chce mi pan powiedzieć: że taka sytuacja zdarzyła się już dwukrotnie. - Przerwał, aby nabrać tchu. - Koncentracja dywizji pancernych jako ruchomego odwodu jest równoznaczna z całkowitym pozbawieniem ich użyteczności. Nie będzie więc żadnego przeciwuderzenia. Musimy zmierzyć się z aliantami na samych plażach, gdzie ich pozycja będzie najslabsza, i zepchnąć ich w morze.

Rumieńce zniknęły z jego policzków, kiedy tłumaczył swoją własną taktykę obrony.

- Zbudowałem podwodne przeszkody, wzmocniłem Wał Atlantycki, założyłem pola minowe, wkopałem belki na wszystkich łąkach nadających się na lądowiska. Wszystkie moje oddziały w czasie wolnym od innych zajęć pracują nad umacnianiem linii obronnych. Moje dywizje pancerne muszą przesunąć się na wybrzeże. Należy rozwinąć odwód Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu na obszarze środkowej Francji; 9 i 10 Dywizję SS trzeba ściągnąć z frontu wschodniego. Nasza taktyka obronna powinna polegać na niedopuszczeniu do umocnienia przyczółków na plażach, jeśli bowiem uda się im to osiągnąć, przegramy tę bitwę, a może nawet całą wojnę.

Guderian pochylił się i zmrużył oczy w irytującym półuśmiechu.

- Pan by chciał bronić wybrzeży od Tramsø w Norwegii poprzez Półwysep Iberyjski aż do Rzymu. Skąd na to wziąć żołnierzy?! - wykrzyknął.

- To pytanie trzeba było sobie zadać w roku 1938 - powiedział Rommel.

Po tej uwadze zapadła niezręczna cisza. Zadziwiające, że mógł to powiedzieć człowiek, który z zasady nie mieszał się do polityki.

Wreszcie von Geyr przerwał milczenie.

- A gdzie według pana nastąpi atak, panie feldmarszałku? - zapytał.

Rommel zamyślił się głęboko.

- Jeszcze nie tak dawno byłem przekonany, że od strony Pas de Calais. W czasie ostatniego spotkania z Führerem pozostawałem pod dużym wrażeniem jego argumentów udowadniających, że inwazja będzie miała miejsce w Normandii. Wysoko cenię instynkt Hitlera i jego umiejętność trafnej oceny sytuacji. Dlatego wydaje mi się, że nasze dywizje pancerne powinny przede wszystkim zostać rozmieszczone wzdłuż wybrzeża Normandii, z wyjątkiem może jednej dywizji u ujścia Sommy.

Guderian kręcił poważnie głową.

- Nie, nie, nie. To zbyt ryzykowne.

- Jestem gotów osobiście przedstawić swój punkt widzenia samemu Führerowi - powiedział Rommel z pogrózką w głosie.

- Wobec tego będzie pan musiał to zrobić - oświadczył Guderian z rezygnacją - bo ja na pewno nie poprę pańskich planów, chyba że...

- Chyba że co? - Rommel zdziwił się, że jednak istnieje coś, co może zmienić zdanie generała.

Guderian poruszył się niespokojnie na krześle. Nie chciał żadnego kompromisu z tak zatwardziałym przeciwnikiem, jakim był Rommel.

- Powinien pan wiedzieć, że Führer oczekuje jeszcze meldunku od naszego nadzwyczaj operatywnego agenta w Anglii.

- Ach tak, przypominam sobie. - Rommel skinął głową. - Die Nadel.

- Właśnie. Dostał zadanie zbadania siły Pierwszej Grupy Armii Amerykańskiej pod dowództwem Pattona, skoncentrowanej we wschodniej części Anglii. Jeśli Die Nadel stwierdzi, a jestem przekonany, że tak właśnie będzie, że armia ta jest silna i gotowa do wyruszenia, nadal będę się sprzeciwiał pańskim decyzjom. Jeżeli natomiast odkryje, że wszystko jest jednym wielkim bluffem, małym oddziałem udającym główne siły inwazyjne, wtedy przyznam panu rację i zatrzyma pan swoje dywizje pancerne. Czy zgodzi się pan na ten kompromis? Rommel skinął swą wielką głową na znak zgody.

- Wszystko zależy więc od agenta Die Nadla?

- Tak. Wszystko od niego zależy.

Część PIĄTA

Rozdział 25

Nagle dom wydał się Lucy przedziwnie mały. Kiedy krzątała się wykonując swe codzienne zajęcia, rozpalając w piecu, gotując płatki owsiane, sprząając, ubierając Jo, czuła się tak, jak gdyby ściany zaczynały się przybliżać, przyprawiając ją o klaustrofobię. Mieszkali zresztą tylko w czterech pokojach, połączonych małym korytarzem i schodami, i trudno było na tak małej przestrzeni nie natknąć się na kogoś z domowników. Lucy słyszała, co każdy z nich robi: Henry napuszczał wodę do wanny, David zsuwał się ze schodów, Jo łązał w bawialni swego misia. Lucy zapragnęła być sama przez chwilę, zebrać myśli, uspokoić się i odsunąć wspomnienia ostatniej nocy. W czasie śniadania powinna zachowywać się naturalnie i swobodnie.

Szybko zorientowała się, że nie potrafi oszukiwać, gdyż kłamstwo jest sprzeczne z jej naturą i brak jej doświadczenia w tym względzie. Próbowwała przypomnieć sobie jakiś wypadek, kiedy oszukała kogoś z rodziny czy przyjaciół, i jakoś nic nie przychodziło jej na myśl. Nie znaczy to wcale, że była osobą surowo przestrzegającą norm moralnych, ponieważ konieczność ukrycia prawdy wcale jej nie niepokoiła. Po prostu w całym swoim życiu nie znalazła się nigdy w sytuacji, która zmusiłaby ją do kłamstwa. "Czyżbym żyła nieprawdziwym życiem?" - zastanawiała się.

David i Jo zasiedli przy stole kuchennym i zaczęli jeść. David milczał, a Jo gadał bez przerwy dla samej tylko przyjemności budowania zdań. Lucy nie była głodna.

- Dlaczego nie jesz? - zapytał David od niechcena.

- Jadłam już. - Było to jej pierwsze kłamstwo i wypadło wcale niezłe.

Uczucie klaustrofobii potęgował nie kończący się sztorm. Przez gęste strugi deszczu Lucy z trudem dostrzegała stodołę przez okna kuchni. Otwarcie okien i drzwi wymagało dużego wysiłku i świadomość zamknięcia zwiększała niepokój. Niskie stalowoszare niebo oraz unosząca się wszędzie mgła stwarzały złudzenie wiecznego zmierzchu. Między rzędami zasadzonych w ogrodzie ziemniaków płynęły strumienie wody, a skrawek ziemi porośnięty zieleciem zamienił się w dużą kałużę. Wichura zerwała gniazdo wróbla pod dachem i ogarnięte paniką ptaki szamotały się pod okapem.

Lucy usłyszała kroki Henry'ego na schodach i nabrała otuchy. Z niewiadomych powodów miała całkowitą pewność, że potrafi on świetnie oszukiwać.

- Dzień dobry - powiedział Faber serdecznie. David, który siedział przy stole w swoim fotelu, spojrzał na niego i uśmiechnął się. Lucy z twarzą, na której wyraźnie wypisany był grzech, krzątała się przy piecu. Faber jęknął w duchu, ale David zdawał się wcale nie widzieć zmienionego wyrazu twarzy Lucy. Faber zaczął podejrzewać, że David jest skończonym idiotą.

- Siadaj i zjedz coś, Henry - powiedziała Lucy.

- Dziękuję bardzo.

- Obawiam się, że nie będę mógł zabrać was do kościoła - odezwał się David. - Śpiewy kościelne przez radio muszą nam wystarczyć.

Faber domyślił się, że była to niedziela.

- Czy chodzicie do kościoła? - zapytał.

- Nie - powiedział David. - A ty?

- Nie.

- Dla farmerów niedziela jest takim samym dniem, jak każdy inny - ciągnął David. - Mam zamiar pojechać dzisiaj na drugi koniec wyspy odwiedzić mojego pasterza. Jeśli masz ochotę, możesz jechać ze mną.

- Z przyjemnością - ucieszył się Faber. Świetna okazja, żeby rozejrzeć się w terenie i poznać drogę do farmy z radiostacją. - Czy chcesz, żebym cię zawiózł?

David spojrział na niego urażony.

- Daję sobie doskonale radę. - Zapadła niezręczna cisza. - W taką pogodę trzeba znać drogę na pamięć. Będzie o wiele bezpieczniej, jeśli ja poprowadzę.

- Oczywiście. - Faber zaczął jeść.

- Ale mnie nie robi to żadnej różnicy - nalegał David. - Nie chcę, żebyś jechał, jeżeli uważasz, że to za duże...

- Naprawdę, będę zachwycony.

- Czy dobrze spałeś? Nie masz prawa być dłużej zmęczony. Mam nadzieję, że Lucy nie trzymała cię wczoraj długo w bawialni.

Faber zmusił się, żeby nie spojrzeć na Lucy. Kątem oka zdążył jednak zauważyć, że jej twarz pokryła się szkarłatnym rumieńcem.

- Spałem wczoraj cały dzień - powiedział modląc się, żeby David nie przestał na niego patrzeć.

Niestety, David spoglądał na żonę, która odwróciła się do niego plecami. Głęboka zmarszczka pojawiła się na jego czole i przez krótką chwilę szczęka opadła mu w klasycznym wyrazie zdziwienia.

Faber poczuł lekkie rozdrażnienie. David będzie teraz nieufny i zacznie coś podejrzewać; nie było to niebezpieczne, ale mogło być męczące.

David ukrył szybko zmieszanie i jego twarz stała się nieodgadniona. Odepchnął fotel od stołu i skierował się w stronę tylnych drzwi.

- Wyprowadzę jeepa ze stodoły - wymamrotał. Zdjął pelerynę z wieszaka i włożył ją na siebie, potem otworzył drzwi i wytoczył się na zewnątrz.

W tej krótkiej chwili, kiedy drzwi stały otworem, burza wtargnęła do środka, zalewając deszczem podłogę. David zamknął drzwi, Lucy wzdrygnęła się od przenikliwego chłodu i zaczęła ścierać wodę.

Faber zbliżył się do niej i dotknął jej ramienia.

- Przestań - powiedziała, znacząco pokazując głową małego Jo.

- Jesteś niemądra - skarcił ją Faber. - Coś mi się wydaje, że on wie - odpowiedziała Lucy.

- Jeśli zastanowisz się przez chwilę, to dojdiesz do wniosku, że jest ci właściwie obojętne, czy on wie, czy nie.

Zamyśliła się.

- Ale przecież nie powinnam.

Faber wzruszył ramionami. David niecierpliwie naciskał klakson jeepa przed stodołą, Lucy podała Henry'emu pelerynę i gumowe kalosze.

- Tylko nie rozmawiajcie o mnie - poprosiła.

Faber szybko włożył nieprzemakalne ubranie i skierował się w stronę drzwi. Lucy powiedziała Jo, żeby został w kuchni, i poszła za nim. Z ręką na klamce Faber odwrócił się i pocałował kobietę. Oddała mu pocałunek, po czym uciekła do kuchni.

Faber zaczął przedzierać się przez strugi deszczu, tonął w morzu błota, aż wreszcie dotarł do samochodu. David natychmiast włączył motor.

Samochód był specjalnie przystosowany do tego, aby mógł go prowadzić kaleka o bezwładnych

nogach. Wyposażony był w ręczny gaz, automatyczną skrzynię biegów i specjalny uchwyt na kierownicy, który umożliwiał prowadzenie jedną ręką. Za siedzeniem znajdowała się specjalna przegródka dla składanego wózka inwalidzkiego. Na półce ponad szybą David trzymał strzelbę.

David był świetnym kierowcą. Jego przewidywania co do stanu drogi dokładnie się sprawdziły. Opony ścierały wąski skrawek miękkiej ziemi porośniętej wrzosem, woda stała w głębokich koleinach. Chociaż samochód ślizgał się i zapadał w błoto, David był zachwycony tą szaleńczą jazdą. Z papierosem zwisającym u warg, prowadził samochód z buńczuczną miną; może wyobrażał sobie, że kieruje samolotem.

- Czym się zajmujesz, kiedy nie łowisz ryb? - zapytał.

- Pracuję jako urzędnik - odpowiedział Faber.

- Gdzie?

- W finansowości. Jestem tylko małym pionkiem.

- Skarbowość, tak?

- W przeważającej części.

Nawet tak idiotyczna odpowiedź nie powstrzymała Davida od dalszego zadawania pytań.

- Czy to interesująca praca? - chciał koniecznie wiedzieć.

- Raczej tak. - Faber zbierał energię, aby wymyślić jakąś historyjkę. - Znam się trochę na tym, jaka powinna być cena danej maszyny, a większość czasu spędzam na sprawdzaniu, czy ludzie nie płacą za dużych podatków.

- O jakich maszynach mówisz?

- Wszystkich, począwszy od spinaczy, a skończywszy na silnikach samolotowych.

- Rozumiem. Każdy na swój sposób uczestniczy w tej wojnie. Była to dość złośliwa uwaga i

David nie mógł zrozumieć, dlaczego Faber nie poczuł się urażony.

- Jestem za stary, żeby walczyć - powiedział spokojnie.

- Czy brałeś udział w pierwszej wojnie? - pytał dalej David.

- Byłem wtedy za młody.

- Szczęśliwe wyjście z sytuacji.

- Bez wątpienia.

Samochód jechał teraz całkiem blisko przepaści, ale David wcale nie zwolnił. Faberowi przyszło na myśl, że może chciał, aby obaj zginęli. Nieco przestraszony sięgnął po uchwyt przy kierownicy.

- Czy może jadę za szybko? - zapytał David.

- Znasz przecież świetnie drogę - odpowiedział Faber.

- Wyglądałeś na przestraszonego - zauważył David złośliwie.

Faber udał, że nie słyszy tej uwagi, a David zwolnił trochę, zadowolony, że powiedział, co myśli.

Faber zauważył, że wyspa jest dość płaska i pusta. Okolica wznosiła się i opadała łagodnie i jak dotąd nie widać było żadnych wzgórz. Roślinność składała się głównie z trawy, paproci, krzewów i nielicznych drzew. Trudno było mówić o jakiejś naturalnej ochronie przed złą pogodą. Faber pomyślał, że owce Davida muszą być bardzo wytrzymałe.

- Czy jesteś żonaty? - zapytał nagle David.

- Nie.

- Co za przezorność.

- Tak myślisz?

- Założę się jednak, że nieźle sobie używałeś w Londynie. - David mrugnął porozumiewawczo

okiem.

Faber nigdy nie lubił pogardliwego i lekceważącego sposobu, z jakim niektórzy mężczyźni wyrażają się o kobietach.

- Myślę, że jesteś wielkim szczęściarzem mając taką żonę jak Lucy - powiedział ze złością.

- Naprawdę?

- Tak.

- Nie uznajesz więc różnorodności, co?

“Do czego on, do diabła, zmierza?” - zastanawiał się Faber, a potem dodał: - Nie miałem okazji poznania zalet monogamii.

- Rozumiem.

“On sam nie wie, do czego zmierza” - pomyślał Faber. Postanowił więcej się nie odzywać, ponieważ cokolwiek powiedział, było to jak dolewanie oliwy do ognia.

- Muszę jednak przyznać, że zupełnie nie wyglądasz na urzędnika państwowego. Gdzie twój parasol i melonik?

Faber uśmiechnął się krzywo.

- I nieźle jesteś wysportowany jak na gryzypiórka - dodał David.

- Jeżdżę często na rowerze.

- Masz pewnie niezłą kondycję, skoro przeżyłeś sztorm na morzu.

- Dziękuję.

- Nie jesteś też za stary, aby być w wojsku. Faber spojrzał prosto w oczy Davidowi.

- O co ci chodzi? - zapytał ze spokojem.

- Przyjechaliśmy - oznajmił David.

Faber spojrzał przez okno i zobaczył dom o kamiennych ścianach, dachu krytym dachówką i małych oknach, dom, który bardziej przypominał farmę Lucy. Stał na niewysokim wzgórzu, jedynym, jakie Faberowi udało się zauważyć na tej wyspie. W całym wyglądzie domu było coś przytulnego i pogodnego. Zbliżając się do niego, samochód minął kępę sosen i jodeł. Faber zdziwił się, że nie wybudowano go właśnie wśród tych drzew, stanowiących naturalną ochronę przed wiatrem. Za domem rósł kwitnący krzak głogu. David zatrzymał samochód. Faber przyglądał się, jak wyciąga swój fotel ze schowka i przenosi się z jeeпа na siedzenie wózka; wiedział, że David nie przyjmie zaofiarowanej pomocy.

Weszli do domu przez drewniane drzwi bez zamka. W hallu powitał ich pies collie, który machał przyjaźnie ogonem i nie szczekał. Rozmieszczenie pokoi było takie samo jak na farmie Lucy, tylko że panowała tu zupełnie inna atmosfera, wewnątrz było nagie, ponure i niezbyt czyste. David zaczął posuwać się w stronę kuchni. Pasterz siedział przy starej płycie kuchennej, grzejąc ręce przy płonących polanach.

- Henry, to jest Tom McAvity.

- Miało mi pana poznać - powiedział Tom formalnie.

Faber podał mu rękę. Tom był niskim, szerokim w barach mężczyzną o bardzo opalonej twarzy. Miał na głowie płócienną czapkę i palił ogromną fajkę z korzenia białego wrzosu. Uścisk jego dłoni był mocny, a skóra rąk chropawa. Faber musiał bardzo uważać, żeby zrozumieć znaczenie jego słów, gdyż mówił z silnym szkockim akcentem.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - powiedział Faber. - Jestem tutaj, bo chciałem się przejechać. David przysunął się do stołu.

- Nie wydaje mi się, abyśmy dzisiaj wiele zdziałali, Tom. Rozejrzemy się tylko trochę.

- Zanim wyjdziemy, napijmy się herbaty.

Tom rozlał mocną herbatę do trzech kubków i do każdego dolał trochę whisky. Trzej mężczyźni usiedli i popijali herbatę w milczeniu. David palił papierosa, a Tom głaskał czule swą dużą fajkę. Faber pomyślał, że na pewno spędzili razem w taki właśnie sposób wiele dżdżystych wieczorów, grzejąc ręce nad ogniem i nic nie mówiąc.

Kiedy skończyli pić herbatę, Tom włożył kubki do płytkiego kamiennego zlewu i wszyscy poszli do jeepa. Faber usiadł z tyłu. Tym razem David prowadził powoli, a pies, który nazywał się Bob, biegł obok samochodu bez większego wysiłku. David znał okolicę bardzo dobrze i starannie wybierał drogę poprzez łąki, omijając bagienne odcinki. Owce przedstawiały żalostny widok. Ociekające wodą, tuliły się do siebie we wszystkich możliwych zagłębieniach, w pobliżu krzaków lub na bezwietrznych stokach wzgórz, zbyt zmarznięte, aby skubać trawę. Nawet młode jagnięta były jakieś smutne i szukały schronienia przytulając się do matek.

Faber zaczął obserwować psa, który nagle zatrzymał się, nasłuchiwał przez chwilę, aż wreszcie rzucił się przed siebie. Tom także zauważył dziwne zachowanie się zwierzęcia.

- Musiał coś wywęszyć - powiedział.

Jeep jechał za psem przez dobre ćwierć mili. Kiedy się zatrzymali, Faber usłyszał szum morza - znaleźli się blisko północnego krańca wyspy. Pies stał nad brzegiem małego kanału. Mężczyźni wysiedli z samochodu i usłyszeli to, co słyszał pies - rozpaczliwe beczenie owcy. Zbliżyli się do krawędzi i spojrzeli w dół.

Na głębokości dwudziestu stóp, z trudem utrzymując równowagę na stromym brzegu, leżało na boku zwierzę, trzymając jedną nogę pod niewłaściwym kątem. Tom zszedł na dół, starając się stąpać możliwie cicho, i zaczął oglądać złamaną nogę.

- Zdaje się, że będziemy jeść na kolację baraninę! - zawołał. David wyciągnął strzelbę z jeepa i podał ją Tomowi, który jednym strzałem przerwał cierpienie owcy.

- Czy chcesz ją wciągnąć na linie? - zapytał David.

- Tak, chyba że Henry zejdzie tu i pomoże mi ją wynieść.

- Oczywiście - zgodził się Henry i zsunął się do miejsca, w którym stał Tom. Każdy z nich złapał dwie nogi i wciągnęli martwe zwierzę na górę. W pewnej chwili peleryna Fabera zaplątała się w krzewie kolczastym, powalając go niemal na ziemię. Pociągnął gwałtownie i usłyszał odgłos rozdzieranego materiału.

Wrzucili owcę do jeepa i pojechali dalej. Faber przemókł do suchej nitki; zorientował się, że peleryna ma dziurawe plecy.

- Boję się, że nic z niej już nie będzie - powiedział.

- Wszystko w dobrej sprawie - pocieszył go Tom.

Wkrótce wjechali na farmę Toma. Faber zdjął pelerynę, a potem ściągnął mokrą kurtkę zrobioną z ośle skóry. Tom powiesił ją nad piecem, żeby wyschła. Potem każdy wyszedł przed dom - farma Toma, w przeciwieństwie do domku Lucy, nie miała skanalizowanej ubikacji. Tom przyrządził świeżą herbatę.

- To pierwsza owca, jaką straciliśmy w tym roku - powiedział David ze smutkiem.

- Aha - zgodził się Tom.

- Będziemy musieli ogrodzić kanał tej zimy.

- Aha.

Faber zauważył pewną zmianę w atmosferze panującej w domku; było jakoś inaczej niż dwie czy trzy godziny temu. Siedzieli pijąc i paląc tak jak przedtem, tylko że David wydawał się jakiś niespokojny. Dwa razy Faber uchwycił jego głęboko zamyślane spojrzenie.

W końcu David powiedział: - Zostawimy ci owcę, żebyś ją oprował.

- Dobrze - zgodził się Tom.

David i Faber wyszli, odprowadzeni do drzwi przez psa. Przed uruchomieniem jeepa David wyciągnął strzelbę z półki nad szybą, naładował ją i położył na swoje miejsce.

W drodze do domu jego nastrój uległ jeszcze jednej zmianie i David stał się nagle bardzo gadatliwy.

- Latałem swego czasu na Spitfire'ach. Cudowne lataadła. W każdym skrzydle cztery karabiny maszynowe, amerykańskie browningi, tysiąc dwieście sześćdziesiąt strzałów na minutę. Szkopy wołać oczywiście działka - wśród ich myśliwców tylko Me 109 S jest uzbrojony w karabiny maszynowe. Działko powoduje większe zniszczenia, ale przecież nasze browningi są bardziej szybkostrzelne i celniejsze.

- Naprawdę? - zapytał grzecznie Faber.

- Później zaczęli instalować działka w Hurricanach, ale to Spitfire wygrał bitwę o Anglię.

Fabera zaczęły drażnić jego przechwałki. Nie wytrzymał i zapytał: - Ile samolotów zestrzeliłeś?

- Straciłem obie nogi w czasie ćwiczeń.

Faber rzucił krótkie spojrzenie na twarz Davida; stanowiła maskę z trudem skrywanej wściekłości.

- Nie zabiłem jeszcze ani jednego Niemca - powiedział David.

Był to nieomylny sygnał. Faber stał się nagle nad wyraz czujny. Nie miał pojęcia, co David mógł wydedukować czy odkryć, ale wydawało się, że coś jednak musi wiedzieć. Faber odwrócił się trochę, żeby zobaczyć twarz Davida, oparł stopę o tunel w podłodze samochodu i dotknął prawą ręką lewego ramienia. Czekał na następny ruch Davida.

- Czy interesujesz się samolotami? - zapytał David.

- Ani trochę - odpowiedział Faber bezbarwnym głosem.

- Wypatrywanie samolotów stało się narodową rozrywką, zupełnie jak obserwacje ptaków. Ludzie kupują książki o modelach samolotów. Całe popołudnia spędzają leżąc na plecach i patrząc w niebo przez lornetkę. Sądziłem, że też jesteś takim entuzjastą.

- Dlaczego?

- Słucham?

- Dlaczego myślisz, że mogę się tym pasjonować?

- Och, nie wiem. - David zatrzymał samochód, żeby zapalić papierosa. Znaleźli się dokładnie w połowie drogi między farmą Toma i domem Lucy. David rzucił zapalną na podłogę. - Może ze względu na zdjęcia, które wypadły z kieszeni twojej kurtki...

Kiedy to mówił, rzucił zapalonego papierosa w twarz Fabera i sięgnął po strzelbę leżącą na półce nad przednią szybą.

Rozdział 26

Sid Cripps wyrzwał przez okno i zaklął pod nosem. Na łące roilo się od amerykańskich czołgów - było ich co najmniej osiemdziesiąt. Wiedział, że była wojna, ale gdyby tylko go zapytali, oddałby im inne pole, na którym trawa nie rosła tak bujnie. Ciężkie gąsienice przygniotły już pewnie najlepszą część pastwiska. Wciągnął gumowe buty i wyszedł z domu. Na polu uwijało się paru Jankesów i zastanawiał się, czy zauważyli byka. Kiedy doszedł do przełazu, przystanął i podrapał się w głowę. Spozrzegł coś bardzo śmiesznego. Czołgi wcale nie zgniotły jego trawy. Nie zostawiły też po sobie żadnych śladów. Amerykańscy żołnierze robili w ziemi ślady po gąsienicach czołgów dziwnym

narzędziem przypominającym brone.

Sid wyteżył cały swój umysł, żeby coś z tego zrozumieć. Tymczasem byk zauważył czołgi, popatrzył na nie przez chwilę, nachylił się i ruszył do ataku.

- Idioto, skrećisz sobie kark! - jęknął Sid.

W tej chwili żołnierze też zauważyli pędzącego byka i wyraz rozbawienia pojawił się na ich twarzach.

Byk z całej siły wbił rogi w opancerzony bok pojazdu. Sid wyraził w duchu nadzieję, że angielskie czołgi są jednak solidniejsze od amerykańskich. Kiedy byk wyciągnął rogi, słychać było dziwny syk i czołg opadł na ziemię jak przedziurawiony balon. Amerykańscy żołnierze tarzali się po ziemi ze śmiechu.

Sid Cripps podrapał się jeszcze raz po głowie. Wszystko to było bardzo dziwne.

Percival Godliman szedł szybko przez Parliament Square. W rękę trzymał parasol, pod płaszczem przeciwdeszczowym nosił ciemny garnitur w paski, a jego czarne buty lśniły świeżym połyskiem - w każdym razie tak było, zanim wyszedł na deszcz; nie co dzień bowiem (nawet nie co rok) wzywano go na rozmowę z Churchillem. Zawodowy żołnierz czułby się trochę nieswojo, gdyby musiał przekazać złe nowiny głównemu zwierzchnikowi sił zbrojnych. Godliman nie był zdenerwowany - może tylko trochę niespokojny - ponieważ jako znany historyk o dość umiarkowanych poglądach politycznych nie obawiał się ludzi będących u steru władzy.

Zaczął rozmyślać o przygotowaniach, wysiłku, staraniach, pieniądzach i pracy ludzkiej, które były potrzebne przy skonstruowaniu makiety Pierwszej Grupy Armii Amerykańskiej, skoncentrowanej we Wschodniej Anglii. W jej skład wchodziło czterysta statków zbudowanych z dykty, na rusztowaniach unoszących się na beczkach po benzynie - statków, które zapełniały porty i ujścia rzek - i starannie wykonane makiety czołgów, dział, samochodów, wojskowych półciężarówek, a nawet ciężarówek z amunicją. Przypominał sobie listy od czytelników drukowane w lokalnych gazetach, w których skarżyli się na całkowity zanik norm moralnych na terenach, gdzie stacjonowali żołnierze amerykańscy. Sztuczne zbiorniki paliwa zaprojektowane przez najlepszego w Anglii architekta, zbudowane... z tektury i starych rur kanalizacyjnych przez rzemieślników zatrudnianych przy wznoszeniu dekoracji filmowych. Myślał o starannie preparowanych meldunkach przekazywanych do Hamburga przez niemieckich podwójnych agentów i o nieustającym nadawaniu mylnych informacji przeznaczonych do odbioru przez stacje nasłuchowe nieprzyjaciela. Osiągnęli tak wiele i wszelkie znaki świadczyły o tym, że Niemcy dali się nabrać. A teraz cały ten starannie opracowany plan dezinformacji wroga był zagrożony, ponieważ wpadł w ręce jednego człowieka - człowieka, którego Godlimanowi nie udało się złapać.

Szedł po chodniku Westminsteru, zmierzając w stronę domu pod numerem drugim na Great George Street. Uzbrojony wartownik, który stał obok ściany z worków z piaskiem, sprawdził jego przepustkę i pozwolił mu wejść.

Godliman minął korytarz i zaczął schodzić po schodach do podziemnej kwatery Churchilla. Odnosił wrażenie, że schodzi pod pokład okrętu wojennego. Zabezpieczona przed bombardowaniem grubym sufitem ze wzmocnionego betonu, siedziba głównego wodza zaopatrzona była w stalową przegrodę, a dach wspierał się na starych belkach. Kiedy Godliman wszedł do pomieszczenia, w którym wisały mapy, grupa młodych mężczyzn o poważnych twarzach wyłoniła się z sąsiedniej sali konferencyjnej. Jeden z doradców Churchilla pojawił się chwilę później i zauważył Godlimana.

- Jest pan bardzo punktualny - powiedział. - On czeka już na pana.

Godliman wszedł do małej przytulnej sali konferencyjnej. Podłoga przykryta była kolorowym

dywanem, a na ścianie wisiał portret króla. Elektryczny wentylator usuwał kłęby dymu unoszące się w pokoju. Churchill siedział u szczytu antycznego stołu, na którym stała figurka fauna. Godliman postanowił nie salutować.

- Niech pan siada, profesorze - odezwał się Churchill. Godliman nagle zorientował się, że Churchill wcale nie jest wielkim mężczyzną, tylko siedzi w taki sposób, że wydaje się być potężny; ze zgarbionymi plecami, łokciami wspartymi na poręczach fotela, pochyloną lekko głową i szeroko rozstawionymi nogami. Tym razem, zamiast słynnego obcisłego garnituru, nosił krótką czarną marynarkę, prążkowane szare spodnie, nieskazitelnie białą koszulę i niebieską muszkę. Pomimo krępej budowy i dużego brzucha, jego palce były szczupłe i delikatne. Miał twarz o różowej cerze dziecka. Palił wielkie cygaro i robił notatki na marginesie jakiegoś raportu, mruczając coś pod nosem. Od czasu do czasu sięgał po stojącą przed nim szklankę z whisky.

Godliman nie odczuwał nabożnego podziwu dla wielkiego polityka. Uważał, że w czasie pokoju Churchill okazał się niezbyt utalentowanym mężem stanu. Musiał jednak przyznać, że podczas wojny przejawiał wszystkie cechy wielkiego wodza, i za to go szanował.

Churchill podniósł wzrok znad papierów.

- Zdaje się, że nie ma już żadnych wątpliwości co do tego, że ten cholerny szpieg odkrył nasze zamiary? - zapytał bez żadnych wstępów.

- Zgadza się - powiedział Godliman ze smutkiem.

- Czy myśli pan, że uciekł z tymi informacjami?

- Ścigaliśmy go aż do Aberdeen. Mamy prawie całkowitą pewność, że opuścił miasto dwa dni temu w skradzionej łodzi, prawdopodobnie spiesząc na spotkanie z łodzią podwodną. Nie mógł jednak odpłynąć daleko, bo rozpuściła się burza. Mało prawdopodobne, żeby zdążył dobić na miejsce spotkania przed sztormem. Podejrzewamy, że utonął. Przykro mi, że nie możemy służyć dokładniejszymi danymi.

- Mnie również jest przykro - powiedział Churchill. Nagle wpadł we wściekłość, chociaż nie na Godlimana. Wstał i podszedł do dużego zegara, który wisiał na ścianie, i zaczął wpatrywać się jak zahipnotyzowany w napis: "Victoria RI, Ministry of Works, 1889". Mruczając coś pod nosem, chodził tam i z powrotem, wodząc ręką po blacie stołu. Strzępy zdań dochodziły do uszu Godlimana, wprawiając go w niejakie zdziwienie.

- Krępy osobnik, lekko przygarbiony, przemierzający pokój tam i z powrotem - mamrotał - całkowicie zatopiony w swych myślach i nie zauważający nic wokół... - Wyglądało to, jak gdyby Churchill powtarzał swoją rolę z filmowego scenariusza, który właśnie układał.

Widowisko skończyło się tak nagle, jak niespodziewanie się zaczęło. Jeśli Churchill był świadomy swojego ekscentrycznego zachowania, nie dał tego po sobie wcale poznać. Usiadł i podał Godlimanowi zapisaną kartkę papieru mówiąc: - Oto jest niemiecki *ordre de bataille* z ubiegłego tygodnia:

Front wschodni:	122 dywizje piechoty
	25 dywizji pancernych
	17 innych wielkich jednostek
Włochy i Balkany:	37 dywizji piechoty
	9 dywizji pancernych
	4 inne wielkie jednostki
Front zachodni:	64 dywizje piechoty
	12 dywizji pancernych

Rzesza:

12 innych wielkich jednostek

3 dywizje piechoty

1 dywizja pancerna

4 inne wielkie jednostki

- Z tych dwunastu dywizji pancernych na zachodzie - powiedział Churchill - tylko jedna przebywa obecnie w Normandii. Wielkie dywizje SS: "Das Reich" i "Adolf Hitler" stacjonują jedna w Tuluzie, a druga w Brukseli i nic nie wskazuje na to, aby się stamtąd ruszyły. O czym to świadczy, profesorze?

- O tym, że nasz plan dezinformacji nieprzyjaciela chyba się powiódł - odpowiedział Godliman.

- Całkowicie się powiódł! - krzyknął Churchill. - Są zupełnie zdezorientowani, a ich przypuszczenia co do naszych zamiarów są mylne. A jednak - przerwał, żeby efekt był większy - pomimo naszego sukcesu generał Walter Bedell Smith donosi, że... - Podniósł ze stołu kartkę papieru i przeczytał: - "Nasze szansę utrzymania przyczółka na plażach, szczególnie po wzmocnieniu niemieckiej obrony, są tylko połowiczne".

Położył cygaro i jego głos zabrzmiał dziwnie miękko.

- Stanie się to piątego czerwca, może szóstego lub siódmego. Przypływ jest odpowiedni... decyzja zapadła. Przygotowania wojsk na zachodzie kraju już rozpoczęte. Transporty posuwają się bocznymi drogami. Jest to rezultat ogromnego wysiłku przemysłu i sił militarnych całego świata anglosaskiego - największej cywilizacji od czasów Imperium Rzymskiego. Przez cztery lata zdobywaliśmy tę połowiczną szansę. Jeśli ten szpieg wróci do swoich, stracimy nawet i to.

Przez chwilę patrzył prosto w oczy Godlimana, potem wziął pióro delikatną białą dłonią.

- Niech pan nie przychodzi do mnie ze swoimi hipotezami, profesorze - powiedział. - Niech pan przyjdzie z trupem Die Nadla.

Spojrzał na swoje notatki i zaczął coś gryzmolić. Po chwili Percival Godliman wstał i cicho wyszedł z pokoju.

Rozdział 27

Tytoń papierosowy pali się w temperaturze ośmiuset stopni Celsjusza. Jednak sam koniec papierosa otacza cienka warstwa popiołu. Żeby papieros sparzył, trzeba przyciskać go do skóry przez dłuższą chwilę; przelotne dotknięcie pozostaje niezauważone. Odnosi się to również do oczu, tym bardziej że bronimy się automatycznie przymknięciem powiek. Tylko amatorzy rzucają zapalone papierosy. Zawodowcy (niewielu jest ludzi, którzy zawodowo trudnią się walką wręcz) ignorują takie odruchy.

Faber zignorował żarzący się papieros, który David Rose rzucił w jego stronę, i miał rację, bo papieros ześlizgnął się z jego czoła i upadł na metalową podłogę jeepa. Faber sięgnął po strzelbę Davida, lecz był to błąd. Trzeba było raczej wyciągnąć sztylet, bo chociaż David mógł pierwszy strzelić, to jeszcze nigdy w życiu nie mierzył z broni do człowieka, nie mówiąc już o zabijaniu. Faber powinien był przewidzieć, że David przed wystrzeleniem zawaha się i był to właśnie odpowiedni moment do zadania ciosu nożem.

Za błędy drogo się płaci.

David trzymał już strzelbę w obu dłoniach i zaczął ściągać ją z półki nad kierownicą, kiedy

Faber złapał jedną ręką za lufę. David szarpnął strzelbę, pociągnął ją w swoją stronę, ale Faber nie zwolnił uścisku i lufa skierowała się ku przedniej szybie.

Faber był silnym mężczyzną, ale David był prawdziwym atletą. Lata całe jego mocne plecy i muskularne ramiona utrzymywały ciężar całego ciała i pchały wózek inwalidzki. Miał jeszcze tę przewagę nad przeciwnikiem, że obie jego ręce trzymały strzelbę, podczas gdy Faber złapał ją tylko jedną ręką i to z bardzo niewygodnej pozycji. David pociągnął znowu, tym razem bardziej zdecydowanie, i lufa wysunęła się z uścisku Fabera.

David mierzył prosto w brzuch szpiega i kiedy szukał cyngla, Faber poczuł, że śmierć zagląda mu w oczy.

Skoczył do góry, wyrzucając całe ciało z siedzenia i uderzył głową o płócienny dach jeepa. Huk wystrzału ogłuszył ich obu. Boczna szyba rozprysła się na małe kawałki i deszcz zaczął wpadać przez pustą ramę. Faber rzucił się na Davida i wbił kciuki w jego gardło.

David spróbował wprowadzić strzelbę między ich walczące ciała i jeszcze raz wystrzelić, ale broń okazała się za duża. Faber spojrzał mu w oczy i zobaczył... co to było? Jakieś dziwne ożywienie! A więc w końcu doczekał się szansy walki za ojczyznę. Kiedy David zaczął się dusić z powodu braku tlenu, wyraz jego twarzy uległ zmianie. Wypuścił z rąk strzelbę i z całej siły uderzył Fabera w żebra.

Ból był niezwykle mocny i twarz Fabera wykrzywiła się w cierpieniu. Jednak nie zwolnił uchwytu. Wiedział, że łatwiej jest znieść silne ciosy w żebra niż brak tlenu.

David musiał dojść do tego samego wniosku. Z całej siły zaczął odpychać Fabera, a kiedy przestrzeń między nimi powiększyła się, próbował oderwać ściskające mu gardło ręce Fabera. Zaciśnął prawą pięść i zadał nią mocny, chociaż niewprawny cios, który wylądował na szczęce Fabera, wyciskając mu łzy z oczu.

Faber odpowiedział kilkoma uderzeniami całym ciałem, podczas gdy David nie przestawał bić go po twarzy. Przestrzeń między nimi była zbyt mała, aby mogli wyrządzić sobie nawzajem jakąś krzywdę, niemniej dało się zauważyć wyraźną przewagę Davida.

Faber zrozumiał, że David w sposób niezwykle przebiegły wybrał czas i miejsce do walki: działał z zaskoczenia, miał broń i ograniczoną przestrzeń, w której o wiele bardziej liczyły się jego mięśnie, niż zdrowe nogi i zręczność Fabera.

Faber uniósł się trochę, próbując biodrem przesunąć do przodu dźwignię zmiany biegów. Motor pracował przez cały czas, samochód ruszył i Faber stracił równowagę. David mógł teraz zastosować mocny lewy sierpowy, który, bardziej przez przypadek niż kalkulację, wylądował na twarzy Fabera i cisnął nim przez całą długość siedzenia. Faber uderzył głową o dach i opadł ramieniem na klamkę drzwi, które pod ciężarem ciała otworzyły się. Wywinął kozła i upadł twarzą w błoto.

Przez chwilę leżał nieruchomo, zbyt oszołomiony upadkiem, aby móc się poruszyć. Kiedy otworzył oczy, zobaczył niebieskie plamy na niewyraźnym czerwonym tle. Potrzęsął głową w rozpaczliwym wysiłku przywrócenia jasności obrazu i zaczął czołgać się na łokciach i kolanach. Usłyszał przybliżający się, to znów oddalający, warkot jeepa. Odwrócił się w stronę owego hałasu i kiedy odzyskał ostrość widzenia, zauważył pędzący w jego kierunku pojazd. Zrozumiał, że David postanowił go przejechać.

Kiedy zderzak niemal otarł się o jego twarz, Faber w ostatniej chwili rzucił się w bok. Poczuł ciepły podmuch powietrza. Kiedy jeep cofał się z warkotem, błotnik uderzył w wystającą stopę leżącego. Faber przeturlał się w wilgotnej trawie i próbował klęknąć na jedno kolano. Twarz jego pokrywała gruba warstwa błota. Czuł przenikliwy ból w stopie. Widział, jak jeep zakręca i znowu rusza prosto na niego. David pochylał się do przodu z rękami kurczowo zaciśniętymi na kierownicy,

zgarbiony i straszny z ustami wykrzywionymi w grymasie obłąkania. Wyglądał tak, jak gdyby wyobrażał sobie, że spada właśnie Spitfire'em na samolot nieprzyjaciela i ostrzeliwuje go swymi ośmioma karabinami maszynowymi.

Faber podpełzł do brzegu skały. Tymczasem jeep znowu nabierał szybkości. Faber wiedział, że nie może dalej biec. Spojrzał w dół i zobaczył skaliste, niemal prostopadłe urwisko, wysokie na jakieś sto stóp. W dole huczało morze. Jeep jechał tuż przy samej krawędzi nad przepaścią. Faber w panice zaczął szukać występu, na którym mógłby oprzeć stopę, ale nic takiego nie zauważył.

Jeep był już całkiem niedaleko, poruszając się z szybkością mniej więcej czterdziestu mil na godzinę. Przednie koła prawie dotykały krawędzi urwiska. Faber objął rękami skałę i zawisł nad przepaścią.

Samochód minął go o parę cali. Chwilę później jedno koło znalazło się nad urwiskiem i Faber myślał, że cały samochód wpadnie do morza, ale trzy pozostałe koła pracowały zawzięcie i samochód się cofnął.

Ziemia pod palcami Fabera poruszyła się. W dole fale uderzały o wystające zręby skał. Faber wysunął rękę, jak tylko mógł najdalej, i zanurzył palce w miękkiej ziemi. Potem wyciągnął drugie ramię i, podtrzymując ciężar ciała na obu rękach, podciągnął się do góry. Kosztowało go to wiele wysiłku, ale w końcu udało mu się przerzucić nogi i stanął bezpiecznie na twardym gruncie.

Tymczasem jeep zbliżał się ponownie i Faber zaczął biec w jego stronę. W nodze czuł przeszywający ból, ale wiedział, że kość nie jest złamana. David dodał gazu. Faber skręcił i zaczął biec, zmuszając Davida do kręcenia kierownicą i zmniejszenia prędkości.

Faber zdawał sobie sprawę, że siły jego są na wyczerpaniu i że za chwilę się podda. Ostatnim wysiłkiem woli przyspieszył jeszcze kroku, David jechał tuż za nim. Faber skręcił nagle, jeep wykonał zygzak i odległość znowu znacznie się zmniejszyła. Faber przyspieszył, nie biegł jednak prosto i zmuszał Davida do ciągłego skręcania. Jeep jechał coraz wolniej, a Faber był coraz bliżej. Kiedy dzieliła ich odległość zaledwie paru jardów, David zrozumiał, o co Faberowi chodziło. Zaczął gwałtownie kręcić kierownicą, ale było już za późno. Faber podbiegł do jeepa, odbił się od ziemi i wylądował na płóciennym dachu samochodu.

Leżał bez ruchu przez kilka sekund, próbując złapać oddech. Zraniona stopa piekła, jak gdyby przypalano ją ogniem, i wydawało mu się, że pękną mu płuca.

Jeep jechał wciąż naprzód. Faber wyciągnął sztylet z fałdy rękawa, wyciął dużą dziurę w dachu i zobaczył tył głowy Davida. David spojrzał w górę, za siebie; wyraz nieopisanego zdziwienia ukazał się na jego twarzy. Faber podniósł rękę, żeby zadać cios, lecz David nacisnął gaz i skręcił kierownicą. Jeep skoczył do przodu i uniósł się lekko na dwóch bocznych kołach, robiąc ostry zakręt. Faber złapał się kurczowo dachu, w obawie przed upadkiem. Jeep nabierał szybkości; opadł ciężko na cztery koła, a potem uniósł się znowu. Zachwiał się niepewnie, potem koła poślizgnęły się na mokrej ziemi i jeep upadł na bok z wielkim hukiem.

Wstrząs upadającego samochodu wyrzucił Fabera do przodu i powalił go na ziemię. Upadek spowodował, że stracił oddech i nie mógł się poruszyć przez kilka sekund.

Samochód znalazł się niebezpiecznie blisko krawędzi urwiska. Faber zauważył, że jego nóż leży niedaleko w trawie. Podniósł go szybko i spojrzał na jeepa. Davidowi udało się jakoś wydostać z samochodu przez rozdarty dach. Siedział na swoim wózku i przesuwiał się po skalistym urwisku. Faber musiał przyznać, że jego przeciwnik jest bardzo odważny.

Nic jednak nie zdoła uratować go od śmierci.

Faber zerwał się i pobiegł za nim. David widocznie usłyszał odgłos kroków, bo zanim Faber zdążył go złapać, wózek zatrzymał się nagle i odwrócił, a Faber zobaczył ciężki klucz w ręku

David.

Faber rzucił się na wózek przewracając go. Zdażył jeszcze pomyśleć, że prawdopodobnie obaj wylądują w morzu, kiedy David z całej siły uderzył go kluczem w tył głowy. Faber stracił przytomność.

Kiedy wreszcie wrócił do siebie, wózek inwalidzki leżał obok niego, ale Davida nie było. Wstał i zaczął się rozglądać, zupełnie nie wiedząc, co o tym myśleć.

- Tutaj jestem - usłyszał głos nadbiegający od strony skał. David musiał wypaść ze swego fotela tak daleko, że poślizgnął się na gładkiej skale i zawisł nad przepaścią. Faber podpełził do krawędzi i spojrzał w dół.

David jedną ręką trzymał się kurczowo gałęzi krzaka, który wyrastał tuż pod skałą, drugą rękę wcisnął w małą szczelinę. Jego położenie było beznadziejne, brawura i odwaga opuściły go, a z oczu wyzierała prawdziwa groza.

- Na litość boską, podciągnij mnie! - zawołał ochryple.

Faber pochylił się nad urwiskiem.

- Skąd wiedziałeś o zdjęciach? - zapytał.

- Pomóż mi, proszę!

- Odpowiedz na moje pytanie.

- O Boże. - David zmusił się do zebrania myśli. - Kiedy wyszedłeś na chwilę na podwórze Toma, zostawiłeś mokrą kurtkę nad ogniem w kuchni. Tom poszedł na górę, żeby przynieść nową whisky, a ja przeszukałem wszystkie kieszenie. Znalazłem negatywy.

- I dlatego chciałeś mnie zabić? - zapytał Faber udając zdziwienie.

- Był jeszcze jeden powód. Żaden Anglik nie uwiódłby żony człowieka, u którego znalazł gościnę.

Faber nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- A gdzie są teraz te negatywy? - zapytał.

- W mojej kieszeni.

- Oddaj mi je, a ja pomogę ci się stamtąd wydostać.

- Musisz sam je wziąć, nie mam wolnej ręki.

Faber położył się płasko na brzuchu i sięgnął pod pelerynę Davida, gdzie w kieszeni jego kurtki znajdowały się negatywy. Odetchnął z ulgą, kiedy wyczuł pod palcami mały pojemnik zawierający bezcenny film. Złapał go mocno i wyciągnął. Sprawdził, czy nie brakuje żadnego zdjęcia. Kiedy się przekonał, że wszystko jest w porządku, schował pojemnik w kieszeni kurtki i pochylił się znowu nad Davidem.

Schwycił obu rękami krzak, którego trzymał się David, i jednym silnym ruchem wyrwał go z korzeniami.

- Nie! - wrzasnął David.

Jego wolna ręka zaczęła rozpaczliwie szukać oparcia, podczas gdy druga zaczęła się wysuwać ze szczeliny skały.

- To nie jest fair! - krzyknął i jego ręka całkiem straciła oparcie w zagłębieniu.

Wydawało się, że zawisł przez chwilę w powietrzu, a potem zaczął spadać, coraz szybciej i szybciej, dwa razy obijając się o wystające skały, aż wreszcie z głośnym pluskiem uderzył o powierzchnię morza.

Faber patrzył przez chwilę w dół, chcąc sprawdzić, czy David nie wypłynie na powierzchnię.

- To nie jest fair - zamruczał do siebie. - W czasie wojny wszystkie chwytty są dozwolone.

Przez kilka minut obserwował morze. W pewnej chwili wydało mu się, że dostrzegł żółtą

pelerynę unoszącą się na powierzchni, ale po chwili nic nie było widać. Tylko morze i skały.

Nagle poczuł się strasznie zmęczony. Odniesione rany i potłuczenia dawały o sobie znać wzmagającym się bólem. David Rose był szaleńcem, zarozumialcem, oszukanym mężem i umarł błagając o litość. Jego odwaga zasługiwała jednak na szacunek, i w końcu zginął za ojczyznę, tak jak zawsze o tym marzył.

Faber zaczął się zastanawiać, czy jego własna śmierć będzie równie piękna.

W końcu wycofał się znad krawędzi urwiska i podszedł do przewróconego samochodu.

Rozdział 28

Po wizycie u Churchilla Percival Godliman poczuł nagły przyptyw energii i zapału.

Kiedy się nad tym głębiej zastanowił, ogarnęło go lekkie zażenowanie. Takie błazenady powinny robić wrażenie na szarej masie społeczeństwa, ale intelektualiści na ogół zachowują pewien dystans wobec natchnionych przemówień. Zdawał sobie sprawę, że popis wielkiego polityka został dokładnie przygotowany, wszystkie crescendo i diminuenda z góry ustalone, niczym w symfonii. Niemniej wywarło to na nim pewne wrażenie. Czuł się jak kapitan szkolnej drużyny krykieta, który przed rozpoczęciem rozgrywek słucha jeszcze ostatnich wskazówek udzielanych mu przez trenera.

Wrócił do biura przepelniony pragnieniem natychmiastowego działania. Ustawił parasol w stojaku i powiesił na wieszaku przemoczony płaszcz. Zbliżył się do lustra wbudowanego w szafę i przyjrzał się swojemu odbiciu. Nie ulegało wątpliwości, że odkąd rozpoczął pracę w wywiadzie, jego wygląd uległ znacznej zmianie. Kiedyś robiąc porządki natknął się na swoje zdjęcie z roku 1937, na którym jako młody student stał w grupie kolegów z Oxfordu. Właściwie wyglądał wtedy znacznie gorzej niż teraz: blady, źle ogolony, z rzadkimi włosami, ubrany w niedopasowany garnitur, w którym wyglądał jak emeryt. Rzadkie włosy prawie wypadły, niemniej z łysiną było mu bardziej do twarzy. Ubierał się jak biznesmen, a nie naukowiec. Wydawało mu się, choć mogło to być tylko wytworem jego wyobraźni, że stał się znacznie bardziej pewny siebie, golił się staranniej, a oczy błyszczały mu młodzieńczym ożywieniem.

Usiadł za biurkiem i zapalił papierosa. Wiedział, że papierosy szkodzą jego zdrowiu, powodując kaszel, nie potrafił jednak zerwać z nałogiem. Zresztą w czasie wojny wiele ludzi zaczęło palić. Dym podrażniał gardło, wywołując atak kaszlu. Włożył papierosa do puszki po konserwach, która zastępowała mu popielniczkę (naczynia gliniane były wówczas nie do kupienia).

Wizyta u Churchilla stała się bodźcem do dalszego działania, nie przyniosła jednak żadnych praktycznych wskazówek, w jaki sposób Godliman powinien się do tego zabrać. Przypomniał sobie rozprawę naukową, którą napisał kiedyś na uniwersytecie. Tematem tej pracy były podróże pewnego tajemniczego mnicha, który żył w średniowieczu. Godliman podjął się wtedy niezwykle trudnego zadania odtworzenia trasy wszystkich wędrówek mnicha w okresie pięciu lat jego tułaczki. W trakcie tych studiów natrafił na pewną trudność, polegającą na tym, że nie potrafił sprecyzować miejsca pobytu mnicha w ciągu ośmiu miesięcy, kiedy nie wiadomo było, czy przebywał on w Paryżu, czy też w Canterbury. Źródła, na których się opierał, nie zawierały po prostu tej informacji i Godliman zaczął już wątpić w sens podjętej pracy. Młodzieńczy zapał kazał mu jednak wierzyć w możliwość znalezienia odpowiedzi na tę nie wyjaśnioną kwestię. Przypuszczał, że jeśli mnicha nie było w owym czasie zarówno w Paryżu, jak i w Canterbury, musiał wobec tego podróżować między tymi miastami. Zaczął więc wertować stare księgi w muzeum morskim w Amsterdamie, gdzie wyczytał, że mnich wsiadł na statek zmierzający do Dover, który jednak rozbił się po drodze o skały u wybrzeży Irlandii.

Dzięki temu odkryciu Godliman został profesorem.

Postanowił przeprowadzić podobny tok rozumowania, próbując ustalić, co mogło się stać z Faberem.

Uważał, że wszystkie fakty przemawiają za tym, że Faber utonął. Jeśli natomiast udało mu się przeżyć sztorm, był już prawdopodobnie w Niemczech. Dalsze poszukiwania szpiega miały sens jedynie wtedy, gdyby żywy Faber dopłynął do jakiegoś brzegu w Wielkiej Brytanii.

Godliman wyszedł z pokoju i udał się do sali położonej piętro niżej, gdzie na ścianach wisiały różne mapy. Przed mapą Europy stał z papierosem zamyślony pułkownik Terry. Godliman uświadomił sobie nagle, że widok mężczyzn z maniackalnym uporem wpatrujących się w mapy i przeprowadzających swoje własne kalkulacje co do ostatecznego rezultatu tej wojny, nie należał do rzadkości w owych czasach.

Terry zauważył kuzyna i zapytał: - Jak ci poszło z naszym wodzem?

- Pił whisky - odparł Godliman.

- Pije ją cały dzień, ale nigdy tego po nim nie widać - stwierdził Terry. - Co ci powiedział?

- Czekaj na głowę Fabera. - Godliman podszedł do mapy Wielkiej Brytanii i wskazał palcem Aberdeen. - Gdybyś wysłał łódź podwodną, żeby zabrała uciekającego z kraju szpiega, jaką odległość od brzegu uważałbyś za bezpieczną?

Terry stanął obok niego i spojrzał na mapę.

- Nie bliżej niż trzy mile - powiedział. - Wolałbym jednak zatrzymać się dziesięć mil od brzegu.

- No właśnie. - Godliman narysował ołówkiem na mapie równoległe linie oznaczające obie te odległości. - A gdybyś był niedoświadczonym żeglarzem, który wyruszył z Aberdeen w małej łodzi rybackiej, jak daleko wypłynąłbyś w morze? - pytał dalej.

- Chodzi ci o odległość, którą może pokonać łódka?

- Właśnie.

Terry wzruszył ramionami.

- Zapytaj marynarzy. Wydaje mi się, że jakieś piętnaście do dwudziestu mil - odparł po chwili namysłu.

- Zgadza się z tobą całkowicie. - Godliman zakreślił półkole wokół miasta Aberdeen. - Jeżeli Faber żyje - podjął - ukrywa się teraz w Szkocji albo gdzieś na tym obszarze. - Pokazał przestrzeń między równoległymi liniami i w środku półkola.

- Ale nie ma tam przecież żadnego lądu!

- Czy nie mamy jakiejś większej mapy?

Terry wyciągnął szufladę i wyjął z niej dokładną mapę Szkocji. Godliman zakreślił na niej te same linie, które przedtem zaznaczył na poprzedniej mapie.

- Spójrz! - krzyknął Godliman. W odległości jakichś dziesięciu mil na wschód od Aberdeen zauważyli długą wąską wyspę. Terry pochylił się nad mapą.

- Wyspa Wiatrów - przeczytał. Godliman strzelił palcami.

- Założę się, że on właśnie tam jest.

- Czy możesz posłać kogoś na tę wyspę?

- Tak, kiedy skończy się sztorm. Zresztą Bloggs jest w tamtych okolicach. Każę przygotować dla niego samolot. Polecą na wyspę, gdy tylko pogoda się poprawi. - Poszedł w stronę drzwi.

- Powodzenia! - zawołał za nim Terry.

Godliman wbiegł po schodach na następne piętro i wszedł do swego biura. Podniósł słuchawkę i powiedział: - Proszę mnie natychmiast połączyć z panem Bloggsem w Aberdeen.

Dla zabicia czasu zaczął rysować wyspę na kawałku bibuły. Kształtem przypominała górną

połowę łaski z rączką wykrzywioną w kierunku północnym. Mogła mieć około pięćdziesięciu mil długości i pewnie milę szerokości. Zastanawiał się, czy stanowiła skupisko wyrastających z mórz skał, czy też żyzne tereny z licznymi farmami. Jeśli Faber znalazł się na tej wyspie, mógł nawiązać łączność radiową z czekającą na niego łodzią podwodną; Bloggs musi koniecznie dotrzeć do wyspy, zanim wynurzy się łódź. Nie było to jednak łatwe.

- Pan Bloggs na linii - powiedziała telefonistka.

- Fred?

- Cześć, Percy.

- Wydaje mi się, że on jest na wyspie, którą nazywają Wyspą Wiatrów.

- Mylisz się - powiedział Bloggs. - Przed chwilą aresztowaliśmy go.

Sztylet był długi na dziewięć cali, miał artystycznie wygrawerowaną rękojeść i lekko zakrzywione ostrze. Bloggs i inspektor Kincaid wpatrywali się w niego w milczeniu, bojąc się dotknąć narzędzia tyłu zbrodni.

- Próbował złapać autobus do Edynburga - powiedział inspektor Kincaid. - Jeden z moich ludzi zauważył go przy kasie biletowej i poprosił o dokumenty. Rzucił wtedy w popłochu walizkę i zaczął uciekać. Konduktorka z autobusu uderzyła go w głowę maszyną do kasowania biletów.

- Chciałbym go zobaczyć - powiedział Bloggs. Zeszli korytarzem do miejsca, gdzie mieściły się cele.

- To tutaj - poinformował Kincaid.

Bloggs spojrział do środka przez mały otwór w drzwiach. Mężczyzna siedział na wysokim stołku, opierając się plecami o ścianę w najdalszym kącie celi. Skrzyżował nogi, przymknął oczy i ręce trzymał w kieszeniach.

- Wygląda na to, że już przedtem siedział w więzieniu - zauważył Bloggs. Mężczyzna był wysoki, o pociągłej, przystojnej twarzy i ciemnych włosach. Bloggs nie był jednak całkiem pewny, czy to rzeczywiście człowiek ze zdjęcia.

- Chce pan wejść? - zapytał Kincaid.

- Za chwilę. Co znaleźliście w jego walizce poza sztyletem?

- Typowe narzędzia włamywacza. Dużą ilość pieniędzy w małych banknotach. Pistolet i trochę naboji. Czarne ubranie i buty na gumowej podeszwie. Dużo paczek papierosów.

- Żadnych zdjęć?

Kincaid potrząsnął przecząco głową.

- Cholera! - zaklął Bloggs.

- Z dokumentów, jakie znaleźliśmy przy nim, wynika, że nazywa się Peter Fredericks i mieszka w Wembley, w Middlesex. Twierdzi, że jest bezrobotnym monterem i szuka teraz pracy.

- Monterem?! - wykrzyknął Bloggs sceptycznie. - Przez ostatnie cztery lata ludzie tego zawodu nie mieli żadnych kłopotów ze znalezieniem pracy. Myślę, że szpieg dobrze by o tym wiedział. Chociaż...

- Czy mam zacząć przesłuchiwać go, czy pan to zrobi? - zapytał Kincaid.

- Niech pan zaczyna.

Kincaid otworzył drzwi i obaj weszli do celi. Mężczyzna, siedzący w kącie, spojrział na nich obojętnie.

- Jakie jest twoje prawdziwe nazwisko? - zaczął Kincaid.

- Peter Fredericks.

- Dlaczego znalazłeś się tak daleko od domu?

- Szukałem pracy.

- Dlaczego nie jesteś w wojsku?
- Mam słabe serce.
- Gdzie byłeś w ciągu ostatnich paru dni?
- W Aberdeen. Przedtem w Dundee i Perth.
- Kiedy przyjechałeś do Aberdeen?
- Przedwczoraj.

Kincaid spojrział na Bloggsa, który skinął głową.

- Twoja historyjka nie trzyma się kupy - powiedział Kincaid. - Monterzy nie muszą szukać pracy, ponieważ kraj ciągle ich potrzebuje. Powiedz lepiej prawdę.

- Ale ja mówię prawdę.

Bloggs wyciągnął monety z kieszeni i zawinął je w chusteczkę do nosa. Stał nie odzywając się ani słowem, patrzył na więźnia i coraz szybciej machał chusteczką w powietrzu.

- Gdzie są zdjęcia? - pytał Kincaid.

Wyraz twarzy mężczyzny nie uległ żadnej zmianie.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi - powiedział. Kincaid wzruszył ramionami i spojrział na Bloggsa.

- Wstawaj! - wrzasnął Bloggs.

- Słucham? - zapytał z niedowierzaniem mężczyzna.

- Wstawaj! - powtórzył Bloggs z wściekłością w głosie.

Mężczyzna wstał od niechcienia.

- Chodź tutaj!

Zrobił dwa kroki w stronę stołu.

- Nazwisko?

- Peter Fredericks.

Bloggs wychylił się i z całej siły uderzył mężczyznę chusteczką z monetami. Cios trafił go prosto w nos i więzień krzyknął z bólu. Obronnym gestem zasłonił twarz rękami.

- Stać prosto! - wrzeszczał Bloggs. - Nazwisko? Mężczyzna wyprężył się opuszczając ręce i wyszeptał:

- Peter Fredericks.

Bloggs powtórzył cios dokładnie w to samo miejsce. Tym razem mężczyzna ukląkł na jedno kolano, a w jego oczach pojawiły się łzy.

- Gdzie są zdjęcia? - pytał Bloggs.

Mężczyzna kręcił głową przecząco. Bloggs chwycił go mocno, postawił na ziemi i zaczął walić kolanem w brzuch.

- Co zrobiłeś z negatywami?! - wrzeszczał. Mężczyzna upadł na podłogę i zwymiotował. Bloggs zaczął zawzięcie kopać jego twarz. Usłyszeli chrzęst kości, jak gdyby coś pękło.

- Gdzie masz spotkanie z łodzią podwodną? Gadaj, w którym miejscu?

Kincaid zbliżył się i pociągnął Bloggsa z tyłu za kurtkę.

- Bloggs, niech się pan uspokoi. To jest mój posterunek i nie mogę już dłużej przymykać oczu na takie metody. Bloggs odwrócił się.

- To nie jest zwykły włamywacz, Kincaid. Ten człowiek mógł udaremnić cały nasz wysiłek prowadzący do wygrania tej wojny. - Zaczął grozić palcem przed samym nosem inspektora. - Zapamiętajcie sobie, że ja jestem z MI5 i będę robił, co mi się żywnie podoba, chociaż to pana posterunek. Jeśli więzień umrze, ja będę za to odpowiedzialny. - Odwrócił się w stronę leżącego na ziemi mężczyzny. Umazana krwią twarz więźnia wyrażała najwyższe zdziwienie.

- O czym wy mówicie? - zapytał słabo. - Co to wszystko znaczy?

Bloggs podniósł go znowu z ziemi.

- Jesteś Heinrichem Rudolphem Hansem von Mueller-Guder! - wrzeszczał. - Urodzonym w Oln 26 maja 1900 roku, znanym także jako Henry Faber, podpułkownik niemieckiego wywiadu. W ciągu najbliższych sześciu miesięcy powiesimy cię pod zarzutem szpiegostwa, chyba że okażesz się bardziej pożyteczny jako żywy niż martwy. I co ty na to, pułkowniku Mueller-Guder?

- Nie! - krzyknął przerażony mężczyzna. - Nie, nie. Jestem złodziejem, a nie szpiegiem. Błagam.. - Zasłonił twarz na widok podniesionej pięści Bloggsa. - Mogę to udowodnić.

Bloggs uderzył go i Kincaid doszedł do wniosku, że powinien zainterweniować po raz wtóry.

- Chwileczkę - powiedział - wobec tego, Fredericks, jeśli rzeczywiście tak się nazywasz, udowodnij nam, że jesteś złodziejem.

- W ciągu ostatniego tygodnia obrabowałem trzy domy w dzielnicy Jubilee Crescent - wyjąkał mężczyzna. - Z jednego zabrałem pięćset funtów, a z drugiego biżuterię, diamentowe pierścionki i naszyjnik z pereł. Nie udało mi się nic ukraść z trzeciego domu, bo był tam pies... Jak Boga kocham, mówię prawdę. Musieli zresztą już zgłosić te włamania.

Kincaid spojrzał na Bloggsa.

- Rzeczywiście, kradzieże, o których mówi, miały miejsce - powiedział.

- Mógł o nich przeczytać w gazetach.

- O trzeciej nigdzie nie było żadnej wzmianki.

- Szpiedzy też kradną. Jedno nie przeszkadza drugiemu - nie dawał za wygraną Bloggs.

- Ale przecież ten pana Faber był w Londynie w ciągu tego tygodnia.

Ostatni argument przekonał w końcu Bloggsa. Zamilkł na chwilę, zaklął cicho pod nosem i odsunął się trochę od leżącego mężczyzny.

- Kto to jest, ten krwawy gestapowiec? - zapytał Kincaida zmaltretowany Peter Fredericks.

- Dziękuj Bogu, że nie jesteś człowiekiem, którego on szuka - odpowiedział Kincaid, patrząc na niego ze współczuciem.

- Słucham. - Godliman mówił przez telefon.

- Fałszywy alarm. - Głos Bloggsa brzmiał niewyraźnie i był jakiś zmieniony. - Okazał się zwyczajnym włamywaczem, uzbrojonym w sztylet i przypominającym Fabera.

- A więc wróciliśmy do punktu wyjścia - westchnął Godliman. - Niech to szlag trafi.

- Mówiłeś coś o jakiejś wyspie - dowiadywał się Bloggs.

- Tak. Wspominałem Wyspę Wiatrów, położoną jakieś dziesięć mil od wybrzeża na wschód od Aberdeen. Znajdziesz ją tylko na bardzo dokładnej mapie.

- Skąd ta pewność, że on tam jest?

- Nie ma żadnej pewności. Musimy wciąż brać pod uwagę inne możliwości, inne miasta, wybrzeże i tak dalej. Ale jeśli ukradł łódź, no tę...

- "Marie II" - podpowiedział Bloggs.

- No właśnie. Jeśli ją ukradł, spotkanie z łodzią podwodną zostało prawdopodobnie zaplanowane w okolicach tej wyspy. Jeśli tak rzeczywiście było, to Faber albo utonął, albo wylądował na tej wyspie.

- To brzmi logicznie.

- Jaka tam u was teraz pogoda?

- Bez większych zmian.

- Czy udałoby się dopłynąć do wyspy dużą jednostką?

- Myślę, że dużym okrętem można wypłynąć w każdych warunkach - burknął Bloggs. - Ale czy

uda nam się przybić do brzegu tej wyspy, tego nie wiem.

- W każdym razie sprawdźcie. Myślę, że jednak masz rację. Słuchaj teraz uważnie. Niedaleko Edynburga mieści się baza myśliwców RAF-u. Jedź tam natychmiast, a ja każę przygotować dla ciebie specjalny samolot. Gdy tylko ucichnie sztorm, wsiądziesz na jego pokład i polecisz na wyspę. Ludzie z tamtejszej Straży Przybrzeżnej niech będą również gotowi do wyruszenia w każdej chwili, może uda im się dotrzeć do wyspy jeszcze przed tobą.

- Hm. - Głos Bloggsa zabrzmiał trochę sceptycznie. - Jeżeli łódź podwodna tak jak i my czeka na koniec sztormu, będzie pierwsza na wyspie.

- Masz rację. - Godliman w zdenerwowaniu zapalił papierosa. - Wobec tego poproszę marynarke wojenną, żeby zataczali korwetą koła wokół wyspy i wyłapywali sygnały, które Faber może nadawać. Kiedy pogoda się poprawi, powinni wysłać łódź na wyspę. Myślę, że to najlepsze rozwiązanie.

- A co sądzisz o wysłaniu paru samolotów myśliwskich?

- Zgadza się, ale one również muszą poczekać na zmianę pogody.

- Myślę, że ten sztorm nie może już długo trwać.

- A co na ten temat mówią prognozy meteorologiczne w Szkocji?

- Że sztorm będzie trwał jeszcze co najmniej dzień.

- A niech to diabli.

- Nie ma to jednak większego znaczenia. Jak długo trwa sztorm, on też nie może się stamtąd ruszyć.

- Jeśli rzeczywiście tam jest.

- Masz rację.

- Dobrze więc - powiedział Godliman - wyślemy korwetę, ludzi ze Straży Przybrzeżnej, kilka myśliwców i twój samolot. Najlepiej zrobisz, jeśli natychmiast wyruszysz. Zatelefonuj z Rosyth. I uważaj na siebie.

- Cześć.

Godliman odłożył słuchawkę. Jego papieros, o którym zapomniał, zamienił się w popielniczkę w mały niedopałek. Zapalił następnego, a potem znowu podniósł słuchawkę, aby ogłosić rozpoczęcie akcji.

Rozdział 29

Przewrócony jeep leżał zanurzony w błocie, przypominając bezradne ranne zwierzę. Faber wyczerpał wszystkie siły i postawił pojazd na czterech kołach. O dziwo, samochód nie ucierpiał zbyt wiele podczas walki. Płócienny dach przestał właściwie istnieć i strzępy materiału powiewały na wietrze. Jeden z błotników był całkowicie zgnieciony, a reflektor po tej samej stronie zbity. Strzał Davida wybił szybę w lewym oknie, ale przednia szyba cudem ocalała.

Faber wszedł do środka, przesunął dźwignię biegów na luz i spróbował uruchomić silnik. Motor na chwilę zawarczał i umilkł. Faber spróbował jeszcze raz i silnik zapalił. Odetchnął z ulgą: przy obecnym zmęczeniu perspektywa długiego spaceru wcale mu się nie uśmiechała.

Siedział przez chwilę w samochodzie, oglądając obrażenia na ciele. Prawa kostka spuchła niebezpiecznie, podejrzewał, że kość jest złamana. Dziękował Bogu, że jeep został przystosowany do prowadzenia przez człowieka bez nóg, nie potrafiłby bowiem przyciskać bolącą nogą pedału hamulca. Wydawało mu się, że guz z tyłu głowy przybrał rozmiary piłki do golfa, a kiedy dotknął

dłonią bolącego miejsca, zobaczył na palcach zakrzepłą krew. Obejrzał twarz w lusterku nad kierownicą. Wyglądał jak zwyciężony bokser po ostatniej rundzie.

Zostawił pelerynę na farmie Toma. Jego kurtka i spodnie przesiąknięte były deszczem i zabłocone. Czuł, że powinien jak najszybciej zrzucić z siebie zimne ubranie.

Chwycił kierownicę i przejmujący ból przeszył mu ciało. Zapomniał o wyrwanym paznokciu. Było to jedno z najbardziej dotkliwych obrażeń. Postanowił prowadzić jedną ręką.

Zaczął jechać powoli, próbując wyczuć pod kołami drogę. Nie obawiał się, że się zgubi na tej wypisie; żeby wrócić do farmy Lucy, wystarczyło jechać wzdłuż skał nad plażą.

Wiedział, że musi wymyślić jakieś kłamstwo, które wytłumaczyłoby Lucy nieobecność Davida. Mógł oczywiście powiedzieć jej całą prawdę, bo co w końcu może mu zrobić samotna kobieta. Ale nigdy nie wiadomo, w jaki sposób zareagowałaby na taką wiadomość, a wolałby jej nie zabijać. Nie mógł sobie wyobrazić śmierci Lucy. Posuwając się powoli wzdłuż wierzchołka skał wśród zawodzącego wiatru i walącego w szybę deszczu, Faber nie mógł się nadziwić, że potrafi czuć jednak jakieś skrupuły tak zawsze obce jego naturze. Po raz pierwszy w życiu poczuł wstręt do zabijania. Zawsze uważał, że zabójstwa, do których zmusiła go wojna, nie były większym grzechem niż śmierć zadawana nieprzyjacielowi na polu walki.

Dlaczego jednak nie chciał zabić Lucy?

Było to uczucie podobne do tego, które kazało mu wysłać do Luftwaffe mylne dane określające położenie katedry Św. Pawła w Londynie. Jego natura zmuszała go do chronienia przed zagładą rzeczy pięknych. Lucy była niezwykłą kobietą, pełną subtelnej wdzięku, niczym najpiękniejsze dzieło sztuki. Faber mógł być zabójcą, ale nigdy ikonoklastą. Był to trochę dziwny sposób rozumowania, no, ale szpiegów nie byli przecież zwykłymi ludźmi.

Przypominał sobie kilku agentów, którzy zaczęli pracę w Abwehrze w tym samym, co on, czasie; nordycki olbrzym Otto, który robił delikatne rzeźby w stylu japońskim i nienawidził kobiet; Friedrich - sprytny, genialny matematyk, który jedną przegraną rozgrywkę szachową przeżywał bardzo głęboko przez następne pięć dni; Helmut, który przepadał za książkami poruszającymi problem niewolnictwa w Ameryce i który bardzo szybko wstąpił do SS... Każdy z nich był inny i trochę dziwny.

Jeep jechał coraz wolniej; w gęstniejącej mgłę Faber z trudem odnajdował drogę do farmy Lucy. Nie widział już krawędzi skał po lewej stronie i bał się, że za chwilę zleci z urwiska prosto w morze.

Było mu bardzo gorąco, chociaż ciałem nieustannie wstrząsały dreszcze. W pewnej chwili uświadomił sobie, że mówi głośno o Ottonie, Friedrichu i Helmucie, zrozumiał, że powoli traci przytomność. Spróbował odpędzić wspomnienia z przeszłości i skoncentrować się tylko na prowadzeniu samochodu. Czuł się jakby zahipnotyzowany monotonnym wyciem wiatru. Po chwili ocknął się w jeepie stojącym nad przepaścią, wpatrując się w dalekie morze.

Wydało mu się, że minęła cała wieczność, zanim zobaczył dom Lucy. Skierował w jego stronę samochód myśląc: "Muszę pamiętać, żeby nacisnąć hamulec, zanim wjadę w mur". Przed drzwiami stała kobieta i patrzyła na niego przez ścianę deszczu. Nie wolno mu stracić przytomności, zanim nie wymyśli jakiegoś kłamstwa. Musi pamiętać, musi pamiętać...

Zapadł już zmrok, kiedy jeep pojawił się na drodze. Całe popołudnie Lucy niepokoiła się, nie mogąc zrozumieć, co się stało z Davidem i Henrym; czuła też do nich żal, że nie wrócili na lunch, który przygotowała. Gdy się ściemniło, coraz częściej wyglądała przez okno.

Kiedy jeep pojawił się w końcu na zboczu łagodnego wzgórza przed domem, Lucy zrozumiała, że coś musiało się stać. Samochód jechał bardzo powoli, niepewnie pokonując przestrzeń, a w

środku siedział tylko jeden człowiek. Jeep zbliżył się i zobaczyła zgnieciony błotnik i zbity reflektor.

- O Boże - jęknęła.

Samochód zatrzymał się przed domem, i mężczyzną, który siedział za kierownicą, okazał się Henry. Nie wykonał żadnego ruchu, żeby wysiąść. Lucy podbiegła do samochodu i otworzyła drzwi od strony kierowcy.

Henry siedział z głową przechyloną do tyłu i przymkniętymi powiekami. Rękę trzymał na hamulcu. Na jego twarzy widać było liczne zadrapania i sińce.

- Co się stało?! - krzyknęła przerażona Lucy. Ręka Henry'ego ześlizgnęła się z hamulca i jeep zaczął toczyć się do przodu. Lucy pochyliła się nad Faberem i wyłączyła bieg.

- Zostawiłem Davida w domu Toma... - zaczął mamrotać Henry - miałem wypadek po drodze...
- mówił z wielkim wysiłkiem.

Zdenerwowanie Lucy minęło, gdy dowiedziała się o przyczynie spóźnienia.

- Chodź do domu - powiedziała spokojnie i zdecydowanie. Henry usiłował wysiąść z samochodu, ale nie był w stanie utrzymać równowagi i upadł na ziemię. Lucy zauważyła, że jedna kostka spuchła mu jak balon. Objęła go i spróbowała podnieść.

- Staraj się iść na zdrowej stopie i oprzyj się na mnie - powiedziała.

Jo patrzył szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami na matkę, pomagającą Henry'emu położyć się na kanapie w bawialni.

- Jo, idź zaraz na górę i włóż piżamę - rozkazała Lucy.

- Ale nie opowiedziałas mi jeszcze bajki - poskarżył się chłopiec. - Czy on umarł?

- Nie umarł, tylko miał wypadek samochodowy i dzisiaj nie opowiem ci żadnej bajki. Idź do łóżka.

Jo zaczął marudzić i Lucy spojrzała na niego surowo. Widząc jej karcący wzrok, posłusznie wyszedł z pokoju.

Lucy wyjęła duże nożycy z koszyka z szyciem i rozcięła mokre ubranie Henry'ego; najpierw kurtkę, potem spodnie i na końcu koszulę. Zdziwiła się bardzo na widok noża przywiązanego rzemieniem do lewego ramienia. Domyśliła się, że Henry musiał używać tego narzędzia do oprawiania ryb. Kiedy spróbowała wyciągnąć sztylet. Henry odepchnął jej rękę. Wzruszyła ramionami i zabrała się do zdejmowania butów. Nie było kłopotu ze zdjęciem lewego buta, ale kiedy dotknęła bolącej nogi, Henry zawył z bólu.

- Muszę go zdjąć - powiedziała. - Jeszcze trochę cierpliwości.

Spróbował się uśmiechnąć i skinął głową na znak zgody. Przecięła sznurowadła i uwolniła skręconą kostkę z twardego buta i skarpetki. Jo pojawił się na schodach i zawołał bardzo rozbawiony:

- Mamo, on jest w samych majtkach!

- Bo jego ubranie jest mokre. - Pocałowała chłopca na dobranoc. - Idź już spać, kochanie. Przyjdę do ciebie później.

- Pocałuj więc misia.

- Dobranoc, misiu - powiedziała Lucy i Jo wyszedł. Spojrzała na Henry'ego i zobaczyła, że jego oczy śmieją się do niej.

- Pocałuj też Henry'ego - powiedział.

Pochyliła się nad nim i pocałowała jego pokiereszowaną twarz.

Ciepło dochodzące z kominka powinno szybko rozgrzać jego nagie ciało. Poszła do kuchni po ciepłą wodę, bandażę i środki dezynfekcyjne. Potem wróciła do bawialni, żeby przemyć rany.

- Już drugi raz wchodzisz do tego domu w takim stanie - zauważyła zabierając się do roboty.

- Ten sam sygnał - powiedział Henry.
- Co mówisz? - Spojrzała na niego ze zdziwieniem.
- Czekacie w Calais na armię duchów.
- Henry, o czym ty mówisz?
- W każdy piątek i poniedziałek. Zrozumiała, że bredzi w malignie.
- Nic nie mów - poprosiła. Uniosła delikatnie jego głowę, żeby zmyć krew zakrzepłą wokół dużego guza.

Nagle Faber zerwał się, usiadł i z przerażeniem w głosie zapytał:

- Jaki dzisiaj jest dzień? Powiedz, jaki dzisiaj jest dzień.
- Niedziela. Uspokój się.
- Dobrze.

Opadł z powrotem na kanapę i pozwolił jej nawet odpiąć nóż. Przemyśla mu twarz, zabandażowała palec z oderwanym paznokciem i założyła opatrunek na spuchniętą kostkę. Kiedy skończyła, wstała i spojrzała na jego twarz. Spał głęboko, zupełnie nieświadomy, co się wokół niego dzieje.

Zanim wyrzuciła mokre i podarte ubranie, przetrząsnęła wszystkie kieszenie i znalazła w nich trochę pieniędzy, dokumenty, skórzany portfel i pojemnik z filmami. Położyła wszystko na półce nad kominkiem obok noża. Postanowiła, że Henry nałoży jakieś ubranie Davida. Poszła na górę sprawdzić, czy Jo już zasnął. Chłopiec leżał pochrapując lekko, przytulony do miękkiego misia. Poprawiła kołdrę i pocałowała go czule w policzek. Potem wyszła, żeby wprowadzić samochód do szopy.

W kuchni naląła sobie drinka, a potem siadła i zaczęła przyglądać się Henry'emu marząc, aby się obudził i znowu ją kochał.

Dochodziła północ, kiedy wreszcie otworzył oczy. Lucy zobaczyła na jego twarzy najpierw paniczny lęk, a potem niepokój, kiedy rozglądał się wokół, jak gdyby sprawdzając, gdzie jest, wreszcie odprężenie.

Pod wpływem nagłego impulsu zapytała go: - Czego się boisz, Henry?

- O co ci chodzi?
- Jesteś zawsze taki przerażony, gdy się budzisz.
- Nie wiem. - Wzruszył ramionami i ruch ten sprawił mu ból. - O Boże, ależ jestem pokiereszowany.

- Czy powiesz mi, co się właściwie stało?

- Tak, jeśli przyniesiesz mi trochę koniaku.

Wyciągnęła butelkę z kredensu.

- Możesz włożyć ubranie Davida.

- A co się stało z moim? - zapytał.

- Musiałam pociąć je na kawałki, żeby móc ściągnąć je z ciebie. Wyrzuciłam wszystko.

- Mam nadzieję, że nie wyrzuciłaś przy okazji moich papierów. - Uśmiechnął się, ale wyczuła, że uśmiechem stara się pokryć zdenerwowanie.

- Są na kominku. - Pokazała ręką. - Ten nóż służy ci pewnie do oprawiania ryb, prawda?

Prawą ręką sięgnął do lewego ramienia, gdzie zawsze trzymał sztylet.

- Tak - powiedział. Przez chwilę wydawał się znowu napięty, potem jakby nakazał sobie spokój i zaczął popijać koniak. - Niezły - pochwalił.

- No więc? - zapytała Lucy po chwili.

- Nie rozumiem.

- W jaki sposób udało ci się zgubić mojego męża i rozwalić samochód?

- David zdecydował, że zostanie na noc u Toma. Mieli jakiś kłopot z owcami. Kilka z nich odniosło lekkie obrażenia i Tom z Davidem zakładają im w kuchni opatrunki. Rwetes tam panuje nie do opisanego. David zaproponował, żebym wrócił i powiedział ci, że zostanie tam na noc. Zupełnie nie mam pojęcia, w jaki sposób rozwaliłem samochód. Nigdy nie prowadziłem jeepa, musiałem w coś uderzyć, niewiele widząc w tym cholernym sztormie, no i przewrócił się. Szczegóły... - Wzruszył ramionami.

- Sądząc po ilości zadrapań i obrażeń, musiałeś jechać bardzo szybko.

- Wydaje mi się, że wyrznięłem głową w ścianę samochodu i skręciłem nogę w kostce.

- Straciłeś też paznokcie, nabiłeś z tyłu głowy guza i o mały włos nie nabawiłeś się zapalenia płuc. Masz dziwne szczęście do wypadków.

Usiadł na kanapie, potem wstał i podszedł do kominka.

- Twoja umiejętność regenerowania sił jest naprawdę zadziwiająca - zauważyła Lucy.

Przywiązywał nóż do ramienia.

- My, rybacy, jesteśmy bardzo zdrowi i silni. Gdzie są te ubrania? - zapytał.

Wstała i podeszła do niego.

- Po co ci ubranie, przecież pora, żeby iść do łóżka.

Przyciągnął ją do siebie i tuląc w ramionach pocałował mocno. Po chwili odsunął ją trochę, zebrał swoje rzeczy z półki nad kominkiem i trzymając rękę Lucy w swojej skierował się w stronę sypialni.

Rozdział 30

Szeroka biała autostrada wiała się przez dolinę w górach Bawarii. Na tylnym skórzanym siedzeniu służbowego Mercedesa siedział sztywno zmęczony feldmarszałek Gerd von Rundstedt. Skończywszy już sześćdziesiąt lat, znał dobrze swoją słabość do szampana i antypatię do Hitlera. Żałosny wyraz jego pociągłej twarzy był rezultatem długiej i bardzo burzliwej kariery, w trakcie której wpadał w tarapaty niezliczoną ilość razy, chociaż później Führer zawsze przywracał go do łask.

Samochód mijął właśnie malowniczą wioskę z szesnastego wieku, Berchtesgaden, i Gerd von Rundstedt zastanawiał się, dlaczego zawsze godzi się na ponowne objęcie dowództwa, gdy tylko Hitler sobie tego życzy. Pieniądze nie przedstawiały dla niego specjalnej wartości, osiągnął też najwyższy z możliwych stopień wojskowy, medale nie liczyły się w III Rzeszy, nie wierzył też, aby ta wojna przysporzyła mu, chwały.

Rundstedt był pierwszym człowiekiem, który nazwał Hitlera "czeskim kapralem". Uważał, że ten przeciętny mężczyzna pomimo przebłysków geniuszu niewiele wie o tradycjach armii niemieckiej, a jeszcze mniej zna się na wojskowej taktyce. Gdyby coś o niej wiedział, nie rozpoczynałby tej wojny, która była nie do wygrania. Rundstedt należał do najlepszych niemieckich żołnierzy, czego dał dowody w Polsce, Francji i Związku Radzieckim, ale dawno przestał już wierzyć w zwycięstwo.

Jednocześnie nie chciał mieć nic wspólnego z grupką generałów, którzy, był pewien, spiskowali przeciwko Hitlerowi. Udawał, że nie zauważa ich skrytych knowań; wierność przysiędze wojskowej była dla niego tak ważna, że nie pozwoliła mu na przyłączenie się do spisku. Podejrzewał, że dzięki temu jednak mógł nadal służyć Rzeszy. Czy sprawa była słuszna, czy też nie - jego ojczyzna znalazła

się w poważnym niebezpieczeństwie, nie miał więc wyboru i musiał jej bronić. "Jestem jak stary kawaleryjski koń - myślał. - Gdybym został w domu, byłby to prawdziwy wstyd".

Dowodził teraz pięcioma armiami na froncie zachodnim. Rozkazywał półtora miliona żołnierzom. Dywizje nie były zbyt silne - niektóre nawet niewiele lepsze od tych, do których na terenie Rzeszy wcielono rekonwalescentów; odczuwało się braki w uzbrojeniu, a stan uzupełniano poborowymi, którzy nie byli Niemcami - niemniej Rundstedtowi udawało się przy umiejętnym urzutowaniu wojsk nie wpuścić aliantów do Francji.

Jechał teraz, aby omówić z Hitlerem sprawę dyslokacji wojsk.

Samochód wspinał się po Kehlsteinstrasse i podjechał do ogromnej bramy z brązu na zboczu góry Kehlstein. Wartownik SS nacisnął guzik otwierający bramę i wjechali w długi marmurowy tunel, oświetlony stylowymi latarniami z brązu. Na samym końcu tunelu kierowca zatrzymał Mercedesa. Rundstedt wysiadł z samochodu i wszedł do windy. Ulokował się na skórzanym siedzeniu, by wjechać czterysta stóp w górę, do Adlerhorst, Orlego Gniazda.

W przedsiönku Rattenhuber zabrał mu pistolet i oddalił się. Przyglądając się krytycznie nagromadzonej w pokoju porcelanie, Rundstedt układał w myślach zdania, które wypowie w obecności Führera.

Chwilę później jasnowłosy oficer wprowadził go do sali konferencyjnej.

Pokój ten przypomniał feldmarszałkowi komnatę osiemnastowiecznego pałacu. Na ścianach wisiały obrazy olejne i gobeliny, w rogu stało popiersie Wagnera, a na biurku pod oknem ogromny zegar z figurką orła, wykonaną w brązie. Widok z okien był niezapomniany: feldmarszałek zobaczył wzgórze Salzburga i szczyt Untersbergu, góry- w której pochowano cesarza Fryderyka Barbarossę. Legenda głosiła, że wielki władca zmartwychwstanie, aby ocalić ojczyznę.

Pośrodku pokoju na pseudoludowych krzesłach siedzieli Hitler i trzech jego doradców: admirał Teodor Krancke - dowódca floty na zachodzie, generał Alfred Jodl - szef sztabu i admirał Karl Josko von Puttkamer - adiutant Hitlera.

Rundstedt zasalutował i zajął swoje miejsce. Lokaj przyniósł tacę pełną kanapek z kawiozem i kieliszki z szampanem. Hitler stał przy dużym oknie i patrzył na góry. Nie odwracając się, powiedział ostro: - Rundstedt zmienił zdanie. Zgodził się z Rommlem, że alianci zaatakują Normandię. Mój instynkt dawno mi o tym mówił. Krancke uważa jednak, że inwazja nastąpi w Calais. Rundstedt, powiedz admirałowi Krancke, w jaki sposób doszedłeś do swoich wniosków.

Rundstedt przełknął kanapkę z kawiozem i odchrząknął zasłaniając usta dłonią. Hitler nie miał najlepszych manier, nie dał mu nawet czasu, żeby chwilę odpoczął.

- Musimy rozważyć dwie kwestie - zaczął Rundstedt - niedawno zdobyte informacje i nasze logiczne rozumowanie. Najpierw informacje. Ostatnie wykazy zbombardowanych przez aliantów miejsc na terenach Francji dowodzą niezbicie, że głównym ich celem było zniszczenie każdego mostu na Sekwanie. Jeżeli wylądują w Calais, Sekwana nie będzie miała znaczenia taktycznego, jeżeli natomiast wylądują w Normandii, wszystkie nasze rezerwy muszą przejść przez Sekwanę, aby dostać się do strefy działań bojowych.

A teraz druga sprawa: nasze logiczne rozumowanie. Zastanawiałem się, w jaki sposób zaatakowałbym Francję, gdybym dowodził siłami aliantów. Doszedłem do wniosku, że przede wszystkim musiałbym wybrać przyczółek do szybkiego przerzucenia sił i środków. Wobec tego pierwsze uderzenie powinno mieć miejsce w okolicach dużego portu. Oczywiście wybrałbym Cherbourg. Zarówno ukierunkowanie nalotów, jak i wymogi strategii wyraźnie przemawiają za Normandią - zakończył. Podniósł kieliszek i opróżnił go do dna. Lokaj pojawił się, natychmiast z następnym.

- Nasz wywiad wojskowy twierdzi jednak, że będzie to Calais - wtrącił Jodl.

- Tak, i właśnie pod zarzutem zdrady skazaliśmy na śmierć szefa Abwehry - przerwał mu Hitler.

- Krancke, czy przekonują pana argumenty Rundstedta?

- Nie bardzo, mein Führer - powiedział admirał. - Ja także zastanawiałem się nad sposobem dokonania inwazji, gdybym dowodził po tamtej stronie, ale w swoim rozumowaniu wziąłem pod uwagę szereg czynników natury morskiej, z których Rundstedt pewnie nie zdaje sobie sprawy. Uważam, że atak nastąpi pod osłoną nocy przy świetle księżyca i podczas pełnego przyływu, gdyż tylko wtedy uda im się ominąć podwodne przeszkody założone przez Rommla. Wybiorą miejsce, w którym nie ma urwistych brzegów, silnych prądów i skał podwodnych. Wykluczam więc Normandię.

Hitler potrząsnął głową wyraźnie niezadowolony.

- Jest jeszcze jedna informacja, o której nie powinniśmy zapominać - odezwał się Jodl. - Królewska Dywizja Pancerna została przeniesiona z północnej Anglii do miejscowości Hove na południowo-wschodnim wybrzeżu. Ma ona wejść w skład Pierwszej Grupy Armii Amerykańskiej pod dowództwem generała Pattona. Nasz nasłuch radiowy przechwycił tę wiadomość. Jest to wyborowa elitarna brytyjska dywizja, w której służą głównie angielscy dżentelmeni, dowodzona przez generała Sir Allana Henry Shafto Adaira. Jestem przekonany, że jeśli nastąpi inwazja, dywizja ta znajdzie się na głównym kierunku uderzenia.

Ręce Hitlera drgnęły nerwowo, a na jego twarzy pojawił się wyraz niezadowolenia.

- To mają być generałowie! - wrzasnął. - Albo cały czas słyszę sprzeczne opinie, albo nie jesteście w stanie mi nic doradzić. Jesteście... jesteście...

Słyszący ze swojej odwagi Rundstedt ośmielił się odezwać:

- Mein Führer - zaczął - nasze cztery najlepsze dywizje pancerne tkwią beczynn timer tutaj w Niemczech. Wydaje mi się, że nigdy nie zdążą dotrzeć do Normandii, aby odeprzeć inwazję. Usilnie proszę o przerzucenie ich do Francji i oddanie pod dowództwo Rommla. Jeżeli się mylimy i inwazja rozpocznie się od strony Calais, będą dostatecznie blisko, aby się włączyć do walki dość wcześnie.

- Nie wiem, naprawdę nie wiem. - W oczach Hitlera pojawiła się złość i Rundstedt zaczął się obawiać, czy znowu nie przeciągnął struny.

- Mein Führer. Dzisiaj jest niedziela - odezwał się po raz pierwszy Puttkamer.

- Zgadza się.

- Jutro wieczorem nasza łódź podwodna może się spotkać z agentem Die Nadlem.

- Ach tak! Nareszcie ktoś, komu ufam.

- Oczywiście, może on również przesłać meldunek radiowy w każdej chwili. Mogły jednak zaistnieć jakieś przeszkody, w wyniku których zdecydował się osobiście dostarczyć informacje. Wiedząc o tej możliwości, warto może odłożyć decyzję na dwadzieścia cztery godziny i poczekać, aż Die Nadel da o sobie znać w taki czy inny sposób, dzisiaj lub jutro.

- Nie ma czasu na odkładanie decyzji - włączył się Rundstedt. - Naloty lotnicze i akty sabotażu mnożą się niepokojąco. Inwazja może nastąpić w każdej chwili.

- Sprzeciwiam się - odezwał się Krancke. - Warunki meteorologiczne będą odpowiednie dopiero na początku czerwca.

- To już niedługo!

- Dość tego! - wrzasnął Hitler. - Podjąłem decyzję. Na razie moje dywizje pancerne zostaną w Niemczech. We wtorek, kiedy zapoznamy się z informacjami Die Nadla, jeszcze raz rozpatrzę sprawę dyslokacji tych jednostek. Jeśli agent wskaże Normandię jako cel ataku, a wydaje mi się, że tak właśnie będzie, wydam rozkaz przerzucenia dywizji.

- A co będzie, jeśli się wcale nie odezwie? - zapytał miękko Rundstedt.

- Rozpatrzę tę sprawę tak czy inaczej. Rundstedt skinął głową z aprobatą.
- Jeśli pan pozwoli, powrócę do moich obowiązków - powiedział.
- Dobrze.

Rundstedt wstał, zasalutował i wyszedł z pokoju. Kiedy zjeżdżał na dół windą do podziemnego garażu, poczuł nagły ucisk w żołądku i zastanowił się, czy było to spowodowane szybkością windy, czy też myślał, że los jego ojczyzny spoczywa w rękach jednego samotnego agenta.

CZĘŚĆ SZÓSTA

Rozdział 31

Lucy powoli się budziła. Stopniowo, ociężale wynurzała się ze strefy nieświadomości, z ciepłych ciemności głębokiego snu, rejestrując osobno poszczególne fragmenty: najpierw ciepłe, twarde ciało mężczyzny tuż obok, potem obcość małego łóżka, wreszcie wycie sztormu, tak sarno nieustające i pełne furii, jak wczoraj i przedwczoraj. Nagle, w mgnieniu oka, jak gdyby naraz rozwiązywała zagadkę, uświadomiła sobie, że oto leży bezwstydnie obok mężczyzny, którego poznała zaledwie czterdzieści osiem godzin temu, że oboje są nadzy i że dzieje się to w domu jej męża.

Otworzyła oczy i ujrzała Jo.

Stał obok łóżka w pomiętej piżamce, trzymając pod pachą zniszczoną, szmacianą lalkę. Ssał palec i szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w matkę i nieznanego mężczyznę, którzy tulili się do siebie w jego łóżku. Lucy nie mogła nic odczytać z jego twarzy, gdyż o tej porze dnia otwierał szeroko oczy na widok większości rzeczy, jak gdyby każdego ranka świat stawał się znów nowy i wspaniały. Spojrzała na niego w milczeniu, nie wiedząc, co powiedzieć.

Wtem rozległ się głęboki głos Henry'ego. - Dzień dobry.

Jo wyjął kciuk z buzi i powiedział: - Dzień dobry - i wybiegł z sypialni.

- Niech to diabli - mruknęła Lucy.

Henry zsunął się nieco niżej i jego twarz znalazła się tuż obok jej twarzy. Objął ją i zaczął całować. Odsunęła się.

- Na miłość boską, przestań! - syknęła.

- Dlaczego?

- Jo nas widział.

- No i co z tego?

- Może się wygadać, przecież wiesz. Wcześniej czy później powie coś Davidowi. Co mam teraz zrobić?

- Nic nie rób. Niech się David dowie. Czy to ma jakieś znaczenie?

- Oczywiście, że ma.

- Nie rozumiem czemu. Zrobił ci krzywdę i teraz ponosi konsekwencje. Nie powinnaś czuć się winna.

Lucy nagle pojęła, że Henry nie ma pojęcia o skomplikowanej sieci powinności i obowiązków, jaką jest małżeństwo. Powiedziała tylko: - To nie takie proste. - Wstała i przeszła do swej własnej sypialni. Wciągnęła spodnie i sweter, po czy przypomniała sobie, że zniszczyła całe ubranie Henry'ego i teraz będzie musiała dać mu coś z rzeczy Davida. Znalazła bieliznę i skarpetki, trykotową koszulę i pulower, wreszcie na samym dnie kufra parę spodni, które nie były obcięte w kolanach. Przez cały czas Jo przypatrywał się jej w milczeniu. Zaniósła wszystko do drugiego pokoju. Henry był już w łazience. Zawołała przez drzwi: - Ubranie dla ciebie leży na łóżku! - Zeszła na dół i nastawiła wodę na jajka. Potem umyła pod kranem buzię Jo'ego, uczesała go i szybko ubrała.

- Jesteś dziś bardzo spokojny - zauważyła wesoło. Ale odpowiedzi nie było.

Henry zszedł i usiadł przy stole z taką naturalnością, jak gdyby robił to od lat. Lucy dziwnie się czuła, widząc go w ubraniu Davida i podając mu na śniadanie jajko i tosty.

Nagle Jo spytał: - Czy tatuś nie żyje?

Henry spojrział na niego z ukosa i nie odezwał się.

- Nie bądź niemądry. Jest u Toma - powiedziała Lucy. Jo zlekceważył jej odpowiedź i zwrócił się do Henry'ego: - Masz ubranie tatusia i moją mamę. Czy teraz będziesz moim tatusiem?

- Czy nie widziałeś, co miałem na sobie wczoraj wieczór? Jo skinął głową.

- A więc rozumiesz chyba, czemu pożyczyłem ubranie twojego ojca. Oddam je, gdy tylko dostanę coś dla siebie.

- Czy mamę też oddasz?

- Oczywiście.

- Jedz jajko, Jo - wtrąciła się Lucy.

Dzieciak, wyraźnie uspokojony, zajął się śniadaniem. Lucy wpatrzyła się w kuchenne okno.

- Łódź tu dzisiaj nie dobije - skostatowała.

- Jesteś zadowolona? - spytał Henry.

- Nie wiem. - Spojrzała na niego.

Nie czuła się głodna. Podczas gdy Jo i Henry jedli, wypita szklankę herbaty. Później mały poszedł bawić się na górę, a Henry sprzątnął ze stołu. Wkładając naczynia do zlewu spytał: - Czy boisz się, że David może cię skrzywdzić fizycznie?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Powinnaś o nim zapomnieć - ciągnął Henry. - Przecież i tak zamierzałaś od niego odejść. Co cię to obchodzi, czy się dowie, czy nie?

- Jest moim mężem - powiedziała. - To się jednak liczy... To, jakim był mężem... wszystko... nie daje mi prawa go upokarzać.

- Myślę, że daje ci prawo nie przejmować się, czy go upokarzasz.

- Nie ma na to logicznej odpowiedzi. Po prostu tak czuję. Z rezygnacją machnął ręką.

- Lepiej pojedę do Toma dowiedzieć się, czy twój mąż zamierza wrócić do domu, czy nie.

Gdzie moje buty?

- W bawialni. Zaraz przyniosę ci jakąś kurtkę.

Poszła na górę i wyciągnęła z szafy starą myśliwską marynarkę Davida. Był to bardzo elegancki, miękki, szarzielony tweed. Lucy naszyła na łokcie skórzane łąty, żeby materiał się nie przetarł - teraz nie widywało się już takich rzeczy. Zniosła marynarkę na dół, gdzie Henry wiązał buty. Właśnie uporał się z lewym i ostrożnie wsunął zranioną stopę w prawy. Uklękała, żeby mu pomóc.

- Opuchlizna jakby trochę mniejsza - powiedziała.

- To paskudztwo wciąż boli. - Pokręcił głową. Wciągnęli jakoś but, nie wiążąc go, i wyjęli sznurowadło. Henry spróbował wstać.

- W porządku - stwierdził.

Lucy pomogła mu włożyć kurtkę. Była ciasnawa w ramionach.

- Niestety, nie mamy nic nieprzemakalnego - powiedziała.

- Trudno, najwyżej zmoknę. - Przycisnął ją do siebie i szorstko pocałował. Zarzuciła mu ręce na szyję i przez chwilę stała mocno przytulona.

- Jedź dzisiaj ostrożniej - poprosiła.

Uśmiechnął się i skinął głową. Znów pocałował ją, tym razem krótko, i wyszedł. Patrzyła, jak kulejąc idzie w stronę szopy, a potem, kiedy stanęła w oknie, jeep wolno ruszał. Gdy zniknął, poczuła pewną ulgę, ale i pustkę.

Zacząła porządkować dom, ścielić łóżka, zmywać i sprzątać. Nie potrafiła jednak wykrzesać ani odrobiny zapału dla tych czynności. Była niespokojna. Nie wiedziała, co ma teraz zrobić ze swym życiem, i nie potrafiła uwolnić się od natrętnych myśli. Dom przestał być nagle przytulny; stał się

dławiać ciasny. Gdzieś, poza nim, był wielki świat; świat wojny i bohaterstwa, pełen barw, napiętności i ludzi, milionów ludzi. Chciała też tam być, w samym jego centrum, spotykać nowe twarze, oglądać miasta i słuchać muzyki. Włączyła radio. Był to bezcelowy gest, gdyż wiadomości spotęgowały tylko dręczące poczucie odosobnienia. Nadawano komunikat z walk we Włoszech, poza tym: normy racjonowania żywności nieco złagodniały, londyński morderca posługujący się sztyletem wciąż grasował, Roosevelt wygłosił przemówienie. Gdy Sandy Macpherson zaczęła grać na organach, Lucy wyłączyła radio. Nic ją to wszystko nie obchodziło, nie żyła przecież w tamtym świecie.

Miała ochotę krzyczeć.

Zaprzagnęła wyjść z domu, nie bacząc na pogodę. Byłaby to tylko pozorna ucieczka, gdyż to nie kamienne ściany domku ją więziły. Poszła na górę po Jo, z pewną trudnością odciągnęła go od szwadronu ołowianych żołnierzyków i ubrała w pelerynę.

- Czemu wychodzimy? - spytał.
- Zobaczyć, czy łódź przyplynie.
- Mówiłaś, że dziś jej nie będzie.
- Chodźmy jednak na wszelki wypadek.

Włożyli na głowy jasnożółte kaptury, zapięli je pod brodą i wyszli z domu. Uderzenie wiatru było silne jak nagły cios. Lucy zachwiała się i omal nie straciła równowagi. W ułamku sekundy jej twarz stała się mokra, jak gdyby zanurzyła ją w wiadrze wody, a końce włosów wysunięte spod kaptura przylepiły się do policzków i peleryny. Jo wrzasnął z zachwytem i natychmiast wskoczył w kałużę. Ruszyli wzdłuż skał ku zatoce i patrzyli na kotłujące się w dole wielkie bałwany, które przy brzegu rozbijały się o skały.

Sztorm wyrwał wodorosty z niezmiernych głębi i wyrzucał je kępami na piasek i skały. Matkę i syna całkowicie zahipnotyzował widok nieustannie zmieniającego się układu fal. Zdarzyło im się to już nieraz: morze oddziaływało na nich w magiczny sposób. Lucy nigdy nie potrafiła powiedzieć, ile czasu spędzili wpatrując się milcząco w wodę.

Tym razem czar prysnął szybko, gdyż Lucy nagle coś dostrzegła. Początkowo był to tylko jaśniejszy błysk w załamaniu fali, tak przelotny, że nie była nawet pewna koloru, a tak mały i daleki, że natychmiast ogarnęły ją wątpliwości, czy rzeczywiście coś widziała. Zaczęła szukać go wzrokiem, ale nic więcej nie dostrzegła. Jej spojrzenie powędrowało z powrotem ku zatoce i małemu molo, gdzie gromadziło się wszystko, co wyrzuciło morze, by po chwili zniknąć, uniesione następną, wielką falą. Gdy sztorm ucichnie, pierwszego ładnego dnia wyruszą z Jo na plażę szukać skarbów, jakie wyrzuciło morze; wrócą potem do domu z kamieniami o dziwnych barwach, kawałkami drewna tajemniczego pochodzenia, olbrzymimi muszlami i pogiętymi sztabkami zardzewiałego metalu.

Znów ujrzała kolorowy błysk, teraz o wiele bliżej. Tym razem trwało to parę sekund. Uderzył ją kolor, jasnożółty, zupełnie jak ich peleryny. Wpatrywała się w wodę przez ścianę deszczu, ale nie umiała bliżej określić kształtu, który po chwili znów zniknął. Fale niosły go jednak coraz bliżej w kierunku zatoki, gdzie układały swe łupy na piasku.

Była to peleryna. Lucy zobaczyła to wyraźnie, gdy fala uniosła ją po raz trzeci i ostatni. Henry wrócił wczoraj bez swojej, ale w jaki sposób znalazła się w morzu? Fala rozbiła się o molo i wyrzuciła płaszcz na mokre drewniane deski. Lucy przekonała się wtedy, że ta peleryna nie należała do Henry'ego, gdyż jej właściciel wciąż tkwił wewnątrz. Krzyknęła ze zgrozy, ale zagłuszył ją wiatr. Kto to jest? Skąd się tu wziął? Czyżby jeszcze jeden rozbitek? Nagle przyszło jej na myśl, że ten człowiek może jeszcze żyje. Musi podejść i sprawdzić. Schyliła się i krzyknęła do ucha Jo'ego: - Poczekaj tu! Stój spokojnie i nie ruszaj się! - I pobiegła w stronę molo.

W połowie drogi usłyszała za sobą kroki. Jo biegł za nią. Falochron był wąski, śliski i bardzo niebezpieczny. Stała, obróciła się i chwyciła dziecko w ramiona.

- Ty niedobry chłopaku! Kazałam ci czekać! - krzyknęła. Spojrzała w górę na bezpieczne miejsce u szczytu skały, przez chwilę dygotała, nie mogąc podjąć decyzji; wiedziała, że za chwilę morze znów zagarnie ciało. W końcu ruszyła w dół, niosąc na rękach Jo'ego.

Niewielka fala przykryła ciało, a gdy się cofnęła, Lucy podeszła na tyle blisko, by zobaczyć, że to mężczyzna i że od dość dawna musiał leżeć w wodzie, gdyż opuchlizna zdołała już zniekształcić rysy twarzy. Nie żył.

A więc nie mogła już nic dla niego zrobić i nie zamierzała ryzykować życia swojego ani syna, żeby ratować zwłoki. Właśnie miała się odwrócić, gdy uderzyło ją coś znajomego w obrzmiałej twarzy. Wpatrzyła się w nią, jeszcze nie rozumiejąc i usiłując wyłowić z pamięci owe znajome rysy, gdy nagle, całkiem niespodziewanie, ujrzała tę twarz taką, jaka była kiedyś. Sparaliżowało ją przerażenie, poczuła, że zamiera jej serce.

- To nie może być David! - wyszeptała.

Zapominając o niebezpieczeństwie ruszyła przed siebie. Następna mniejsza fala rozbiła się o jej kolana, wypełniając kalosze spienioną, słoną wodą, ale nie zwróciła na to uwagi. Jo obrócił się w jej ramionach twarzą naprzód. Krzyknęła: - Nie patrz! - i przycisnęła go do ramienia. Zaczął płakać. Uklękła obok ciała. Tak. To był David. Nie miała wątpliwości. Nie żył już od dawna. Wiedziona jakimś głębokim instynktem, by zdobyć całkowitą pewność, uniosła brzeg płaszcza i zobaczyła kikuty jego nóg. Nie była w stanie uwierzyć w tę śmierć. W jakimś sensie życzyła jej sobie, ale żal do męża mieszał się z poczuciem winy i lękiem przed ujawnieniem swej niewierności. Ogarniały ją na zmianę sprzeczne uczucia: rozpacz, przerażenie, poczucie wolności i ulga. Stałaby jeszcze dłużej bez ruchu, ale następna fala była tak duża, że zwała ją z kolan. Zachłysnęła się morską wodą, lecz zdołała jakoś utrzymać Jo'ego w ramionach i nie spaść z falochronu. Gdy fala cofnęła się, Lucy wstała i biegiem ruszyła w górę, uciekając z groźnego zasięgu oceanu.

Brnęła coraz dalej w stronę szczytu, nie oglądając się za siebie ani razu. Gdy znalazła się przy domu, dostrzegła, że przed drzwiami stoi jeep. Więc Henry wrócił. Wciąż z Jo'em na rękach, potykając się, zaczęła biec. Rozpaczliwie pragnęła podzielić się z kimś niedawnym odkryciem, poczuć, jak Henry obejmuje ją i pociesza. Oddychała spazmatycznie, a łzy spływające po jej twarzy niezauważalnie mieszały się z deszczem. Wpadła tylnymi drzwiami do kuchni i gwałtownie postawiła dziecko na ziemi.

- David postanowił zostać u Toma jeszcze jeden dzień - przywitał ją Henry.

Wpatrzyła się w niego, czując nieprawdopodobną pustkę w głowie, i w pewnym momencie, w przeblasku intuicji, wszystko zrozumiała. To Henry zabił Davida. Rozwiązanie pojawiło się nagle jak uderzenie w brzuch, które zgina w pół. Logiczne wytłumaczenie przyszło w chwilę później. Rozbitek, nóż o dziwnym kształcie, do którego był tak przywiązany, rozbity jeep, komunikat radia londyńskiego o poszukiwaniu mordercy... Nagle wszystko ułożyło się w całość, jak rzucona w powietrze obrazkowa łamigłówka, która, w niepojęty sposób, spadając logicznie się układa.

- Nie bądź taka zdziwiona - powiedział Henry z uśmiechem. - Mają tam dużo pracy, a ja nie namawiałem go, by wracał.

Tom. Musi iść do Toma. On będzie wiedział, co robić. Zaopiekuje się nią i Jo'em, zanim zjawi się policja. Tom ma psa i strzelbę.

Jej przerażenie nagle ustąpiło miejsca czemuś w rodzaju smutku, żalu za Henrym, w którego uwierzyła i prawie pokochała, a który naprawdę nie istniał poza jej wyobraźnią. Zamiast silnego, kochającego mężczyzny miała przed sobą potwora, który siedział spokojnie i uśmiechając się

przekazywał wymyślone wiadomości od jej męża, którego zamordował.

Opanowała drżenie. Wzięła Jo'ego za rękę, wyszła z kuchni do hallu, a stamtąd na podwórze. Wsiadła do jeepa, posadziła chłopca obok i włączyła silnik. Ale Henry był już przy nich, jak gdyby od niechcienia stawiając stopę na stopniu samochodu; trzymał w ręce strzelbę Davida.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał.

Poczuła, że serce jej zamiera. Gdyby teraz ruszyła, mógłby zacząć strzelać. Jaki instynkt nakazał mu tym razem wziąć broń do domu? Gdyby nawet sama ośmieliła się zaryzykować, nie wolno jej było narażać Jo'ego. Odpowiedziała więc: - Odstawiam tylko jeepa.

- Potrzebny ci po to Jo?

- Lubi jeździć. Co to za przesłuchanie?

Henry wzruszył ramionami i cofnął się.

Patrzyła na niego przez chwilę; w marynarce Davida i z jego strzelbą wyglądał tak naturalnie, że zastanowiła się, czy rzeczywiście strzelałby do niej, gdyby odjechała. Potem przypomniała sobie, że od samego początku wyczuła w nim coś lodowatego, i przestała się łudzić; w razie czego będzie bezlitosny i zdolny do wszystkiego.

Z dojmującym uczuciem znużenia dała za wygraną. Wrzuciła wsteczny bieg i wjechała do szopy. Zgasiła silnik, wysiadła i weszła z Jo'em do domu. Nie miała pojęcia, jak teraz rozmawiać z Henrym, jak się przy nim zachowywać i jak ukryć to, co wie, jeśli już się z tym nie zdradziła.

Nie miała żadnych planów. Ale nie zamknęła drzwi szopy.

Rozdział 32

- Oto stanowisko pierwsze - powiedział kapitan i opuścił lornetkę.

Pierwszy oficer wpatrywał się w deszcz i pył wodny.

- Chyba się pan ze mną zgodzi, że nie jest to idealny kurort - oświadczył. - Powiedziałbym, że nieco tu abominacyjnie.

- Ma pan rację. - Kapitan, o siwej brodzie, był starej daty oficerem marynarki, który pływał po morzu już w czasie pierwszej wojny. Nauczył się jednak tolerować pretensjonalny styl pierwszego oficera, gdyż chłopiec okazał się, wbrew jego przewidywaniom, świetnym marynarzem.

“Chłopiec”, który był już po trzydziestce i miał nawet spore doświadczenie wojenne, nie zdawał sobie sprawy, jaka to wielkoduszność. Trzymał się relingu, podczas gdy korweta unosiła się na fali, wyprostowywała na jej grzbiecie i znów opadała.

- A więc teraz, skoro już tu jesteśmy, to co robimy, sir?

- Okrążamy wyspę.

- Doskonale, sir.

- I wypatrujemy łodzi podwodnej. Małe szanse, żebyśmy dostrzegli coś w taką pogodę, w najlepszym razie zobaczymy ją w ostatniej chwili. Sztorm uspokoi się może wieczorem, najpóźniej jutro. - Kapitan zaczął nabijać fajkę tytoniem.

- Tak pan myśli?

- Jestem pewny.

- Instynkt żeglarza, nieprawdaż? Kapitan skinął głową.

- Tak, i prognoza pogody.

Korweta okrążyła cypel; przed nimi pojawiła się mała zatoka i molo. Powyżej na skale, stawiając czoło wichrom, stał mały kwadratowy domek. Kapitan wyciągnął rękę.

- Dobijemy tam, jak tylko zdołamy. Oficer skinął głową.

- Ale...

- Tak?

- Każde okrążenie wyspy zabierze nam, jak sędzę, godzinę.

- Więc?

- Więc o ile nie będziemy w odpowiednim miejscu o odpowiednim czasie...

- Łódź wynurzy się, zabierze pasażera i zniknie, a my nawet nie zobaczymy bąbelków - skończył za niego kapitan.

- Tak jest, sir.

Kapitan zapalił fajkę, z wprawą świadcząca przy tej pogodzie o dużej rutynie. Pyknął parę razy, po czym głęboko się zaciągnął.

- "Nie nam pytać - dlaczego" - powiedział i wypuścił dym nosem.

- To dość niefortunny cytat, sir.

- Czemu?

- Pochodzi ze znanej "Szarży lekkiej brygady".

- Wielkie nieba. Nie miałem pojęcia. - Kapitan pyknął z ukontentowaniem. - Co to jednak znaczy wykształcenie!

Na wschodnim krańcu wyspy stał drugi dom. Kapitan przyglądał mu się przez lornetkę i dostrzegł dużą antenę radiową.

- Sparks! - zawołał. - Jeśli możesz, spróbuj namierzyć ten dom na częstotliwości Królewskiej Służby Obserwacyjno-Meldunkowej.

- Tak jest, sir.

Kiedy domek zniknął z pola widzenia, oficer zawołał: - Nie ma odpowiedzi, sir!

- W porządku, Sparks - powiedział kapitan. - To nic ważnego.

Załoga kutra Straży Przybrzeżnej siedziała pod pokładem łodzi w Aberdeen, grając w oko na pół pena i komentując głupotę nieodmiennie przypisywaną wyższej szarży.

- Dobieram - powiedział Jack Smith, który był bardziej Szkotem, niż wskazywało na to jego imię.

Albert Parish, zwany "Chudym", gruby londyńczyk, który znalazł się z dala od domu, wyciągnął waleta.

- Fura - odezwał się Smith. Slim zagarnął stawkę.

- Pen na pół pena - powiedział z udanym zdziwieniem. - Czy ja zdążę to w życiu wydać?

Smith wytarł zaparowany otwór świetlika i wyjrzał: statki w porcie huśtały się i podskakiwały na wodzie.

- Stary tak się denerwuje, jakbyśmy ruszyli na Berlin, a nie na tę Wyspę Wiatrów.

- To ty nie wiesz? Jesteśmy czołówką sił alianckich. - Chudy odkrył dziesiątkę, dobrał króla i powiedział: - Mam dwadzieścia jeden.

- Kim jest właściwie ten facet? - spytał Smith. - Dezerterem? Wydaje mi się, że to zadanie dla żandarmerii polowej MP, a nie dla nas.

Chudy przetasował talię.

- Powiem wam, kto to jest. To zbiegły jeniec wojenny. Rozległ się chór niedowierzających gwizdów.

- Dobra, możecie mi nie wierzyć, ale kiedy go złapiemy, zwróćcie uwagę na jego akcent. - Położył karty na stole. - Słuchajcie, co tam zazwyczaj kursuje na Wyspę Wiatrów?

- Tylko łódź właściciela sklepu spożywczego.

- A więc jeśli to dezterter, może wrócić na ląd tylko na tej łodzi.

Żandarmi z MP powinni zaczekać, aż Charlie wyprawi się na wyspę, i aresztować faceta, gdy tylko postawi nogę na lądzie. Nie widzę sensu w naszym tu czekaniu po to tylko, aby z chwilą poprawy pogody wyciągać kotwicę i płynąć na złamanie karku. Chyba że... - melodramatycznie zawiesił głos. - Chyba że ten facet może wydostać się z wyspy w inny sposób.

- Na przykład jaki?

- Łodzią podwodną.

- Bredzisz - wycedził pogardliwie Smith. Reszta roześmiała się.

Chudy rozdał karty po raz drugi. Tym razem wygrał Smith, pozostali przegrali.

- Mam tylko szylinga - powiedział Chudy. - Na emeryturę przeniosę się do tego małego domku w Devon. Jasne, że go nie złapiemy.

- Deztertera?

- Jeńca.

- Czemu?

Chudy uderzył się w czoło.

- Rusz głową! Kiedy się uspokoi, my wciąż będziemy tutaj, a łódź podwodna na dnie zatoki przy wyspie. Jak myślisz, kto będzie pierwszy? Jasne, że Szwaby.

- Więc po co to wszystko? - spytał Smith.

- Ponieważ ci, którzy wydają rozkazy, nie są tak bystrzy, jak wasz oddany Albert Parish. Możecie się teraz śmiać. - Jeszcze raz przełożył karty. - Zgłoście stawki. Zobaczycie, że mam rację. Cóż to takiego, Smith? Pen? Gorblimey, nie szalej. Stawiam pięć przeciw jednemu, że wrócimy z Wyspy Wiatrów z niczym. Kto przyjmuje zakład? No dobra, dziesięć przeciw jednemu. Co? Nikt? Dziesięć do jednego!

- Nikt - powiedział Smith. - Rozdawaj.

Chudy znów rozdał karty.

Dowódca eskadry, Peter Blenkinsop, stojąc prosto jak struna przed mapą, odwrócił się do słuchaczy.

- Latamy w formacjach trójkątnych - zaczął. - Pierwsza trójka startuje, gdy tylko pozwoli pogoda. Nasz cel - dotknął mapy kijem - jest tutaj. Wyspa Wiatrów. Będziemy nad nią krążyć przez dwadzieścia minut na niewielkiej wysokości, szukając łodzi podwodnych. Po dwudziestu minutach powrót do bazy. - Umilkł. - Ci, z was, którzy potrafią logicznie myśleć, wywnioskowali zapewne, że dla uzyskania ciągłości druga formacja trzech samolotów musi wystartować dokładnie dwadzieścia minut po pierwszej, podobnie z następnymi. Są pytania?

Oficer Longman zawahał się.

- Sir?

- Słucham, Longman.

- Co mamy robić, jeśli zobaczymy łodzie?

- Bombardujcie! To jasne. Zrzućcie granaty. Zróbcie zamieszanie.

- Ale my latamy na myśliwcach, sir. Niewiele możemy zrobić, by zatrzymać łodzie podwodne.

To zadanie dla okrętów wojennych.

Blenkinsop westchnął.

- Ci z was, którzy mają lepsze propozycje wygrania tej wojny, mogą zwrócić się listownie do Winstona Churchilla, Downing Street 10, Londyn SW1. Czy są jakieś pytania poza tępym

krytykanctwem?

Pytań nie było.

“Te ostatnie lata wojny stworzyły jakiś odmienny rodzaj oficera” - rozmyślał Bloggs. Siedział w sali wypoczynkowej przy kominku i słuchając, jak deszcz wali w blaszany dach, chwilami przysypiał. Piloci, którzy brali udział w bitwie o Anglię, wydawali się być niepoprawnymi entuzjastami z ich uczniowskim żargonem, nieustannym popijaniem, niewyczerpaną witalnością i isticie kawalerską pogardą dla śmierci, o którą ocierali się na co dzień. Ich chłopięcy heroizm wygasł nieco w późniejszych latach wojny, gdy obowiązek zmuszał do rozstania z domem, a żmudny, mechaniczny wysiłek związany z ochroną wypraw bombowców stał się ważniejszy od olśniewających indywidualnych wyczynów w walkach powietrznych. Wciąż jeszcze pili i posługiwali się żargonem, ale wydawali się starsi, bardziej bezwzględni i cyniczni. Nie przypominali już w niczym uczniów. Bloggs przypomniał sobie, w jaki sposób potraktował biednego włamywacza w czasie przesłuchań na posterunku w Aberdeen i pomyślał: “Wszyscy zmieniliśmy się”.

Piloci byli bardzo spokojni. Siedzieli teraz razem z Bloggsem; niektórzy drzemali jak on sam, inni czytali lub w coś tam grali, a nawigator uczył się w kącie rosyjskiego.

Do sali wszedł jeszcze jeden pilot. Siedzący z półprzymkniętymi oczyma Bloggs uzmysłowił sobie naraz, że ten chłopak jest jedynym, który nie postarzał się przez wojnę. Uśmiechał się szeroko, a jego twarz wyglądała tak świeżo, jakby nie musiał golić się częściej niż raz w tygodniu.

Miał rozpiętą kurtkę, a w ręce trzymał czapkę. Ruszył w kierunku Bloggsa.

- Inspektor śledczy Bloggs?

- Tak, to ja.

- Dobra nasza. Jestem pańskim pilotem. Nazywam się Charles Calder.

- Cieszę się. - Uścisnęli sobie dłonie.

- Latawiec jest gotów. Silnik jak złoto. To amfibia, wie pan?

- Tak.

- Dobra nasza. Będziemy wodować na morzu, podpłyniemy na odległość dziesięciu jardów od brzegu i wsadzimy pana do szalupy.

- A potem zaczekacie, aż wrócę.

- To jasne. No, teraz potrzebna nam tylko pogoda.

- Tak. Widzisz, Charles, od sześciu dni i nocy szukam tego faceta. Więc gdy tylko nadarza się okazja, staram się pospać. Nie gniewaj się.

- Rozumiem. - Pilot usiadł obok i wyciągnął spod kurtki grubą książkę.

- *Wojna i pokój* - powiedział. - Nadrabiam braki w edukacji.

- Dobra nasza - odparł Bloggs i zamknął oczy.

Percival Godliman i jego wuj, pułkownik Terry, siedzieli obok siebie w pokoju sztabowym i popijali kawę. Godliman zaczynał się powtarzać.

- Nie wiem, co jeszcze możemy zrobić - powiedział.

- To już słyszałem.

- Korweta jest w pobliżu, a myśliwce gotowe do startu, zaledwie o parę minut drogi. Ostrzelają łódź, gdy tylko się wynurzy.

- O ile ją zobaczą.

- Korweta błyskawicznie dobije do wyspy, Bloggs będzie tam zaraz potem, a Straż Przybrzeżna ma zamykać pochód.

- I nie ma żadnej pewności, że ktokolwiek z nich zdąży na czas.

- Wiem. - Godliman skinął głową ze znużeniem. - Zrobiliśmy, co było możliwe, ale czy to wystarczy? Terry zapalił papierosa.

- Co wiesz o mieszkańcach wyspy?

- Właśnie. Są tam tylko dwa domy. W jednym mieszka farmer z żoną i małym dzieckiem, w drugim stary pasterz. Pasterz ma radiostację, pracuje dla Królewskiej Służby Obserwacyjno-Meldunkowej, ale nie jesteśmy w stanie go namierzyć. Prawdopodobnie nie nastawił aparatu na nadawanie. Jest stary.

- Farmer wygląda bardziej obiecująco - powiedział Terry. - Jeśli to bystry chłop, może uda nam się zatrzymać tego szpiega.

Godliman potrząsnął głową.

- Ten biedak jeździ na wózku inwalidzkim.

- Boże drogi, nie mamy jakoś szczęścia, co?

- Nie - odparł Godliman. - Ma je za to Die Nadel.

Rozdział 33

Lucy całkiem się uspokoiła. Uczucie to ogarniało ją stopniowo, jak działanie zastrzyku znieczulającego, osłabiając emocje i wyostrejając inteligencję. Paraliżująca dotąd myśl, że dzieli dom z mordercą, ustąpiła miejsca chłodnej, pełnej opanowania obserwacji.

Zajęta codziennymi sprawami, krzątając się w pobliżu Henry'ego, który siedział w bawialni i czytał jakąś powieść, zastanawiała się, czy mógł dostrzec zmianę w jej zachowaniu. Był przecież bardzo spostrzegawczy. Niewiele uchodziło jego uwagi, a w zająsci przy jeepie wyraźnie dał wyraz swoim obawom, jeśli nie podejrzeniom. Chyba zauważył, że coś wytrąciło ją z równowagi. Z drugiej strony mógł myśleć, że chodziło jej o Jo'ego, który przecież zobaczył ich razem w łóżku. Miała dziwne wrażenie, że Henry dokładnie zna jej myśli, ale woli udawać, że wszystko jest w porządku. Rozwiesiła pranie na suszarce w kuchni.

- Wybacz - powiedziała, gdy ukazał się w drzwiach - ale nie mogę w nieskończoność czekać, aż przestanie padać. Spojrzał bez zainteresowania.

- Nie szkodzi - powiedział i wrócił do bawialni.

Między mokrymi rzeczami Lucy powiesiła swoje suche ubranie.

Na obiad podała zapiekankę z warzywami, przyrządzoną według prostego przepisu. Zawołała Jo i Henry'ego i podała do stołu. Strzelba stała w rogu oparta o ścianę.

- Nie lubię naładowanej broni w domu, Henry - powiedziała Lucy.

- Wyniosę ją po obiedzie - obiecał. - Dobra zapiekanka.

- Niedobra - zaprotestował Jo.

Lucy podniosła strzelbę i położyła ją na kredensie.

- Chodzi mi tylko, o to, żeby Jo nie mógł do niej sięgnąć.

- Jak urosnę, będę strzelać do Niemców - oświadczył mały.

- Dziś po południu chcę, żebyś trochę pospał. - Lucy wyszła do pokoju i wyjęła z buteleczki w szafie jedną z pastylek nasennych Davida. Dwie tabletki stanowiły silną dawkę dla mężczyzny, który ważył osiemdziesiąt kilogramów, więc pomyślała, że jedna czwarta tabletki wystarczy, by chłopiec o wadze dwudziestu pięciu kilogramów spał całe popołudnie. Położyła tabletkę na deseczce, podzieliła na pół, raz i jeszcze raz. Potem zmiażdżyła ćwiartkę, wsypała proszek do szklanki z mlekiem i podała ją Jo'emu, mówiąc: - Wypij do samego dna.

Henry patrzył na to wszystko, nie wtrącając się.

Po obiedzie Lucy posadziła Jo'ego na kanapie, kładąc obok stertę książek. Oczywiście nie potrafił jeszcze czytać, ale tyle razy czytała mu je głośno sarna, że większość z nich znał na pamięć i przewracając strony recytował z pamięci całe fragmenty.

- Napiłbyś się kawy? - spytała Henry'ego.

- Prawdziwej? - zdumiał się.

- Mam cały zapas.

- Tak, proszę!

Patrzył, jak ją przygotowywała. Może obawiał się, że i jego spróbuje uspić. Z pokoju obok dobiegł głos Jo'ego.

- "To, co powiedziałem przed chwilą, było: «Hej, jest tam kto?» - zawołał Puchatek donośnym głosem. - Nie! - zabrzmiała odpowiedź" - i Jo roześmiał się serdecznie, jak zawsze w tym miejscu. "O Boże - pomyślała Lucy - nie pozwól go skrzywdzić".

Napełniła filiżanki i siadła naprzeciw Henry'ego. Wyciągnął przez stół rękę i ujął jej dłoń. Siedzieli w milczeniu popijając kawę, słuchając deszczu i głosu dziecka.

- "Ile czasu trzeba na to, żeby trochę schudnąć? - spytał Puchatek zaniepokojony. - Myślę, że chyba z tydzień. - Ale ja nie mogę sterczeć tu przez cały tydzień!" - Zaczynała ogarniać go senność; po chwili ucichł. Lucy wyszła, nakryła go kocem i podniosła książkę, która zsunęła się na podłogę. Dostała ją, gdy była dzieckiem, i podobnie jak on, znała na pamięć całe fragmenty. Na stronie tytułowej widniała wykaligrafowana pismem matki dedykacja: "Dla Lucy, w czwartą rocznicę urodzin - od mamy i taty". Odłożyła książkę na półkę.

Wróciła do kuchni.

- Śpi.

- Więc...?

Wyciągnęła rękę. Henry ujął jej dłoń. Łagodnie się poddała. Wstał. Poprowadziła go na górę do sypialni, zamknęła drzwi i ściągnęła przez głowę sweter. Przez chwilę stał nieruchomo patrząc na jej piersi. Potem zaczął się rozbierać. Nie była pewna, czy zdoła udawać, że go pragnie, czuła przecież tylko lęk i nienawiść.

Położyła się i objął ją.

Po chwili zdała sobie sprawę, że mimo wszystko nic nie musi udawać.

Przez chwilę leżała w zgięciu jego ręki, zastanawiając się, jak to możliwe, by ten sam człowiek mógł z zimną krwią zabijać i równocześnie tak gorąco kochać.

Spytała tylko: - Napijesz się herbaty?

Uśmiechnął się.

- Nie, dziękuję.

- A ja tak. - Wysunęła się z jego objęć i wstała. Podniósł się, ale położyła dłoń na jego płaskim brzuchu i powiedziała: - Nie, zostań tutaj. Przyniosę herbatę na górę. Jeszcze nie mam cię dosyć. Znow się uśmiechnął.

- Rzeczywiście chcesz nadrobić cztery stracone lata.

Gdy tylko wyszła z pokoju, uśmiech jak maska opadł z jej twarzy. Serce waliło z przerażenia, gdy szybko zbiegała po schodach. Głośno postawiła czajnik na kuchence i zadzwięczała porcelanowymi filiżankami. Potem zaczęła wkładać suche ubranie, rozwieszony na suszarce. Ręce tak jej drżały, że nie mogła zapiąć guzika w spodniach. Z góry dobiegło skrzypienie łóżka, poczuła, że zamiera z przerażenia; nasłuchiwała myśląc: "Nie wstawaj, tylko nie wstawaj!" Ale Henry po

prostu obrócił się na drugi bok. Była gotowa. Weszła do bawialni. Jo głęboko spał, cicho pomrukując.

- Boże, żeby się tylko nie obudził - modliła się Lucy. Podniosła go. Coś mamrotał przez sen, zamknęła oczy i całą siłą woli nakazała mu milczenie.

Otuliła go dokładnie kocem. Weszła do kuchni i sięgnęła po strzelbę na kredensie. Dubeltówka wyslizgnęła się jej z rąk i upadła na półkę, tłukąc talerz i dwie filiżanki. Hałas był ogłuszający. Stała sparaliżowana.

- Co się stało?! - zawołał Henry z góry.

- Wypadła mi filiżanka! - odkrzyknęła. Nie potrafiła jednak opanować drżenia w głosie.

Łóżko ponownie skrzyknęło i na podłodze tuż nad nią rozległy się kroki. Było już za późno, by się cofnąć. Podniosła strzelbę, otworzyła tylne drzwi i mocno przyciskając do siebie dziecko, ruszyła biegiem do szopy. Poślizgnęła się w miękkim błocie, upadła na kolana i nagle wybuchnęła płaczem. Na sekundę ogarnęła ją pokusa, by tak zostać i pozwolić mu się zamordować, tak jak zamordował jej męża. Przypomniała sobie jednak o dziecku, które trzymała w ramionach, wstała i pobiegła dalej.

Wpadła do szopy i otworzyła drzwiczki jeepa. Położyła Jo'ego na siedzeniu. Zsunął się na bok. Jęknęła: - O Boże - i wciągnęła go z powrotem. Dopadła drugich drzwiczek jeepa i skoczyła do środka, kładąc strzelbę na podłodze między nogami. Włączyła starter. Silnik zakrzuszył się, zgasł.

- Proszę, proszę!

Jeszcze raz przekręciła kluczyk. Wreszcie silnik zaskoczył.

Z tylnych drzwi domu wybiegł Henry.

Lucy wrzuciła jedynekę. Jeep wytoczył się z szopy.

Przez chwilę koła ślizgały się w błocie, w końcu złapały tarcie. Samochód nabierał szybkości przeraźliwie wolno. Usiłowała jak najprędzej oddalić się od Henry'ego, który boso pędził przez błoto. Czowała, że się zbliża.

Z całej siły dodawała gazu, chciało jej się krzyczeć z wściekłości. Henry był już tylko o parę kroków od niej, prawie na równi z samochodem, biegł jak lekkoatleta, jego ręce pracowały niczym cylindry, boso stopy ciężko uderzały w ziemię, policzki poczerwieniały z wysiłku, a naga klatka piersiowa podnosiła się i ciężko opadała.

Silnik zawył, poczuła szarpnięcie przy zmianie biegów i nagle samochód rozpędził się.

Popatrzyła w bok. Henry musiał wyczuć, że tym razem mu ucieknie. Rzucił się do przodu, niemal nurkując w powietrzu. Schwycił lewą ręką klamkę w drzwiach i już sięgał do nich prawą. Ciągnięty przez jeepa biegł chwilę obok, jego stopy niemal nie dotykały ziemi. Był tak blisko, że Lucy widziała twarz czerwoną z wysiłku i wykrzywioną z bólu; żyły szyi nabrzmiały mu jak sznury. Nagle zrozumiała, co musi zrobić. Zdjęła rękę z kierownicy, wysunęła ją przez okno i z nienawiścią wbiła mu w oko palec wskazujący z długim paznokciem.

Puścił drzwi i upadł, zasłaniając twarz rękoma. Odległość między nim a jeepem gwałtownie wzrosła.

Lucy uświadomiła sobie, że szłocha jak dziecko.

Dwie mile od domu zobaczyła wózek inwalidzki. Stał na szczycie skały jak pomnik. Metalowa konstrukcja i grube gumowe opony oparły się nieustającej ulewie, czarny zarys pojazdu widniał na tle ołowianoszarego nieba i wzburzonego morza. Widok ten był tak bolesny, jak widok jamy po wyrwanym z korzeniami drzewie lub domu z wybitymi oknami. Przypomniała sobie dzień, w którym zobaczyła go po raz pierwszy, w szpitalu. Stał przy łóżku Davida, nowy i lśniący. David z wprawą wsunął się do niego.

- Lekki jak piórko, to metal używany w samolotach - oznajmił z podejrzanym entuzjazmem i ruszył przed siebie wśród rzędu łóżek. Zatrzymał się na odległym krańcu sali, tyłem do niej. Gdy podeszła, dostrzegła, że płacze. Uklękła przed nim i bez słowa wzięła go za rękę. Wtedy po raz ostatni zdołała go pocieszyć.

Tam, na szczycie skały, deszcz i słony pył wodny wkrótce zniszczą metal, który w końcu zardzewieje i popęka, guma opon sparcieje, a skórzane siedzenie przegnije.

Nie zwolniła, gdy przejeżdżała obok.

Trzy mile dalej, w połowie drogi, skończyła się benzyna.

Opanowała przerażenie i usiłowała coś wymyślić, gdy jeep szarpnął i stanął.

Człowiek robi cztery mile na godzinę, przypomniała sobie. Henry był silny, ale miał ranną nogę i choć szybko się goiła, biegł za jeepem musiał mu zaszkodzić. Miała więc nad nim jakąś godzinę przewagi.

Nie było wątpliwości, że ruszy w ślad za nią - równie dobrze jak ona wiedział, że w domu Toma jest radiostacja. Miała mnóstwo czasu. Z tyłu samochodu znalazła kanister z benzyną zostawiony tam właśnie na wypadek takich sytuacji. Wsiadła, wyciągnęła kanister i otworzyła go. Pomyślała chwilę i nagle wpadła na pomysł, którego przebiegłość zdumiała ją samą. Zamknęła kanister. Przeszła do przodu jeepa, sprawdziła, czy stacyjka nie jest włączona, i otworzyła maskę. Nie była mechanikiem, ale potrafiła znaleźć kopułkę rozdzielacza i sprawdzić połączenie z silnikiem. Umieściła kanister bezpiecznie poza łukiem koła i zdjęła korek. W pudełku z narzędziami znalazła klucz od świec. Wykręciła świecę, jeszcze raz sprawdziła, czy stacyjka jest wyłączona, i włożyła świecę w otwór kanistra, umocowując ją taśmą. Potem zamknęła maskę.

Gdy Henry tu dotrze, z pewnością zechce uruchomić jeepa. Włączy stacyjkę, uruchomi starter, świeca zaiskrzy się i pół galona benzyny eksploduje. Nie wiedziała, jakie szkody może to spowodować, ale na pewno nie ułatwi mu to sytuacji.

W godzinę później gorzko żałowała swojej przebiegłości. Przemoczona do suchej nitki, dźwigając w ramionach śpiące dziecko, pragnęła tylko położyć się i umrzeć. Po namyśle zasadzka na Henry'ego wydała jej się wysoce ryzykowna i niepewna. Benzyna może zapalić się i wybuchnąć, ale jeśli w kanistrze nie było powietrza, to w ogóle się nie zapali. Najgorsze było jednak to, że Henry mógł zwęszyć podstęp, zajrzeć pod maskę, zdemontować "bombę", napełnić bak benzyną i ruszyć za nią. Chciała za wszelką cenę odpocząć, ale czuła, że jeśli usiądzie, to już nie wstanie. Powinna widzieć już dom Toma, niemożliwe przecież, by się tu zgubiła. Nawet gdyby nie chodziła tędy dziesiątki razy, wyspa była tak mała, że nie można było pomylić drogi.

Nagle rozpoznała lasek, w którym kiedyś widziała z Jo'em sarnę. Była więc o jakąś milę od domu pasterza - widocznie nie mogła dojrzeć go z powodu deszczu. Przerzuciła Jo'ego na drugie ramię i całym wysiłkiem zmusiła się, by stawać równo stopy.

Gdy w końcu w potokach deszczu ujrzała dom, chciało jej się krzyczeć z radości. Jo wydal się nagle lżejszy i mimo że ostatni odcinek prowadził pod górę, pokonała go nie wiadomo kiedy.

- Tom! - zawołała wpadając w drzwi. - Tom! Tom!

Odpowiedziało jej szczekanie Boba.

Weszła do środka.

- Tom, szybko! - Bob nerwowo kręcił się wokół jej nóg. Tom musiał być gdzieś niedaleko, pewnie w przybudówce. Weszła na górę i położyła Jo na łóżku Toma.

Radiostacja była w sypialni. Wyglądała jak skomplikowana konstrukcja przewodów, tarcz i przełączników. Zobaczyła też coś, co wyglądało na klucz Morse'a. Gdy go dotknęła, rozległ się krótki dźwięk. Z odległej pamięci dotarło do niej jakieś wspomnienie. Kod Morse'a na SOS. Dotknęła

znowu klucza - trzy krótkie, trzy długie, trzy krótkie.

“Gdzie jest Tom?” - pomyślała.

Usłyszała jakiś hałas i pobiegła do okna. Jeep pokonywał właśnie wzniesienie, na którym stał dom.

Więc Henry odkrył zasadzkę i napełnił bak benzyną.

“Gdzie Tom?!”

Wypadła z sypialni, z zamiarem dostania się do drzwi przybudówki. Zatrzymała się jednak na szczycie schodów. Bob stał w otwartych drzwiach drugiej, pustej sypialni.

- Chodź tutaj, Bob - powiedziała. Pies nie ruszył się jednak. Tylko szczekał.

Podeszła do niego i schyliła się, by wziąć go na rękę.

Wtedy zobaczyła Toma.

Leżał na plecach, na nagiej podłodze sypialni, z oczyma niewidząco wpatrzonymi w sufit. Miał rozpiętą marynarkę, a na koszuli widniała mała plama krwi. Blisko niego stał karton whisky. Lucy złapała się na niedorzecznej myśli: “Nie wiedziałam, że tyle pije”.

Znalazła puls. Nie żył.

- Myśl, myśl! - szepnęła.

Wczoraj Henry wrócił do domu Lucy pobity, jak gdyby z kimś walczył. Musiało się to zdarzyć, gdy zabił Davida. Dziś przyjechał tutaj, do domu Toma, mówiąc, że wybiera się po Davida. Wiedział dobrze, że Davida tam nie ma. Więc po co pojechał? Oczywiście, żeby zabić Toma.

Co nim powodowało?

Co było dla niego tak pałaco ważne, żeby jechać dziesięć mil, zabić starego człowieka, a potem wrócić z takim spokojem i opanowaniem, jakby wracał ze spaceru.

Lucy wzdrygnęła się. Została całkiem sama.

Wzięła psa za obrozę i odciągnęła go od ciała pana. Odruchowo nachyliła się i zapięła kurtkę, zakrywając śmiertelną, zadaną sztyletem ranę. Potem zamknęła drzwi. Zwróciła się do psa: - On nie żyje, ale ty jesteś mi potrzebny.

Weszła do sypialni i wyjrzała przez okno.

Jeep podjechał przed dom i zatrzymał się. Henry właśnie wysiadał.

Rozdział 34

Rozpaczliwy sygnał Lucy dotarł do korwety.

- Panie kapitanie, właśnie odebrałem SOS z wyspy - powiedział Starks.

Kapitan zmarszczył czoło.

- Nic nie możemy zrobić, póki nie da się tam dopłynąć. Czy przekazali coś jeszcze?

- Nic a nic. Nawet nie było powtórzenia. Kapitan zastanowił się chwilę.

- Nic nie możemy zrobić - powtórzył. - Zgłoś to w bazie i nasłuchuj.

- Tak jest, sir.

Sygnał został również odebrany przez stanowisko MI8 w górach Szkocji. Radiotelegrafista, młody człowiek z RAF-u, ranny w brzuch i mający przed sobą tylko sześć miesięcy życia, usiłował przechwycić sygnały niemieckiej marynarki z Norwegii i zlekceważył SOS. Niemniej gdy w pięć minut później zszedł ze swego stanowiska, wspomniął o tym od niechcienia dowódcy.

- Nadano go tylko raz - zauważył - prawdopodobnie jakiś kuter rybacki u wybrzeży Szkocji.

Bardzo możliwe, że wzywa pomocy w taką pogodę.

- Zajmę się tym - obiecał dowódca. - Zadzwońię do głównej kwatery marynarki. Zawiadomię także Whitehall. Rozumiecie, obowiązek służbowy.

- Dziękuję, sir.

W jednostce Królewskiej Służby Obserwacyjno-Meldunkowej zapanowało coś w rodzaju paniki. Wprawdzie SOS nie jest sygnałem, którym posługuje się obserwator na widok samolotu nieprzyjaciela, ale wszyscy wiedzieli, że Tom jest stary i nie wiadomo, co robi, gdy się zdenerwuje. Rozległy się syreny jak przed nalotem, zaalarmowano pozostałe jednostki i przygotowano działa przeciwlotnicze na całym wschodnim wybrzeżu Szkocji. Radiotelegrafista gorączkowo usiłował namierzyć częstotliwość fal Toma.

Oczywiście nie nadleciał żaden niemiecki bombowiec, a Ministerstwo Wojny zaczęło domagać się wyjaśnienia, dlaczego ogłoszono alarm, skoro na niebie nie widać nic prócz paru zmokłych gęsi.

Sprawę więc wyjaśniono.

Sygnał usłyszała również Straż Przybrzeżna. Odpowiedzieliby, gdyby sygnał nadany był na odpowiedniej częstotliwości, gdyby mogli ustalić miejsce radiostacji i gdyby to miejsce znajdowało się w rozsądnej odległości od brzegu.

Ponieważ sygnał nadano na częstotliwości Służby Obserwacyjno-Meldunkowej, wywnioskowano, że pochodzi od starego Toma: zrobiono więc wszystko, co tylko było w tej sytuacji możliwe.

Gdy wiadomość dotarła pod pokład kutra w Aberdeen, Chudy rozdawał właśnie karty do następnej partii.

- Powiem wam, co się stało - oświadczył. - Stary Tom złapał jeńca i siedzi mu na głowie, czekając, aż przyjdzie wojsko i zabierze tego skurczybyka.

- Brednie - orzekł Smith, a wszyscy mu przytaknęli.

U-505 również odebrała sygnał. Była wciąż o ponad trzydzieści mil morskich od Wyspy Wiatrów, ale Weissman uporczywie kręcił gałką w nadziei, że złapie Glena Millera z radiostacji amerykańskiej bazy w Wielkiej Brytanii. W ten sposób przypadkiem nastawił odbiornik na częstotliwość, na której nadawała Lucy. Przekazał tę informację kapitanowi Heer, dodając: - To nie była częstotliwość naszych.

Major Wohl, który mieszał się do wszystkiego i był drażliwy jak nigdy, orzekł: - Więc nie ma to znaczenia.

Heer nie omieszkał go poprawić.

- Właśnie, że coś znaczy - sprostował. - Gdy wyjdziemy na powierzchnię, może się coś dziać.

- Jednak mało prawdopodobne, by dotyczyło to nas - upierał się Wohl.

- Bardzo mało - zgodził się Heer.

- A więc bez znaczenia.

- Prawdopodobnie bez znaczenia. Spierali się tak całą drogę do wyspy.

W ciągu pięciu minut marynarka wojenna, Służba Obserwacyjno-Meldunkowa, MI8 i Straż Przybrzeżna zawiadomiły telefonicznie Godlimana o sygnale SOS. Godliman zadzwonił do Bloggsa, który spał głęboko na fotelu przed kominkiem. Przenikliwy dźwięk telefonu obudził go z drzemki. Skoczył na równe nogi, przekonany, że to alarm. Jeden z lotników podniósł słuchawkę, dwukrotnie

powtórzył: "Tak" i podał ją Bloggsowi.

- Jakiś pan Godliman.
- Halo, Percy. Tu Bloggs.
- Fred, ktoś właśnie nadał z wyspy SOS.

Bloggs potrząsnął głową, usiłując całkowicie otrzeźwieć.

- Kto?
- Nie wiemy. Był tylko jeden sygnał, nie powtórzony, wydaje się, że sami nic nie odbierają.
- A więc nie ma już wątpliwości.
- Tak. Czy wszystko gotowe?
- Wszystko poza pogodą.
- Powodzenia.
- Dzięki.

Bloggs odłożył słuchawkę i zwrócił się do młodego pilota, który wciąż czytał *Wojnę i pokój*.

- Dobre wieści: ten drań na pewno jest na wyspie.
- Dobra nasza - odpowiedział lotnik.

Rozdział 35

Henry zamknął drzwiczki jeepa i wolno ruszył ku domowi. Miał znów na sobie kurtkę Davida: spodnie były całe zabłocone, a mokre włosy przylegały do głowy. Lekko utykał na prawą nogę. Lucy cofnęła się od okna, wybiegła z sypialni i ruszyła w dół po schodach. Strzelba leżała tam, gdzie ją zostawiła - na podłodze w hallu. Podniosła ją. Wydała się jej teraz bardzo ciężka. Lucy w gruncie rzeczy nigdy dotąd nie strzelała, toteż nie miała pojęcia, jak sprawdzić, czy broń jest nabita. Gdyby miała czas, jakoś dałaby sobie radę, ale czasu nie było.

Głęboko wciągnęła powietrze i gwałtownie otworzyła drzwi.

- Stój! - krzyknęła. Jej głos był cieńszy, niż sobie tego życzyła, brzmiał ostro i histerycznie. Henry uśmiechnął się ujmująco i szedł dalej.

Lucy wycelowała w niego: lewą ręką trzymała lufę, a prawą zamek. Palec oparła na spuście.

- Zabiję cię! - krzyczała.

- Nie bądź głupia, Lucy - powiedział łagodnie. - Jak mogłabyś to zrobić po tym wszystkim, co nas łączyło? Czy nie kochaliśmy się trochę? - Miał rację. Wmówiła sobie, że nie może go pokochać i była to prawda, jednak... Jeśli nawet nie była to miłość, to uczucie bardzo podobne.

- Wiedziałaś już o wszystkim po południu - ciągnął; był już parę kroków od niej - a jednak nie miało to wtedy dla ciebie znaczenia.

Miał rację. Przez chwilę niemal czuła dotyk jego czułych rąk i wtedy zdała sobie sprawę, do czego on zmierza. Nacisnęła spust.

Rozległ się ogłuszający huk, strzelba podskoczyła w jej rękach jak żywa i siła odrzutu uderzyła ją w biodro. Zaszokowana, omal nie puściła broni. Nie miała pojęcia, że tak właśnie wygląda strzał. Na moment całkiem ogłuchła.

Pocisk przeszedł wysoko nad głową Henry'ego, który mimo to schylił się, obrócił i zygzakiem pobiegł do samochodu. Lucy miała ochotę jeszcze raz strzelić, ale zrezygnowała w ostatniej chwili, gdyż zdała sobie sprawę, że jeśli obie lufy będą puste, to nie zdoła go już zatrzymać.

Otworzył drzwiczki jeepa i pędem ruszył w dół.

Wiedziała, że powróci.

Nagle poczuła się szczęśliwa, prawie wesola. Wygrała pierwszą rundę - zdołała go przegonić, chociaż była kobietą.

Ale wiedziała, że powróci.

Czuła jednak przewagę. Była w domu, miała broń i czas, by się przygotować. Przygotować. Tak. Musiała być przygotowana. Następnym razem będzie bardziej przebiegły. Z pewnością będzie usiłował ją zaskoczyć. Miała nadzieję, że Henry zaczeka, aż zapadnie ciemność. Oznaczałoby to dodatkowy czas dla niej.

Przede wszystkim musi załadować strzelbę.

Weszła do kuchni. Tom trzymał tu wszystko - żywność, narzędzia, węgiel i zapasy. Miał taką samą strzelbę jak David. Wiedziała, że są identyczne. David oglądał dokładnie dubeltówkę Toma, a potem zamówił identycznie taką samą dla siebie. Obaj lubili długie dyskusje na temat broni.

Znalazła dubeltówkę Toma i pudełko z amunicją. Ułożyła na stole obie strzelby i pudełko.

Była pewna, że mają prostą konstrukcję; to obawa, nie głupota wstrzymuje kobiety przed rozwiązaniem różnych problemów technicznych. Przez chwilę manipulowała przy strzelbie Davida, trzymając lufę od siebie, aż w końcu strzelba otworzyła się na kolbie. Zastanowiła się chwilę, jak to się stało, a potem parokrotnie powtórzyła czynność.

Było to zadziwiająco proste.

Załadowała obie strzelby, po czym, aby upewnić się, że zrobiła wszystko prawidłowo, wycelowała dubeltówkę Toma w ścianę kuchni i nacisnęła spust. Tynk posypał się ze ścian, Bob zaczął wściekle ujadać, znowu poczuła ból stłuczonego odrzutem biodra i na nowo ogłuchła. Ale teraz była naprawdę uzbrojona. Musi tylko pamiętać, by delikatnie naciskać spust i nie ruszać strzelbą, inaczej chybi. Prawdopodobnie takich rzeczy uczą mężczyzn w wojsku.

Co robić dalej? Powinna utrudnić mu wejście do domu.

Oczywiście żadne drzwi nie miały zamka. Gdyby obrabowano kogoś na wyspie, złodziejem mógł być tylko sąsiad. Lucy poszperała w pudełku z narzędziami i znalazła lśniący, ostry toporek. Stała na schodach i zaczęła rąbać balustradę.

Ręce bolały ją od tej pracy, ale po jakimś czasie miała już sześć krótkich kawałków mocnego, suchego dębowego drewna. Znalazła młotek i gwoździe i przybiła dębowe sztachetki do drzwi frontowych i kuchennych. Po trzy na każdych drzwiach. Gdy skończyła, ból nadgarstków stał się torturą, a młotek wydawał się ciężki jak ołów. Wiedziała jednak, że to nie koniec. Wzięła jeszcze garść lśniących gwoździ i zabiła wszystkie okna w domu. Tymczasem zrobiło się ciemno. Nie zapaliła jednak świateł.

Oczywiście mógł dostać się do domu, ale nie zdoła już zrobić tego po cichu. Musiałby coś wyłamać, ujawniając się w ten sposób, a Lucy czekała już z bronią.

Weszła na górę ze strzelbami sprawdzić, co robi Jo. Wciąż jeszcze spał zawinięty w koc na łóżku Toma. Zapaliła zapałkę, by spojrzeć na jego buzię. Tabletki nasenna rzeczywiście silnie podziałała, ale chłopiec miał normalne kolory i spokojnie oddychał.

- Tylko tak dalej, mój mały - wyszeptwała. Nagły przyływ czułości spotęgował jej nienawiść do Henry'ego.

Przez chwilę krążyła po domu, wpatrując się przez okna w ciemność. Pies nie opuszczał jej ani na chwilę. Zostawiła drugą strzelbę na szczycie schodów, ale wsunęła za pas toporek. Przypomniała sobie o radiostacji i nadała kilkakrotnie SOS. Nie wiedziała, czy ktoś może ją usłyszeć i czy radiostacja w ogóle działa. Nie знаła alfabetu Morse'a, więc nie mogła przekazać nic więcej.

Przyszło jej na myśl, że i Tom prawdopodobnie nie znał Morse'a. Powinien więc mieć gdzieś książkę szyfrów. Och, gdyby tylko mogła kogoś zawiadomić, co się tu dzieje. Przeszukała dom,

zużyła mnóstwo zapalek, za każdym razem drętwiejąc ze strachu, gdy zapalała którąś blisko okna, ale nic nie znalazła.

- Trudno, prawdopodobnie Tom znał Morse'a.

Z drugiej strony, po co mu był potrzebny ten alfabet? Miał tylko meldować pojawienie się samolotów nieprzyjaciela, zresztą wiadomości te mogły być przesyłane drogą radiową. Zaraz... jak to mówił David... klerem, otwartym tekstem.

Wróciła do sypialni i spojrzała na radiostację. Z jednej strony głównej skrzynki, poprzednio przez nią nie zauważony, wisiał mikrofon.

Jeśli mogła mówić do nich, oni również mogli do niej mówić. Dźwięk głosu człowieka, normalny zdrowy głos z lądu, wydał się jej nagle najbardziej upragnioną rzeczą na świecie. Podniosła mikrofon i zaczęła eksperymentować z przełącznikiem. Bob cicho warknął.

Odłożyła mikrofon i w ciemności wyciągnęła rękę do psa.

- Co jest, Bob?

Znów warknął. Czowała, że postawił sztywno uszy. Była śmiertelnie przerażona. Pewność siebie i poczucie bezpieczeństwa, jakie dała jej chwilowa przewaga nad Henrym, umiejętność posługiwania się bronią oraz zabarykadowany dom, całkowicie opuściły ją z chwilą, gdy warknął czujny pies.

- Na dół - szepnęła do siebie. - Tylko spokojnie. Wzięła Boba za obrozę i pozwoliła mu sprowadzić się po schodach. W ciemnościach chciała oprzeć się o balustradę, zapominając, że ją porąbała, i omal nie straciła równowagi.

W hallu pies zawahał się na moment, potem głośniej warknął i pociągnął ją do kuchni. Wzięła go na rękę i ścisnęła dłonią za pysk, żeby nie szczekał. Potem podczołgała się do drzwi. Spojrzała w okno, ale nie dostrzegła nic poza głęboką ciemnością. Zaczęła nasłuchiwać. Skrzypnęło okno, najpierw niemal niedosłyszalnie, potem głośniej. Próbował dostać się do środka. Bob znów warknął, tym razem głośniej i gardłowo. Zrozumiał jednak, gdy ścisnęła go za pysk, i ucichł.

Noc stawała się spokojniejsza. Lucy zauważyła, że sztorm niemal niepostrzeżenie cichnie. Wyglądało na to, że Henry zrezygnował z kuchennego okna. Przeszła do bawialni. Znów rozległo się skrzypnięcie starego, wytrzymałego na uderzenia drewna. Tym razem Henry był bardziej zdecydowany. Rozległy się trzy głucho uderzenia, jakby próbował wyważyć ramę okienną. Lucy puściła psa na podłogę i podniosła strzelbę. Może było to tylko złudzenie, ale wydawało jej się, że teraz widzi szary kwadrat okna na tle nieprzeniknionych ciemności. Postanowiła wystrzelić, gdy tylko Henry otworzy okno.

Rozległo się głośnie uderzenie. Bob nie wytrzymał i zaczął głośno ujadać. Usłyszała głos Henry'ego.

- Lucy... Zagryzła wargi.

- Lucy... - Głos brzmiał głęboko, miękko i intymnie, jak wtedy, gdy byli w łóżku. - Lucy, czy mnie słyszysz? Nie bój się. Nie chce cię skrzywdzić. Tylko odezwij się do mnie, proszę.

Chciała nacisnąć oba spusty, po to tylko, by nie słuchać dłużej tego głosu, który wywoływał tyle wspomnień...

- Lucy, kochanie... - Wydawało jej się, że słyszy zdławiony szloch. - Zaatakował mnie, musiałem go zabić. Zrobiłem to dla mojego kraju. Nie możesz mnie za to nienawidzić.

Nic nie rozumiała. Brzmiało to jak bredzenie szaleńca. Jak zdołał to ukryć przez spędzone z nią dwa dni? Wydawał jej się zupełnie zdrowy. A mimo to mordował i przedtem... chyba że niesprawiedliwie go oskarżono. Do diabła... zaczynała mięknąć, pewnie o to właśnie mu chodziło.

Wpadła na nowy pomysł.

- Lucy, odezwij się.

Jego głos oddalał się, gdy na palcach wchodziła do kuchni. Bob ostrzegłby ją, gdyby Henry chciał cokolwiek zrobić. Zaczęła szperać w pudełku z narzędziami Toma i po chwili znalazła obcęgi. Podeszła do okna, namacała główki gwoździ, które sama wbiła i ostrożnie je wyciągnęła. Gdy skończyła, wróciła do pokoju i znów zaczęła nasłuchiwać.

- ... odejdę, tylko mi nie przeszkadzaj.

Cicho, jak tylko mogła, otworzyła okno w kuchni i wzięła Boba na rękę.

- ... nigdy nie potrafiłbym cię skrzywdzić.

Pogłaskała psa, szepnęła: - Nie robiłabym tego, gdybym nie musiała, piesku - i wypchnęła go przez okno. Natychmiast potem znów je zamknęła, znalazła gwóźdź i wbiła go trzema uderzeniami w ramę. Przycisnęła do ściany, trzymając strzelbę ruszyła do bawialni.

- ... daję ci ostatnią szansę... auu!

Usłyszała odgłos psich łap, mrożące krew szczeknięcie, jakiego nigdy przedtem nie słyszała, jakieś szurania i łoskot upadającego ciała. Potem krótki oddech Henry'ego, sapanie, znowu drapanie psich pazurów, krzyk bólu, przekleństwo w obcym języku i znów szczeknięcie. Odgłosy stawały się coraz bardziej stłumione i odległe.

Lucy wyteżyła słuch, przycisnęła do ściany przy oknie.

Chciała pójść na górę, sprawdzić, co robi Jo, i jeszcze raz wypróbować radiostację, ale nie miała odwagi ruszyć się z miejsca. Krwawe wizje tego, co pies mógł zrobić z Henrym, całkowicie opanowały jej wyobraźnię; marzyła tylko o tym, by wreszcie usłyszeć węszenie psa pod drzwiami. Znów spojrzała w okno i uświadomiła sobie, że widzi nie tylko niewyraźny, jaśniejszy kwadrat, lecz również drewnianą framugę. Wiedziała, że wkrótce ciemności zaczną się rozpraszać. Powoli wstanie świt. Zobaczysz wtedy pokój i meble, a Henry nie zaskoczy jej już nieprzygotowanej.

Niemal tuż przy jej twarzy rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Odskoczyła. Odlamek zranił ją w policzek. Mocniej ujęła strzelbę, przekonana, że Henry spróbuje teraz wejść przez okno. Nic się jednak nie stało. Minęła chwila, zanim zaczęła się zastanawiać, co mogło stłuc szybę. Spojrzała na podłogę. Wśród kawałków stłuczonego szkła leżał jakiś duży, ciemny kształt.

Dopiero po chwili zrozumiała, że to pies.

Zamknęła oczy i odwróciła głowę. Śmierć wiernego owczarka nie wywołała w niej żadnego uczucia. Świadomość zagrożenia, która od jakiegoś czasu stale jej towarzyszyła, całkowicie sparaliżowała jej wrażliwość; najpierw David, potem Tom, wreszcie straszliwe napięcie całonocnego obłąkania...

Czuła tylko głód. Wczoraj przez cały dzień była zbyt zdenerwowana, żeby coś przełknąć, minęło już trzydzieści sześć godzin od ostatniego posiłku. Ogarnęła ją nagle przemożna i nedorzeczna ochota na kanapkę z serem.

Znów coś pojawiło się w oknie. Kątem oka zobaczyła rękę Henry'ego. Wpatrywała się w nią jak urzeczona. Była to ręka o długich palcach, białej skórze, widocznej mimo brudu, i wypielęgnowanych paznokciach, ręka, która jej dotykała i która wbiła sztylet w serce starego pasterza.

Henry wybijał szybę kawałek po kawałku. Otwór powiększał się. Potem jego dłoń wsunęła się do środka i zaczęła posuwać się wzdłuż parapetu w poszukiwaniu zamka.

Bezszelestnie, niemal boleśnie wolno Lucy przełożyła strzelbę do lewej ręki, a prawą wyjęła zza pasa topór, podniosła go wysoko nad głowę i z całej siły opuściła na dłoń Henry'ego.

Musiał usłyszeć, jak ostrze przecina powietrze lub dostrzec cień, który poruszył się za oknem, gdyż cofnął się na ułamek sekundy przed uderzeniem.

Topór wbił się w drzewo parapetu i utkwiał w nim. Przez moment Lucy wydawało się, że

chybiła, wtem usłyszała z zewnątrz krzyk bólu. Zobaczyła, że obok topora, na pokostowanym drewnie, leżą dwa odcięte palce.

Rozległ się odgłos oddalających się kroków.

Zwymiotowała.

Opanowało ją całkowite wyczerpanie i straszliwe rozżalenie.

Chyba, na Boga, dość już się wycierpiała. Na świecie takimi sprawami zajmuje się policja i wojsko. Nikt nie może przecież wymagać od zwykłej matki i żony, by w nieskończoność przeciwstawiała się mordercy. Kto miałby prawo ją winić, gdyby teraz się załamała. Czy znalazłby się na świecie mężczyzna odważniejszy od niej, wytrwalszy, bardziej stanowczy i pomysłowy?

Była wykończona. Muszą się tym zająć, cały ten świat na lądzie: policjanci, żołnierze, ktokolwiek jest po drugiej stronie nadajnika. Dłużej już nie wytrzyma.

Oderwała wzrok od groteskowych przedmiotów na parapecie i ciężko weszła po schodach. Podniosła drugą strzelbę i zabrała obie do sypialni.

Na szczęście Jo wciąż spał. Przez całą noc prawie nie drgnął, nieświadom tego, co działo się wokół niego. Widziała jednak, że nie śpi już tak głęboko, wyraz jego twarzy i sposób oddychania zapowiadały, że wkrótce zbudzi się i zechce coś zjeść.

Nagle zatęskniła za rutyną codziennego życia: rannym wstawaniem, przygotowywaniem śniadania, ubieraniem Jo'ego, prostymi monotonnymi zajęciami domowymi, jak zmywanie, pranie, strzyżenie trawy w ogrodzie czy przyrządzanie herbaty. Nie mogła uwierzyć, że kiedyś do rozpaczy doprowadzała ją obojętność Davida, nudne długie wieczory, bezkresny ponury krajobraz pełen wrzosu, torfu i deszczu.

Tamto życie należało już do przeszłości. Pamiętała, jak bardzo pragnęła rozrywek, podróży do dużych miast, muzyki, ludzi, nowych pomysłów. Wszystkie te marzenia opuściły ją teraz i nie mogła zrozumieć, jak to się stało, że kiedyś zawładnęły jej wyobraźnią. Wydało jej się, że jedyną rzeczą, jakiej potrzebuje natura ludzka, jest spokój.

Usiadła przed radiostacją wpatrując się w pokrętła i tarcze.

“Jeszcze tylko to jedno - pomyślała - potem odpocznę”. Zrobiła kolosalny wysiłek, by przez chwilę logicznie myśleć. Kombinacje tarcz i przełączników nie były aż tak liczne. Przekręciła pokrętło z podwójną regulacją i stuknęła w klucz Morse'a. Nie wydał dźwięku. Może znaczyło to, że teraz działa mikrofon?

Przyłożyła go do ust i powiedziała: - Halo, halo, czy ktoś mnie słyszy? Halo!

Jeden z przełączników miał na górze napis: “Nadawanie”, a na dole - “Odbiór”. Był nastawiony na nadawanie. Jeśli chce coś usłyszeć, musi przekręcić go na odbiór. Powiedziała: - Halo, czy ktoś mnie słyszy? - i przekręciła przełącznik na odbiór.

Cisza.

I nagle: - Halo, Wyspa Wiatrów, słyszymy was głośno i wyraźnie. Był to głos mężczyzny. Młody, silny, budzący zaufanie, uspokajający, żywy i normalny.

- Słucham cię, Wyspa Wiatrów, całą noc próbowaliśmy was złapać. Gdzieście się podziewali, do diabła?

Lucy nastawiła “Nadawanie”, próbowała coś powiedzieć i wybuchnęła płaczem.

Rozdział 36

Percival Godliman cierpiał na ból głowy. Zbyt dużo wypalił papierosów i zbyt mało spał.

Wypił również małą whisky, by wzmocnić się przed długą, nerwową nocą w biurze i to był błąd. Wszystko go przygnębiało: pogoda, biuro, praca, wojna. Po raz pierwszy od chwili, gdy zaczął pracować w wywiadzie, zdał sobie sprawę z tego, że tęskni do zakurzonych bibliotek, nieczytelnych manuskryptów i średniowiecznej łaciny.

Do pokoju wszedł pułkownik Terry z dwiema filiżankami herbaty na tacy.

- Nikt tu nie śpi - powiedział wesoło i usiadł. - Herbatnika? - Podał talerz Godlimanowi.

Godliman nie wziął herbatnika, ale wypił herbatę. Dodało mu to na chwilę energii.

- Właśnie miałem telefon od człowieka z grubym cygarem - powiedział Terry - czuwa razem z nami.

- Nie rozumiem, po co - stwierdził kwaśno Godliman.

- Martwi się.

Zadzwoił telefon.

- Godliman.

- Królewska Służba Obserwacyjno-Meldunkowa w Aberdeen do pana.

- Tak.

W słuchawce odezwał się nowy głos młodego człowieka.

- Tu Królewska Służba Obserwacyjno-Meldunkowa w Aberdeen.

- Tak.

- Czy to pan Godliman?

- Tak. - "Boże wielki, ależ ci wojskowi się nie spieszą" - pomyślał niechętnie.

- W końcu złapaliśmy Wyspę Wiatrów, sir.

- Dzięki Bogu.

- To nie jest nasz stały współpracownik. Tylko jakaś kobieta.

- Co powiedziała?

- Jeszcze nic, sir.

- Co pan opowiada. - Godliman z trudem opanował irytację, która ogarniała go coraz silniej.

- Ona tylko... no, płacze, sir.

- Och... - Godliman zawahał się. - Czy może mnie pan z nią połączyć?

- Tak. Chwileczkę. - Po chwili ciszy przerywanej kilkoma trzaskami rozległ się szum. Godliman usłyszał kobiecy płacz.

Spytał: - Halo, czy mnie pani słyszy?

Szloch nie ustawał.

Włączył się młody człowiek mówiąc: - Nie będzie pana słyszeć, dopóki nie naciśnie przełącznika na odbiór, sir. O, właśnie to zrobiła. Proszę mówić.

Godliman znów zaczął.

- Dzień dobry, panienko. Gdy skończę mówić, powiem: "odbiór", wtedy nastawi pani nadawanie, żeby mi odpowiedzieć, a gdy skończy mówić, powie: "odbiór". Czy mnie pani rozumie? Odbiór.

Rozległ się głos kobiety.

- Dzięki Bogu, że wreszcie słyszę kogoś normalnego. Tak. Rozumiem. Odbiór.

- A więc teraz - łagodnie ciągnął Godliman - proszę mi powiedzieć, co się tam dzieje. Odbiór.

- Dwa, nie, trzy dni temu pojawił się tu rozbitek. Myślę, że to ten morderca z Londynu, którego szukacie. Zabił mojego męża i naszego pasterza, a teraz krąży koło domu, a ja jestem z moim małym synkiem... Zabiłam okna i strzelałam do niego, i zabarykadowałam drzwi, i wypuściłam na niego psa, ale zabił psa, i uderzyłam go toporkiem, gdy próbował się dostać tu przez okno, i nie mogę już dłużej,

proszę, przyjdźcie tu i ratujcie... Odbiór.

Godliman położył dłoń na słuchawce. Jego twarz stała się biała jak papier.

- Biedactwo - wyszeptał. Ale gdy znów się do niej odezwał, jego głos brzmiał rażno i pogodnie.

- Musisz jeszcze trochę wytrzymać - zaczął. - Idą ci na pomoc marynarze, Straż Przybrzeżna, policjanci i wielu innych ludzi, ale nie mogą tam dotrzeć, póki nie skończy się sztorm. I teraz musisz zrobić jeszcze jedno. Nie mogę wyjaśnić czemu, gdyż mogą nas słuchać niepowołani ludzie. Podkreślam tylko, że to bardzo ważne. Czy słyszysz mnie wyraźnie? Odbiór.

- Tak, proszę mówić. Odbiór.

- Musisz zniszczyć radiostację. Odbiór.

- Nie, proszę... Czy naprawdę muszę?

- Tak - powiedział Godliman i nagle zdał sobie sprawę, że nie skończyła nadawania.

- Nie... nie mogę... - Potem rozległ się krzyk.

- Halo, Aberdeen! - zawołał Godliman. - Co się stało? Włączył się młody człowiek.

- Odbiornik wciąż nadaje, sir, ale przestała mówić. Nic nie słyszemy.

- Krzyczała.

- Tak, słyszeliśmy.

- Psiakrew.

Godliman myślał przez chwilę.

- Jaka u was pogoda?

- Pada, sir. - Młody człowiek był wyraźnie zdziwiony.

- Nie bawię się w konwersację, kolego - wysapał Godliman. - Pytam, co ze sztormem.

- Chyba trochę osłabł w ostatnich minutach, sir.

- Dobra. Łącz mnie natychmiast, gdy tylko ta kobieta zacznie mówić.

- Oczywiście, sir.

- Bóg jeden wie, co ta dziewczyna tam przeżywa - powiedział Godliman w stronę Terry'ego.

Pułkownik założył nogę na nogę.

- Gdyby tylko zniszczyła radiostację, wtedy...

- Wtedy nieważne, czy ją zabije?

- Tyś to powiedział.

Godliman rzucił do słuchawki: - Połączcie mnie z Bloggsem w Rosyth.

Bloggs gwałtownie wyrwany ze snu nasłuchiwał, podobnie jak wszyscy w świetlicy. Dniało. Nic jednak nie było słychać oprócz niezmaconej ciszy. Nawet deszcz przestał uderzać w blaszany dach. Bloggs podszedł do okna. Niebo było szare, a na wschodzie pojawiło się białe pasmo horyzontu. Wiatr nagle ucichł, a deszcz zmienił się w lekką mżawkę. Piloci zaczęli wkładać kurtki i czapki, zawiązywać buty, sięgali po ostatniego papierosa.

Nad lotniskiem rozległo się donośne: "Do maszyn!" W tej samej chwili zadzwieczał telefon, ale wszyscy cisnęli się do drzwi, nie zwracając na to uwagi. Bloggs podniósł słuchawkę.

- Tak?

- Tu Percy, Fred. Właśnie porozumieliśmy się z wyspą. Zabił dwóch mężczyzn. W tej chwili walczy z nim jeszcze kobieta, ale to nie potrwa długo.

- Sztorm ustał. Startujemy - powiedział Bloggs.

- Pospieszcie się, Fred. Do widzenia.

Bloggs odłożył słuchawkę, i spojrzał na swego pilota. Charles Calder usnął nad *Wojną i pokojem*. Bloggs szarpnął go brutalnie.

- Zbudź się, śpiochu, zbudź się! - Calder otworzył oczy. Bloggs miał ochotę go uderzyć.
- Szybko, ruszamy! Sztorm się skończył. - Pilot zerwał się na równe nogi.
- Dobra nasza! - powiedział i wybiegł z pokoju. Bloggs za nim.

Łódź ratunkowa wpadła do wody tak głośno, że brzmiało to jak wystrzał z pistoletu. Morze nie było spokojne, ale tutaj, w zatoce, mocna szalupa w rękach doświadczonych marynarzy nie była narażona na żadne ryzyko.

- Ruszajcie, na stanowisko pierwsze - rzucił kapitan. Porucznik stał przy relingu z trzema marynarzami. Miał przy boku pistolet w wodoszczelnej osłonie. - Idziemy, chłopcy - powiedział. Wszyscy czterej zeszli po drabinkach do szalupy. Pierwszy oficer stanął przy sterze, a pozostała trójka ruszyła do wiosła. Przez chwilę kapitan patrzył, jak w równym tempie zbliżają się do falochronu. Potem wrócił na mostek i dał rozkaz, by korweta w dalszym ciągu okrążała wyspę.

Ostry dźwięk dzwonka przerwał partię kart pod pokładem kutra w Aberdeen.

- Czułem, że coś nie tak. Przestało huścić. Pokład jakby całkiem nieruchomy. Aż mdłości biorą - narzekał Chudy.

Nikt go jednak nie słuchał, gdy załoga pędem zajmowała swoje stanowiska. Niektórzy wkładali po drodze kamizelki ratunkowe.

Rozległ się ryk silnika i kuter zaczął drżeć, początkowo słabo, lecz dostrzegalnie. Smith stał na pokładzie przy dziobie, rozkoszując się świeżym powietrzem i pyłem wodnym na twarzy, po dniu i nocy spędzonej pod pokładem.

Chudy podszedł do Smitha, gdy kuter wyszedł z portu.

- A więc znów płyniemy - powiedział.

- Wiedziałem, że właśnie wtedy ogłoszą alarm - oświadczył Smith. - Wiesz czemu?

- Nie.

- Zgadnij, co miałem w ręce? Króla i asa.

- Bank. - Chudy pokręcił głową. - A ja nigdy...

Kapitan Werner Heer spojrział na zegarek.

- Trzydzieści minut - powiedział. Major Wohl przytaknął bez entuzjazmu.

- Jaka pogoda? - spytał.

- Sztorm ucichł - rzucił niechętnie Heer. Wolałby zostawić tę wiadomość dla siebie.

- A więc wynurzamy się?

- Wasz człowiek dałby znać, gdyby tam był...

- Nie wygrywa się wojny stawianiem hipotez, kapitanie - odparł Wohl. - Uważam, że stanowczo należy wyjść na powierzchnię.

Jeszcze w doku wybuchła wściekła awantura między zwierzchnikami Heera i Wohla; wygrał ten drugi. Heer był wprawdzie dowódcą łodzi, ale wyraźnie dano mu do zrozumienia, żeby następnym razem nie próbował lekceważyć sugestii Wohla.

- Wynurzymy się dokładnie o szóstej - zdecydował Heer.

Wohl skinął głową i odwrócił się.

Rozdział 37

Dźwięk tłuczonego szkła zabrzmiał jak wybuch bomby zapalającej... Lucy wypuściła mikrofon z dłoni. Coś stało się na dole.

Schwyciła strzelbę i zbiegła. Bawialnia stała w ogniu, który koncentrował się na podłodze wokół rozbitego słoika. Henry skonstruował bombę, używając benzyny z jeepa. Płomienie gwałtownie obejmowały wytarty dywan Toma i lizały komplet starych mebli. Gdy zajęła się puchowa poduszka, ogień buchnął aż pod sufit. Lucy chwyciła poduszkę i wyrzuciła ją przez wybite okno parząc sobie rękę. Potem zdarła z siebie płaszcz, rzuciła go na dywan i zaczęła po nim deptać. Po chwili podniosła płaszcz i przykryła nim kwiecistą kanapę. Jakoś dała sobie radę.

Wtem rozległ się brzęk szkła. Tym razem z góry.

- Jo! - krzyknęła.

Upuściła płaszcz i pognąła po schodach do sypialni. Henry siedział na łóżku trzymając na kolanach Jo. Mały zbudził się właśnie i ssał palec patrząc szeroko otwartymi oczyma. Henry gładził jego rozczochrane włosy.

- Połóż strzelbę na łóżku, Lucy - powiedział.

Ręce opadły jej w poczuciu całkowitej klęski. Posłuchała go.

- Wdrapałeś się po ścianie i wszedłeś przez okno - wyszeptała. Henry zdjął Jo'ego z kolan.

- Idź do mamy.

Gdy Jo podbiegł do niej, wzięła go na ręce. Henry podniósł obie strzelby i podszedł do radiostacji. Prawą dłoń wsunął pod lewe ramię; na kurtce widniała wielka czerwona plama. Usiadł.

- Zraniłaś mnie - powiedział, po czym zajął się nadajnikiem. W odbiorniku rozległ się głos. - Słucham cię, Wyspa Wiatrów. - Henry podniósł mikrofon. - Halo!

- Chwileczkę - rozległo się w słuchawce. Po chwili usłyszeli inny głos. Lucy poznała człowieka z Londynu, który polecił jej zniszczyć radiostację. Zawiedzie jego nadzieje. - Halo, tu Godliman - odezwał się głos. - Czy mnie słyszysz? Odbiór.

Henry odpowiedział: - Tak, profesorze, słyszę pana. Czy zwiedzał pan ostatnio jakieś stare katedry?

- Czy to...

- Tak. - Henry uśmiechnął się. - Witam. - Nagle uśmiech zniknął z jego twarzy. Zabawa się skończyła. Zmienił częstotliwość.

Lucy odwróciła się i wyszła z pokoju. Wszystko skończone. Przegrała. Jak we śnie zaczęła schodzić po schodach do kuchni. Mogła teraz tylko czekać, aż ją zabije. Nie była nawet w stanie uciekać, nie miała już siły, a on oczywiście o tym wiedział. Spojrzała przez okno. Sztorm całkiem ucichł. Wycie wiatru ustąpiło jednostajnej bryzie, deszcz ustał, a horyzont na wschodzie rozjaśnił się obietnicą słońca. Morze... Wyteżyła wzrok i spojrzała jeszcze raz. Tak. To była łódź podwodna. "Zniszcz radiostację" - powiedział profesor. Przekleństwa Henry'ego w obcym języku, tajemnicze słowa: "Zrobiłem to dla mojego kraju", i jeszcze inne w gorączce: "Czekacie w Calais na armię duchów" - złożyły się nagle w całość.

"Zniszcz radiostację" - łomotało jej w głowie. Po co ktoś miałby brać z sobą plik negatywów, wybierając się na ryby? Cały czas wiedziała, że nieznajomy nie jest wariatem. Łódź podwodna to jednostka niemiecka, a Henry to niemiecki szpieg, który w tej chwili właśnie próbuje skontaktować się z łodzią.

"Zniszcz radiostację!" Wiedziała już, co ma robić. Teraz, gdy wszystko zrozumiała, nie mogła dać za wygraną. Nie chodziło tu tylko o jej życie, ale była to ostatnia rzecz, jaką mogła zrobić dla Davida i wszystkich młodych ludzi, którzy polegli w tej wojnie.

Wiedziała, co musi zrobić. Nie bała się bólu ani nawet śmierci.

Chciała zamknąć Jo'ego, żeby tego nie widział, ale nie było już czasu. Henry mógł złapać odpowiednią częstotliwość, a wtedy będzie za późno.

Wiedziała, co musi zrobić. Powinna zniszczyć nadajnik. Ale radiostacja była na górze, a Henry miał dwie strzelby i na pewno by ją zabił.

Wiedziała, co musi zrobić.

Postawiła jedno z krzeseł kuchennych na środku pokoju, stanęła na nim, podniosła rękę i wykręciła żarówkę. Potem podeszła do drzwi i włączyła kontakt.

- Zmieniasz żarówkę? - spytał Jo.

Weszła znów na krzesło, zawahała się na chwilę, po czym gwałtownie wcisnęła trzy palce w pustą oprawkę. Rozległ się trzask, poczuła straszliwy ból i straciła przytomność.

Faber znalazł właśnie odpowiednią częstotliwość, nastawił przełącznik na nadawanie i podniósł mikrofon. Chciał już zacząć mówić, gdy rozległ się trzask i niemal równocześnie światło na tarczy odbiornika zgasło. Ogarnęła go wściekłość.. Lucy spowodowała krótkie spięcie, pozbawiając cały dom elektryczności. Nie podejrzewał, że jest aż tak pomysłowa. Powinien był zabić ją wcześniej. Co mu się stało? Nigdy przedtem się nie wahał, nigdy, dopóki nie spotkał tej kobiety.

Podniósł strzelbę i zszedł na dół. Mały płakał obok Lucy, która leżała w drzwiach kuchni. Faber spojrzał na pustą oprawkę lampy i krzesło stojące poniżej. Uniósł brwi ze zdumienia.

- Zrobiła to ręką! Wielki Boże! - wyrwało mu się. Lucy otworzyła oczy. Wszystko ją bolało. Henry stał nad nią ze strzelbą w ręce.

- Ale dlaczego zrobiłaś to ręką, a nie śrubokrętem?

- Nie wiedziałam, że tak można.

Potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- Jesteś naprawdę zdumiewającą kobietą. - Podniósł strzelbę, wymierzył i znów ją opuścił. - Niech cię diabli... - Spojrzał w okno i nagle poderwał się. - Zobaczyłaś łódź - powiedział.

Przytaknęła.

Przez chwilę stał wyraźnie zdenerwowany, a potem ruszył do drzwi. Gdy zobaczył, że są zabite gwoździami, rozbił okno kolbą strzelby i wydostał się na zewnątrz.

Lucy zerwała się na równe nogi. Jo objął ją za kolana. Nie miała dość siły, by go podnieść, i z trudem pokuśtykała do okna.

Henry biegł w stronę morza. Łódź podwodna wciąż tam czekała, może o pół mil od brzegu. Dotarł właśnie do krawędzi skały i przeczołgał się przez nią. Widać zamierzał dopłynąć do łodzi.

Musiała go jakoś zatrzymać.

- Dobry Boże - modliła się - nie zdołam już dłużej...

Wydostała się przez okno, usiłując nie słuchać płaczu synka, i pobiegła za Henrym.

Gdy dotarła do krawędzi skały, położyła się i zobaczyła go. Był w połowie drogi między morzem a nią. Spojrzał w górę i dostrzegł Lucy, na chwilę zastygł, a potem zaczął biec szybciej, niebezpiecznie szybko.

W pierwszym odruchu chciała zbiec w dół za nim. Ale co potem? Nawet gdyby go dogoniła, nie zdołała go zatrzymać.

Ziemia pod jej stopami lekko się osunęła. Lucy cofnęła się, by nie runąć ze skały w dół.

I wtedy wpadła na pomysł.

Obydwoma pięściami zaczęła uderzać w skalistą ziemię, która lekko zadrżała i zarysowała się, ukazując wąską szparę. Wtedy jedną dłonią chwyciła brzeg skały, a drugą zanurzyła w szczelinę i zdołała odłupać kawał kredowego podłoża wielkości arbuza.

Spojrzała ponad krawędzią i gdy zobaczyła Henry'ego, starannie wymierzyła i rzuciła w niego

odłamek skały.

Wydawało jej się, że spada bardzo wolno. Henry dostrzegł kamień i zasłonił się rękoma.

Odłamek minął jego głowę o kilka cali i uderzył go w lewe ramię. Henry trzymał się skały lewą ręką, toteż pod wpływem uderzenia zwolnił uchwyt. Przez chwilę chwiał się niebezpiecznie, jego prawa, okaleczona ręka nie znalazła jednak oparcia, przechylił się w stronę przepaści, machając rękoma w powietrzu, stopy nagle ześlizgnęły się z wąskiej ścieżki, zawisł w powietrzu i w końcu spadł jak kamień na nadbrzeżne skały.

Nie wydał nawet głosu.

Upadł na płaską skałę wystającą ponad powierzchnię wody i leżał tam jak połamana lalka, z wyrzuconymi w bok rękoma i głową skręconą pod niesamowitym kątem.

Zabiła go.

Potem nagle wszystko stało się równocześnie.

Rozległ się ryk samolotów i trzy maszyny ze znakami RAF-u na skrzydłach wyłoniły się zza chmur i z oślepiającym błyskiem karabinów maszynowych zeszły nisko nad łódź podwodną.

Czterej marynarze wbiegli na wzgórze kierując się w stronę domu. Jeden z nich komenderował.

- Raz, dwa, raz, dwa.

Inny samolot wodował na morzu, opuszczono szalupę i człowiek w kamizelce ratunkowej zaczął wiosłować w stronę brzegu.

Niewielki okręt oddalał się od zarysów lądu i posuwał się szybko w stronę łodzi podwodnej.

Łódź zanurzyła się.

Szalupa dotarła do brzegu u stóp skały. Wsiadł z niej mężczyzna, który zaczął dokładnie oglądać ciało Henry'ego.

Lucy rozpoznała również kuter Straży Przybrzeżnej.

Podszedł do niej któryś z marynarzy i spytał: - Jak się pani czuje? W domu mała dziewczynka płacze za mamą.

- To chłopiec - powiedziała Lucy. - Muszę obciąć mu włosy - i uśmiechnęła się bez powodu.

Bloggs skierował szalupę w stronę leżącego u stóp skał ciała. Gdy łódka uderzyła o skalisty brzeg, wyszedł na ląd.

Tak, to był Die Nadel. Całkiem martwy. Jego czaszka rozprysła się jak szkło, gdy uderzyła o kamienie. Przypatrując mu się z bliska, Bloggs dostrzegł, że już przed upadkiem Faber był mocno poturbowany; miał okaleczoną prawą rękę i nogę w kostce. Przeszukał ubranie. Sztylet znajdował się tam, gdzie przypuszczał: w futerale przywiązany do lewego przedramienia. W wewnętrznej kieszeni eleganckiej, zaplamionej krwią kurtki Bloggs znalazł portfel, dokumenty, pieniądze i mały pojemnik, a w nim dwadzieścia cztery trzydziestopięciomilimetrowe negatywy. Uniósł je pod światło; były to negatywy odbitek, które Faber przesłał do ambasady portugalskiej.

Marynarze stojący na szczycie skały zrzucili w dół linę. Bloggs włożył rzeczy Fabera do swojej kieszeni i obwiązał jego ciało liną. Wciągnęli je na górę, a potem spuścili linę po Bloggsa.

Gdy znalazł się na górze, jeden z marynarzy powiedział: - Jego mózg został na skałach, tym lepiej dla nas. - Podporucznik przedstawił mu się i ruszyli razem na przełaj do małego domku na wzgórzu.

- Nie dotykaliśmy tam nic, żeby nie niszczyć śladów - powiedział starszy marynarz.

- Nie przejmujcie się - odparł Bloggs. - Nie będzie żadnego postępowania.

Musieli wejść do domu przez wybite okno w kuchni.

Kobieta siedziała przy stole trzymając na kolanach dziecko. Bloggs uśmiechnął się do niej.

Nie umiał nic powiedzieć.

Szybko rozejrzał się po małym domu, który wyglądał jak pole bitwy. Zobaczył okna zabite gwoździami, zabarykadowane drzwi, spustoszenie po pożarze, psa z poderżniętym gardłem, strzelby, porąbaną poręcz schodów, topór wbity w parapet, a obok dwa obcięte palce.

“Cóż to za kobieta” - pomyślał.

Skierował marynarzy do roboty, jeden miał uprzątnąć dom i otworzyć okna i drzwi, drugi naprawić elektryczność, trzeci przygotować herbatę. Usiadł przy nieznanym. Ubrana była w zaobszerne męskie rzeczy, miała mokre włosy i brudną twarz. Ale poza tym była bardzo piękna, z wielkimi bursztynowymi oczyma w owalnej twarzy.

Bloggs uśmiechnął się do dziecka i bardzo łagodnie zwrócił się do kobiety: - To, co pani zrobiła, jest ogromnie ważne dla losów tej wojny. Kiedyś powiem, jak bardzo ważne. Ale teraz muszę zadać pani dwa pytania. Czy mogę?

Utkwiła wzrok w jego twarzy i po chwili skinęła głową.

- Czy Faber zdołał połączyć się z łodzią podwodną przez radiostację?

Twarz nieznanym nic nie wyrażała. Bloggs znalazł w kieszeni cukierek.

- Czy mogę go dać małemu? - spytał. - Wygląda na głodnego.

- Dziękuję - powiedziała.

- A więc czy Faber skontaktował się z łodzią?

- Nazywał się Henry Baker - powiedziała.

- Aha... Więc czy tak?

- Nie, zrobiłam krótkie śpięcie.

- Bardzo mądrze - pochwalił Bloggs. - W jaki sposób? Wskazała pustą oprawkę nad sobą.

- Śrubokrętem?

- Nie. - Uśmiechnęła się blado. - Taka mądra nie byłam. Palcami.

Spojrzał na nią ze zgrozą. Myśl o świadomym... Wzdrygnął się. To było przerażające. Starł się nie dopuścić do siebie tej wizji.

- W porządku. Czy sądzi pani, że ktoś z łodzi widział, jak ten człowiek zbiega w dół?

Na twarzy jej odbił się wielki wysiłek.

- Nikt nie wychodził na pokład - powiedziała w końcu. - A może mogli zobaczyć go przez peryskop?

- Nie - odparł z przekonaniem. - To dobra wiadomość. A więc nie wiedzą, że został złapany i... unieszkodliwiony. No cóż... - zmienił szybko temat - przeszła pani tyle, ile mężczyźni na froncie. Zamierzamy teraz przewieźć panią z dzieckiem na ląd do szpitala.

- Dobrze - zgodziła się.

Bloggs zwrócił się do starszego marynarza.

- Czy jest tu jakiś środek transportu?

- Tak, jeep, tam niżej, w kępie drzew.

- W porządku. Proszę przewieźć tych dwoje na molo i zabrać na pokład waszego okrętu.

- Oczywiście.

- I proszę obchodzić się z nimi bardzo delikatnie.

- To się rozumie.

Bloggs znów zwrócił się do kobiety. Ogarnęła go nagle czułość i uwielbienie. Wyglądała teraz tak krucho i bezradnie, wiedział jednak, że jest równie odważna i silna, jak piękna. Wiedziony impulsem ujął ją za rękę.

- Po jednym lub dwu dniach w szpitalu poczuje się pani bardzo przygnębiona. To będzie znak, że wraca pani do zdrowia. Ja będę w pobliżu, a lekarze poinformują mnie o wszystkim. Chciałbym móc kiedyś dłużej z panią porozmawiać. Ale dopiero wtedy, gdy pani sobie tego zażyczy. Dobrze?

W końcu jednak uśmiechnęła się do niego. Poczuł, że ogarnia go fala ciepła.

- Jest pan bardzo miły - powiedziała. Wstała i wyszła z synkiem z domu.

- Miły? - mruknął do siebie Bloggs. - Boże, co za kobieta!

Poszedł na górę do pokoju z radiostacją i nastawił częstotliwość Królewskiej Służby Obserwacyjno-Meldunkowej.

- Tu Wyspa Wiatrów, odbiór.

- Słucham was, Wyspa Wiatrów.

- Połączcie mnie z Londynem.

- Proszę czekać.

Po chwili ciszy rozległ się znajomy głos: - Tu Godliman.

- Percy, złapaliśmy... przemytnika. Nie żyje.

- Wspaniale, wspaniale... - W głosie Godlimana zabrzmiał triumf. - Czy zdołał porozumieć się ze współnikiem?

- Z całą pewnością nie.

- Dobra robota, dobra robota.

- To nie moja zasługa - powiedział Bloggs. - Kiedy tu dotarłem było już po wszystkim.

- Więc kto go zabił?

- Ta kobieta.

- Do diabła! Jaka ona jest?

Bloggs uśmiechnął się.

- To bohaterka, Percy.

Godliman głośno się roześmiał.

- Myślę, że dobrze cię zrozumiałem, stary.

Rozdział 38

Hitler stał przy szerokim oknie patrząc na góry. Miał na sobie swój gołębioszary mundur i robił wrażenie człowieka zmęczonego i przygnębionego. W nocy wzywał nawet swego lekarza.

Admirał Puttkamer zasalutował.

- Dzień dobry, mein Führer - powiedział. Hitler obrócił się i przyjrzał się uważnie swemu adiutantowi. Te oczka małe jak paciorki zawsze onieśmiały Puttkamera.

- Czego dowiedział się Die Nadel? - spytał Hitler.

- Były jakieś kłopoty ze spotkaniem. Angielska policja ścigała przemytników. Ale Die Nadla i tak tam nie było. Parę minut temu przysłał wiadomość drogą radiową. - Wyjął kartkę papieru.

Hitler wziął ją, włożył okulary i zaczął czytać:

JESTEŚCIE DURNIE SPOTKANIE ŹLE ZORGANIZOWANE JESTEM RANNY I NADAJĘ LEWĄ RĘKĄ PIERWSZA GRUPA ARMII AMERYKAŃSKIEJ PATTONA ZGROMADZONA ANGLIA WSCHODNIA PORZĄDEK BITWY NASTĘPUJĄCY DWADZIEŚCIA JEDEN DYWIZJI PIECHOTY PIĘĆ DYWIZJI PANCERNYCH OKOŁO PIĘĆ TYSIĘCY SAMOLOTÓW PLUS ODPOWIEDNIE TRANSPORTOWCE W ZATOCE WASH PIERWSZA GRUPA ARMII

PATTONA ZAATAKUJE CALAIS PIĘTNASTEGO CZERWCA POZDROWIENIA DLA WILLIEGO.

Hitler oddał kartkę Puttkamerowi i westchnął: - A więc jednak Calais.

- Czy możemy ufać temu człowiekowi? - zapytał adiutant.

- Całkowicie. - Hitler odwrócił się i przeszedł przez pokój w stronę fotela. Poruszał się sztywno i jakby z bólem. - To lojalny Niemiec. Znam jego rodzinę.

- Ale pański instynkt...

- Ach, mówiłem już, że zaufam meldunkom tego człowieka i nie zamierzam tego zmienić. -

Odprawił gestem adiutanta. - Powiedz Rommlowi i Rundstedtowi, że nie dostaną dywizji pancernych. I przyślij tego przeklętego lekarza.

Puttkamer ponownie zsalutował i wyszedł przekazać rozkazy.

EPILOG

Kiedy RFN w 1970 roku pokonała Anglię w ćwierćfinale Mistrzostw Świata w piłce nożnej, dziadek wpadł we wściekłość.

Siedział przed kolorowym telewizorem i mrucał ze złością pod nosem.

- Tylko oszustwem! - radził znanym komentatorom sportowym, którzy analizowali przebieg gry.
- Oszustwem i podstępem! To jedyny sposób pokonania tych barbarzyńców!

Uspokoił się dopiero po przyjeździe wnuków. Biały Jaguar Jo'ego pojawił się na podjeździe przed ich skromnym domem i po chwili mały David wpadł z impetem, usiadł dziadkowi na kolanach i zaczął tarmosić go za brodę. Pozostali członkowie rodziny zachowywali się znacznie stateczniej: Rebeka, młodsza siostra Davida, żona Jo'ego, Ann, i wreszcie sam Jo, dobrze prezentujący się w swej zamszowej kurtce. Babcia wybiegła z kuchni, aby ich powitać.

- Czy oglądałeś mecz, tato? - zapytał Jo.

- Koszmarny - powiedział dziadek. - Graliśmy beznadziejnie. - Odkąd wycofał się ze służby czynnej, miał znacznie więcej wolnego czasu i zaczął się interesować sportem.

Jo musnął dłonią wąsy.

- Niemcy grali dużo lepiej od nas - powiedział. - Mają świetną drużynę. Zresztą nie możemy wygrywać za każdym razem.

- Nie mów mi o tych przeklętych Niemcach - rozgniewał się dziadek.

- Prowadzę z nimi wiele interesów.

- Nie zaczynaj nowej kłótni, Jo! - Usłyszeli głos babki dobiegający z kuchni. Udawała, że traci słuch, ale jakoś nic nie umykało jej uwagi.

- Masz rację - zgodził się dziadek. - Dajmy temu spokój. Handluj sobie dalej tymi przeklętymi szwabskimi samochodami.

- Doskonałe wozy.

- Oszustwem i podstępem, tylko w ten sposób można pokonać barbarzyńców - powtórzył dziadek, zwracając się tym razem do wnuczka siedzącego mu na kolanach, który w rzeczywistości nie był jego wnukiem, ponieważ Jo nie był jego synem. - Właśnie tym sposobem wygraliśmy z nimi wojnę, Davidzie... wyprowadziliśmy ich w pole.

- Powiedz, jak wyprowadziliście ich w pole - poprosił David z dziecięcą naiwnością, przekonany, że to właśnie jego przodkowie tworzyli historię.

- Widzisz, udawaliśmy. - Głos dziadka zabrzmiał cicho i konspiracyjnie, aż mały chłopiec zachichotał w napiętym oczekiwaniu na wspaniałą opowieść. - Udawaliśmy, że zaatakujemy Calais...

- Ale to przecież Francja, nie Niemcy?

- Tak, ale Niemcy byli wtedy w całej Francji. Żabojady nie umiały się tak dobrze bronić, jak my.

- Oczywiście to, że jesteśmy wyspą, nie ma tu nic do rzeczy - wtrącił Jo.

Ann ofuknęła go.

- Pozwól dziadkowi opowiedzieć tę historię z czasów wojny.

- No więc - ciągnął dziadek - udawaliśmy, że atak nastąpi od strony Calais. Niemcy gromadzili tam wszystkie swoje czołgi i żołnierzy. - Podniósł poduszkę, która miała przedstawiać Francję, popielniczka była Niemcami, a scyzoryk aliantami. - Ale my wylądowaliśmy w Normandii, gdzie nie było nikogo z wyjątkiem starego Rommla i kilku pukawek! Oszustwem i podstępem, rozumiesz?

- Czy Niemcy nie zwęszyli podstępu? - zapytał David.

- Prawie im się udało. Istotnie, znalazł się jeden szpieg, który odkrył nasz plan. Chyba nikt o tym nie wie, ale ja wiem, bo w czasie wojny trudniłem się tropieniem szpiegów.

- I co się stało z tym szpiegiem?

- Zabiliśmy go, zanim zdążył zdradzić tajemnicę.

- Czy to ty go zabiłeś, dziadku?

- Nie, babcia go zabiła. David otworzył szeroko oczy. - Babcia?

Babcia weszła niosąc dzbanek z herbatą i powiedziała: - Fredzie Bloggs, dlaczego straszysz dzieci?

- Powinny to wiedzieć - obruszył się Bloggs. - Wiesz, Davidzie, dostała nawet order, ale nie chce powiedzieć, gdzie go trzyma, bo nie lubi się nim chwalić.

Babcia zaczęła rozlewać herbatę.

- Wszystko już należy do przeszłości i Jo ma rację, że trzeba o tym zapomnieć. W każdym razie nic dobrego z tego nie wyszło. - Postawiła filiżankę obok dziadka.

Chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie.

- A jednak wyszło coś dobrego - powiedział i jego głos stał się nagle łagodny, a cała starcza gderliwość gdzieś znikła. - Poznałem bohaterkę i ożeniłem się z nią.

Przez chwilę patrzyli na siebie. Jej piękne włosy przyprószyła już siwizna, zaczęła je upinać w kok. Była też znacznie cięższa niż kiedyś. Przez całe życie ubierała się modnie i bardzo elegancko, ale jej figura straciła swój dawny powab. Tylko oczy pozostały niezmiennione: ogromne, bursztynowe i niezwykle piękne.

Utkwiła je teraz w jego oczach i przez chwilę jak gdyby pograżyli się we wspomnieniach.

Nagle David zeskoczył z kolan dziadka, zrzucił filiżankę z herbatą na podłogę i czar prysnął.